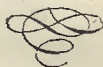


POWIEŚCI OBRAZY I ZARYSY

ORYGINALNE I NAŚLADOWANE

PRZEZ

J. S. D.



Lodowicz

WARSZAWA.

W Drukarni J. Jaworskiego.

Ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

—
1857.

5876/67

LP 14c

283752

I

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby
egzemplarzy.

Warszawa d. 8 (20) Marca 1857 r.

p. o. Starszego Cenzora,

Radca Honorowy, A. Broniewski.

K. 19ta

Kce, Z'wirki i Wigury

18. 4. 67r.

80,-



ÓSMY BRAT SPIĄCY

GAWĘDA.

ÓSMY BRAT ŚPIĄCY.

I.

W pierwszych dniach miesiąca grudnia roku 1855 około godziny siódmej rano, gdy słaby brzask zaczyna świtać, a w czas mglisty i pochmurny, jeszcze jest zupełnie ciemno, powstał krzyk na uliczce wiodącej z gmachu Ordynackim zwanego, a prowadzącej do Nowego-Świata. „Co to jest? co to jest? czyś go widział? duch! upiór! Patrz oto goni za nami!” Tak wołało dwóch czy trzech ludzi należących do służby browarnej pana N. znanego fabrykanta piwa bawarskiego. Uciekli z gmachu, w którego piwnicach tenże fabrykant ma składy swoje, i pochowali się w pobliskich sieniach. Że to był dzień nie targowy, a przy tem zimny i pochmurny, nie było więc ludzi na ulicy i wołanie ich żadnego nie zrzędziło zbiegowiska. Lecz w innym dniu i godzinie, byłby nastąpił hałas i ścisk nie mały. Krokiem nie nadto pospiesznym, lecz dosyć mocnym, szedł od pałacu Ordynackiego jakiś starzec; ale jakże on dziwnie, a nawet okropnie

wyglądał! Bekiesza, niegdyś granatowa, dziś od starości żółkła, spłowiała, popękana w kawały, na głowie czapka niegdyś z kasztanowatym barankiem, dziś coś nakszałt grzybami porosła, ogromne wąsy, broda długa, poniżej piersi spadająca, włosy także niezmiernie długie, bieluteńkie, czyniły go podobnym do ducha, lub do więźnia z jakiej bastylji wypuszczonego. Wyszedł na Nowy-Świat; zdumiał się, przeżegnał, mrużąc: „Co to jest! ja muszę spać jeszcze! kiedyż ja się przebudzę.” Przecierał sobie oczy, i szedł ku Krakowskiemu-Przedmieściu. Jak wspomniałem nikogo jeszcze nie było na ulicy; bo nasz Nowy-Świat arystokratyczny, nie wstaje tak prędko, niczyjej więc nie zwrócił uwagi. Jedna tylko stara kobiecina zobaczywszy tę dziwną figurę, przytuliła się do ściany, żegnając się i mówiąc: „Wszelki duch Pana Boga chwali,” a szewczyk wysłany po wódkę do Winawera, drapnął jak oparzony i nie opatrł się aż w szynkowni. Ów nieznajomy ciągle dziwić się, doszedł aż do rogu Nowego-Świata. Przestraszył się widokiem ogromnego człowieka siedzącego na postumencie, a który przy szarawym świetle, jeszcze mu się większy i straszniejszy wydawał. Na szczęście swoje, postrzegł kościół Święto-Krzyżki, poznał tę świątynię i po schodach kamiennych wszedł do kościoła. Usiadł w bocznej ławeczce, a rozpoznawszy znane ołtarze i ławki, zaczął modlić się gorliwie.

— O Boże! Boże! co się ze mną zrobiło! Gdzież ja jestem! czy mi się śni, czy ja rozum straciłem i marzę

o niestworzonych i niesłychanych rzeczach? Czy ja będę musiał pójść do Czubków ¹⁾. Ach! już póki życia mego pić nie będę.

Tak modląc się i bijąc w piersi, wysłuchał mszy świętej. W tej samej ławeczce po drugiej stronie, siedział uczciwy i pobożny obywatel warszawski p. Barszczewicz, kupiec skór na Starem-Mieście, z dziada pradziada dziedziczący ten handel. Miał on zwyczaj, codziennie przychodzić na ranną mszę do Świętego-Krzyża, od czasu jak swoją najstarszą córkę Anusię wydał był za mąż za właściciela domu na Krakowskim-Przedmieściu i jak ta młoda kobieta, umarła przy pierwszém dziecięciu, a zwłoki jej wywieziono na wieczny spoczynek z kościoła dolnego u Św. Krzyża.

Już się też trochę rozwidniło; zdziwił się p. Barszczewicz, zobaczywszy przy sobie taką nieznaną postać, która nosiła na sobie wszystkie cechy niesłychanej starości. Nieznajomy przysunął się do niego i rzekł:

— Przepraszam asindzia dobrodzieja, wszakże to jest kościół Św. Krzyża.

— A tak jest — odpowiedział — albo to jegomość dobrodziej nie zna Św. Krzyża?

— Ale gdzież tam nie znam! wszakże ja tu byłem onegdaj na summie.

— Onegdaj? co on gada — pomyślał pan Barszczewicz — Nieznajomy mówił dalej:

¹⁾ Tak za dawnych czasów zwano szpital obłąkanych Jana Bożego księży Bonifratrów.

— Z kimże mam zaszczyt rozmawiać?

— Jestem Barszczewicz, obywatel ze Starego-Miasta, i mam handel skór.

— Barszczewicz! znam to nazwisko i handel! aleś mi coś W. Pan Dobrodziej bardzo zmienił, albo mi się w oczach ćmi jeszcze.

— A z kimże mam honor mówić?

— Ja jestem Bartłomiej Nowogórski, Marszałek dworu księcia wojewody kijowskiego.

Oślupiał pan Barszczewicz na taką odpowiedź: ani słyszał o żadnym księciu wojewodzie, przypominał tylko sobie z lat młodych, że kiedyś byli tego nazwiska dygnitarze. To jakiś waryat: pomyślał sobie: wygląda tak, jak gdyby go długie lata w jakiej ciupie trzymano. Ale tak się pobożnie modlił, że aż mię ujął za serce. Jak wyjdzie na ulicę, to wszystkie chłopaki zbiegną się za nim; budnik zaprowadzi go na policyą i Bóg wie co się z nim stanie. Trzeba nieborakowi dopomódz. W najgorszym razie, co się zwlecze, to nie uciecze.

— Mości dobrodzieju—rzekł do starca: ja sam nie mogę zrozumieć, kto wasan dobrodziej jesteś i zkąd się tu wzięłeś. Ale obejrzyj się po sobie, dotknij się tylko rękoma sukni i włosów, przypatrz się czapce swojej i osądź, czy w takim stroju, możesz pokazać się na ulicy?

Obejrzał się pan Bartłomiej, a gdy zobaczył swoją brodę ogromną, wąsy i włosy, i czapkę grzybami porośłą, struchlał i zadrżał.—O Boże! co się ze mną stało.

Ale ja nie śpię nie marzę, i przykląkszy, znowu gorąco modlić się począł.

Wzruszyło to do reszty zacnego pana Barszczewicza, i rzekł: — Siedź tu jegomość cichuteńko w ławce, ja pójdę do domu po płaszcz i po czapkę, otulę wasindzieją od stóp do głowy i zawiozę do domu, a potem zobaczymy co dalej robić.

— Rób jegomość co chcesz; ja sam nie wiem co się ze mną dzieje i uczynię wszystko co rozkażesz.

Za pół godziny powrócił pan Barszczewicz; obwinął w płaszcz naszego pana Bartłomieja, kołnierzem twarz mu zasłonił, czapkę własną na głowę mu natulił, wyprowadził z kościoła, wsadził do doróżki i powiózł na Stare-Miasto. Przez drogę było pół biedy, bo pałac Potockich utrzymywany karyatydami i kościół Wizytek, przekonywały pana Bartłomieja że jest w Warszawie, ale widząc co chwila nowe lub przerobione domy i pałace, dziwił się i żegnał bez ustanku. Doróżkarz z rozkazu pana Barszczewicza ostro jechał. Poznał pan Bartłomiej króla Zygmunta, ale tak krzyknął przeraźliwie, że aż mu gębę zamknąć musiał jego przewodnik, gdy za królem Zygmuntem znikła mu z oczu Krakowska brama, stare mury ulicy Grodzkiej, i wprost zajechali na ulicę Święto-Jańską. Tam gospodarz wprowadził dziwnego gościa swojego do izdebki w tyle sklepu będącej i natychmiast po cyrulika pospieszył.

— Panie Doliwa, ostrzyż mi i ogół tego szlachcica, mego krewniaka: rzekł do cyrulika, którego uprzedził

przez drogę, że szlachcie ten, trochę bzika w głowie mający, przez lat dziesięć nie chciał się ani strzyżać ani golić i dopiero teraz dał się przecię namówić.

Gdy broda, włosy i wąsy spadły na ziemię, notabene wąsy zachowano w przyzwoitej szanownej staropolskiej mierze, a dwaj nowo poznañomieni, zostali sami, odezwał się pan Barszczewicz:

— Mój jegomość, teraz przecię, kiedy już nie straszysz ludzi twoim zarostem, powiedz mi szczerze i po prostu, co za jeden jesteś i z kąd się tu wziąłeś? Bo da-libóg i ja przy jegomości oszaleję.

— Jestem, jakem asindziejowi dobrodziejowi powiedział Bartłomiej Nowogórski, marszałek dworu księcia wojewody kijowskiego, w którego służbie od lat trzydziestu zostaję. Jestem szlachcie rodem z krakowskiego: wczoraj, a może też to było i onegdaj: bo nie pamiętam, czym jedną dobę spał, czy aż dwie: nad wieczorem, poszedłem do piwnic, do pałacu zwanego Ordynackim, aby tam urządzić skład na dwieście beczek wina węgierskiego, które książę wojewoda sprowadził z Krakowa. Niespodzianie trąciłem laską o jakiś guzik żelazny, znajdujący się w murze; coś zachrobotало i otworzyły się skryte drzwiczki. Ciekawością zdjęty, wszedłem. Była to piwniczka mała, ale sucha, u góry otworem, jakby od strzelnicy idącym, słabo oświetlona. Rozpatrzywszy się, zobaczyłem, że skarb znalazł, ale skarb nieoceniony,—starego węgrzyna. Było tam ze sto gąsiorków trzy kwartowych, ale jak oplesniałych! jak!

Znać były one w tem miejscu od roku 1630, kiedy zameczek ten, Ordynat Tomasz Zamoyski zbudował i po dług zwyczaju ówczesnego starem winem opatrzył. Pokusa mię wzięła, otworzyłem jeden gąsiorek, i musiała to być kara za moje grzechy, czy władza złego ducha, dość, że chociaż nie jestem nałogowym pijakiem, przecież nie mogłem ust od gąsiorka oderwać; piłem, piłem dopóki nie wychyliłem aż do dna.

„Natychmiast padłem i usnąłem. Musiałem spać przynajmniej dwie doby jak w letargu, bo wino było niezmiernie mocne. To szczęście, że mię apopleksya nie zabiła. Obudziwszy się, postrzegłem, żem spał oparty plecami o żelazne drzwiczki, a że zamykały się wewnątrz po prostu na klamkę, a zewnątrz były skryte, łatwo je otworzyłem i wyszedłem. Jacys ludzie na mój widok uciekli, ja poszedłem ich śladem. Nie mogłem się dobrze rozeznąć; zdało mi się, że śpię lub marzę, żem jeszcze nie wytrzeźwiał. Przecież poznałem kościół Święto-Krzyzki; wszedłem tam, reszta wiadoma jegości.

— To coś strasznie dziwne rzeczy: odpowiedział pan Barszczewicz,—a który to był rok wówczas, proszę asindzia dobrodzieja?

— Który rok? dziwne pytanie, jużci ten sam co i dziś, rok 1785.

— Co? rok 1785! co pan gadasz? a przecież teraz mamy rok 1855!

— Jaki? jaki?

— Tysiączny ósmsetny piędziesiąty piąty—powtórzył pan Barszczewicz.

— Ale to niepodobna, ja przecież odebrałem należność moją własną z uczciwej dwuletniej płacy mojej, pochodzącą, holenderskim nowiuteńkim złotem od bankiera Teppera, a wszystkie dukaty są teraźniejszego roku. Patrz asindzi.

— To mówiąc chciał wyjąć z kieszeni trzosik skórzanym; sukno zbutwiałe rozlazło się na sztuki, ale skóra mocniejsza dotrzymała i pan Bartłomiej Nowogórski, wysypał na stolik trzysta holenderskich dukatów, nowiuteńkich wprawdzie, obrączkowych ważnych, ale wszystkie pod stępem z roku 1785.

— Ważny to argument, odpowiedział pan Barszczewicz, ale i ja mam także równie ważny — i pokazał panu Bartłomiejowi kalendarz Ungra z roku 1855 i książkę nabożną pod tymże rokiem drukowaną.

Pan Bartłomiej miał wzrok nie zły jeszcze, przeczytał i zawołał:

— Ja tu zupełnie zgłupiałem, ani wiem gdzie jestem, ani co się ze mną dzieje! Ratuj mię dobrodzieju! tobie się oddaję jak bratu, jak katolikowi, jak ojcu!

Widok dukatów leżących na stole, nie mało zmiękczył serce pana Barszczewicza: bo chociaż był to człowiek prawy i rzetelny, i za nic w świecie nie tknąłby się cudzego grosza; ale nie był też i zamożnym, i cóżby począł ze starym jakimś czy waryatem, czy Bóg wie czem,

obdartym aż do naga, bo całe ubranie rozłaziło się na nim. Holendry zaradziły wszystkiemu.

Zgarnął najprzód pieniądze do małej wypłatanej kobiałki, i postawił na boku.

— Panie Nowogórski, rzecze: ja sam nie wiem co mam trzymać o jegomości. My staromiejscy warszawianie, lubimy nasze interesa sami ułatwiać i byle o co nie chodzimy do magistratu. Niechże się więc pierwszej rozpatrzyć i rozgadać z jegomością, a potem osądzimy co dalej robić. Przedewszystkiem musisz się przebrać od stóp do głowy, bo w takim ubraniu już na poły rozlażłem, to byś nikomu pokazać się nie mógł.

— No to prawda: ale jakże tu tak prędko dostać ubioru? Za nim krawiec weźmie miarę i uszyje, to najmniej z tydzień czasu upłynie.

— Nie turbuj się jegomość; teraz w moim a nie jegomościńym roku, zaraz wszystkiego za pieniądze dostanie.

Wyszedł na ulicę, zawołał na przechodzącego żyda i dał mu stosowne polecenia.

W pół godziny już żyd kupiec i dwóch chłopaków, przyniosło ogromne paki gotowego ubrania; była także i świeża bielizna, a po długich targach, wrzaskach, wypychaniach za drzwi, wracaniach, owych nieodstępnych ceremoniach przy każdym targu z żydami, pan Bartłomiej miał nową porządną granatową czamarkę, przy tem wszystko co tylko do ubrania potrzeba, świeżą bieliznę; płaszcz ciepły, czapkę z siwym barankiem,

w dodatku łaskę trzciniową z gałką ze słoniowej kości, słowem, odmienił się do niepoznania i odmłodził.

Tak zmienionego zaprowadził pan Barszczewicz na górę do pokoików, gdzie z żoną i dziećmi mieszkał. Ma się rozumieć, że oddał mu jego dukaty z 1785 roku, używszy z nich tyle, ile było potrzeba na zapłacenie garderoby.

— Kochana Kasiu, przedstawiam ci pana Bartłomieja Nowogórskiego, który nie był w Warszawie od lat czterdziestu. Przypadkiem poznaliśmy się na mszy u Świętego-Krzyża. Z rozmowy dowiedziałem się, że był dobrym znajomym mojego ojca, a że nikogo nie zna w mieście, prosił mię, abym mu był przewodnikiem i doradcą.

— Ściele się do stóp asindzki dobrodziki, odezwał się staroświeckim stylem pan Bartłomiej, i upraszam, aby łaskawa była na swego sługę, a dawnego znajomego śp. nieboszczyka Karola Barszczewicza, — to mówiąc, ze starodawném uszanowaniem ucałował jej rękę.

— Pan dobrodziej nie pogardzi naszym skromnym obiadem,—odpowiedziała gospodyni — co jest w domu na to prosimy.

— Ależ mościa dobrodziejko, — rzekł pan Bartłomiej,—boję się, abym subiekcyi nie zrobił, zwłaszcza nieznamy, po raz pierwszy.

— My tu staropolskim obyczajem — rzekła na to pani Barszczewiczowa — nie rachujemy na kąski, i krupki, jak to podobno dzieje się teraz; gdzie dla czterech ugo-

owano, tam się i piąty nasyci, a więc proszę bez ceremonii. Zaraz też dadzą do stołu, bo my jadamy przed samą pierwszą.

Do stołu usiadło gospodarstwo, pan Bartłomiej, dwoje dzieci od lat jedenastu do trzynastu i subiekt z handlu.

Dzieci z pod oka spoglądały na pana Bartłomieja, i strasznie im się dziwnym wydawał. Rozmowa nie była ożywiona, bo nasz gość z ordynackich piwnic, zebrał tyle zmysłów, że nie chciał, aby go subiekt i gospodyni mieli za waryata, plecącego dziwne rzeczy bez sensu. Nie wiedząc zatem o czem gadać, milczał. Zaledwie parę słów wymieniono o dość suchej jesieni i blizkiej zimie. Pani Barszczewiczowa rzekła: że dziś pójdzie z dziećmi na teatr Rozmaitości, bo grają piękne i moralne sztuczki, i zapytała się pana Bartłomieja, czyli zna ten teatr, i czyliby im nie towarzyszył.

— Ja nie znam, mościa dobrodziejko, nie wiem. Muszę się z mężem pani dobrodziki naradzić, co mam zrobić, odpowiedział Nowogórski.

Po obiedzie, gdy zeszli obydwaj do gabinetu będącego za sklepem, pan Barszczewicz rzekł:

— Że jegomość dobrodziej terażniejszej Warszawy nie znasz, że tu dawno nie byłeś, to rzecz oczywista, ale żebyś zasięgał czasów jeszcze króla Poniatowskiego, przed sejmem czteroletnim, temu ja zdrowym rozumem uwierzyć nie mogę. Nie chce się jegomości sprzeciwiać, może to uwidzenie samo odejdzie. Masz fundusz na czas niejaki. Pilnuj go dobrze, aby ci go złodzieje nie ukradli,

bo tych u nas w mieście jak mrowia. A że jegomość prosił się o opiekę nad sobą, to najchętniej dla jegomości izdebkę od tyłu na drugim piętrze, bo jest właśnie wolna, za dukata na miesiąc, w kamienicy na przeciwko; zgodzę stróża, co w piecu napali i suknię wyczyszczy; pościeli pożyczę bo jej mamy na zapas; stoliczek, łóżko i zwierciadło da nam gospodarz. A tak możesz się jako tako urządzić.

— Mój dobrodzieju! — rzecze pan Bartłomiej — już cię by mi należało pójść do księcia wojewody kijowskiego, przeprosić go za dwudniowe bałamuctwo i zacząć służbę, bo tam zostawiłem wszystko na łasce Opatrzności.

— A dajże sobie raz pokój z tym jakimś tam księciem wojewodą! — zawołał pan Barszczewicz — jużem jegomości tyle razy powiedział, że już lat trzydzieści blisko, jak żadnych wojewodów nie ma, a o księciu wojewodzie kijowskim nikt nie słyszał, i nikt nie wie. Chcesz jegomość słuchać mię, to słuchaj, a nie, to idź sobie w miasto, a jak zaczniesz bredzić, to na tym skończysz, że cię złapią i do czubków zawiozą.

Na tę pogroźkę struchlał pan Bartłomiej. „Już będę słuchał jegomości rzekł. Ale jutro jest święto, to pójdziemy poszukać którego z moich dawnych znajomych.

— Jutro po nabożeństwie, zgoda, a teraz pójdź jegomość do swojej izdebki i posiedź tam sobie. Ja każę napalić i przynieść wszystko czego potrzeba.

I tak się stało. Wieczorem koło godziny siódmej, po zamknięciu sklepu, poszedł pan Barszczewicz po swe-

go więźnia, a ten zaproponował, aby poszli na szklanczka wina do Fukiera. „Coś mi jakoś mdło w żołądku; natura ciągnie wilka do lasa; trzeba stare siły pokrzepić, orzeźwić, chociaż, za onegdajszy napitek, nie powinienbym przynajmniej przez 3 miesiące wziąć wina do ust. Ale powiedz mi też jegomość dobrodziej jakie my to piwo pili przy obiedzie?

— To bawarskie, odpowiedział kupiec, od najlepszego fabrykanta.

— A zkad się wzięło to lichy? Przecież mamy łomiankowskie, wareckie i dubeltowe, naszego pocziwego Helmana.

— Gdzie tam, ani się dopytać o nie; teraz nie ma żadnego, tylko same bawarskie; wszyscy piją je na zabój.

— No, to wielka szkoda. Piłem ja przed trzema dniami piwo łomiankowskie, w naszej ulubionej gospodzie przy ulicy Freta. To mi piwko! aż miło, tłuste, słodkawo-gorzkie, wytrawne, razem i rozgrzeje i posili, a te wasze jakieś tam bawarskie, to prawdziwie niemiecki wynalazek, gorzkie, szczypiące, smołą trąci. Czy to z umysłu pijecie go, aby się wam w piekle potem gotowana smoła, nie tak przykrą zdawała.

— Co tam jegomość plecie, rzekł kupiec: jak widzę z jegomości jest gdera i zrzęda. Wszyscy go pijemy, wszystkim smakuje i po co to przyganiać? Zna jegomość przysłowie: *Jeżeli wliczysz między wrony, musisz krakać jak i ony.*

— No, no dobrze; już nie powiem — rzekł pan Bartłomiej.

Tak mówiąc i idąc po małym, bo panu Bartłomiejowi nogi nie służyły, doszli do rogu ulicy Święto-Jańskiej. Przed wnijsiem na rynek, zatrzymał pan Barszczewicz pana Bartłomieja i rzekł: Tylkoż się jegomość nie rozdziwuj i nie rozkrzycz, że nie zobaczysz starego ratusza.

— A gdzież on się podział?

— Rozebrano go.

— A to na co?

— Na co? Na to, aby rynku w środku nie zawałał i żeby nasze Stare-Miasto dostało trochę świeżego powietrza. Toż samo zrobiono z bramą Krakowską i uliczkami przed zamkiem.

— A kiedyż to się zrobiło?

— Będzie temu lat blisko czterdzieści.

— Mój Boże! Mój Boże! pomrukiwał pan Bartłomiej, osłupiałym wzrokiem wodząc po rynku Starego-Miasta, ale się trochę uspokoił, gdy przy świetle latarni rozpoznał stare domy, takie, jakie były niegdyś, a bardziej jeszcze, gdy weszli do handlu Fukiera, który prócz odświeżenia ścian od czasu do czasu, w zupełności zachował swoją odwieczną postawę.

— Byłem tu przeszłego tygodnia: rzekł pan Bartłomiej: i z panem Antonim właścicielem i gospodarzem handlu, wypiliśmy butelkę dobrego węgryna.

— Prosimy o to samo wino, co go zawsze pijam: rzekł do zbliżającego się subiekta.

Subiekt uprzejmy i doświadczony w swym zawodzie,

odpowiedział grzecznie, że nie może sobie przypomnieć jakie to było wino.

— A cóż? to samo, cośmy pili z gospodarzem w przeszłym tygodniu, po dwa talary butelka.

Pan Barszczewicz nie chcąc dziwacznej wywoływać rozprawy, wdał się między nich i kazał przynieść dość wytrawnego węgrzyna.

— Nie złe to winko, rzekł, pijąc go pan Bartłomiej, ale nie dorównywa temu z przeszłego tygodnia.

— Na Boga! Jegomość upamiętaj że się, rzekł gdy sami zostali, bo nareszcie bieda i ciężka bieda z tego wszystkiego wywiąże się dla jegomości, a ja od wszystkiego ręce umyję. Słuchaj jegomość tego co się tu dzieje, nie wyrywaj się z twoim księciem wojewodą, nie gadaj o tem co było przed siedmdziesięciu laty jak o dniu onegdajszym, wyszukaj swoich krewnych i znajomych, jeżeli można, albo wróć z kąd przybyłeś i niech ci Bóg szczęści. Otóż daję jegomości tę ostatnią radę. Nie usłuchasz, niech się co chce robi.

— No, to jak widzę, asindzi mię koniecznie masz za jakiegoś fiksata. A ja zaręczam, zaprzysięgam się na klejnot szlachecki i na duszę, że 5 grudnia 1785 roku wszedł do piwniczki, że zasnął, i dziś rano z niej wyszedłem.

— A więc jegomość spałeś lat siedmdziesiąt?

— Jużcić musiałem spać, kiedy mię jegomość o tem i drukami i wszystkim co tu widzę przekonywasz. A sama nawet bielizna moja i suknie co zbutwiały na mnie?

Takie widać padło dopuszczenie. Lecz skoro to jest prawda, to krótko ja tu zabawię na świecie, chyba tyle, ile potrzeba, żebym się z Bogiem pojednał.

Nazajutrz wyszedł z domu pan Bartłomiej, zamysłony, smutny, ale spokojniejszy. Przekonał się, iż czy to skutkiem fizycznego działania nadzwyczaj starego trunku, czy też co podobniejsza z rozrządzenia Opatrzności, która chciała, aby znalazł się żywy i przytomny człowiek, któryby dawne czasy z nowymi, dawną cywilizacją z obecną mógł naocznie porównać — koniec końcem, ów Bartłomiej Nowogórski dawny marszałek wojewody kijowskiego, przespał lat siedmdziesiąt i sam jeden pozostał, bez przyjaciół, krewnych, znajomych, bez nikogo, któryby go znał i pamiętał, z całym funduszem dwustu ośmdziesięciu pięciu dukatów holenderskich na resztę życia: bo 15 dukatów wyszło zaraz na pierwsze oporządzenie.

Przyszedłszy do pana Barszczewicza zaczął się kłopotać co on pocznie, jak mu wyjdą te pieniądze, które ma przy sobie? Z czego żyć będzie? — Uśmiechnął się w duchu, pocziwy kupiec na tę obawę człowieka 135 lat mającego. Żeby go jednak nie smucić, rzekł, iż może znaleźć kogo takiego, co na dożywotni procent przyjmie te pieniądze, i tyle mu da, ile mu na skromne życie będzie potrzeba. Na wszystko czas będzie, o tem pogadamy później mój panie.

Podziękował pan Bartłomiej za ten nowy dowód życzliwości, ale jeszcze nie śmiejąc wychylić się sam na mia-

sto, uprosił pana Barszczewicza, aby mu po obiedzie towarzyszył.

Mimo tego wszystkiego, jeszcze nie mógł oswoić się pan Bartłomiej ze swoim położeniem. Zawsze mu się zdawało, że on musi znaleźć jeżeli nie księcia wojewodę, to przynajmniej jego syna, lub kogoś takiego, co by go znał i pamiętał o nim. Poszli więc razem ku Nowemu-Światu.

Plac przed zamkiem, widziany po raz trzeci, nie zadowolił naszego starca; westchnął tylko, bo mu żal było poważnej Krakowskiej bramy i owych dawnych kupców, którzy tam mieli bogate, chociaż na oko nie okazałe handele swoje. Lecz zjazd nad Wisłą, zwrócił jego uwagę, zboczył kilkanaście kroków, stanął w miejscu z kądem i Wisłę i brzeg przeciwny mógł zobaczyć.

„Piękne to dzieło—rzekł, godne monarchy; jeżeli i więcej takich się znajdzie, to powiem żeście czasu nie tracili. Kościółka i klasztoru panien Bernardynek nie ma, zawadzał jak widać zjazdowi i widok zasłaniał. No to zapewne w innym miejscu wzniesiono za to przybytek na chwałę Bożą.

Nie mógł poznać Radziwiłłowskiego pałacu ¹⁾, zamiast dawnych wieżyczek i śpiczastego dachu, zobaczył wystawę w guście włoskim, piękny dziedziniec, dwa jednostajne pawilony.

— Wszystko coś poprzewracano do góry nogami, czy

¹⁾ Dziś Namiestnikowski.

to książę pan, lub który z jego następców, tak to wszystko poprzerał.”

— Nie panie dobrodzieju: odpowiedział pan Barszczewicz: jest to teraz własność rządu. Zobacysz wielkie i dziwne zmiany za każdym krokiem, ale największe podobno w położeniu społecznem i stanowisku owych wielkich panów, którzy to za twoich czasów takimi byli figurami. Do pałaców i zameczków, które mieli nasi możnowładcy w Warszawie, za Władysława i Jana Kazimierza, a które podźwignęli z gruzów za spokojnych czasów saskich, przybyły nowe, tak, że każda prawie znakomita rodzina, miała przy końcu panowania Poniatowskiego pałac w Warszawie, i to nie jeden, czasem i dwa. Radziwiłłowie, Sapiehowie, Lubomirscy, Sułkowscy, Jabłonowscy, Potoccy, Ogińscy, Zamojscy, Małachowscy, Mniszchowie, Chodkiewiczowie, Bielińscy, Pocięjowie i tylu innych, mieli swoje gmachy w Warszawie.

— A teraz? zapytał się pan Bartłomiej?

— Teraz, zaledwo cztery gmachy pozostały w ręku tych rodzin lub ich bezpośrednich następców; przybył piąty, podźwigniony przez jednego z naszych najznakomitszych reprezentantów tej dawnej klasy społeczeństwa. Reszta rozwiała się z wiatrem, poszła w cudze ręce i już nawet publiczność Warszawska nie pamięta, co kiedyś do kogo należało.

— Oj widzę ja to i miarkuję po trosze, co się to święci. Ja chociaż w obowiązkach dworskich zostawałem,

alem w szkołach darmo kaszy nie jadał i czytałem co książdz Skarga Societatis Jesu, przepowiedział z ambo-ny przed trzech set laty, a co powtórzył po nim król Jan Kazimierz na sejmie abdykacyjnym. Sprawdziło się wszystko przez ten czas, kiedy ja tam z woli Boskiej spałem w tej nieszczęśliwej piwniczce. I cóż mój jegomość „Bóg dał, Bóg wziął” — mówi Pismo Święte. Parę kropel łez spłynęło po licach starca i poszli dalej.

Obejrzał nasz starzec posąg Kopernika; pochwalił gorliwość tych, którzy uczonemu ziomkowi naszemu wzniesli ten pomnik, a gdy mu powiedziano, że dokończony został z funduszu ofiarowanego przez księdza Staszycza: bo obojętni ziomkowie nasi i dosyć trudni do ofiarowania grosza na składki dobro publiczne mające na celu, możeby się nigdy nie zdołali zebrać na te kilkadziesiąt tysięcy, które zamierzony pomnik kosztował.

— O! znałem Staszycza, rzekł uradowany, już on wtedy uwagami swemi nad życiem Jana Zamoyskiego nie mało narobił hałasu. Jedni go bronili, drudzy powstawali jako na przeciwnika arystokracji, który jej śmiało w oczy gorzkie prawdy wyrzucił. Ja sam straszniem się zgorszył, że jakiś tam labuś: bo go tak przez złość nazywano: śmiał wdawać się w sprawy jaśnie oświeconych i jaśnie wielmożnych i chciał ich uczyć rozumu; ale podobno mości dobrodzieju, miał on prawdę za sobą. Lecz cóż? dobre słowa z wiatrem poszły!

Zawrócili się na Ordynackie; tu naocznie, dotykalnie

przekonał się pan Bartłomiej, że to są teraz nowe czasy, nowi ludzie, że o jego księciu wojewodzie ani widu ani słyhu; że familia w znacznej części wygasła, zresztą przeniosła się na Podole i do Galicyi i ledwie czasem który z tego rodu zjawi się w Warszawie. A z resztą, wszystko tu jest tak nowe, tak przemienione, że ani wątką tradycyi uchwycić nie można, ani odszukać jeżeli nie syna, to chociażby wnuka dawnego znajomego i przyjaciela. A z resztą i na cóżby to się przydało! Zrozumiał to sam pan Bartłomiej, że gdyby się też do kogo przypytał, to by go wzięto za natręta, a co gorsza za waryata. Poznał więc, że jest samotnym, ale okropna to samotność bez żadnego związku z przeszłością.

Stańło na tém, że gdy pan Bartłomiej jako człowiek światowy, który zawsze żył z ludźmi, musi mieć jakieś rozrywki, póki mu siły służą, więc może chodzić sobie po mieście i zobaczyć co się przez ten czas zrobiło.

Otrzaskany ze swoim położeniem, trzeciego, czwartego i następnych dni, starzec co rano wysłuchiwał u Fary mszy świętej, a potem podpierając się laską, chodził po Warszawie.

Wiadomo wam szanowni czytelnicy, że u wielkich panów polskich, za dawnych czasów, nie lada kto pełnił obowiązki marszałka dworu. Trzeba było być szlachcicem i to nie głupim, ale znającym świat i ludzi. Często się zdarzało, że właściciel dobrej wioski pełnił te obowiązki i trzymał się klamki wielkiego dworu. Takim też był pan Bartłomiej Nowogórski. Przyznał się panu

Barszczewiczowi, że on rozmawiał z owczesnemi literatami, znał się z niemi dobrze, a że zawsze lubił przyganiać wszystkim nowościom, a stare czasy wychwalać, tak dostał się pod piórko księcia biskupa warmińskiego, który przyjechawszy z Heilsberga odwiedzić Warszawę, napisał wierszyk p. t. Gderania starego Bartłomieja.

— A! znam ten wiersz, odezwał się pan Barszczewicz, który jako człowiek dawniejszej daty i uczeń szkół publicznych z czasu od 1820 do 1826, znał i cenił dzieła Krasickiego. To więc o wasindzim napisano ten wierszyk. No! czy ja też się mogłem spodziewać, że będę rozmawiał z tym, który był ich przedmiotem? To rzekłszy, wyjął dzieła Krasickiego z szafki i przeczytał następujące wiersze;

Trzeba zawsze starym wierzyć,
Przed tym zazwyczaj wierzono,
Doświadczeniem rzeczy mierzyć,
Dobłą rzeczą osądzono.
Nie zdradza ta rzecz, albowiem
Wierzcież temu, co ja powiem

Za moich czasów działano
Tak jako działać przystało,
Za moich czasów gadano
Jak się gadać należało.
Starość młodych sposobila,
Młodość dobra starych czciła.

Za moich czasów rozumni
Tacy byli co umieli,

A' bazarze próżni, dumni,
 Poszanowania nie mieli;
 Znano co szkło, a co szkiełka,
 Były światła nie światelka.

Za moich czasów i grzeczność
 Nie taką jak teraz była,
 Duma, potwarz i wsteczność,
 W posiedzenia nie wchodziła;
 A jednakże grzeczni byli,
 A jednakże się bawili.

Za moich czasów, pieniądze
 Bez potrzeby nie rzucano,
 Skromne wówczas były żądze,
 Na czas przyszły uważano;
 Nie wiedziano co bankruty,
 Nie wiedziano co fluty.

Za moich czasów i dzieci,
 Lepiej swych rodziców czcili,
 Mówiono, respekt nie szpeci,
 Jakoż dobrzy ludzie byli;
 Co dla rodziców zdziałali,
 To im dzieci oddawali.

Za moich czasów, mąż, żona,
 Znali co jest małżeństw sprzęża,
 Sąd się obszedł bez patrona
 Nie dla intrat byli księża;
 I zaszczyt kraju nie gasnął,
 I.... Stary Bartłomiej zasnął.

— Słowo w słowo takie same, jakie przeczytał ksiądz biskup u księcia wojewody na obiedzie. Oj śmiał się ze mnie śmieli obecni goście, a ja sobie pomyślałem, znosząc z pokorą żarty pańskie. Śmieście się teraz śmieście, ale nie daj Boże, aby wasze dzieci i wnuczki gorzko nie zapłakały.

— Takim sposobem jeżeli jegomości wówczas mało co się podobało, to nie wiem co się teraz podoba.

Zobaczę, zobaczę, odpowiedział starzec.

II.

Chodził tedy pan Bartłomiej Nowogórski po Warszawie z ulicy na ulicę, dosyć często odwiedzał pana Barzczewicza, po kilku dniach przyszło do tego, że się z nim o stołowanie ułożył, był więc jego codziennym gościem. Że zaś nie miał z kim więcej rozmawiać, a długie wieczory zimowe nudne były i tęskne, samotnemu starcowi, zabrał się więc do pisania i codziennie uwagi swoje rzucał na papier. Zrobił się z tego dziennik. Tę pracę pana Bartłomieja udzielimy czytelnikom, tak jak była w oryginale bez żadnej zmiany, chyba tylko to, żeśmy powyrzucali cudzoziemskie wyrazy i kilkadziesiąt frazesów łacińskich.

Dziennik pana Bartłomieja.

„Pierwszy raz odważyłem się wyjść sam jeden na ulicę. Dalibóg, jestem jak dziecko sześcioletnie, wszystko mię zadziwia, odurza, a nawet straszy. Jakiż to ruch nieustanny! Za dawnych czasów, zaledwie w czasie sej-

mu, albo też jakiejś wielkiej uroczystości, można było spotkać coś podobnego. Szedłem Senatorską ulicą, powitałem jak starą znajomość, pałac Prymasowski i pałac Olbromskich, ale dalej o kilka kroków, cóż za przemiana? Plac w połowie zawałony budkami, stajniami i nędznymi domkami, w drugiej połowie zajęty obszernym i posepnym czworobokiem zwanym Marywil, jakże jest świetnym, jak wspaniałemi otoczony gmachami? Choćbym też najbardziej lubił dawne czasy, a nowym przyganiał, to niepodobna, abym narzekał na wzrost miasta, na tyle nowych, albo z gruntu przerobionych budowli. Pod materyalnym względem zyskała Warszawa, zobaczymy o ile też zyskała pod względem moralnym.

Co tu sklepów, co tu handlów bławatnych, wyrobów srebrnych, porcelany, szkła, bronzów! kto to wszystko kupuje? gdzie się podziewają takie towary? A rzemieślnicy najprostszych rzeczy, krawcy, szewcy, którzy niegdyś siedzieli w szczupłych pomieszkaniach na Starem-Mieście i dworach przedmieściowych, dziś zajmują pierwsze sklepy na najcelniejszych ulicach! Widać że mają dostateczny zarobek; a może właśnie ta wystawność pomaga im do zarobku. Niech im Bóg szczęści, tego im życzę z całego serca. Przecię miło jest człowiekowi spojrzeć, kiedy kto ma za swoją pracę przyzwoite wynagrodzenie i wygodne życie.

Jakoś przez ten czas, kiedy ja spałem snem niepojętym, dziwne zaszły przemiany. Inny świat, inni ludzie,

inne obyczaje, inne urządzenia, wszystko inne. Sam nie wiem co o tem sądzić. Idąc dalej ulicą Senatorską, chciałem wstąpić do pałacu hetmana Ogińskiego, bo tam miałem znajomość z jego marszałkiem dworu; gdzie tam! widzę na tem miejscu rozpostarte jakieś gmachy; pytam się przechodzącego, co to jest? „To Bank Polski i Kommissya Skarbu.” Zawracam się na ulicę Przejazd; pałac Mostowskich urosł i zamienił się w obszerną budowlę. Zwróciłem się na Nalewki, i tam w miejscu drewnianych domków, wszędzie stoją wysokie kamienice. Jeden tylko ogród i pałac Krasińskich nie zmienił się wcale, ta tylko różnica zaszła, że w miejscu muru okólnego dano kraty żelazne. Wszedłem i odetchnąłem swobodnie. Też same widzę ulice, po których chodziłem przed siedmdziesięciu laty, też same lipy, a jeżeli nie te same, to przynajmniej równe im wielkością i cieniem, też sama wystawa pałacu. Jak to miło oglądać dawne zabytki! Nie widziałem jeszcze ogrodu Saskiego; mówił pan Barszczewicz, żebym go nie poznał. Może on jest piękniejszy, ale ja wolę ogród Krasińskich; on jest dla mnie jedynym dawnym przyjacielem jakiego znalazłem w Warszawie.

Wyszedłszy z ogrodu, upatrywałem oficyny, która pod kątem prostym po lewej stronie, ciągnęła się wzdłuż ulicy Świętego-Jerzego, i ta urosła aż na dwa piętra i zamieniła się w gmach pięknej budowy. Przechodzący jegomość, objaśnił mi, że tam mieści się Trybunał Cywilny. Wszystkie dykasterye rządowe, mieściły się

za moich dawnych czasów w pałacu Krasińskich i w tej oficynie, a dziś to co spojrzę na gmach jaki, to mi powiadają, że w nim mieści się władza rządowa. Jużem sześć takich gmachów naliczył, a gdym szedł z placu Krasińskich przez ulicę Miodową, pokazano mi siódmy i ósmy. Tak obszedłszy główne ulice miasta, wróciłem na objad do mojego zacnego pana Barszczewicza. Ach! nie wiem cobym ja zrobił bez niego, dawniej gdym wyszedł na miasto, spotykałem co krok znajome twarze, dziś ani jednej. Tak być nie może, kiedy mam wlec jeszcze mój żywot na tym świecie, muszę porobić znajomości, ale gdzie, z kim i jak?

Dnia 10 grudnia 1855.

Dobry pan Barszczewicz, przy objedzie zaprosił mię na herbatę, mówiąc, że go odwiedzi kilku jego dobrych znajomych, ludzi porządných i światłych. Przyszedłem i zastałem dwóch urzędników z sądownictwa, jednego właściciela domu z Podwala i jednego z literatów terazniejszych.

— Przedstawiam panom niedawno przybyłego do Warszawy obywatela, pana Bartłomieja Nowogórskiego, który z górą od lat czterdziestu nie był w naszym mieście, a siedząc w głębokim Polesiu, mało co słyszał o zmianach zaszłych w Warszawie; zabawi tu czas niejaki.

Ułożył się ze mną pan Barszczewicz, że w ten sposób przedstawiać mnie będzie, i zobowiązał jak najmocniej, abym o moim śnie i starości nikomu nie wspominał. Literat usłyszawszy te wyrazy, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Jakże się panu podoba terażniejsza Warszawa?

— Nie wiele jeszcze ją poznałem, odrzekłem, zaledwie parę ulic obszedłem: ale to co widzę, bardzo mnie dziwi i ciekawość obudza.

— To nie gmachy ale całe życie towarzyskie, cała społeczność jest zupełnie odmienna od tej, jaka dawniej była, odpowiedział literat.

— Domyślam się tego, rzekłem, ale sam będąc bez znajomych, bo jedyny mój przyjaciel nasz gospodarz, zajęty swojemi interesami nie może mi towarzyszyć, nie wiem, czy zdołam poznać terażniejszą Warszawę.

— Jeżeli pan dobrodziej nie weźmiesz za złe mojej poufałości, rzekł literat, to mogę być pana przewodnikiem, mam dosyć wolnego czasu, a nawet jednym z obowiązków mego zawodu jest to, abym zbierał wzorki i potem kreślił ich obrazy w gazecie do której piszę. Jutro zatem moglibyśmy zejść się w umówioném miejscu, na przykład na Miodowej ulicy pod kolumnami, punkt o godzinie 11-ej rano, a ja panu będę towarzyszył, i udzielię wszelkich objaśnień.

— Przyjmuje uprzejmie ofiarę asindzia dobrodzieja odpowiedziałem.

Goście pana Barszczewicza zasiedli do kart; ja grać nie umiem, zostałem się więc z owym literatem. O czem-

że moglibyśmy rozmawiać? o tem co go najbardziej obchodziło: o gazetach, pismach peryodycznych i książkach. Nie mając o teraźniejszym piśmiennictwie najmniejszego wyobrażenia, słuchałem go ciekawie.

— Już to muszę panu dobrodziejowi powiedzieć, ozwał się nasz literat: który na zapytanie moje o godność jego, odpowiedział, że się nazywa Aleksander Pobóg Warda: że ja należę do starszych, których młodzi uważają za jakieś na pół skamieniałe stworzenia nie przystępne nowym wyobrażeniom, nie umiejące ocenić piękności tworów, które dziś za arcydzieła uważają. Chociaż w gruncie rzeczy tak nie jest, bo każdy utwor istotnie piękny, celujący i myślą i wysłowieniem, ocenić i uczcić zdołam. Lecz teraz rozum idzie w odwrotnym stosunku do wieku. Najmłodszy pisarze są najgenialniejsi, najgłębsi, najlepiej wiedzący o wszystkim.

— A jakże to być może? zapytałem się. Kiedyż oni mieli czas uczyć się, doświadczać, badać, rozumować.

— Tego wszystkiego teraz nie potrzeba; rzekł pan Pobóg Warda. Dziś genialny pisarz przez intuicyą, czyli przez podniesienie i oderwanie ducha swego od przedmiotów, a wzniesienie go w sfery natchnienia i samowiedzy, wszystko umie i wszystko sam z siebie wydobywa.

— Nie rozumiem dobrze W. Pana dobrodzieja, rzekłem, za moich czasów inaczej mówiono, ale z tego com słyszał, to tylko wnoszę, że ci panowie mają wielkie o sobie wyobrażenie.

— Ja tego nie mówię — rzekł pan Warda, — trzymam się odwiecznego prawidła, że iść należy za powszechnym odgłosem, chwaleę za drugimi, a jeśli nie chwaleę to przynajmniej milczę. A czy znasz pan dobrodziej nasze gazety?

— Nie znam panie i nie widziałem żadnej, dopiero czwarty dzień jak jestem w Warszawie, a prócz domu pana Barszczewicza, nie byłem, a nawet w żadnym z publicznych handlów, traktyerni i kawiarni, których teraz takie jest mnóstwo, jak to już uważałem.

— To ja panu zaprezentuję gazety nasze — rzekł pan Warda — mam właśnie wszystkie trzy z dnia dzisiejszego, a w dodatku i Kuryerka.

To rzekłszy, położył na stoliku Gazetę Warszawską, Codzienną, Kronikę i Kuryera.

— Coś bardzo do siebie podobne — rzekłem — zupełnie jak dawne marymonckie bułki, a przejrzawszy na prędce, postrzegłem, że po większej części co było w jednej i w drugiej toż samo znajdowało się, w trzeciej; też same były wiadomości urzędowe, krajowe i polityczne, ciż sami przyjezdni, też same doniesienia o teatrze.

— Ale się różnią co do reszty przedmiotów, rzekł pan Warda, chociaż i w tym zachodzi podobieństwo. Jedna gazeta daje powieść pana K., druga pana Z., trzecia pana, B. Ta ogłasza korespondencją z Siedlec, tamta z Płocka, trzecia z Radomia i t. d. A wszystkie prawie zawsze o balach na dochód szpitali miejscowych.

— Powiedz, [że mi pan dobrodziej, — rzekłem — jak

tu żyją ze sobą terazniejsi literaci, bo za dawnych czasów, nie wielu ich było, to się jakoś kupy trzymali. Z pewnością wszyscy wspólnemi siłami pracują nad podniesieniem oświaty, nad poprawą obyczajów, nad zaszczerpieniem w sercach współziomków, uczuć szlachejnych i prawych.

— Święte byłyby słowa pana dobrodzieja, rzekł pan Warda, ale niestety tak nie jest. Literaci warszawscy stoją pod chorągwią tej lub owej gazety, do niej piszą i za jej pośrednictwem usiłują dać rozgłos pracom swoim, a więc nie bardzo sprzyjają swoim współzawodnikom; często wyszydzą najniesłuszniej, i już to są bardzo grzeczni i sumienni, jeżeli tylko zamileczą.

— Oj! biedny narodzie! rzekłem na te słowa pana Wardy; że też nigdy do jedności i zgody nie przyjdiesz. Dawniej dzieliłeś się na stronnictwa, możnowładzcom na ośle służące, dziś hołdujesz tej lub owej gazecie, temu lub owemu pisarzowi, a podobno aktorowi, aktorce lub tancerce; przyjdzie może do tego, że jak owi Grecy w Konstantynopolu podzielisz się na dwie partye, z których jedno będzie za furmanami w zielonej, a druga za furmanami w błękitnej barwie ¹⁾. Na takich rozmowach zszedł nam wieczór, a ja przyrzekłem panu Wardzie, że przyjdę na oznaczoną godzinę i miejsce.

¹⁾ Czytając historią państwa Greckiego o dwóch partyach błękitnej i zielonej, stosownie do ubrania woźniców na igrzyskach odbywanych na placu hipodromu.

Dnia 11 grudnia 1855 r.

Nazajutrz o godzinie jedenastej byłem na Miodowej ulicy pod kolumnami. Nie czekałem wcale, z drugiej strony nadchodził właśnie pan Warda. Podał mi rękę, i poszliśmy ku ogrodowi Krasińskiemu. Po drodze rzekłem do niego:

— Powiedz mi jegomość dobrodziej, co się to znaczy, że tak mało spotykam naszych prawdziwie polskich postaci. Włos jasny, albo lekko w ciemno-błąd wpadający, twarze więcej okrągławe niż ściągłe, oczy niebieskie, mina śmiała i pogodna, cera czerstwa i rumiana, wszakże to są cechy naszego plemienia, wspólne wszystkim słowiańskim rodom? A tu co spojrzę na przechodzących, widzę twarze ściągłe, czarno zarastające, włosy ciemne, nosy orle, faworyty czarne, a przytem fizyognomie zamysłone, zajęte, nie noszące bynajmniej na sobie cechy naszej starodawnej szczerości. Dawniej tego nie było.

Rozśmiał się pan Warda. A wszakże wspomniałem panu, rzekł, że nietylko gmachy i powierchowność miasta, ale i cała społeczność bardzo się odmieniła. W każdym mieście wielkiem, a nasza Warszawa już do małych nie należy, znajdziesz zbiór ludzi wszelkich narodów i wyznań. Jednostajny ubiór czyni ich podobnemi do siebie na pierwszy rzut oka. Lecz wprawna uwaga rozróżni współziomka od przybysza. U nas nie mamy tylu przybyszów, są to wszystko krajowcy, z dawna w kraju osiedli, a panu dobrodziejowi z jego lat młodych bardzo dobrze znajomi.

— Nie rozumiem słów jegomości, odpowiedziałem; któż więc są ci panowie porządnie ubrani, którzy z taką skrzętnością uwijają się po ulicach?

— To są starozakonni, rzekł na to pan Warda, którzy ubiór i zwyczaje nasze powierzchownie przyjęli. Trudnią się interesami pieniężnymi, rozmaitemi spekulacyami, i dla tego spotykasz ich co chwila na ulicy.

— A toć ich dwa razy tyle jest, co naszych rodaków, rzekłem.

— O nie, odpowiedział pan Warda. Ta różnica zachodzi, że nasi ziomkowie albo siedzą po domach, na ustronnych ulicach Warszawy i tam ciężko na kawałek chleba pracują; albo piszą przy zielonym stoliku w biurach, czyli, jak to dawniej zwano, w dykasteryach rządowych, albo też po wszystkich miejscach gdzie tylko jeść i pić można, używają chwili obecnej, nie pytając się co dalej będzie. Otóż właśnie jesteśmy przed domem Lipkaua, proszę pana dobrodzieja na kieliszek wódki i na przekąskę, jest w pół do dwunastej; pora najlepsza.

Weszliśmy przez sień do znanego zakładu; przeszło sześćdziesiąt osób zajmowało stoliki, i tam zobaczyłem typy po większej części prawdziwie polskie, a mianowicie szlachty z prowincyi przybywającej: bo to jest ich ulubione miejsce.

— Panie dobrodzieju, rzecze pan Warda, gdyśmy wypiliśmy po kieliszku wódki i przekąsiwszy bułeczką z masłem i serem, wyszli na ulicę. Więcej bowiem nie

chciałem przyjąć, aby sobie nie zepsuć objadu. To jest jedno nie w porównaniu innych miejsc po całej Warszawie rozsianych. Wyliczyłbym panu najmniej dwieście zakładów śniadankowych, oprócz cukierni, gdzie lekko licząc, przynajmniej 10 tysięcy osób co dzień wstąpi, od kilkudziesięciu do kilku złotych wyda i parę godzin czasu przepędzi. Toż samo się ponawia wieczorem, a wtenczas herbata i piwo bawarskie główną gra rolę. Nałóg ten wszystkie stany ogarnął.

— Dziękuję jegomości, odpowiedziałem, poprzestaję na opowiadaniu; wierzę, a widzieć nie potrzebuję. Ale biorąc te rzeczy na mój staropolski rozum, odgaduję teraz, dla czego tylu tych jegomościów z czarnym zarostem i azyatycką fizyognomią, kręci się po ulicach. Oni chodzą koło interesów, zarabiają, robią majątki, a nasi ziomkowie nie pytając się co dalej będzie, jedzą, piją, próżnują. Długo tak potrwa i jak się to skończy?

Pan Warda nie na to nie odpowiedział i westchnęliśmy obydwaj.

Idąc chodnikiem gładkim, wyłożonym flizami, usunęliśmy się na bok i przycisnęli do samej ściany, aby ustąpić z drogi dwom jakimś paniom, które w sukniach rozpiętych w około na ogromnych koszach przymocowanych do bioder, śmiało szły naprzeciw nas.

— Cóż to za ubior! zawołałem, czyliż te panie myślą, że tylko dla nich zbudowana Warszawa? Któż to wymyślił takie chodzące kosze i po co?

— To jest moda francuzka, odpowiedział pan Warda,

bardzo dogodna i dla tego nie prędko ustanie. Czy która ma piękną lub niekształtną figurę, czy jest chuda czy tłusta, panna czy mężatka, w jakimkolwiek jest stanie i pozycyi, wszystko to pokryje i do jednolitości sprowadzi krynolina, czyli kosz, jak to po prostu pan dobrodziej nazwał. Wszystkie mają jednakową objętość, jednakową nadętość.

— O modę nie sprzeczam się, rzekłem; widzę tylko, że Francuzi, którzy za moich czasów już dawno o równości prawili, okazali choć w części swojego, bo z ich łaski mamy równość w spódnieczkach.

— A mamy i w czemsiś więcej rzekł pan Warda, w niektórych rzeczach dobrych, bo w zbliżeniu się stanów, bez względu czy kto jest panem czy kmieciem, ale mamy ją także w zbytkach życia nad możność i w zawrocie głowy. Tak to zawsze na świecie jedno kompensuje się drugiem.

Podobała mi się rozmowa pana Wardy; lecz że zbliżała się pora objadowa, pożegnałem go, a ów literat przyrzekł, iż mię odwiedzi. Dobry to jakiś człowiek; sam już nie młody, lubi towarzystwo równych sobie wiekiem i starszych. Przy rozstaniu rzekł: — „Ale może pan dobrodziej zechcesz poznać nasze nowe literackie utwory? Mogę mu służyć, dzięki moim stosunkom z księgarzami. To mówiąc, wszedł do księgarni, wziął kilka książek i dał mi je mówiąc: Jak je pan dobrodziej przeczytasz, chciej je oddać do tej samej księgarni i po-

wiedz, aby je wykreślili z mego rejestru; wkrótce odwiedzę pana.

Dnia 12 grudnia 1855 r.

Dwa długie wieczory jesienne, i większa część dnia przeszła mi na czytaniu dzieł, których mi pan Warda pożyczył. Były to poemata i powieści dwóch teraźniejszych pisarzy.

Mój Boże! jak też to się nasz język wyrobił i wyłamał. Co za kadencye! zkąd oni je powyrywali? a jak składnic przypadają, jakby nazawołanie. Malują tak rzeczy i ludzi jakbyś ich widział, i żył z nimi. Szkoda tylko, że malują drobne przedmioty. Coby to było, gdyby wzięli się do większych? Wszystko teraz na odwrót idzie. Za moich czasów, wierszopisowie traktowali od niechcenia wielkie wypadki; dzisiejsi opracują drobne, z wiejskiej zagrody, albo z pojedynczych przygód żołnierskich wzięte, tak jak malarz miniaturę do medalionu. A celniejsi pisarze powieści! Zkąd oni znają naszą dawną szlachtę? Ja co ją dobrze pamiętam, to mogę oddać im świadectwo, że ją opisali jak najwierniej. Spojrzałem na okładkę i przeczytałem tytuły dzieł tego samego autora; przeszło sto tomów, i to wszystko z głowy, nie tłumaczone. A kiedyż ci ludzie piszą? wieleż oni lat mają? Kiedy Krasicki i Naruszewicz napisali po kilka tomów, to się wszyscy dziwili, że to tak wiele; a teraz dzieła rachują się na setki, a gazety arkuszami

sypią się jak plewy z worka. Musieli zapewne wynaleźć jaką maszynę do pisania książek; nie podobna aby mogło być inaczej. Jużem słyszał, że tu wszystko maszynami robią. Rozmówię się o tem z panem Wardą, jak mię odwiedzi.

W parę dni potem pan Warda dotrzymał słowa; podziękowawszy mu za pożyczone książki, wypowiedziałem uwagi, które powyżej są wypisane.

— Dość trafnie sądzisz jegomość dobrodziej, odpowiedział pan Warda; a co się tycze tej obfitości, która pana zadziwia, to w rzeczy samej, dwóch tylko pisarzy mamy, którzy ciągle zbogacają nasze pismienictwo. Bardzo są ulubieni od naszej publiczności, bardzo czytani, lecz co do obfitości utworów, młodszy przewyższył starszego. Mogłeś pan dobrodziej poznać z jego pracy, która tu leży na stoliku, jaką on ma niesłychaną łatwość. Myśli lecą za myślami, obraz za obrazem, rozmowa za rozmową; zaledwie pióro wystarczyć zdoła, aby je schwycić i na papierze zatrzymać. W takiej masie utworów, jedne są napisane w szczęśliwszem usposobieniu i lepszym odznaczają się pomysłem, inne są nieco słabsze. Zawsze jednak miłe w czytaniu, i z upodobaniem przyjmowane.

— Powiedz mi jegomość dobrodziej rzekłem, jacyż tu są teraz mecenasi literatury? Za dawnych czasów, każdy literat, a mianowicie wierszopis, miał swojego protektora. Jedni czepiali się przy królu, drudzy przy księciu jenerale ziem Podolskich, inni pojedynczo gdzieś

tam przy różnych magnatach. Dobrze im było, nie myśleli o zarobkowaniu na życie, pisali swobodnie, czasem tylko musieli wystąpić z odą na powinszowanie imienin, lub urodzin, albo na jaką inną uroczystość dworską. Któż teraz opiekuje się pisarzami?

Uśmiechnął się na to pan Warda. Mamy i teraz mecenasów, rzekł: ale ci pilnują po sądach i w senacie spraw i interesów, a nie wdają się w opiekę nad literatami. O naszych panach z dawnego rodu pochodzących, opowiem jegomości dobrodziejowi obszerniej, przy podanej sposobności, bo teraz mówimy o literaturze i autorach. Mecenasem naszych pisarzy jest cała publiczność, kraj cały, a sposobem utrzymania, nauczycielstwo, obowiązki biurowe, jeśli który jest urzędnikiem, a nareszcie własna zdolność i pióro, jeśli nim dobrze władać umieją.

— Nie było tego dawniej, rzekłem: ale u nas nie wielki był zarobek z prac literackich; choćby też teraz był większy, to jakże ci panowie mogą dzieło po dziele, poemat po poemacie pisać na zawołanie? Naostatek zabraknąć musi i konceptu i zdolności do pisania. Czyliż można na żądanie księgarza lub redaktora, mieć rozum dowieć i ochotę?

— Masz pan dobrodziej słuszną, odpowiedział pan Warda: to też między jednym a drugim utworem tego samego pisarza, nie raz postrzegamy uderzającą różnicę: Z resztą, najobfitsi, najpracowitsi nasi pisarze, są w niezawiskłym położeniu od księgarzy i wydawców gazet, i to

właśnie jest szczęściem dla nich. Inni ośmielili się na jedno dwa lub trzy dzieła; pomiarkowali, że nie wytrwają długo w ten sposób i wzięli się do innej pracy; lecz mimo tego, nie przestają od czasu do czasu pomnażać naszych literackich zbiorów. Z resztą, kiedy pana dobrodzieja obchodzi literatura, to wartoby zajrzeć do księgarni naszych, pogadać z księgarzami. Przekonasz się o ich naukowem usposobieniu i trybie postępowania.

— Ale, ale, rzekłem, wspomniałeś pan dobrodziej o potomkach naszych dawnych rodzin pańskich, chciałbym o nich coś więcej usłyszyć. Bardzo mię to obchodzi, bo i ja za młodych lat moich trzymałem się kłamki dworskiej.

Panie dobrodzieju, rzekł pan Warda: ja o jakie dwadzieścia lat młodszy jestem od pana, a ileżto za mojej pamięci znikło z widowni świata, imion dawnych, imion historycznych. Ledwie ze słyszenia dowiadujemy się, że są gdzieś jeszcze. W ich miejscu pojawiły się inne, także dawnością rodu znakomite, spowinowaczone z tamtymi, ale już drugi stopień zajmujące. Po nich można by oznaczyć trzecią i czwartą warstwę. Są w ich liczbie ci, którzy usiłowania i zamożność swoją zwracają do prac i przedsięwzięć krajowi pożytek i ozdobę przynoszących. Czyliż potrzebuję wspominać rozwinięcie żeglugi parowej na Wiśle, ratowanie od zagłady starożytnych naszych pamiątek, gorliwą opiekę instytutów dobroczynnych? A przy tem, każdy z naszych możniejszych panów, jeśli nie z własnego popędu, to na wezwa-

nie, nie odmówi udziału w rzeczy pożytecznej krajowi. Lecz w ogólności przyznać trzeba, że gnusność, obojętność i nieogłędność, jest panującą wadą tej klasy społeczeństwa, podobnie, jak jest i była wadą rodu szlacheckiego od lat najdawniejszych. Przebiegnijmy nasze dzieje; cóż tam widzimy? chwilowe popędy, wielkie, szlachetne, silne, z których wylęgły się świetne, odrębne czyny, lecz gdzież jest ciąg, gdzie wytrwanie? Ile to majątków zginęło i ginie nierządem? Ile pieniędzy idzie na zaspokojenie próżności, fantazyi, lekkomyślności, zepsutej chuci nareszcie? A te skarby dobrze użyte, mogłyby wydać jak najpiękniejsze owoce dla właścicieli, dla kraju i dla społeczności. Pomijam naśladownictwo obczyzny; nie będę się nad tem rozwodził, że są domy, ale nie w naszych pięciu guberniach, gdzie prawnuczki dawnych dygnitarzy polskich, słowa po polsku nie umieją, bo otoczone zagranicznymi bonami, wychowane za granicą, wyrosły na jakiś dziwne istoty, które niewiadomo do jakiego narodu policzyć trzeba; pomijam to, że może ta klasa najmniej czyta książki ojczyste, pomijam zadawnioną dumę ubarwioną tylko pokostem grzeczności. Ileż to o tem pisano, ile rozumowań poważnych ile pocisków satyry znajdziecie w pismach naszych! Czyliż odniosą skutek? Może przykład kilku zacnych mężów, wyższych nad ogół, wzbudzi w nich szlachetną żądzę naśladownictwa. W tej to nadziei odezwał się jeden z naszych pisarzy do założyciela żeglugi parowej:

Daleś wzór, za twoim śladem
 Niech pójdą możni rodacy.
 Twój naddziad walczył z nieładem;
 Ty w nich wzbudź dążność do pracy.
 Zniszcz tę gnusność, co swe szpony
 Wpoiwszy w ród odrętwiony,
 Toczy jakby sęp krwiożerca,
 Mienia, umysły i serca.

— Ale ja się za bardzo rozszerzyłem, rzekł pan War-
 da, przepraszam pana, i mnie już wiek do gadulstwa
 prowadzi.

— Stary słucha starego, odpowiedziałem; uważałem
 pilnie coś mówiłmój panie, i widzę że to samo było i da-
 wniej. A cóż to pisał ksiądz biskup Warmiński w sa-
 tyrach, w Podstolim, w Doświadczyńskim? Świat zawsze
 ten, te same namiętności, te same wady, różnią się tylko
 barwą.

— No mości dobrodziej, odezwał się na to pan War-
 da, żebyś się trochę pogodził z teraźniejszą Warszawą
 i żebym cię przekonał, że obok starego złego, są tu no-
 we a dobre rzeczy, zaprowadzę jegomości tam, gdzie się
 pewnie ucieszysz i zbudujesz.

— A gdzie?

— Nie powiem teraz, będzie to przy pierwszym na-
 szem widzeniu. Mnie jegomość dobrodziej prawie za-
 wsze znajdziesz, koło godziny 11-ej u którego z księga-
 rzy, a teraz życzę dobrej nocy.

Dnia 16 grudnia 1855 r.

Czas pochmurny, zimny, błoto na ulicach, ani myśleć o wychodzeniu na miasto; trzeba siedzieć w domu. To szczęście, że o kilka kroków jest Fara; tam mogę pójść i codziennie parę godzin czasu na modlitwie przepędzić. Dla każdego tęskne i długie są dni grudniowe, a cóż dopiero dla samotnego starca. Czytam ile mogę: to szczęście, że mi jeszcze wzrok służy. Przyznam się, że wielu rzeczy nie rozumiem, a mianowicie, gdy w gazetach natrafę na rozbiór jakiego filozoficznego dzieła. Podobno trudniej jest zrozumieć recenzenta i objaśnia-cza, jak samego autora.

Zaprowadził mię pan Warda do kilku domów, gdzie przecież nie grają w karty, poznałem niektóre nasze literatki i autorki. Coś zdaje mi się, że w Warszawie więcej mamy autorek niż autorów, i wolę czytać prace Warszawianek, niżeli Warszawianów. W niewieściach-utworach jest uczucie, prostota, dążność moralna i religijna, znajdzie się nawet świetna i bogata wyobraźnia. Prace mężczyzn w rodzaju lżejszej literatury, są najczęściej pisane w celu zysku i dla odrobienia dziennikarskiej pańszczyzny.

Dnia 17 grudnia 1855 r.

Dzień był suchy, mróz lekki, wyszedłem z domu i wstąpiłem do jednej z księgarni ¹⁾.

¹⁾ Uprzedzamy czytelników, że to nie było na trzech głównych ulicach miasta.

— Proszę pana, zapytałem się księgarza, kto też objął księgarnię po zasłużonym Grellu i co się z nim stało?

Dziwnie spojrzał na mnie księgarz i rzekł krótko węzłowato: „Nie wiem.”

— Ale przecież Grell drukował dzieła naszego sławnego Krasickiego?

— Krasickiego! to jakiś strasznie stary autor: odezwał się księgarz gardłowym głosem. Nikt się teraz o niego nie pyta. Ale może pan zechcesz nabyć powieści Kosińskiego; są bardzo piękne, a mianowicie jedna z ostatnich, *Dzieci Królewskie*; aż miło czytać?

To mówiąc, gwałtem wciskał mi książkę do ręki.

— Co też to kosztuje? zapytałem.

— Trzy ruble.

— Co? trzy ruble za dwa niewielkie tomiki, czy podobna?

— Co wielmożny pan da? zapytał się księgarz.

— Nie potrzebuję.

No, spuszczę za dwa, a widząc że nie mam ochoty: ostatnia cena rubel, zawołał, już sam na tem jestem strątny. W tem wszedł młody człowiek i odwrócił uwagę księgarza. Ja tymczasem przeglądałem ową powieść.

Nowo przybyły położył rękopism na kantorze sklepowym i rzekł.

— Stało się tak, jak pan żądałeś, zmieniłem tytuł książki. Teraz niezawodnie będziesz kontent.

„*Okropna śmierć Michała Korybuta, czyli Podziemia zamku Janowca*; a co, czy to nie jest uderzający tytuł?

— Byłby nie zły odpowiedział księgarz, ale mi się ten wyraz *Korybuta* nie podoba. Nasze damy powiedzą, że jest za nadto gminny. Czylibys pan nie mógł go zmienić?

— Ale jakże go zmienić, kiedy to jest historyczne nazwisko jednego z królów naszych?

— „Czy tylko, pan się nie mylisz, bo ja wydrukowałem tyle książek, a przecież nie wiem o żadnym Korybucie. Obrócił się do najstarszego subiekta i w dyalekcie żydowskim, który znam dobrze, bom się go nauczył od dzierżawcy propinacyi w dobrach księcia Wojewody, polecił mu, żeby przekonał się ostatecznie i zapytał nauczyciela szkoły rabinów, czyli ów literat prawdę mówi. Potem wziął manuskrypt, zważył go w rękę, przyłożył do nosa, jak gdyby węchem chciał odgadnąć jego wartość, nareszcie rzekł: Zdaje mi się, że to dzieło może pójdzie jako tako, i mogę je wydrukować.

— Cóż więc dostanę za rękopism? rzekł literat.

— Co? albo to za pierwsze dzieło księgarz płaci autorowi? Czyliż panu nie dosyć na tem, że pod moją firmą, powieść pana wyjdzie z druku? Bądź pan sławnym, głośnym, to zapłacę i grubo zapłacę.

— „Ależ mój panie, rzecze zasmucony autor, żeby się wślawić, trzeba mieć z czego żyć; przecież o głodzie pisać nie podobna.

To pan dawaj lekcyę czytania, pisania i rachunków, przepisuj obrony adwokatom, albo akta rejentom, a tym

czasem wślawiaj się: rzekł coraz to dumniejszym tonem. Z resztą przydał po namyśle, żebym dał dowód, że chcę wspierać *talenty i literaturze ojczyste*, to ofiaruję panu po półtora rubla za arkusz druku.

— A ileż to wyniesie?

— „Najwięcej piętnaście rubli, bo ja muszę drukować drobnym i ścisłym drukiem; teraz wołają o taniość książek, to musimy brać się na sposoby.

Z ciężkim żalem serca, dostał ów poczynający autor zadatku pięć rubli na swoje dzieło, a ja pomyślałem sobie: „O biedna literaturo nasza, w czyjeżes ty ręce wpadła? Podobno lepiej wyszedłbyś kochanku za moich czasów! Nie żyłbyś z twojego piórka, to prawda, ale pracy twojej nie marnowałbyś za tak lichą cenę, nie tworzyłbyś dziwaczного tytułu, na żądanie ludzi, którzy przebiegłością, żądzą zysku i zdobytą wyłącznością, zastępują brak wiadomości do zawodu księgarskiego potrzebnych, i których nie obchodzi wcale, czy złe czy dobre rzeczy drukują, byleby tylko na nich zarobili; nie psułbyś dzieła, w którym może jest rzeczywisty talent!

W tej chwili nadszedł pan Warda, kiwnął głową księgarzowi, wziął mię pod rękę i wyszliśmy ze sklepu.

Widziałem próbkę waszych księgarzy. Czy tacy wszyscy?

— Nie zupełnie. Są tacy, którym winniśmy wiele dobrych i użytecznych wydań; ale biada młodemu, choć z największym talentem, który do nich się zgłosi,

jeżeli go wprzód gazeta pod opiekę swoją nie weźmie. „Byłem świadkiem takiego przypadku, rzekłem, i jeszcze mi żal młodego człowieka.

— Ale powiedz mi dla czego teraz książki noszą tak wysoką cenę, a dostać ich można za trzecią część tego co napisano w katalogu?

— Zwyczajna spekulacja żydowska, nie oparta na sprawiedliwej rachubie, na trwalszych i dalej sięgających pomysłach, zagarnęła handel książkowy jak tyle innych. Każdy z takich wydawców, wie że znajdzie parę set ludzi bogatych, lekko wydających pieniądze, którzy od niego zakupują nowości, nie pytając się wiele kosztują. Takich dwóchset starczy mu za czterystu. Odbierze swój nakład i zarobek, a resztę egzemplarzy puszcza za co może i gdzie może. Czyliż to miło jest naszemu znakomitemu powieścio-pisarzowi, że dziś kilkanaście dzieł jego żydzi roznoszą po hotelach, rozkładają po rogach ulic i nowiuteńkie egzemplarze sprzedają za piątą część ceny? Lecz dajmy temu pokój. Powiedziałem panu, że chcę go pogodzić z teraźniejszą Warszawą, pójdźmy zatem do gmachu Towarzystwa Dobroczynności.

Rozradowałem się na widok porządku, ludzkości i miłosierdzia chrześcijańskiego, któremi się ten zakład odznacza. Szkółki dla dziewcząt i chłopców, roboty dziewczynek, a mianowicie też ochronka dla małych dzieci, której cel i urządzenie obszernie wytłumaczył mi mój towarzysz, aż do łez mię wzruszyły.

— O! tego to nie było za moich czasów, rzekłem. Niechże Bóg stokrotnie płaci założycielom i opiekunom tych zakładów. A zkądże są na to wszystko fundusze?

— Z ofiar dobroczynnych, z zapisów, z wsparcia od rządu, a głównie z nieustających zabiegów zacnych pań naszych, które bez ustanku wszelkich używają środków, nawet obudzenia próżności, aby tylko wyjednać mogły zasiłek dla ubóstwa. I dla takich to mozołów, wiele dziwactw, wiele cudzoziemskich nałogów wybaczyć im trzeba. Już to w naszych współziomkach, serce jest dobre; śmieszność i zepsucie z obcych stron przychodzące, przylega po wierzchu, lecz gruntu nie dosięga. Jeden deszcz dobroczynny zmyje tę brzydotę, a pierwotna rodowa piękność i zacność, okaże się w całym blasku.

Od ochronki na Nowym Świecie poszliśmy do instytutu głuchoniemych i ociemniałych. Zacny rektor tego zakładu, sam nas zaprowadził i pokazał wszystkie szczegóły. Przekonałem się, że głuchoniemi rozumieją mówiącego, z samego poruszania ust jego i odpowiadają wyraźnym głosem, chociaż nie harmonijnym; że ich nauczono czytać, pisać, rachować, zasad religii i moralności, że niektórzy z nich objawiają myśli odznaczające się trafnem a nawet głębokiem pojęciem. Zadziwienie moje nie miało granic. Z tym samym podziwem i wzruszeniem, byłem świadkiem jak niewidomi czytali palcami na wypukłych literach, jak składali wyrazy i

zdania z liter zrobionych umyślnie dla nich, jak znacznie postąpili w śpiewie i muzyce.

— Panie, rzekłem do mego przewodnika, chyba też byłbym dziwakiem, z głową goździem zabita, jak to mówi pospólstwo, gdybym nie przyznał tego, iż teraz robią takie rzeczy, o jakich dawniej i wyobrażenia nie było. Widzę w tym wielką łaskę Boga, iż wam dozwolił tak daleko rozwinać waszą mądrość światową. Wiele teraz ludzie mogą zdziałać, ale czy wszystko to robią co powinni? Czy za nadto ufając własnym siłom nie zapominają o sile najpotężniejszej, która spoczywa w prawicy Wszechmocnego? Czy Pan nie powie do waszego wieku? jak do owego sługi w ewangelii. „Na coś użył danych tobie talentów?” To jest pytanie, które mi się na myśl nasuwa. Ale nie tu miejsce ani czas, aby je gruntownie rozstrząsać można.

Po drodze, wracając ku miastu, zwiedziliśmy dwa nowe a bardzo chwalebne zakłady. Jeden który dostarcza w każdej chwili robotę zastosowaną do zdolności, kobietom i dziewczętom nie mającym służby, drugi, który upadłe i schamby istoty usiłuje podźwignąć, poprawić i wyrwać z kału. Nareszcie zaopatrzył mnie pan Warda w kilkadziesiąt zeszytów Czytelnicy Niedzielnej. Wziąłem je do przeczytania w wolnym czasie.

Udobruchałem się trochę, gdy w tem nowe spotkania, znowu mię nabawiły kwaśnego humoru. Szliśmy do jednego z restauratorów, bo mnie pan Warda zaprosił na śniadanie, czyli raczej na objad. W tem spostrzegłem

naprzeciw nas idących, dwóch młodych ludzi obwinionych w szale jak kobiety. Twarze młode jeszcze, lecz wynędzniałe, były oznaką nieporządnego życia. A cóż to są za jedni? zapytałem się mego przewodnika. Niechże jeszcze włożą owe krynoliny czy tam kosze włosienicowe, to już zupełnie mogą się udać za kobiety, to tylko nieszczęście że za stare. Czy oni chorzy na gardło?

— Nie, zdrowi, odpowiedział pan Warda, taka teraz moda. Ci panowie należą do wyborowej naszej młodzieży.

— A cóż u licha będzie brakiem? kiedy to jest wyborem! zawołałem; licha to moda, co ze zniewieściałości i zwątlonego zdrowia, początek bierze. Stary jestem i nie śmiem powiedzieć wiele już lat żyję na tym świecie, a chodzę prawie z otwartą piersią i zdaje mi się że terazniejszą wyborową jak ją nazywasz młodzieź, jedną ręką podniosłbym od ziemi, zawinął i rzucił jak piłkę.

W tem przejechało koło nas kilka pięknych powozów, w jednych siedziały wystrojone kobiety, w drugich elegancka młodzieź.

— Patrz! patrz! zawołał pan Warda, to jest młodzieź terazniejsza, młodzieź arystokratyczna, młodzieź modna.

— A z kim oni jadą i dokąd? czy to są ich żony i siostry?

— A gdzie tam! śmiejąc się zawołał pan Warda, to są ładne i wesołe kobietki, które używają świata i mło-

Ósmy brat śpiący.

dości, i same sobą rządzą nie zależąc od nikogo. Jedna z nich nie dawno tańczyła na koniu, wspólnie z jele-niem, słoniem i karłem. Jadą na zabawę wieczorną, do ogródka przy ulicy Marszałkowskiej.

— Fel! zawołałem, i w takimże towarzystwie, potom-kowie starodawnych rodzin jeżdżą w dzień biały po uli-cach? Już za Poniatowskiego zaczęli szaleć nasi pan-kowie, bo złoto ma rogi, ale przynajmniej szanowali przystojność i wstyd publiczny. Mieli swoje domki gdzieś przy okopach i tam zajeżdżali w nocy ukradkiem. Na co przydadzą się wszelkie szkółki, ochronki, riedy ze-psucie potokiem leje się z góry?

— Powoli! powoli! mości dobrodzieju, odezwał się pan Warda. Za dawnych czasów, kiedy wszystek przy-kład szedł tylko z góry, to mogłoby to wielkie zło zrządzić. Ale teraz społeczność widzi własnemi oczy-ma, sądzi własnem zdaniem; szaleństwa i marnotrawność nie pociągną jej do naśladowania, bo postęp i ruch nie z góry, ale od średnich klas dziś idzie.

— Co mi pan gadasz, panie Wardo, odpowiedziałem, rozżalony niezmiernie. Pan masz na wszystko gotową explikacyą, ale mię nie przekonasz. Co jeden zły przy-kład z góry idący, zepsuje, tego dziesięć dobrych na dole danych, nie naprawi. Nie mam tu co widzieć, bież was licho z waszą tegoczesną Warszawą. Wolę sie-dzieć w domu, pomodlić się, a z resztą grać w warcaby z panem Barszczewiczem, jak ma czas wolny. Bądź mi pan zdrów.

— Panie Nowogórski, zawołał pan Warda, nie unos się tak bardzo; w naszym wieku trzeba mieć więcej krwi zimnej i wyrozumienia. Pamiętaj pan na to wielkie prawidło, podług którego trzeba oceniać ludzi i wypadki. *Że jeden co wrzeszczy, więcej robi hałasu, niżeli tysiąc ludzi, którzy stoją cicho z zamkniętymi ustami.* Kilku zbytkujących, kilku oddanych próżniactwu i modzie, czyliż ma wyobrażać całą społeczność? Gdzież się pan zwrócił? Wszakże byłeś łaskaw przyjąć ode mnie śniadanko skromne wprawdzie, lecz u modnego restauratora.

— Co ja tam zobaczę! chyba same marnotrawstwa i nowe niedorzeczności. Dziękuję panu za grzeczność; tak jestem wzburzony, że jeść bym nie mógł. Pójdę do domu.

Pan Warda zwrócił się za mną.

— A terazniejsza płeć piękna, mówiłem dalej, puszczając wodze mojej wzburzonej żółci. Czyliż nie zważałem na nią? Jakież to śmiałe i poufałe obejście się z mężczyznami! Te wstrząsania rąk na wzór angielski, te cygara i papierosy, nawet u tych, których postępowaniu ani słowa zarzucić nie można, odzwyczyły mężczyzn, od tej delikatnej attencyi i uszanowania, jakie za moich czasów okazywano kobiecie. I cóż nasze panie na tem zyskały? trochę mniemanej swobody, która im nie wynadgradza dawnej czci i względów. Chciały naśladować mężczyzn, obchodzą się też z nimi jak z mężczyznami. Spójrz tylko; czy ustąpią się z drogi ko-

biecie, chociażby najporządniej ubranej? Nie, pędzą jakby nikogo koło nich nie było, potrąca, udepcą, zajrzą zuchwale w oczy. Oj! jeżeli wykształcenie i postęp mierzy się podług uprzejmości i łagodności w postępowaniu, podług uszanowania dla płci pięknej, to nietylko żeście nie postąpili moi panowie, aleście się bardzo cofnęli.

Nic na to nie odpowiedział pan Warda, bo uważam, że go już zaczęły nudzić ustawiczne moje gderania. Po chwili rzekł:

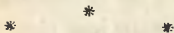
— Wiek stary nie zgadza się z młodszym; pomiędzy panem a teraźniejszym społeczeństwem, jest niezmierny przedział. Ja który stoję tylko na połowie tego przedziału, nie jednej rzeczy przyganiam, nie jednej nie uznaję. Ale szkoda że to jest pora zimowa. Wiele jeszcze przedmiotów pozostanie, któreby panu podobać się musiały. Wodociągi, żegluga parowa, ogród Saski w całej jego wiosennej ozdobie, ogród botaniczny wzniesiony na wzgórzach panujących nad Łazienkami, tam gdzie przed czterdziestu laty ani jednego drzewa nie było; coraz to większy wzrost miasta, fabryki wyrobów żelaznych, bronzowych i tylu innych przedmiotów, porządne hotele, wszystko to czyliż nie jest postępem?

— Tak jest, rzekłem, ale mnie żal dawnej prostoty, szczerości i obyczajów, do których nawykłem za młodu. Były one wtedy przeważną stroną społeczeństwa a zbytek, szal, próżnowanie, wyjątkiem. Dziś, zdaje mi się, wyjątek stał się ogółem, a dawny ogół wyjątkiem.

— Nie zgadzam się na to zdanie mości Nowogórski, rzekł pan Warda. Miasto jest trzy razy większe jak dawniej, więcej jest przemysłu, więcej pieniędzy, przeto musi być więcej ruchu, wrzawy, wystawności, a nawet szalu i marnotrawstwa bijącego w oczy. Ale porzuć główne ulice miasta, udaj się do ustronniejszych i skromniejszych pomieszczeń; a nawet i na głównych ulicach, wstąpmy na wyższe piętro do skromnych pokoików. Ileż tam znajdziemy przykładów poświęcenia się, pracy, oszczędności, ile czynów godnych wiadomości powszechnej, a niewiadomych nikomu! Co do mnie, przekonany jestem, że na bezstronnej szali dobre przeważy.

— Znasz lepiej Warszawę, odpowiedziałem, więc ci wierzę i to z prawdziwą pociechą serca.

Ułożyłem się ostatecznie z panem Barszczewiczem. Właśnie chciał kupić kamieniczkę przy ulicy Piwnej; oddałem mu pieniądze moje, zapewnił mi do śmierci pomieszkanie, stół, usługę i trzysta złotych rocznie. Będzie tego aż nadto! Długoż jeszcze potrwa mój dziwny pobyt na tym świecie? Zostawiłem sobie pięćdziesiąt talarów; dowiedziałem się bowiem, że Nowogórscy mieszkają niedaleko Częstochowy. Jeżeli przetrzymam marzec, ten najgorszy miesiąc dla starców, to pojedę koleją żelazną, oddam cześć Najświętszej Pannie Maryi Częstochowskiej i dowiem się o moich imiennikach. Któż wie, może to są wnuki po rodzonym bracie moim?



Na tym kończy się dziennik pana Bartłomieja. Zraz po nowym roku wyjechałem na wieś i przeszło sześć miesięcy nie byłem w Warszawie. Za powrotem popieszyłem do jego mieszkania. Już od miesiąca, rozstał się z tym światem. Opowiadał mi pan Barszczewicz, że nasz stary przyjaciel ciągle był zdrow i krzepki.

„W pierwszych dniach maja, mówił mi, wyjechał w okolice Częstochowy i wrócił z tamąd po sześć tygodniowym pobycie. Żądał koniecznie, abym mu towarzyszył na cmentarz Powązkowski. „Muszę odwiedzić przyszlę moje mieszkanie, rzekł. Widziałem całą Warszawę, a tam jeszcze nie byłem.” Chodził długo pomiędzy grobowcami. Najtroskliwiej przypatrywał się najpierwszym katakumbom; tam znalazł nagrobki wielu swoich znajomych. Przypomnienie to, mocno go wzruszyło. Nazajutrz poszedł do Fary, wypowiadał się, wysłuchał Mszy Świętej, wrócił potem do siebie. Przychodził zawsze do nas na obiad i przez cały ciąg pobytu swego w naszym domu, ani jednego dnia nie opuścił. Widząc że nie przychodzi, popieszyłem do jego stancyi. Bardzo był słaby, zaledwie zdołał podnieść się i drzwi otworzyć, zamykane wewnątrz na zasuwkę. „Panie dobrodzieju, rzecze do mnie: śmierć przypomniła sobie, że ja tak dawno bez potrzeby chodzę po tej ziemi i zapukała w moje okienko. Dobrze żeś pan dobrodziej przyszedł. Mogę cię jeszcze pożegnać i podziękować

za dowody twojej życzliwości i przyjaźni. Pożegnaj ode-
mnie żonę i dziatki, czuję że ostatnia moja godzina już
bardzo bliska.

Pobiegłem po żonę, przyszła z córką i synkiem, od-
tąd nie odstępiliśmy go ani na chwilę, Pan Bartłomiej
słabnął coraz bardziej, aż nareszcie zgasł około jed-
nastej wieczorem.”

„Ale tylko co nie zapomniałem—panie Wardo, w szu-
fladzie od stoliczka w pomieszkaniu świętej pamięci pana
Bartłomieja Nowogórskiego, znalazłem jakieś zapiski.
Bardzo mu ręka drżała, bo trudno przeczytać, tak niewy-
rażnie pisane:

Ciekawością zdięty, wziąłem to pismo; wyczytałem że
to są uwagi, które pisał podczas swego pobytu na wsi.
Zacny starzec nie miał przed kim wynurzyć wrażeń i my-
śli swoich; spisywał je więc dla własnej rozrywki, a mo-
że też je dla mnie przeznaczał.

Pan Barszczewicz odstąpił mi tej pamiętki.

Ostatnie zapiski pana Bartłomieja Nowogórskiego.

I po najdłuższym przeciągu-czasu, człowiek nie może
zapomnieć związków rodzinnych. Im bardziej zbliżamy
się do grobu, tem milej nam zobaczyć naszych przyja-
ciół, wnuków i krewnych. Ośamotniony, nikomu nie zna-
ny, prócz dwóch moich nowych przyjaciół, pana Bar-
szczewicza i Wardy, zawsze przypominałem sobie, że
moja rodzina mieszkała w dawnej ziemi Wieluńskiej, że

tam przepędziłem moje lata dziecinne i po ukończeniu szkół u księży Pijarów, uczepiłem się klamki dworskiej.

Gdym sobie zapewnił jaki taki sposób utrzymania na tę resztę dziwnego życia mojego, zostało mi się jeszcze talarów piędziesiąt: darujcie mi czytelnicy, że jako człowiek dawnego pokolenia, mierzę i liczę po staremu.

Pomyślałem sobie: „Przecież te pieniądze wystarczą na podróż w okolice Wielunia i na powrót do Warszawy? Może odszukam którego z krewnych moich. Dwaj bracia i dwie siostry pozostały w domu, kiedy ja wyruszyłem do dworu ojca księcia wojewody; ale jakże to dawne czasy! Było to w roku 1745 za Augusta trzeciego; miałem wtedy lat dwadzieścia i pięć. Ich potomkowie czyliż mię przyznają za swojego pradziadka, czyli mię przyjmą? Nie pytałem się o to. Mimowolna jakaś siła popychała mię w strony rodzinne.

Powiadali mi pan Barszczewicz i pan Warda, że teraz po jakichś drogach żelaznych, można lecieć prędzej niż ptak na skrzydłach i że właśnie taka droga przechodzi przez powiat, czyli ziemię Wieluńską; że ta podróż nie wiele kosztuje, i że w przeciągu jednej doby stanę na miejscu. Już ja coś o tem zasłyszałem i czytałem w kuryerze, w ciągu tego czasu, jakem zamieszkał na Starem mieście, po wyjściu z piwnic pałacu Ordynackiego, ałem dobrze nie zrozumiał i zbierałem się pójść tam z panem Wardą. Czas przeszedł na czemsiś pilniejszym i bliższym; teraz zaspokoję moją ciekawość.

Pan Barszczewicz wystarał się dla mnie o świadectwo

i zawiózł mię do kolei żelaznej. Nie poznałem ulicy Marszałkowskiej; domy i pałace powyrastały z ziemi jak grzyby po deszczu. Jakaż to piękna ta aleja Jerozolimska, wysadzana topolami! Połowa Warszawy, wyniosła się w tamte strony.

Zadzwoniono, wyszliśmy na chodnik kamienny. Już przed nami ciągnął się długi szereg jakichś ogromnych karet na niskich żelaznych kołach; zaledwie dostrzegłem sztab żelaznych na których stały te koła, gdy w tem zawołał na mnie mój gospodarz. „Siadaj pan, siadaj czempredzej, nie ma ani chwili do stracenia; za parę minut pociąg wyrusza.”

Uśluhałem go i ujrzałem się w obszernej karecie na wygodném siedzeniu. Już tam było ze dwanaście osób. Mnie, com za młodych lat moich jeździł zawsze brocką bryką, z woźnicą i pacholikiem, dziwną mi się zdawała ta jazda w towarzystwie nieznajomych, którzy także nie znali się wzajemnie.

Wchodząc, rzekłem starym obyczajem, żeby pokazać, iż znam się na grzeczności.

— Upadam do nóg wielmożnym państwu dobrodziejstwu! miło mi że pojedziemy razem.

Wszystkich oczy zwróciły się na mnie. Postrzegłem zadziwienie na twarzach i jakiś uśmiech szydery. Jedn tylko pan, już nie młody—z ułożenia i postawy poznałem, że to jest obywatel wiejski — siedzący obok mnie, odklonił mi się nawzajem i odpowiedział.

— I nam także będzie bardzo miło, mości dobrodzieju.

Wtém wskoczyły lekkim skokiem do naszego powozu, dwie młode, pięknie ubrane panie, a za nimi młodzik z ogromną brodą i włosami aż na ramiona spadającymi i zasiadły ostatnie trzy miejsca wolne. Przeraźliwe gwizdnienie dało się słyszeć i powóz ruszył. Z początku bardzo wolno, za pół minuty co raz to prędzej, a za dwie minut już był w zupełnym rozpędzie. Budynki i sztachety migały się tylko przed oczyma mojemu. Rogatka przeleciała jak błyskawica, zdawało mi się, że ziemia w koło mnie ucieka; że jakaś szatańska siła porywa mię gdzieś w nieznajome światy; w głowie mi się zaczęło kręcić; sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

— Pan dobrodziej zapewne pierwszy raz jedzie koleją żelazną, odezwał się ów obywatel, który na moje parafiańskie staroświeckie powitanie, odpowiedział wazjemnem powitaniem.

— Tak jest, rzekłem; ale jeżeli tak ciągle będziemy lecieć, to ja na prawdę dostanę zawrotu głowy.

— Niech pan nie patrzy tuż przed siebie, i albo wcale wzrok odwróci od okienka, albo też spogląda na dalszy horyzont. To pana nie będzie razić ten pęd szybki i będzie zdawało się że siedzisz sobie w pokoju.

Uśluhałem tej rady i widziałem jak wolniejszym kołem toczyły się pola, drzewa, wioski, i przesuwaly się przed oczyma mojemu. Oswoilem się nareszcie z hukiem i tur-

kotem kół i mogłem zwrócić uwagę na towarzyszków mojej podróży.

Każdy zajęty był sobą samym. Dwóch wygładzonych żydków, z żółtemi faworytami, rozmawiało zapewne o jakiejś spekulacji, bo o czemże mówić by mogli? Jakiś pan czytał książkę, inni siedzieli z zamkniętymi ustami. Dwie elegantki i młodzik, którzy na ostatku do nas przybyli, głośną prowadzili rozmowę. Młodzik wyjął cygara, podał owym paniom, zapalił je i tak puszczając kłęby dymu, śmieli się, gadali, lecz o czém, tego powiedzieć nie umiem. Słyszałem wyrazy, lecz nie rozumiałem treści. Zdaje mi się, że była mowa o ogródkach, partyjkach wieczornych, balcie i Bóg wie o czem tam jeszcze.

Mój najbliższy sąsiad, rzekł do mnie bardzo uprzejmym tonem:

— Jak uważam, pan dobrodziej musiałeś do nas z dalekich stron i to niedawno przybyć?

Jużem chciał odpowiedzieć: „Przed pięcioma miesiącami z piwnicy pałacu zwanego Ordynackim w Warszawie, alem sobie przypomniał upomnienia pana Baraszewicza i Wardy i rzekłem.

— Aż z ostatnich krańców gubernii Podolskiej. Czterdzieści i pięć lat nie byłem w Warszawie i poznać jej nie mogę. Wszystko zmieniło się od tego czasu.

— A czy wolno mi będzie zapytać się, dokąd pan dobrodziej zamysła jechać!

— Najprzód do Częstochowy; pomodlić się w tém

świętem miejscu, rzekłem, uchylając z głowy furazerkę, a potem, w powiat Wieluński. Miałem tam krewnych i braci, ale to już bardzo wiele lat upłynęło od tego czasu.

— A z kimże mam honor mówić? zapytał się ów obywatel.

— Jestem Bartłomiej Nowogórski, ojciec, myślę się, dziadek mój, był Cześnikiem ziemi Wieluńskiej.

— A to osobliwe i bardzo dla mnie szczęśliwe spotkanie! zawołał ten obywatel. Ja też jestem z Wieluńskiego i moja córka jest za Władysławem Nowogórskim. Może to jaki krewny pana dobrodzieja? Ja się nazywam Stefan Wrześniewski, mieszkam w Jabłowie w mojem majątku o dwie mile od Wielunia. Jakże było na imię dziadkowi pana dobrodzieja?

— Maciej, odpowiedziałem.

— Już jestem w domu! — zawołał pan Wrześniewski, który jako człowiek nieco dawniejszego pokolenia, znał i pamiętał kolligacye familijne: bo terażniejsze nie zna, a zapewne znać i wiedzieć nie chce, jacy są ich stryjeczni i cioteczni bracia, a cóż dopiero dalsi pokrewni: bo na cóż im się to przyda? zwłaszcza jeżeli po tych pokrewnych nie spodziewają się sukcesyi.

— Pan Maciej miał dwóch synów; otóż od jednego z nich nazwiskiem Antoniego, pochodzi Ignacy, od Ignacego Stanisław, a ten właśnie był ojcem mojego zięcia Władysława Nowogórskiego.

Ucieszyła mię w głębi serca ta wiadomość i szczerze

za nią Bogu podziękowałem. Los szczęśliwy, albo raczej, jak jest w rzeczy samej, łaska i wola Boga, zrządziły, żem za pierwszym słowem wyrzeczonem w wagonie kolei żelaznej, natrafił na to, czego bym może długo i nadaremnie szukał, na zacnego obywatela i teścia mojego prawnuka.

Już odtąd nie czułem ciężaru samotności; ustąpił smutek, który mię bardzo często napadał i z swobodnym umysłem jechałem dalej.

Tymczasem *"pociąg"* (po drodze nauczyłem się tych wszystkich nieznanych mi wyrazów technicznych), zatrzymał się na chwilę przed *banhofem* w Grodzisku.

— Dziesięć minut! zawołał jegomość w mundurowym niebieskim surducie, otwierając drzwi od wagonu.

— To bardzo krótki przeciąg czasu, rzekł pan Wrzesniewski, nie ma po co wysiadać. W Skierniewicach zatrzymamy się kwadrans, to wtedy wysiedziem. Pan dobrodziej nie poznasz Skierniewic.

— Ja tu nic nie poznaję, rzekłem. Przed czterdziestu i sześcią laty byłem w Grodzisku, otaczały go obszerne lasy. Gdzież się podziały? dla czego je wycięto?

— Oto przeszły przez ręce takich spekulantów, jak ci dwaj, którzy tu siedzą na drugiej ławce. Obywatelom potrzeba a potrzeba co raz to więcej pieniędzy; rola nie wystarcza, a więc wzięli się do lasów i wyprzedali je na wyścigi. Żeby to jeszcze za należyłą cenę! Aleć oni ledwie czwartą część tego dostali, co potem żydzi wyciągneli z zakupionego lasu.

— Mój Boże! zawołałem, to ani po chrześcijańsku, ani po ludzku, ani po rozumnemu. Nie przy nas drzewo urosło; sześć pokoleń składało się na niego, toć siódme nie ma prawa niszczyć tego za jednym zamachem, co rosło i dojrzewało w ciągu lat stu dwudziestu i więcej. A skądże ubodzy ludzie dostaną opału i światła?

— A któż się teraz pyta o ubogich włóścian? Siedzą w zimie po ciemku jak bobaki, przez godzin piętnaście zagrzebani w barłogu i nędznej pościeli. A jak dziecko zachoruje na szkarlatynę, odrę lub febrę, to już po niém. Nie wyjdzie biedactwo z choroby, w zimnych i na pół spruchniałych chatach.

— Ne te słowa i mnie dreszcz przejął. A czyż to jest po chrześcijańsku po i szlachecku? zawołałem. Od czasu jak przyjechałem do Warszawy, ile razy wezmę książkę albo gazetę do ręki, czytam zawsze o jakimś postępie, o jakimś rozwoju ducha i Bóg wie tam o czém. Piękny mi postęp! Czy to tak wszędzie dzieje się z biednymi ludźmi? panie dobrodzieju.

— Nie wszędzie, ale w bardzo wielu wioskach i zło szerzy się bez przerwy.

— Jeszcze słowo. A te dwie wystrojone panie, co tak palą cygara, jak oficerowie od huzarów, i śmiało strzelają oczyma na wszystkie strony. Czy także są to postępowe damy?

— A jakże! pokazywano mi je w Dolinie Szwajcarskiej. Ten pan co im towarzyszy, to hrabia..... wnuk wojewody.....

— No, no przerwałem, nie mów pan dalej; już widziałem w Warszawie próbki tego rodzaju. A to gdziekolwiek człowiek się ruszy, wszędzie napotka na ten kał społeczeństwa naszego.

W Skierniewicach mogłem dokładnie przypatrzeć się całemu pociągowi i owej maszynie syczącej parą, zięjącej dymem i iskrami. Trudno nie uznać postępu w przemyśle i wynalazkach. Ale czyliż przemysł i z bogaceniem się pewnej klasy ludzi, kosztem innych klas, jest koniecznym celem człowieka? Czyliż przepych i świetność materialna wynagrodzi nam i zastąpi ubóstwo ducha i oschłość serca? Przyszłe a najdalej trzecie pokolenie, zbierać będzie plony, teraz posianego ziarna, a jeżeli dojdą do niego te uwagi starca z lat upłynionych, wyrzecz, czyli obawy moje i smutne przeczucia, były bezzasadne, czy też rzeczywiste.

Zapytałem się na przystanku w Piotrkowie, o dawny gmach Trybunalski, ów niegdyś plac tyłuwalk sądowych, ową szkołę praktyczną szlacheckiej młodzieży. Obecni przy stole, nie wiedzieli o czem prawię. Sam tylko pan Wrześniewski odezwał się.

— Gmach trybunalski panie dobrodzieju stoi pustkami, zniszczony prawie zupełnie. Szkoda wielka, że takie odwieczne silne mury, muszą za czasem rozsypać się w gruzy, przez niedbalstwo i obojętność teraźniejszego pokolenia. Słyszałem, że myślą o tym, aby tę rudę wyporządzić i na użyteczny cel obrócić. Daj Boże! aby się tak stało.

I Częstochowa już nie jest taka jak była dawniej; nie ma już tych murów i wałów, na których stojąc Kordecki, zbrojny wiarą i ufnością w pomoc Boga-Rodzicy, odparł napady najezdniczych wojsk szwedzkich. Sama tylko Świątynia Pańska została nietknięta, niezmienniona. Lat przeciąg pomnożył jeszcze jej świetność i bogactwa.

Po trzech dniach pobytu w Częstochowie, które poświęciłem nabożeństwu, wyjechałem do Mysłakowic, mojej niegdyś wioski ojczystej. Szczególnym a nader rzadkim trafem, dochowała się w ręku potomków mojego ojca. Mieszkał w niej zięć mojego towarzysza podróży, pana Wrześniewskiego, Władysław Nowogórski. Teś już go uprzedził o przybyciu nieznajomego kuzyna.

Przyjęto mię uprzejmie. Nie mogę powiedzieć żeby to przyjęcie było bardzo serdeczne. Mój prawnuk nie wiedział po co przyjeżdżam, i czego od nich żądam. Czy będę gościem dłuższym lub krótszym, czy też stałym rezydentem, czy przywożę jak owe dziadki i wujaszki z Ukrainy, sukcesyją uzbieraną w dalekich stronach, czyli też prosić będę o przytułek i wsparcie?

W krótkce wywiodłem ich z wątpliwości; oświadczyłem, że na resztę dni moich osiadłem w Warszawie i że tylko na dni kilka przyjechałem w strony rodzinne.

— O, nie pozwolimy dziadulkowi tak prędko od nas odjechać, zawołał Władysław, całując mię w ramię; a żona jego powtórzyła tę prośbę. Spodziewamy się, rzekł, iż dziadek nie znudzi się u nas, a nam też nie uczyni żadnej przykrości.

Zobaczmy, odpowiedziałem na to, będziemy póty razem, póki nam będzie wesoło i przyjemnie.

Powiem szczerze, iż wcale nie poznałem mojej wioski rodzinnej; budowle inne, ogród inny, wieś cała inaczej wygląda.

— Cóż się stało ze starymi lipami, które jak mi to opowiadał mój ojciec otaczały sad w około?

— Wypróchniały i upadły z czasem, odpowiedział Władysław, nie dosadzono innych. Wieś ta przez lat przeszło dwadzieścia, aż do czasu jakem się ożenił, była w posiadaniu dzierżawców: to też przechodząc co trzy lub co sześć lat z ręki do ręki, znacznie upadła. Ja podźwignąłem ją ile było można. Ale jeszcze jest wiele do czynienia.

— Powiedz mi panie Władysławie, rzekłem do niego, powiadał mi ojciec że to była wieś osiadła, liczyła przeszło czterdziestu gospodarzy; każdy miał stodołkę, szopkę, ogródek owocowy i pszczoły. Wczoraj przechodziłem przez wieś, zobaczyłem tylko kilkanaście chałup i to dosyć biednych, ani kawałka drzewka owocowego, dwie biedne stodołczyny i obszarpane chlewy. Cóż to się stało? gdzież są domy i ludzie? Przecież nikt nie spustoszył ogniem i mieczem naszego kraju?

Zarumienił się Władysław na to pytanie i odpowiedział:

Za czasów wojen francuzkich, większa połowa gospodarzy porzuciła swoje role i porozchodzili się do innych wiosek. Reszta tak zubożała, że nie mogła sobie dać

radę i zeszła na komorników. Co jeszcze pozostało, to wymarniało za dzierżawców.

— „Może mi dziadek za złe weźmie, przynajmniej boję się tego, że zakrzętnąwszy się około zabudowań dworskich i dworu, nie pomyślałem dotąd o podźwignieniu budowli wiejskich. Przyznaję się do winy i obiecuję poprawę. Zawsze to pierwsza miłość od siebie, mówi przysłowie. Ale zamierzam przebudować całą wioskę, tylko że to czasy są teraz tak ciężkie.

— Już ci muszą być ciężkie, odpowiedziałem, kiedy szlachta nasza ma przynajmniej cztery razy większe wydatki gruntowe, niżeli miała dawniej; a domowe potrzeby przynajmniej o dziesięć kroć się pomnożyły. Powiadał mi mój ojciec, że mój dziadek a twój prapradziadek panie Władysławie, nie miał i trzech tysięcy dochodów z tej wioski, a wychował na niej liczne swoje potomstwo, synów posyłał do szkół, a córki wyposażył po kilka tysięcy złotych. Ale też nie wiedział co to jest trzy grosze wydać na najemnika, na wołu albo na konie robocze. Wszystko zorali, sprzątli, zwieźli i wymłócili gospodarze.

— Inne teraz czasy, inne obyczaje, odpowiedział Władysław. Już się nie wrócimy do dawnego trybu gospodarstwa. Dziś gospodarstwo jest to samo co wielka fabryka lub rękodzielnia. Bo przemysł bez kapitału i bez zabiegów teraz nic nie robi.

— Ja to już o tém słyszałem, i podobno wielu właścicieli

ziemskich gra z żydami w szubieniczkę; tu się piszą a tam się mażą. Czy to prawda?

Zawstydził się mój prawnuczek i rzekł:—Po większej części prawda, ale w każdej okolicy znajdują się piękne wzorowe gospodarstwa, to z czasem i inni pójdą za ich przykładem.

— Tak jest rzekłem, jeśli wprzód nie pójdą z kijem, a owe ulepszenia wraz z majątkiem ojczystym nie zostawią przybyszom, którzy tak za czasem wywłaszczają naszą szlachtę, jak to uczynili w Poznańskim i w starych Prusach.

— To dziadek zna po części naszych właścicieli ziemskich, rzekł Władysław. A mówi dziadek żeś niedawno przyjechał w nasze strony?

— Więcej jak trzy miesiące mieszkalem w Warszawie, a że nie mam co innego do czynienia, tom czytał, słuchał, wypytywał się i tak utworzyłem sobie wyobrażenie o teraźniejszym stanie rzeczy, a to co tu widzę i słyszę, jeszcze bardziej utwierdza domysły moje.

Pan Władysław oprowadził mię po swoim gospodarstwie. Ciekawie oglądałem parowy aparat Pistoryusza, urządzone bardzo porządnie; młockarnia także mię zajęła nie pomału. Co też to ludzie wynaleźli w przeciągu kilkudziesięciu lat ostatnich? Przy braku rąk do pracy, młockarnia, a nawet i żniwiarka, jeśli ją wydoskonalą, stanie się coraz to potrzebniejsza.

— Piękne tu rzeczy zobaczyłem panie Władysławie, rzekłem do mego prawnuka. Lecz na Boga zaklinam was, pamiętajcie o włościanach i o biednych wyrobni-

kach, przynajmniej tyle, ile o waszym inwentarzu roboczym.

Zachmurzyło się cokolwiek oblicze Władysława; zapewne pomyślał sobie: „Przyjechał z kądś stary dziwak i przyganiać będzie wszystkiemu.”

Jak wszyscy ludzie starzy, a mianowicie nazwyczajeni do życia wiejskiego, wstawałem o wschodzie słońca. Dzień był pogodny i ciepły; drzewa już się okryły zielonością; poszedłem do ogrodu na samotną poranną przechadzkę. Ogród ten, przed kilkunastulaty założony, czyli raczej przerobiony, miał piękne trawniki otoczone kępami drzew, wijące się ścieżki między klombami, mnóstwo bzów, akacyi, a piękny kanał do którego wprowadzono strugę niedaleko ode wsi płynącą, bardzo go ożywiał. Nie było tam drzew owocowych, jak za moich czasów; obszerny sad założono po drugiej stronie budynków gospodarskich. Nie jestem dzięki Bogu takim dziwakiem, żebym miał przyganiać wszystkiemu, co jest nowe, dla tego tylko że jest nowe, i nie przyznawać, że taki ogród, na sposób angielski, jak mię objaśniono, założony, nie jest pięknym i nie ozdabia majątności wiejskiej. Każde pokolenie buduje pomieszkania i zakłada ogrody, stosownie do swego trybu życia. Bez wątpienia, miło jest terazniejszej młodzieży biegać po krętych ścieżkach, między klombami, albo usiadłszy samotnie z książką w ręku, pod cieniem akacyi spojrzeć kiedy niekiedy na piękną murawę rozpostartą przed niemi. Lecz ich naddziadowie, kiedy przechodzili się powolnym krokiem i rozmawiali o spra-

wie publicznej, opowiadali wyprawy rycerskie, albo też pobożne myśli wznosili ku Bogu, to poważna i szeroka ulica wzniosłemi wysadzona lipami, daleko stosowniejsza była do ich przechadzki, niżeli dzisiejsze ścieżki angielskich ogrodów.

Tak myśląc, doszedłem do miejsca, gdzie cztery starożytne lipy dochowały się jeszcze i tworzyły altanę. Rozsądny założyciel ogrodu, umiał ich oszczędzić i użyć. Zabezpieczył je wiązaniem z drzewa, które konary z konarami łączyły: gdyż rdzeń tych drzew od starości wypróchniał i tylko utrzymywały się i żyły powierzchownym obwodem i korą. Na widok tych lip, serce moje silniej bić zaczęło, krew odrętwiona wiekiem, prędzej krążyła. Poznałem dawnych świadków moich lat dziecinnych. I w owych czasach, była pomiędzy niemi kanapka z durniny, na której siadywali moi rodzice, a ja dwunastoletni chłopiec, wdzieralem się odważnie, aż na sam wierzchołek drzewa, i nie raz dobra matka lękała się skutków mojej śmiałości. Wszystkie wspomnienia lat młodościowych na raz ożyły w umyśle moim... Ale tém boleśniej uczułem obecne osamotnienie... Z tego miejsca mogłem dopiero przypomnieć sobie dawną siedzibę wioski rodzinnej, poznałem gdzie stał dworek ojcowski, gdzie pasieka, gdzie kwatery z drzewami owocowemi, gdzie zabudowania gospodarskie: bo tu wszystko tak przemieniono z gruntu po klęsce pożaru przed laty trzydziestu, żem dotąd chodził jak błędny. Uroniłem łzy rozrzewnienia, łzy smutne ale i miłe zarazem i udałem się do wio-

ski, ścieszką idącą prosto od furtki ogrodowej. Jużem był wspomniał, że ani połowy chat doliczyć się nie mogłem. Gdym przechodził koło jednej z nich, wyszedł wieśniak, siwiuteńki jak gołąb, zgarbiony latami, ale jeszcze dosyć czerstwy. Niósł w dwojaczku śniadanie na pole, zapewne dla swoich wnuków. Powitawszy go słowem chrześcijańskim: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus,” siedłem obok niego i wdałem się w rozmowę.

— Jakże wam na imie gospodarzu?

— Maciej Grzęda, wielmożny panie, odpowiedział.

Usłyszawszy to nazwisko, rozumiałem że widzę wieśniaka równego mi wiekiem, z którym niegdyś biegałem w pole i wspinałem się na drzewa; alem zastanowił się i pomyślał że to bydlę nie może.

— A waszemu ojcu jak było na imie?

— Także Maciej Grzęda wielmożny panie. Ja tu jeden jestem najstarszy wiekiem ze wszystkich i sam tylko pozostałem z dawnych mieszkańców wioski.

— A gdzież się drudzy popodziejali?

— Wymarli, porozchodzili się po świecie, a na to miejsce poprzychodzili inni. Oj, szkoda wielmożny panie tych czasów, kiedy to wszyscy z dziada pradziada byli sobie kumami i krewniakami! Ludzie byli i pocciwsi i lepiej się mieli. Na miejscu i kamień porasta, mówi przysłowie.

— A jakże się wam teraz powodzi, mój przyjacielu?

— Nie tego. Póki człowiek miał kawałek roli i siedział na gospodarstwie, jak to było za nieboszczyka oj-

ba mego i za moich lat młodych, to chleba nie brakowało; nowe zboże dopiero ludzie zaczynali mleć na święty Michał, a dziś nie raz na przednówku przymrą ciężkiego głodu. To jeszcze łaska Boska, że mamy pana, który nasporatuje; ale cóż ztąd? człowiek zawsze w długach i do niczego przyjść nie może.

— Ale przecież macie zarobek i to nie mały, bo mi powiedział wasz dziedzic, jak wysoko płaci i wiele co tydzień wydaje na ludzi?

— Toż to prawda, ale pieniądze to tak się toczą jak woda. Mój wnuk dostanie co tydzień kilka złotych, a czasem i parę talarów, ale z tego musi wszystko kupić, i sól i mąkę i okrasę i odzież.— A do tego przybyły dwie pokusy, których dawniej nie było.

— A to jakie?

— Żydy i gorzałka Wielmożny panie.

— A któż wam każe zadawać się z żydami, i upijać się w karczmie?

— Jać to samo powiadam mojemu wnukowi, przy którym siedzę; ale coż to pomoże? Nie ma dnia, żeby żyd nie zajrzał do naszej izby. On tu chodzi po wsi, od szabasu do szabasu, jakby drugi dziedzic, otumani babę, pieniędzy pożyczczy, jak czasem potrzeba, a za to wyciągnie ostatnią kurę i gaskę, ostatnią miarkę zboża i siewienia. Czasem jak skusi kobietę, to mu i mąkę sprzeda, a za parę dni potem trzeba pójść do dworu i prosić o zapomogę. Niech go tam jasne pioruny zatrzasną! A z karczmą, też to samo. Kiedym był na gospodarce

przed pięćdziesięciu laty, to człowiek sprzedawał razem kilka korcy zboża, jaką sztukę bydła, oporządził i siebie i dzieci. Zostało jeszcze kilka talarów, obwinał mu je w szmatkę, schował do blaszanej skrzynki, zagrzebał pod łóżkiem i już ich zamtąd nie wyniósł do karczmy. Było też w karczmie dobre tłuste piwo, tośmy go wszyscy woleli pić, aniżeli wódkę. Trzy razy na tydzień, a czasem i cztery razy, człowiek jadł mięso, bo gęsi, wieprzaka i skopu nie potrzebował sprzedawać, tylkośmy się kalkulowali, jeden gospodarz z drugim; raz ten zabił sztukę, drugi raz inny, to przylepszem jedzeniu nie było potrzeba zalewać się wódką, jak teraz przy kartoflach bez chleba, a czasem i bez okrasy. Więc widzi wielmożny pan, to tak zarobek idzie na marno i nic z tego nikomu dobrego nie przyjdzie. Ale przepraszam wielmożnego pana, że ja tak gadam, zwyczajnie jak stary.

— I owszem bardzo mi to miło mój Grzegorzu. A żydów czy dużo jest w okolicznych miasteczkach?

— Czy dużo? A skądże to wielmożny pan do nas przyjechał? Dziś po miasteczkach same tylko żydy, katolika prawie nie dojrzysz.

— Jać tu nie byłem nigdy; przyjeżdżam z Podola, mój przyjacielu; ale powiadał mi ojciec mój, że po miasteczkach było dosyć rzemieślników katolickich i niemieckich, a żydów ledwie parę familii.

— Teraz wszystko się przemieniło wielmożny panie. Nie wiem czyliby znalazł z dziesięciu majstrów chrześci-

jańskich w całym miasteczku, a i ci to tylko na żydów pracują, a biedę łatają tak jak i my na wsi.

— Czas było pójść na kawę, rozstałem się z pocziwym starcem, a jego opowiadania nie rozpędziły mego humoru. Kto w czym wzrosł i do czego nawykł od młodu, to go nie tyle dziwi i razi. Mogą więc terazniejsi właściciele obojętniej patrzeć na obecne położenie ludu wiejskiego na przewagę tej klasy ludności, która sama nie trudniąc się żadną produkcyjną pracą, żyje kosztem włościan i mieszczan, i nie tylko że nie pomnaża, ale nawet coraz to bardziej wysusza źródło bogactwa krajowego; ale mnie com przespał trzy ćwierci wieku i nagle rzucony jestem pomiędzy nowych ludzi, nowy stan rzeczy, wszystko to niezmiernie uderza i boli.

Poznałem terazniejszą społeczność obywatelską. Był zjazd u pana Władysława na imieniny jego żony, na 24 maja; wyjechałem także w sąsiedztwo z moim prawnikiem. Nie będę powtarzał uwag moich; podobne, a lepiej napisane, znajdują się w Ramotkach Wilkońskiego, które przeczytałem w domu pana Władysława i zapewne nie jeden autor także pisał o tém. Ale pojąć nie mogę, jakim się to sposobem stało, że w terazniejszych towarzystwach zaledwie chwilka na rozmowę pozostanie i to jeszcze na rozmowę zazwyczaj nic nie znaczącą.

W miejscu dawnych rozpraw szlacheckich, o sejmach, o sejmikach, o zjazdach, o magnackich stronnictwach czyliż nie byłoby do pomówienia o książkach, o wyn-

laskach, o ulepszeniach gospodarskich, a wreszcie i o dawniejszych czasach? Ale terazniejsze towarzystwo ucieka przed rozmową, jak djabeł przed święconą wodą. Czyliż, każdy w samotności, tak sobie głowę zmęczy nad uczonemi księgami, tak nad niemi rozmyśla, że jak się jedni z drugimi zbiorą, to chcą tylko wytechnąć przy kartach i o drobiazgach pogadać? Gdzie tam! Jak kto nie ma towarzystwa, to fajkę pali i myśli, ale podobno myśli o niebieskich migdałach, albo o tém jak dług długiem, Herszka Aronkiem, Aronka Szmulkiem zastąpić, albo zaćmić sąsiadów piękniejszym ekwipażem, strojami żony i balem.

Państwo Władysławowstwo byli dla mnie grzeczni, ale ona sama dość zimno-grzeczna. Mało ją obchodziłem. Przytem widać było na niej ślad cudzoziemskiego wychowania. Guwernantki francuzkie przytłumiły, w niej tę serdeczną uprzejmość, właściwą polskim obywatelkom. Mój Boże! czy to ona jedna jest taka? Jej ojciec, z którym poznałem się na kolei i na którego towarzystwo wiele rachowałem; ledwie na parę godzin przyjechał do córki, śpiesząc znowu do Warszawy, bo mu zachorował niebezpiecznie najmłodszy syn jego w Gimnazyum tamże zostający. Nie chciałem dłużej naprzykrzać się obecnością moją państwu Władysławostwu. Pożegnałem ze łzą w oku stare lipy, te jedyne świadki moich lat młodocianych, poratowałem ile możności pocziwego Macieja Grzędę i poleciłem go opiece pana Władysława.

Odesłano mię do najbliższej stacyi kolei żelaznej i na drugi dzień rano byłem w Warszawie, w mojej cichej izdebce.

Była godzina trzecia po północy. Siedziałem i pisałem bez przerwy. Wtem usłyszałem te słowa.

— „Jak możesz tak nie zważać na polecenie doktora? Upominał cię, abys w paroksyzmie febry nie zajmował się ani pisaniem, ani czytaniem, nie natężał umysłu, a ty wśród mocnej gorączki, wstałeś i jak widzę już piszesz przynajmniej od godziny dwunastej, bo spaliłeś całą prawie świecę stearynową. Nabawisz się ciężkiej choroby.”

Usłuchałem dobrej rady i położyłem pióro.

Widzicie więc czytelnicy, że cała ta ramota, napisana była w paroksyzmie gorączki. Jest więc gawędą i to w dawnem znaczeniu tego wyrazu, kiedy nie poemata i powieści poetyczne, ale gadaniny nazywano gawędą. Jeżeli nieraz nie możemy dopatrzeć się myśli i treści, pośród szumnych, nowo utworzonych wyrazów, pośród zawiłych filozoficznych okresów, pisanych z krwią zimną, z całem wysileniem i przytomnością umysłu, to może w piśmie pod wpływem gorączki powstałem, znajdziecie jaką zdrową radę i uwagę. Tak to często bywa na świecie. A w przeciwnym razie, nie uważajcie na sprzeczności w datach i wybaczenie, że zapełniłem kilkadziesiąt stronic pisma, i zabrałem kilka godzin czasu.

MŁODZIK I AKTORKA

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

MŁODZIK I AKTORKA.

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

Będzie temu lat dwadzieścia jeden, w piękny dzień letni, około jedenastej rano, pan Hołubowicz dawny oficer byłych wojsk naszych, wszedł do sali jadalnej, do hotelu Drezdeńskiego w Krakowie, gdzie regularnie o tej porze zbierała się młodzież arystokratyczna i układała gdzie będą obiadować, gdzie potem pojedą na przechadzkę, jak i u kogo wieczór przepędzą. Pan Hołubowicz, major z dawnej gwardyi napoleońskiej, otrzymał dymisję w stopniu podpułkownika, lecz przez grzeczność wszyscy go pułkownikiem nazywali. Liczył już lat sześćdziesiąt; czerstwy, przystojny, ubierał się jak najprzystojniej. Czamarę miał granatową, halsztuch czarny, włosy szpakowate, krótko ostrzyżone, wąs na pół siwy i krzyż francuzki legii honorowej na piersiach przypięty. Pensya do tego krzyża przywiązana i retretowa płaca, stanowiły jego sposób utrzymania. Już od lat szesnastu zamieszkał w Krakowie, był wesołym, znał się dosko-

nale na koniach, na psach myśliwskich, na winach wszelkiego rodzaju, na potrawach, a w sposobie urządzenia czy to kawalerskiej biesiady, czy gospodarskiego baliku, nikt mu nie mógł wyrównać. Grał doskonale w wista (wówczas była to główna gra towarzyska) nie unosił się przy grze, nie zrzedził, nawet wymówek nie czynił, chociażby jego *partner* najgrubszą omyłkę popełnił. Wszystkie te przymioty, zrobiły go duszą ówczesnego towarzystwa w Krakowie. Wiedziano, że ma pomierny lecz dostateczny fundusz na utrzymanie swoje; jeżeli więc przyjmował zaprosiny, to on wyświadczał przysługę zapraszającym, nie zaś oni jemu. Powoli weszło w zwyczaj, iż żadne zebranie, żadna partya, bez pana pułkownika Hołubowicza obejść się nie mogła. I było to wielką osobliwością, jeżeli pułkownik raz w miesiąc zjadł obiad za swoje pieniądze, albo wieczór w domu przepędził. I on wdroył się w to życie, bez myśli i celu. A z resztą, cóż innego mógł zrobić człowiek, który od pierwszych lat młodości służąc wojskowo w czasach ciągłych bitew, nie nawykł do żadnych cichych i naukowych zatrudnień?

Jeden stoliczek w sali jadalnej, był uważany za wyłączną własność pułkownika; tam on zwykle zasiadał, a gdy przy wspólnym stole na wezwanie lubiącej go młodzieży prezydował, to pierwsze miejsce należało mu się z natury rzeczy, jako najstarszemu zasługą i wiekiem.

W chwili gdy rozpoczyna się ten obrazek, pan pułkownik; bo już od dawna przez grzeczność wyrzucono

przyimek *pod*, przeglądał kilka listów, które podał mu służący hotelu. Było to zaproszenie na parę dni do hrabiego D. o dwie mil od Krakowa, na wieczór do pani starościny L. na partyę wista do kasztelana T., na obiad do księdza biskupa. Wszystkie poprzednie zaproszenia odłożył pułkownik na czas późniejszy, a postanowił być na obiedzie u księdza biskupa, którego razem z całym obywatelstwem szanował, a znał z doświadczenia, że obiad zawsze tam bywa jak najlepszy.

Pomiędzy temi listami, był jeden grubszy nieco od innych. Pułkownik położył go na stronie i jeszcze nie odpieczętował. Pieczętka była zwyczajna szlachecka, a znak pocztowy wskazywał, że list ten pochodzi ze Lwowa. Adres pisany był ręką kobiecą, a chociaż na kopercie wyraz *bardzo pilno*, był podkreślony mocnym strychem, oznaczającym niespokojność korespondentki, pułkownik nie spieszył się z przeczytaniem; bo list ten pochodził od jego bratowej, a naturalną było rzeczą, że pan Hołubowicz mniejszą miał attencją dla niej, jak dla dostojnych swoich korespondentów.

Nareszcie zabrał się do tego listu, otworzył go i znalazł w nim drugi.

Galeczyce 15 Lipca 1833 r. w południe.

„Mój kochany bracie: te były słowa w liście pierwszym: zaklinam cię i błagam, przyjeżdżaj natychmiast. Ho! ho! pomyślał pułkownik, a zaprosiny do biskupa. „Jestem pogrążona w niezmiernym smutku i obawie. Mój syn, mój ukochany syn, który aż dotąd zadosyć czynił

wszystkim moim nadziejom i życzeniom, zakochał się, zaledwie mogę napisać te słowa, zakochał się jak szaleniec w prowincjonalnej aktorce, z truppy którą przyjechała do Lwowa. Jest od niego starsza przynajmniej o lat dwanaście; biedny chłopak, który jak wiesz dopiero co skończył rok ośmnasty, tak dalece ogłupiał, iż chce koniecznie wziąć ją za żonę." Czytając te wyrazy, major tak silnie pięścią w stół uderzył, że aż się zdumieli dwaj obecni goście: „Błagam cię i zaklinam, pisała dalej nieszczęśliwa matka, przyjeżdżaj natychmiast, a jako stryj i opiekun Bożysława, nie dozwól, aby ten niedobry chłopak, przywiódł do skutku swój opłakany zamiar." List ten obejmował niektóre jeszcze objaśnienia i kończył się temi wyrazy:

„Twoja kochająca i nieszczęśliwa siostra."

Helena Hołubowiczowa.

— „Dalibóg, w rzeczy samej jest nieszczęśliwa; zobaczmy co tam jest w drugim liście: mówił do siebie pułkownik.

Rozpieczętował drugi list, zapisany na wszystkie cztery strony; pieczęć wielka z herbem Hołubowiczów, na pół zalana, a koperta poplamionalakiem, wskazywała z jakim wzruszeniem i drżącą ręką, młodzik pieczętował swoją odezwę. Przytaczamy ją w zupełności.

Galczyce 15 Lipca o północy.

Kochany stryju!

„Donosząc stryjowi o moich zamiarach dotyczących się panny Jaselkowskiej, artystki podróżującej truppy;

a nateraz bawiącej we Lwowie, czuję to, że ta wiadomość nie będzie miła mojej familii, a to z powodu rodowych przesądów. Lecz ty kochany stryju wyższy jesteś umysłem i sercem. Moja ukochana matka mocno zasmuciła się i obraziła, gdym jej oświadczył moje niezmiennie postanowienie. Proszę cię więc kochany stryju, żebyś przyjechał pocieszyć ją i przekonać. Panna Jaselkowska jest szlachcianką i z zacnej familii, o czem zapewnił mię czcigodny jej ojciec i tylko smutnym zbiegiem wypadków stało się, iż musi występować na scenę i zarabiać na utrzymanie swoje i rodziców. Daremnie usiłowałem przekonać matkę, że osoba nieskażonych obyczajów i szlachetnego rodu, obdarzona pięknoscią i geniuszem, pracująca dla najświętszego celu, ma prawo do mojej czci i miłości; matka głucha jest na prośby moje i nie chce przyjąć w objęcia swoje tej, która jest gotowa kochać ją, jako najposłuszniejsza i najprzywiązawsza córka."

„To prawda, że panna Jaselkowska jest odemnie starsza o lat kilka, lecz cóż to znaczy? Okoliczność ta nie zmieni i nie osłabi mojego przywiązania. Pokochawszy ją raz, kochać będę aż do śmierci i żadna inna kobieta nie pozyska przywiązania mojego. U nóg panny Jaselkowskiej składam moje serce i majątek."

„Pragnę jak najprędzej zaślubić Klarysę, takie jest imię mojej kochanki. Poczóżbym opóźniał szczęście moje? Każda zwłoka jest oznaką wątpliwości, a wątpliwość byłaby nikczemnym z mojej strony postępkiem. Kla-

ryssa, aż do kresu życia będzie jedynym celem miłości mojej. I czegoż mam czekać? Proszę cię więc kochany stryju, przybądź i nakłoń moją dobrą matkę, aby zezwoliła na nasz związek. Zwiedziłeś tyle świata, znasz ludzi i serca ludzkie, wyższy więc jesteś nad przesady rodowe i skrupuły niewieście. Przybądź najdroższy stryjaszku, przybądź niezwłocznie! Pewien jestem, że pominąwszy względy majątkowe, pokochasz i ocenisz sprawiedliwie moją Klarysę.

Przywiązany siostrzeniec

Bożysław Hołubowicz."

Po przeczytaniu tego listu, pułkownik tak się zachmurzył i zaczerwienił, iż obecni goście mniemali że mu apopleksya zagraża i już chciano bieczyć po felczera. Jakoż w rzeczy samej, wiadomość ta mogła rozjątrzyć go do najwyższego stopnia. „Co! dziedzic imienia Hołubowiczów, chce się żenić z kobietą, starszą od niego o lat dziesięć, młodzik bez brody, półgłówek, myśli o małżeństwie! Matka zepsuła go swojemi pieśczołami i wyobrażeniami romansowemi: mruczał pułkownik. Mój synowiec miałby się ożenić z wędrowną aktorką! Wszyscy śmieliby się ze mnie i nie mógłbym się nikomu na oczy pokazać.” Ze smutkiem pomyślał, iż trzeba wyrzec się i obiadu u księdza biskupa i tylu innych miłych zaprosin, że musi wziąć ekstrapocztę i pędzić z Krakowa aż pod Lwów. A Bóg że wie, jak długo zatrzyma go ta niedorzeczna awantura! Poszedł do swego pokoju (mieszkał bowiem ciągle w tym samym

hotelu), i popisał bilety, przepraszając że z miłych i zaszczytnych wezwań nie może korzystać, a to z powodu interesów rodzinnych. Posłał służącego po konie i bryczkę, a cały wydatek na tę podróż, zapisał na rachunek młodzika, którego był opiekunem.

Hołubowiczowie, pochodzili z dawnej ormiańskiej rodziny, policzonej w rzeń szlachty polskiej, jeszcze za panowania Zygmunta starego. Nie przestając na tem szlacheństwie, które już trzystu lat dochodziło, utrzymywali, że mają w papierach rodzinnych dowody, jako ich przodkowie już byli szlachtą znakomitą za czasów królów Armenii. To nieszcześnie, że nikt nie umiał wyczytać tych wschodnich pergaminów, bo spolszczywszy się, zapomnieli ormiańskiego języka.

Majątek nie bardzo odpowiadał owej dumie rodowej. Ojciec pułkownika a dziad Bożysława, miał dwie porządne wsie, o milę od Lwowa. Syn jego starszy, Adam Hołubowicz, spłacił posagiem żony schedę swego brata Józefa, który ją pomału wydał, przez ciąg dwudziestoletniej wojaczki. Państwu Adamostwu nie chowały się dzieci; z kilkorga potomstwa pozostał najmłodszy, ów zakochany Bożysław. Domysłacie się więc, że był pieszczonem dziecięciem i samowładnym panem w domu. Intercyzą przedślubną, zapisał żonie pan Adam dożywociem dobra swoje Galczyce i tylko zastrzegł, aby synowi gdy już skończy lat ośmnaście, płaciła corocznie 500 reńskich (dwa tysiące złotych). Lecz Bożysławek już od dwóch lat brał ile tylko chciał z biórka matki do-

brodziki. Zapomniał, a może i nie wiedział o intercyzie i zdawało mu się że jest panem ojczystego majątku.

Stary pan Adam żył po szlachecku, przyzwoicie, bez wystawności. Zastosował się do położenia tej części kraju w której zamieszkał i zrozumiał, czego podobno nie wszyscy jeszcze tamtejsi obywatele zrozumieli, że pod każdym rządem nauka przydać się może, i nikt od jej nabycia wymawiać się nie powinien, a cóż dopiero w kraju, gdzie niezliczone roje Niemców zbiegają się ze wszystkich uniwersytetów niemieckich, aby zajmować posady urzędowe. Tym względem powodowany, oddał swego syna do gimnazjum Lwowskiego, a następnie chciał go wysłać do uniwersytetu, na naukę prawa, historii i filozofii.

Na nieszczęście, wierszomania zawróciła głowę młodemu uczniowi gimnazjum; było to właśnie w owej epoce, kiedy jeden wielki człowiek dał nowy kierunek wyobraźni, nowy popęd naszej poezji. Ale niestety, wylęgły się natychmiast roje naśladowców, a jak niedoperze koło światła, tak oni uwijali się koło mistrza. Lat sześć za ledwo ubiegło, mistrz został, a o naśladowcach nikt już nie pamięta. Ale wtedy każdy dziennik musiał mieć swego balladzystę, każdy salon natchnionego śpiewaka urojonych tęsknot, każda nawet klasa w szkołach, już poczynając od trzeciej, swojego wykluwającego się poetę. Bożysław Hołubowicz, uczeń klasy piątej, był jednym z takich geniuszów. Djabełek wierszowania opętał piętnastoletniego chłopca. Poszła w kąć historia, matema-

tyka, łacina. Rymował ballady, głowę łamał nad ułożeniem sonetów, a dorwawszy się przekładu prozą na nasz język, notabene bardzo biedną prozą, poematu Matylda Robeby, zaczął go przerabiać na wiersze. Gniewało to professorów, darli i palili płody poetyczne Bożysława, napisali nawet do ojca, który porządną burę przysłał synowi, ale to nie pomogło. Matka cieszyła się skrycie ową genialnością synka i pochlebiała jego fantazyi. W oczach ograniczonej, chociaż zacnej kobiety, więcej znaczył ten, co zdołał dwadzieścia wierszy napisać, aniżeli najbieglejszy prawnik, filozof i historyk.

Współuczniowie podobnież myśleli jak pani Hołubowiczowa, szanowali Bożysława i uważali go za przyszlą ozdobę literatury ojczystej. Jeden tylko professor języka łacińskiego, kiwał głową i zrzędził, ale ktoby tam na niego uważał.

Pewnego dnia, gdy zapytany Bożysław o tłumaczenie wyjątku z Liwiusza, stanąwszy z otwartemi ustami, pomieszany, ani słowa przetłumaczyć nie umiał, chociaż mu jego sąsiad podpowiadał ile tylko było można, rozgniewał się professor.

— I ty dzieciaku, chcesz wiersze pisać, niemi bałamucisz i siebie samego i współuczniów, a nie umiesz pierwszych początków łacińskiego języka? a greckiego nie znasz nawet abecadła? A czy ty wiesz o tem, że najpierwsi, najslawniejsi pisarze wszystkich krajów, znali do gruntu literaturę Greków i Rzymian, że ona w ich krew przesiąkała? Na tej to dopiero podstawie, budowali

wiekopomne dzieła swoje. Z tych to starożytnych pisarzy, powzięli tę moc ducha, to silne objęcie przedmiotu, bez których mogą być w literaturze światelka i iskierki, ale nie będzie wielkich dzieł, wielkich pomysłów.

Gdy tak zacny professor zapalił się, nie zważając czyli go rozumieją słuchające go nedorostki, powstał nagły szmer między uczniami, siedzącymi w ostatnich ławkach blisko wnijścia. Pokazała się we drzwiach twarz pułkownika Hołubowicza, a że wielu uczniów go znało, jeden drugiemu powiedział, że to jest stryjasek, który natrafił na to, jak jego synowcowi zmywa głowę professor.

Pułkownik napisał na bilecie wizytowym parę wyrazów i prosił, aby je oddano professorowi. Na niej było: „Proszę uwolnić Hołubowicza, ojciec jego jest bardzo chory.”

Professor natychmiast przerwał swoją przemowę i rzekł do ucznia: „Wyjdź, twój stryj czeka na ciebie.”

Wybiegł Bożysław, a spojrzawszy na stryja, domyślił się jakiegoś nadzwyczajnego wypadku.

— Cóż się stało? zapytał „czy matka zdrowa? Wzruszenie tamowało mu głos w piersiach.

— Zdrowa, odpowiedział pułkownik, lecz ojciec bardzo jest chory. Zapakuj natychmiast twoje rzeczy. Konie zaprzężone czekają na nas.

Bożysław pospieszył do stancyi, a w pół godziny potem, już stryj i synowiec pędzili do Galczyc.

Gdy już wjeżdżali do wsi, stary włodarz czekał na nich w opłotkach i żałośnie załamując ręce, dał znak,

że już się wszystko skończyło. Attak był tak gwałtowny, że doktor sprowadzony z miasta, zaledwie na pięć minut zdążył przybyć przed śmiercią, a ksiądz z poblizkiej wioski parafialnej, tylko co zdołał konającemu dać rozgrzeszenie i opatrzył go sakramentami świętymi na drogę do wieczności.

Nie potrzebuję opowiadać spotkania matki z synem, nie chcę odsłaniać tak świętych wzruszeń, przed oczyma obojętnych.

Po pogrzebie, który odbył się podług zwyczaju od dawna zaprowadzonego w obywatelstwie naszym, po kilku dniach poświęconych smutkowi i cichym łzom syna i matki, stroskana wdowa uprosiła pułkownika, żeby jako stryj Bożysława, był opiekunem sieroty i jej całego majątku.

Przywiązanie macierzyńskie dostarczyło Helenie siły do zniesienia śmierci męża, którego czciła jako najlepszego, najzaczniejszego, najmędrszego, najdoskonalszego ze wszystkich ludzi. Gdyby nasze żony nie czciły nas jak bożyszców, gdyby nas tak dobrze znały jak my znamy samych siebie, cóżby się zrobiło z małżeńskim pożyciem? Podobno wszystkie nieporozumienia małżeńskie przez to wzrastają i ztąd biorą początek, iż małżonki zawczasie i niepotrzebnie dowiadują się o wadach i ułomnościach swoich mężów.

Bożysław Hołubowicz wyplakawszy się po stracie ojca, pocieszył się tą myślą, że matka nie zechce się z nim rozłączyć i nie odeśle go do szkół publicznych,

a tem bardziej na pensyą, że będzie ciągłych używał wakacyi, spał tak długo jak mu się podoba, i nie łamał głowy nad łaciną i grecczyzną. Tworzył sobie tysiące projektów na przyszłość, a sława poetyczna zajmowała wśród nich najpierwsze miejsce. Taka to jest młodość nasza.

II.

Lecz pułkownik nie chciał pozwolić, aby jego synowie zaczęli baki zbijać od szesnastego roku życia. Umyślił go odesłać do konwiktu we Lwowie. Bożysław wymógł na matce, że zaniechano tego zamiaru. Stryj radził następnie, aby go oddano do kadetów, gdzie może po trzech latach wyjść prosto na oficera. Matka ani słyszeć nie chciała o wojskowości. A że jeszcze był za młody do nauk uniwersyteckich, stanęło na tém, że wyszukują dlań jakiego światłego nauczyciela, któryby jego wychowania dokończył.

Tymczasem Bożysław wystarał się o nową nejdyczanekę, zaprzągnął do niej dwa najlepsze konie cugowe i przynajmniej co drugi dzień jeździł do Lwowa. Tam wprawiał się u fehmistrza w robieniu szpadą i pałaszem, w strzelaniu do celu, a na dodatek w szlachetnej grze bilardu. Byłby może kształcił się w landsknechcie i faraonie, ale duch poetycki nie odstąpił go jeszcze i on

to odwiódł go od tej zgubnej przepaści. Namiętność do wierszy, nie dopuściła przystępu namiętności do kart. Nie narzekajcie więc za nadto, zacni czytelnicy, jeżeli które z waszych dzieci zaprzęta się poezją: nie ma złego coby na dobre nie wyszło. Bożysław lubił konie i psy myśliwskie, i nie raz jak szalony uganiał się za zającem. A biedna matka ciężkiego doznawała udręczenia i trwogi, myśląc, że jej syna jedynaka przyniosą kiedy rozbitego a może i nieżywego. Obok tych wszystkich wybryków, młodzieniec lubił czytać i pożerał wszystkie książki, jakiegokolwiek wpadły mu do ręki, prócz książek szkolnych.

Upłynęło na takich rozrywkach przeszło cztery miesiące, zanim wyszukano nauczyciela, któryby dla dorastającego Bożysława był stosownym. Znalezione go narreszcie. Był to człowiek wysoki, chudy, już blisko trzydzieści i ośm lat mający, blady, zawsze zamysłony i roz-targniony niekiedy. I on także uważał się za poetę, i to jeszcze za niepojętego, nieocenionego, a nawet prześladowanego poetę. Dobrali się więc obadwa. Pan Chrystofil Kostajło, (tak się nazywał ten nauczyciel) rodem z Litwy, dawny uczeń uniwersytetu Wileńskiego, posiadał dobrze język łaciński, znał cokolwiek język grecki, mówił po francuzku i niemiecku. Oznajmiony był także z naukami potrzebnymi dla przyszłego ucznia uniwersytetu; był przy tem łagodny, nieśmiały. Jedną miał tylko wadę; w młodszych latach serce jego za nadto było skłonne do zakochania się i to właśnie było powodem, że nigdzie długo pozostać nie mógł. W owej epoce, już mu tylko

z tej słabości pozostały wspomnienia i wyrozumiałość dla uczu, jakich kilkakrotnie doświadczał.

Pan Chrystofil czytał ze swoim uczniem poezye łacińskie, francuzkie i niemieckie w oryginale, angielskie zaś w dobrych tłómaczeniach niemieckich i to było najulubieńsze zatrudnienie ich obu.

Bożysław tłómaczył sceny Szekspira jak mógł, i deklamował je matce. Dobra kobieta chwaliła i autora i tłómacza, powodowana macierzyńskim przywiązaniem.

W owej to epoce, ów niedoszły uczeń gimnazyum, zaczął umieszczać w Rozmaitościach Lwowskich wiersze swoje pod pseudonimem *Wezuwiusz*: chciał on tym wyrazem oznaczyć, że jego pierś tak jest pełna poetyckiego ognia i kiedyś taki potok płomieni z siebie wyrzuci, jak ów neapolitański wulkan, wyrzucający potoki lawy, kłęby dymu i snopy ogniste.

Numera Rozmaitości Lwowskich, obejmujące w sobie te arcydzieła Bożysława, chowała najtroskliwiej jego matka, razem z jego najpierwszemi trzewiczkami, z łyżeczką którą był pierwsze pożywienie do ust własną ręką poniósł, z pierwszym kosmykiem jego włosów i innemi równie zajmującemi pamiątkami.

Geniusz jego pogrążył się wtedy w chmurach smutku i zwątpienia. Pewnego razu, przeczytał matce tragedya własną, oryginalną, w której już w drugim akcie zabił szesnaście ofiar. Lecz zbytek okropności, pobudził do niezmiernego śmiechu panią Helenę, a poeta rozgniewany, spalił swój utwor. Skreślił potem plan do poematu

bohaterskiego, wierszem nierymowym, pod tytułem *Bolesław Wstydlawy*, czyli *Najście Tatarów*; napisał dwie tragedye zupełnie w duchu greckim, pod tytułem: *Seneka*, czyli *Mordercza Kąpiel* i *Aryana na wyspie Naxos*. Sztuki te poprzeplatał chorami, strofami, anti-strofami, tak, że aż zdumiała się matka nad geniuszem synalka.

Na takich to zatrudnieniach poetycznych, przeplatających rozrywkami właściwemi młodzieży i na czytaniu od czasu do czasu, z panem Chrystofilem Kostailo, jakiej książki historycznej, upłynęło dwa lata. Nauczyciel pozyskał względy pani Hołubowiczowej, głównie za to, że wychwalał przed nią talent, pilność i rozum jej jedynaka. Uczeń i nauczyciel zgadzali się w zamiłowaniu poezyi, a gdy Bożysław dosiadł konia i z okoliczną młodzieżą pędził przez pola, przesadzał rowy, to pan Chrystofil niby mu towarzysząc, bo taka była wola matki, uwiązał swego konia u drzewa i dumał o dawnych, niewdzięcznych i niewiernych kochankach.

Pułkownik raz na rok odwiedzał swego synowca, a widząc go czerstwym, wesołym, przytem słysząc że dużo czyta i pisze, nie pytał się o rzeczywisty i gruntowny postęp w naukach; bo nareszcie, jakimżeby sposobem, dawny wiarus, a teraz o nic niedbający smakosz, mógł się poznać na takich rzeczach.

Przez ten czas, pani Helena, zaprowadziła w domu swoim jak największą oszczędność. Od śmierci męża nikogo nie przyjmowała, nie bywała nigdzie, nie wydawała na stroje, gdyż myślała sobie: „Trzeba zbierać

dla Bożysława, aby miał się o czem zaprezentować w świecie.” Serce Bożysława zaczęło przemawiać. Wyobraźnia rozbudzona czytaniem poezyi i romansów, szukała rzeczywistego żywiołu. Duma rodowa i rycersko poetyczna szlachetność, nie dozwalała mu zniżać się do córek ogrodnika lub karbowego, a zwodzicielstwo uważał za czyn niktzemny i ochydny. Daremnie upatrywał, czy to w kościele parafialnym, czy w miasteczkach, dokąd na jarmark lub na odpust wyjechał, czy nareszcie w samemże Lwowie, dziewczycy, któraby zgadzała się z ideałem wymarzonym w jego umyśle. Jedna była za nadto rumiana i już nie młoda, druga za nadto prosta szlachcianka, bez edukacyi, trzecia znowu za wiele miała przesady i zalotności. Nie lubił bywać na wieczorach tańczących, bo nie miał talentu do tańca, a przy tem, młodzież w jego wieku, a zwłaszcza zajęta poezyą, jest zwykle nieśmiałą i jeszcze nie umie znaleźć się w towarzystwie kobiet. Tak było około roku 1833, to jest w epoce tej powieści: teraz trzeba o lat pięć posunąć epokę tej nieśmiałości. Nie zakochał się więc Bożysław, lecz jak Donkiszot bez brody, ciągle szukał swej Dulcynei i ukradkiem spoglądał na wszystkie kobiety jakie tylko napotykał. Z sercem bijącym od nadziei i obawy, zapytywał sam siebie: czy ta piękność, jadąca w tej chwili tym żółtym koczykiem, który wjeżdża do miasta, nie będzie jego bóstwem? Może to jedna z tych trzech dziewczic w kapeluszach słomkowych, które idą na przeciw niego? Niestety, w żółtym koczku siedziała siedmdziesiąt-

letnia obywatelka, z drugą osobą w tym samym wieku, a te panienki w kapeluszach były piegowate i wyglądały na dziewczyny sklepowe! Gdziekolwiek zwrócił swoje kroki, biedny Bożysław nie mógł spotkać dziewczycy, której chciał poświęcić najpierwsze serca bicie.

Utęsknienie swoje ukrywał przed matką. I czyjaż to wyobraźnia szlachetna i żywa nie buduje zamków na lodzie? Helena powodowana instynktem macierzyńskim, odgadła tajemnicę swojego syna, lecz nie wspominała mu o tem. Pragnęła jak najgoręcej, aby jej Bożysław ożenił się z Laurą, sierotą, ale nie ubogą córką obywatelską, którą wzięła na wychowanie. Młodsza od niego o lat ośm, Laura skończy lat ośmnaście, gdy Bożysław dojdzie dwudziestu sześciu; będzie to więc dobrana para. Ułożyła sobie w myśli, że po skończeniu lat ośmnastu, jej syn uda się do uniwersytetu na kursa prawa, potem zwiedzi Francją i Niemcy, a powróciwszy poświęci się zawodowi sadowniczemu. Może przytem trzymać na sobie wieś ojczystą, tak blisko Lwowa położoną. Jedno dopomagać będzie drugiemu.

Gdy tak natura zaczęła wzruszać serce młodego Bożysława, zdarzyło się, iż pojechawszy do Lwowa, aby oddać do Rozmaitości wiersze przeznaczone do najbliższego zeszytu, spotkał się z dawnym swoim kolegą szkolnym. Właśnie zajechał przed hotel Wiedeński i wołał aby otworzono bramę od dziedzińca, gdy piękny faeton zatrzymał się przeddrzwiami.

— Bożysławie! czy to ty jesteś zawołał tonem pro-

tekcynym właściciel faetonu, oddając lejce małemu chłopcu który mu służył za żokieja.

Bożysław z trudnością poznał w wyelegantowanym młodym jegomości, swego dawnego współucznia, pana Leona Amirowskiego. Trzy lata czasu, zupełnie zmieniły studenta, który nieraz w szkole klęczał, a czasem i surowszą karę odebrał.

— Opuściłeś te utrapione szkoły kolego? rzekł Leon do Bożysława.

— Tak, zaraz po śmierci ojca, odpowiedział Bożysław niby fanfaroniskim tonem.

— I ja przecież wydostałem się ztamtąd, będzie rok temu. Ach! jakież to nudne miejsce dla młodzieży.

— Zapewne, odpowiedział Bożysław z miną zarozumiałą.

— Dalibóg nie pojmuję jak ja tam wyżyć mogłem; to osobliwość żem suchot nie dostał. Jak nas biednie żywiono na tej utrapionej pensyi u prefekta! Ale patrz jakiego mam pięknego konia, jaki modny karykiel! Czy widziałeś co piękniejszego? Kłus maprzewyborny, dwadzieścia minut na mile, po bitej drodze. I cóż mówisz?

Bożysław nie mógł ochłonąć z podziwienia. Tenże to student, tak niezgrabny i nieśmiały, chodzący w obcislým mundurku, z którego już był wyrosł do połowy, zamienił się w takiego eleganta i nabrał takiej śmiałości?

— Cóż tu robisz we Lwowie? zapytał się Leona.

— Sposobię się do uniwersytetu, jak widzisz: śmiejąc się odpowiedział Leon. Zjedz ze mną obiad a potem

pójdziemy do teatru. Może nie wiesz że przyjechało nowe towarzystwo aktorów i zamysła osiedlić się we Lwowie. Składa się z najlepszych subjektów, jakich tylko można było wyszukać w Wilnie i po teatrach miasteczkowych. Jest nawet parę osób z Warszawy.

— Nie byłem dwa tygodnie w mieście: odpowiedział Bożysław, nieco zawstydzony, że o tak ważnej rzeczy jeszcze nie wie. Mama była słaba i nie chciałem jej odstępować.

Pomyślał sobie, iż może być w teatrze, a przy świetle księżycy wracać do domu. Przystał więc na zaproszenie.

Obadwa weszli do hotelu, Leon stanął przed kantorem w sali jadalnej i zażądał tego likieru, jak zawsze.

W hotelu znano Bożysława i jego rodziców, od lat dawnych. Gospodyni bardzo była dla niego uprzejmą, zapytała się o zdrowie matki, stryja i pana Chrystofila. Młody panicz odpowiedział na te zapytania grzecznie, ale z zachowaniem swojej dostojności szlacheckiej.

Leon przybrał ton wcale odmienny. Zapytał się gospodarza, czy już mu katar z mózgu ustąpił, powiedział gospodyni jakiś koncept, zapytał się jej córki, kiedy zechce pójść za niego, umizgnął się do dziewczyny usługującej, a to wszystko tak prędko, tak trzpiotowało, że nie było czasu na odpowiedź. Wypił mieszaninę, którą dla niego sporządzono.

— Skosztuj Bożysławie, rzekł, to wódka mego wynalazku. Wszyscy moi koledzy uwielbiają mój smak i dowcip. Nic bardziej nie pobudza apetytu.

Bożysław wypił kieliszek. Była to mieszanina araku, kropel piołunowych i jałowcowych, i Bóg wie czego jeszcze. Przez ten czas gdy nasz młody poeta krzywił się i kaszlał, Leon rzekł do gospodarza, że jego towarzysz jest jeszcze młodym chłopcem niedoświadczonym, lecz on go wkrótce ukształci i otrzaska. Zarządził obiad składający się z tego, co tylko było najlepszego w spiżarni gospodarza. O szampanie nie zapomniał.

Po tem, dwaj koledzy wyszli na miasto. Leon palił cygaro bez ceremonii, nie zważając na zakaz.

Gdy mu o tem Bożysław nadmienił. --- „I cóż z tego, rzekł, jak mnie Niemcy zaczepią, to im rzucę talara strofu i będę palił dalej. Niech znają rezon polski. Przeszli potem koło redakcyi *Gazety i Rozmaitości*, a Bożysław wstąpił tam na chwilę i oddał swoją *Dumę do Rozpaczy*. Spotkali się z oficerami od huzarów węgierskich. Leon witał się z niemi brat za brat. Mówiono o pięknych znakomitszych elegantkach, znajdujących się we Lwowie, o ładnej i bogatej wdowie po kupcu Kacprowiczu, a nareszcie i o aktorach nowo przybyłej trupy. Nadaremnie Bożysław przypominał sobie niezgrabność, nieochędnostwo i znaną głupotę Leona w szkołach. Ten zacny kolega nie był mądrzejszym jak wówczas, a jednakże Bożysław z pewną dumą i radością przechadzał się z młodzikami, który miał swój własny karykiel, znał się z rotmistrzami, zarządzał obiady z winem szampańskim i rozmawiał o ładnych kobietach i aktorkach. W tej chwili postrzegł człowieka ze swojej wioski, przecho-

dzącego ulicą i zawołał na niego: napisał ołówkiem kilka słów do matki, donosząc jęj, że spotkał się ze swoim dawnym kolegą szkolnym, że zostanie na obiedzie wé Lwowie i będzie w teatrze.

Idąc dalej, dwaj młodzi ludzie spotkali starego profesora, u którego byli na pensyi. Professor postrzegłszy Bożysława, przywitał go uprzejmie, lecz z podziwieniem spojrzał na jego towarzysza, który od niechceńia ukłoniwszy się dawnemu nauczycielowi, puścił mu pod nos kłęb dymu tytuniowego.

Professor zaksztusił się i zmarszczył.

— Mam interes do prezesa trybunału, dawnego przyjaciela twego ojca, Bożysławie, rzekł: może pójdziesz ze mną i odwiedzisz go? Już tak dawno tam nie byłeś.

Zacny nauczyciel chciał oderwać młodzieńca od towarzysztwa, które uważał dla niego za niewłaściwe.

— Przepraszam, zaprosił mię mój przyjaciel Leon, odpowiedział nieśmiałym tonem i nieco zmieszany.

— Już doniósł o tém matce swojej, odezwał się Leon, nieco szyderczo i zuchwale.

— Lepiejby zrobił, gdyby zemną poszedł, pomruknął professor i oddalił się poważnym krokiem.

— Stary gderacz, nie lubi młodzieży: poszepnął Leon. Ale któż to idzie ku nam? To dyrektor teatru z Jaselskim! To nasz zacny pan Przemyski! „Jak się masz! jak się masz kochany dyrektorze! zawołał na niego.

— Jak się ma Jaśnie Wielmożny pan Leon Amirovski? zapytał dyrektor z niskim ukłonem „ubrany w wy-

tarty surdut z zatłuszczonym kołnierzem i w kapeluszu nie lepszym od surduta. Zapewne JWżni państwo zaszczycą dzisiejsze widowisko swoją obecnością? Gramy sławny dramat Kotzebuego *Nienawiść ludzi i żal*; a ja, najpokorniejszy sługa panów, będę grał...

— Już to nie cierpię waszych kostiumów, dyrektorze, przerwał mu Leon.

Na to odezwał się towarzysz dyrektora. Wolno panu dobrodziejowi, lecz zaręczam że zachwyci was panna Jaselskowska w roli pani Haller, albo ja nie jestem jej ojcem.

Bożysław ciekawie przypatrywał się tym figurom. Nigdy jeszcze nie był w blizkiem zetknięciu się z aktorami. W tej chwili postrzegł dawnego profesora, który wracał z biskupiego pałacu; na twarzy jego malowało się zmartwienie i niechęć, że swego ucznia i syna dawnego przyjaciela, zobaczył w tak niedobranem towarzystwie.

Wróciwszy do hotelu, pan Amirowski i Bożysław zasiedli do stołu. Obiad był jak najlepszy. Amirowski tak doskonale zjadał majonez z jędyka i pasztet z kuropatw, jak dawniej połykał kielbaski parowe ukradkiem wprowadzane na pensyę. Bożysław zdumiał się nad gastronomiczną umiejętnością swego kolegi, gdy tenże zganił wino szampańskie i powiedział, że jest fabryki krajowej, a wychwalał maderę. Wypili butelkę najlepszego Bordo, butelkę tego zganionego szampana i butelkę xeresu; zakończyli kieliszkiem anyżówki francuzkiej. Czyli to nie dość na dwóch młodziaków? Bożysławowi

zaczerwiniły się lica i zaiskrzyły oczy. Już też nadchodziła godzina widowiska. Poszli do teatru. Kupując bilety, Amirowski wskazał na starą kobietę, która drzymała w krześle i rzekł do swego przyjaciela. Oto jest stara Przemyska, przepyszenie gra rolę matek w tragediach. A więc ten młodzik zna cały teatr, od najmłodszej do najstarszej.

Nie troszczyli się o miejsca; wiemy bowiem, że widowiska polskie nie mają wielkiego powodzenia we Lwowie, w tem mieście od tak dawna zniemczalem. Było kilkanaście osób w krzesłach, ze trzydzieści na parterze, trochę żydowstwa na paradyzie, trochę mieszczan na galerii. Łoże były prawie puste, jedną z nich zajęli oficerowie węgierscy. Amirowski i Bożysław zasiedli w pierwszym rzędzie krzeseł. Do nich to i do oficerów w łoży siedzących, aktorowie prawie wyłącznie zwracali swoją grę i spojrzenia.

Pan dyrektor grywał najpierwsze role w tragedyi i w komedyi; przepyszenie wyglądał w roli Nieznajomego, w dramacie Kotzebuego. Miał buty sięgające prawie do kolana, obszerny płaszcz, kapelusz z czarném piórem, spadającym na jego twarz wywiędłą, ogromną czarną perukę, na palcu nosił pierścień, którego olbrzymi diament z szkła czeskiego, rzucał kłamliwe błyski. Skoro tylko postrzegł naszych młodzików, umyślił oczarować ich grą swoją. Już sobie wyobrażał, że na przyszłą reprezentacyą przybędą z swojemi rodzinami, z całym sąsiedztwem i zapełnią dziś opustoszałe łoże.

Nieznajomy, spoczywa na ławie i czyta, a tymczasem jego sługa czyni uwagi nad stanem pana swojego.

„Zawsze czyta! czyta od rana do wieczora! Natura nie ma dla niego wdzięków, życie nie ma ponęty. Od trzech lat uśmiech nie powstał na jego ustach. (Żałobny wyraz twarzy Przemyskiego, zamienia się podczas tych uwag wiernego sługi, w przerażającą rozpacz). Nic go nie może rozerwać. Ach! gdyby przynajmniej mógł powziąć przywiązanie do jakiejś żyjącej istoty, chociażby do zwierzęcia: bo człowiek musi kogoś kochać przecie.

Tobiasz (*wychodzi z chaty i postępuje naprzód sceny*). Ach! jak to jest miło, po siedmiu tak długich tygodniach, czuć jeszcze ciepły promień słońca. Dzięki tobie, Boska Opatrzności! dzięki za radość której doznaję w tej chwili!

(*Odkrywa głowę, wznosi oczy do nieba i modli się*). Nieznajomy bacznie wpatruje się w niego.

Franciszek, (do nieznajomego) Starzec ten nie może mieć wielkiego udziału w rozkoszach tego świata; lecz jakkolwiek małym jest ten udział, widzisz panie jak wielka jest wdzięczność jego.

Nieznajomy. Bo ten starzec jest jeszcze dzieckiem, którego nadzieja prowadzi na pasku (wymawiając te wyrazy Przemyski spogląda na Amirowskiego, który najobojętniej bawi się gałką od laseczki).

Franciszek. Nadzieja jest karmicielką życia.

Nieznajomy. A jej kolebką, mogiła.

Wyrazy te wymówił dyrektor z tak boleśnym tonem, tak konającym głosem i tak wlepił wzrok w Bożysława, że aż się zmięszał młodzieniec. Zdawało mu się, że wszyscy nań spoglądają i spuścił oczy. Od téj chwili, ilekroć spojrzał, zawsze spotykał się ze wzrokiem aktora, który jakoby wyłącznie grał dla niego. Przecież odetchnął swobodniej, gdy skończył się akt. Amirowski klaszcząc wołał: „Brawo Przemyski! brawo! Klaskajże i wołaj brawo Bożysławie! Ci jegomości lubią oklaski i przywoływania; niemi tylko żyją.” Wszyscy więc, i oficerowie z łoży zaczęli klaskać i wołać na wyścigi.

Zamiast matki Tobiasza i nieznajomego w butach węgierskich, teatr wyobraża salon w zamku Wintersen. Słudzy ustawiają z pośpiechem stoliki i krzesła.

„Ładna to dziewczyna! ta subretka? nie prawdaż, nie prawdaż? Ale zważaj! brawo! brawo!” Jasełkowska występuje.

Parter zaczął klaskać i tupać; tenże sam odgłos wydały galerye i łoże. Krzyk był taki iż możnaby mniemać, że wszystkie miejsca są zajęte. Nastąpiła chwilowa cisza. *Pani Haller* zbliżyła się na przodek sceny. Z oczyma bojaźliwie spuszczone, zachęcona oklaskami, piękna aktorka powiodła po sali spojrzeniem pełnem wdzięczności, a zakładając ręce na piersiach, cofnęła się o krok i złożyła ukłon z uroczystą powagą i wdziękiem. Wzmogły się oklaski. W tej chwili Bożysław uniesiony uwielbieniem i winem, które z Amirowskim wypił przy

obiedzie, klaskał i wołał brawo mocniej jak wszyscy. Postrzegła to pani Haller (Jasełkowska) jako też i inni widzowie, a stary i małeńki Prusiewski, pierwszy skrzypek orkiestry, (powiększonej na tę wystawę oddziałem muzyki pułkowej, dzięki uprzejmości pułkownika) wstał z miejsca swego, oparł się na kuli i uśmiechnął się także, z entuzjazmu naszego młodzieńca.

W rzeczy samej, panna Jasełkowska była wówczas w całym blasku piękności. Liczyła lat dwadzieścia i sześć, chociaż przyznawała się tylko do dziewiętnastu; lecz jeszcze nie zaczynała się starzeć. Bogate pukle czarnych włosów, otaczały jej wyniosłe i pogodne czoło i spadały na przesłiczne białe ramiona. Gdy rzuciła ulotne spojrzenie, to z pod jej długich rzęsów wybiegały błyskawice czułości i niepojętej tajemnicy. Rzechy można, że miłość i geniusz, na chwilę zabłyśły w jej źrenicy i zawstydzone uciekły. Zdawało się, że tylko kobieta obdarzona najwznioślejszem pojęciem, może mieć tak wspaniałe oblicze. Nie śmiała się nigdy, (to prawda, że nie miała pięknych zębów) lecz uśmiech pełen słodczy i wdzięku, gościł bez ustanku na jej ustach i w miłych dołkach jej lica. Miała na sobie długą czarną suknię, którą doskonale drapować umie. Kiedy niekiedy pokazywały się końce jej trzewików: szczerze mówiąc nie ciasnych i nie bardzo małych; w oczach Bożysława były to trzewiczki Kopciuszka. Lecz u tej czarodziejskiej istoty, najpiękniejsze były ręce. Z nich tworzyła jakoby siatkę przez którą trzeba było przedrzeć się do jej postaci; ręce były

u niej wszystkiem; czyli to założyła je na piersiach z wyrazem bolesnej rezygnacyi, czyli je spuściła na dół w nie-mej rozpacz, czyli je wspaniale wzniosła do góry, czyli, gdy w żywej i wesołej roli, ulatywały przed nią... Jak co? — jak białe gołębie przed wozem Wenery. Temi to rękoma wzywała ona, odpychała, przyciągała swoich wielbicieli: nie jednego, nie kochanka, bo ją broniła jej cnota i oko ojcowskie: lecz całą publiczność, którą zachwycała gra i piękność tej niezrównanej aktorki.

Jaselska pokazała się na scenie, piękna jak bóstwo, a Bożysław prawie od rozumu odszedł.

Zaczęła mówić spokojnym i łagodnym głosem. Kto zna ten dramat Kotzebuego, ten wie jak jest przesadnym i jak niezgodnym z naturą. Nikt jeszcze tak nie mówił jak osoby w tej sztuce. Mowa nieznanego tak jest fałszywa, jak ta książka którą czyta, jak jego włosy, jak dyament iskrzący się na jego palcu; lecz pośród gadaniny, są prawdziwe myśli o miłości, o dzieciach, o przebaczeniu i te wzniecają współczucie widzów.

Z jakąż czułością grała panna Jaselska rolę pani Haller! Najprzód, gdy jako gospodyni w domu hrabiego Wintersen, oczekując na przybycie JWielmożnego pana, wydaje rozkazy aby ugotowano obiad, uporządkowano sprzęty, posłano łóżka; mówiła wtenczas z spokojną i ukrytą rozpaczą. Lecz gdy odprawiwszy służących, mogła przed parterem i łóżami wynurzyć tajemne udręczenia swoje, to każdy widz stał się jej poufałym powiernikiem; każdy tak się wzruszył, jak gdyby oparta na jego

ramieniu, przed nim samym tylko łązy roniła. Mały i kulawy skrzypek z orkiestry (na którego wcale nie zważała), chociaż jej ani na chwilę z oka nie spuszczał, nie mógł prawie na miejscu dosiedzieć, a gdy wymówiła te słowa:

„I ja także miałam syna! jeżeli jeszcze żyje! Ach! tak! jeżeli jeszcze żyje! i jego małe siostrzyczki! Okropne wspomnienie! dla czegoż mię tak udręczasz? Dla czegoż zawsze stawiasz mi przed oczyma biedne moje dzieci, umierające z nędzy i wołające *Matko*?...

Wówczas Prusiewski zasłonił sobie twarz chustką niebieską i wołał: „Brawo!”

Wszyscy widzowie wzruszyli się jak najmocniej. Amirowski płakał. Bożysław tak był przeniknięty, że nawet płakać nie mógł. Utonął w grze artyski. Skoro tylko zeszła ze sceny, teatr wydał mu się zupełnie pustym. Widział tylko światła i mundury oficerów krążące w koło niego. Zapuściwszy wzrok za kulisy, postrzegł czarodziejkę, czekającą na kolej swoją; ojciec stał przy niej i trzymał jej chustkę. Gdy przyszła chwila pojednania, gdy pani Haller rzuciła się w objęcia nieznajomego, gdy dzieci uczepiły się do jej kolan, gdy hrabina, baron i wszystkie inne osoby, otoczyły pojednanych małżonków, oczarowany Bożysław, widział samą tylko pannę Jasełkowską. Prócz panny Jasełkowskiej nic nie istniało w koło niego! Kurtyna zapadła, jak zasłona grobowa. Nie słuchał zapowiedzenia jutrzejszej reprezentacyi, nie słyszał nawet, jak pannę Jasełkowską trzy razy wywoła-

no. Lecz zobaczył ją wtedy. Jakże piękną była z rozpuszczonymi włosami! Oficerowie obsypali ją buketami. Zatknęła je za pasek, odgarnęła włosy i wszystkich obdarzyła uśmiechem. Jej wzrok spotkał się z wzrokiem Bożysława. Kortyna znowu zapadła; jego bóstwo znikło.

Nie obchodziła go następna sztuka, ani muzyka, ani tańce. Cóż mu po tem wszystkim? Jasełkowska tam nie grała. Wyszedł przed końcem widowiska; chodził jak błędny po ulicach Lwowa, Bóg wie jak długo; nareszcie przyszedł do hotelu. Konie już były zaprzężone, wsiadł do nejdyczanki i pojechał. O pierwszy po północy przybył do Galczyc. Matka czekała za nim, weszła do jego pokoju gdy już zasypiał i poprawiła na nim kołdrę, z zyczajną macierzyńską troskliwością.

Bożysław zmordowany i obfitą biesiadą i doznaniem wzruszeniem, głęboko zasnął natychmiast. Nawet i w późniejszym wieku, gdy człowiek długo mocije się z troskami i myślami, uśnie na chwilę skoro się położy; lecz niespokojność wkrótce go doścignie, wstrząśnie biedakiem: „No! wstań, rzecze, pogadajmy ze sobą.” I nie da mu spać przez resztę nocy. Nie wiemy co nastąpi potem, lecz w tej chwili Bożysław jeszcze nie zabrnął tak daleko; spał snem kamiennym i obudził się o wschodzie słońca, gdy wróble zaczęły świergotać pod oknami. Skoro tylko oczy otworzył, obraz ukochanej zjawił się przed jego oczyma. „Moje kochane dziecię, rzekł do niego, głęboko zasnąłeś i nie chciałem ci przeszkadzać; lecz nie odstępowałem cię ani na chwilę, i nie opuszczę cię tak

łatwo. Przynoszę ci miłość, której od dawna pragnąłeś.”

Czyliż się przeląkł tego zjawiska? bynajmniej. Nie wiedział co mu się stało; doznawał najtkliwszej rozkoszy. I tak samo jak przed dwoma laty, gdy mu ojciec podarował zegarek złoty za promocją do piątej klasy, Bożysław podskoczył z radości, witając nowe szczęście, ów dar przyjaznego losu.

Uczuł, że od dnia wczorajszego, dojrzałszy jest o przeciąg lat kilku. Był tak zakochanym, jak najznamienitszy bohater, w którejkolwiek powieści. Śmielszym tonem zawołał na Jana, aby mu przyniósł wody do umycia; tego poranku ubrał się w piękniejszą suknię i zszedł do salonu, spoglądając uroczystym wzrokiem na matkę i na małą Laure, która już od dwóch godzin brzdąkała na fortepianie. Dziewczynka zachwyciła się jego wspaniałą postawą i prosiła aby jej opowiedział jakie to było widowisko.

Bożysław zaczął śmiać się i w krótkich słowach zbył jej ciekawość. Wówczas zapytała się dla czego bierze szpilkę złotą i najpiękniejszą kamizelkę.

Bożysław zapłonąwszy się rzekł do matki, że jego dawny kolega szkolny przybył do Lwowa, ze swoim przewodnikiem, bardzo światłym człowiekiem, chciał więc powziąć od niego wiadomość o kursach uniwersyteckich. Helena wpatrywała się w twarz syna; smutne jakieś przecucie i trwoga ogarniały ją od chwili, gdy wczorajszego dnia odebrała wiadomość, że Bożysław nie powróci

na obiad. Nie zmieszały go jej spojrzenia; pocieszyła się i uspokoiła tą myślą, że jej syn nigdy nie kłamał. Przy śniadaniu, Bożysław zachował niezachwianą powagę; na nieszczęście, pan Chrystofil, który od kilku miesięcy bardziej był jego towarzyszem niżeli nauczycielem i przewodnikiem, cierpiąc na ból głowy, nie przyszedł na śniadanie. Młody Hołubowicz pożegnał się z matką i Laurą, do Chrystofila ani zajrzał. Nejdyczanka i konie już czekały w pogotowiu. Z początku jechał dosyć wolno, lecz za wsią puścił się szalonym pędem tak, iż zaledwie bryczki nie rozbił i koni nie ochwacił. Postanowił dziś rano widzieć się z Amirowskim; musiał mówić o *niej*, musiał czegoś dowiedzieć się o *niej*, musiał zobaczyć kogoś takiego który *ją* zna, który bywa w *jej* domu.

Odesławszy konie do hotelu, Bożysław pobiegł prosto do mieszkania Amirowskiego. Tam zastał tylko jego towarzysza. Amirowski wrócił bardzo późno i nie kazał się budzić.

Bożysław wyszedł i jak szalony chodził po mieście. Nareszcie około południa, pan Amirowski zaczął być widzialnym i leżąc w łóżku na pół jeszcze zaspany, przyjął swego kolegę.

— Jaki też z ciebie dziwak! rzekł do Bożysława. Coś się wynosił z teatru? Po reprezentacyi jedliśmy i pili przez całą noc. Był razem z nami dyrektor teatru i ojciec Jasełkowskiej. Obydwa śpiewali bardzo ucieszne piosneczki.

Służący wszedł z oznajmieniem, że pan Jasełkowski

czeka w salonie. — „Powiada że go Jasny Pan zaprosił na śniadanie; już tu był pięć razy lecz nie chciałem budzić Jasnego Pana, a teraz siedzi już od jedenastej.

— A któraż jest teraz?

— Pierwsza Jasny Panie!

Powiedzmy słów kilka o tych dwóch osobach.

Amirowski, w dzieciństwie stracił rodziców, zostawał pod opieką dziadka, człowieka starych obyczajów, który oszczędność aż do skąpstwa posuwał. Dla tego też, współzumniowie, widząc że jest kuso ubranym, bez grosza na drobne studenckie wydatki, a przytem nieśmiałym, zakrzyczeli go i zahukali. Lecz gdy wkrótce po wyjściu ze szkół, odziedziczył cały majątek po śmierci dziadka, prędko otrząsł się z szkolnej niezgrabności, i został owym trzpiotem śmiałym, rozrzutnym i wesołym, jakiegoście poznali. Nieukiem był w szkołach, nieukiem pozostał, ale zamienił się w modnego eleganta, a gdy wyszedł do gości, miał najcieńszą bieliznę, był wyperfumowany, słowem, przepyszny.

Pan Jaselkowski siedział w framudze od okna, i niby czytał gazetę. Oczy miał zaczerwieniałe, zapuchłe, ubiór nie ciekawy, obuwie zużyte kapelusz stary i pogięty. Z postaci i ubrania widać było, że bieda jest jego nieodstępną towarzyszką, a co gorsza, że ta bieda jest córką nieporządnego życia. Upodobanie w anyżówce wryło się na policzkach, oczach, a mianowicie też na nosie Jaselkowskiego.

Człowiek ten jadał chleb nie z jednego pieca, a raczej właściwiej powiem że do wszystkich niemal pieców zaglądał. Za młodu służył w wojsku austriackiem i ztąd przywłaszczał sobie tytuł kapitana, którego mu dawać nie będziemy, przez usz nowanie dla tego stopnia. Wziął dymissyą, dostał się do Polski i tam zawiesił się jako ofycyalista przy dzierżawcy dochodów konsumpcyjnych w Warszawie. Wtedy to wszedł w związki małżeńskie i został ojcem jedynaczki córki. Przewinił przeciw przepisom służby konsumpcyjnej i dostał dymissyą. Z kolei był rządcą domu w Warszawie, pisarzem prowentowym na prowincyi, świadkiem stałym u regentów za dwa złote: z których trzy czwarte odliczano mu na dochód kancelaryi, nauczycielem czytania i pisania u pewnego bogatego bednarza i tak spychał rok za rokiem. A wszędzie i zawsze, utrapiona anyżówka płatała mu figle i wysadzała z miejsca. Pani Jasełkowska, kobieta zabiegła, ratowała się jak mogła, zarabiała szyciem, a gdy jej córka Magdusia doszła do lat dziesięciu, potrafiła wkręcić ją do szkoły dramatycznej. Już wówczas można było przewidzieć, że Magdusia będzie piękną; na jej urodzie opierała matka nadzieję, polepszenia bytu w przyszłości. Lat sześć była dziewczynka w tej szkole, a gdy wyrosła na pannę Magdalenę, przemieniono jej imię na Klaryssę jako dramatyczniejsze.

Na nieszczęście, talenta panny Klaryssy nie tak się prędko rozwijały jak jej uroda, a gdy w siedemnastym roku życia, wystąpiła na scenę, to tak była zimną i nie-

ruchomą, że sąd publiczności jednomyślnie wyrzekł o niej: „Szkoda że przy tak ładnych rysach, nie ma żadnego pojęcia o sztuce.” Proszę przypomnieć sobie, ile w owej epoce, a było to około roku 1825, mieliśmy znakomitych artystek w tragedyi i dramatach; możemy więc łatwo ocenić; że przy nich zgasła nowo występująca dziewczyna. Trzeba było, żeby szczególny traf, o którym wkrótce wspomniemy, wyprowadził ją z nicości.

Prowincjonalne teatra, nie są tak trudne w wyborze, i publiczność nie tak wymagająca jak Warszawska. Wkrótce więc po tem, panna Jasełkowska znalazła miejsce i dosyć korzystne w teatrze Wileńskim. Rodzice pociągnęli za nią; matka aby pilnowała swojej córeczki: bo rachowała na to, że jej piękność złowić potrafi, nie chwilowych wielbicieli, ale bogatego męża; ojciec zaś dla tego, że nie miał ani co robić, ani z czego żyć w Warszawie, bo już go znano jak zły szeląg. Niepotrzebuję opowiadać szeroko, jak częste przemiany zachodzą w bycie prowincjonalnych teatrów; jedna z takich przemian rozproszyła towarzystwo Wileńskich aktorów, a cała rodzina Jasełkowskich dostała się do Lwowa.

Tam matka zarabiała jak mogła, szyciem i naprawianiem ubiorów teatralnych, a stary włóczył się po mieście i szukał takich, którzyby go poczęstowali, powodowani uwielbieniem talentu jego córki.

— Pana dobrodzieja miałem honor poznać dnia wczorajszego, odezwał się Jasełkowski do Bożysława, kłaniając się teatralnym sposobem. Jakże zdrowie pańskie?

Bawiliśmy się doskonale przez całą noc, Leon Amirowski, trzech oficerów od huzarów i ja.

Bożysław tak był wzruszony, iż z razu mówić nie zdołał. Ten jegomość jest jej ojcem, ojcem jego bogini!

— Spodziewam się, że panna... panna Jasełkowska jest zdrowa, po wczorajszym utrudzeniu? zapytał się zapłoniony. Ach! takie na mnie uczyniła wrażenie, jakiego nigdy jeszcze w życiu nie doznałem. Z takim zachwyceniem słuchałem i widziałem ją wczoraj. Przekonany jestem, że panna Jasełkowska jest najdoskonalszą artystką dramatyczną na całym świecie!

— Podaj mi rękę młody panie, zawołał Jasełkowski, nagle przybierając ton poufaly. Widzę że twoje słowa z głębi serca pochodzą. Dziękuję ci panie! Tak jest! stary to żołnierz i tkliwy ojciec, dziękuje tobie. Panie, rzekł z westchnieniem, my jesteśmy starą szlachtą, może najdawniejszą; mamy dokumenta jeszcze Bolesława Chrobrego zasięgające, że przodek mój Jasło, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach; ale zubożeliśmy już od trzech wieków, a teraz moja córka występuje na scenie i nam pomaga.

— Panie, odezwał się Bożysław, żadne zatrudnienie nie wstydzi człowieka, a zawód artystki dramatycznej jest jednym z najzaszczytniejszych.

— Tak jest! zawołał Jasełkowski deklamacyjnym tonem, a mianowicie, gdy ta praca idzie na wsparcie sędziwego ojca i matki!

Amirowski ubrał się tym czasem i poszli na śniadanie.

Wino rozwiązało do reszty usta Jasełkowskiemu. Wtenczas dopiero zaczął rozpowiadać, jak go zawsze los przesładował, jakie mu złości i krzywdy wyrządzano, jak go nienawidzono za to, że rządził się prawdą i uczciwością i dla tego właśnie zazdroszczono mu każdego kawałka chleba, pozbawiano go sposobu do życia którego się chwycił, aż nareszcie oburzony i znudzony tą walką z przeciwnościami, opuścił ręce i zdaje się na gwiazdę, na cnotę i talenta swojej córki. Przy tych słowach, rozpłakał się jak dziecko.

Wyszli z restauracyi, trzymając się pod ręce. Jasełkowski dumny był z towarzystwa dwóch młodzików. Gdy przechodzili koło kilku kramów, skinął głową kupcom, którym zapewne był winien po parę złotych, a mina jego wyrażała: „Widzicie w jakim jestem towarzystwie, zapłacę wam, bądźcie pewni!” Wstąpili na bilard gdzie Amirowski miał się zejść z kilkoma oficerami. Został tam, a Bożysław z Jasełkowskim poszli dalej.

Po drodze, ojciec aktorki zapytywał się jakby od niechcenia, o majątek Amirowskiego; zdawało się że ma na niego jakieś widoki. Bożysław szedł przy nim, coraz bardziej zajęty jego rozprawianiem. W dziecinnej prostocie wierzył wszystkiemu; jeszcze nie nauczył się nieufności.

W ciągu tej rozmowy, Jasełkowski podał mu bilety do łoży, na widowisko benefisowe na dochód Klaryssy, Bożysław miał przy sobie dwa pół-imperyały, ofiarował je z wielką nieśmiałością, ubolewając w głębi duszy, że więcej dać mu nie może.

Jaselski uradowany tym datkiem, uważał, że to jest młodzieniec zacny, szczerzy i otwarty, i zaprosił go do swego pomieszkania, mówiąc, że jego córce miło będzie poznać tak zanego wielbiciela jej gry i tak znakomitego znawcę. Tego zaszczytu nie łatwo kto dostąpił u rodziców Klaryssy: bo polując na bogatego męża, nie chcieli szkodzić jej reputacyi, niepotrzebnymi miłostkami.

Bożysław nadzwyczajnie uradowany był tem zaproszeniem; szczęście, o którym zaledwie mógł marzyć, samo cisnęło się do niego i z trudnością powściągnął swoje wzruszenie. Wyrzekł kilka słów urywanych, iż z największą przyjemnością będzie miał honor poznać osobę, której talent tak wysoko ocenia i uwielbia, i poszedł za Jaselskim nie zważając gdzie idą. Zobaczy ją! zobaczy tę która jest wszystkim dla niego! Dzień wczorajszy, przed reprezentacją wieczorną, wydawał mu się iak przedpotopowa epoka, zamierzchła i zapomniana; teraz nową erę życia rozpoczął.

Jaselski zaprowadził go na jedną z nieładnych i bocznych uliczek miasta. Sztachety ogrodu dawnej pensyi Bożysława, były wprost okien jego mieszkania; tam rodzina artystki zajmowała parę szczupłych pokoików, na pierwszém piąterku.

Bożysław potknął się na progu, a gdy wstępował za swoim przewodnikiem po starych nadpróchniałych schodach, nogi mu drżały. Wszedł do pokoju... do jej pokoju!.. W oczach mu się zaćmiło. Postrzegł przed sobą ja-

kąś postać w czarnej sukni, która mu się ukloniła i słyszał, ale bardzo niedokładnie, jak Jasełkowski przedstawiał Klaryssie, swego zacnego i młodego przyjaciela, pana Bożysława Hołubowicza, właściciela dóbr w pobliżności Lwowa, człowieka bardzo światłego, miłośnika sztuki dramatycznej i poezyi, a co więcej i poetę.

— Piękny mamy dzień: rzekła Klaryssa tonem poważnym i melancholicznym.

— Bardzo piękny, odpowiedział Bożysław, zebrawszy zmysły.

Takimto *romansowym* sposobem zaczęła się rozmowa między niemi. Bożysław siedział wprost naprzeciw artystki i mógł jej się do woli przypatrzeć. Jeszcze była piękniejsza w pokoju jak na scenie, co u aktorek bardzo rzadko się zdarza. Każde jej ruszenie tchnęło szlachetnością i majestatyczną powagą. Gdy wstała i oparła się o kominiek, to jej suknia tak klassycznie układała się na niej w draperye, iż można było wziąć ją za muzę pogrążoną w dumaniu. Jeśli usiadła w krześle, to wyglądała jak królowa.

— Jest dzień bardzo piękny i ciepły: powtórzyła ta nowa monarchini.

Bożysław znowu przyświadczył tym słowom. — Potem uczyniła bardzo *światłą* uwagę, iż z tego gorąca zbierze się na burzę i deszcz, ale to zapewne jutro lub pojutrze, i rozmowa ciągle toczyła się w ten sposób.

Zapytała ojca, czy dobrze bawił się wczoraj wieczor-

rem w hotelu Wiedeńskim; a stary opowiedział jak wesoło biesiadowali.

— A ty moje dziecię cożeś robiła dziś rano?

— Prusiewski przyszedł o dziesiątej, rzekła: uczyłam się roli *Ofalii*. To na 24-ty tego miesiąca i spodziewam się, że pan zaszczytisz obecnością swoją to widowisko: odezwała się do Hołubowicza.

— Jak najniezawodniej! zawołał Bożysław, dziwiąc się nieco, że tak wielka artystka, Ofelię Szekspira przeważała *Ofalą*.

— Pan Bożysław wziął jedną lożę na twój benefis, kochana Klarysso, rzekł ojciec, brzając złotem Hołubowicza.

— Pan... pan dobrodziej jest bardzo łaskaw na nas, rzekła artystka.

— Nazywam się Bożysław Hołubowicz, rzekł młodzieniec zapłonawszy się, i śmiem spodziewać się, że pani raczy zatrzymać w pamięci to imię.

Zdziwiła go jego własna odwaga, gdy te słowa wyrzekł.

— Bożysław Hołubowicz! powtórzyła powoli, a głos jej był tak miłym, tak przenikającym, że nawet to nazwisko dosyć grubo brzmiące, nabrało wdzięku w jej ustach. Młodzieniec rzekł:— Nie spodziewałem się aby moje nazwisko było tak miłe dla ucha.

— To nazwisko jest takie jak każde inne: rzekła *Ofalia*: ale ja słyszałam bardzo dziwne nazwisko, w naszym Wileńskim teatrze. Mieliliśmy aktora co się nazywał *Ba-*

labajtys. Za nic w świecie nie można go było nakłonić aby się przezwiał inaczej. To też go nigdy nie wywoływano, bo ile razy chciano to zrobić, to taki śmiech powstał, że nieborak nie śmiał pokazać się publiczności. Pamiętasz go ojciec; występował w Barbarze Radziwiłównie z panią Suszyńską, która grała rolę Barbary.

— A śliczna mi Barbara! przerwał Jaselkowski, kobieta mająca pięćdziesiąt lat i matka dziesięciorga dzieci. Tyś powinna była grać Barbarę,

— Jeszcze wtedy nie występowałam w pierwszych rolach, rzekła skromnie Klaryssa: nie byłam zdolna do nich, póki nie brałam lekcji od Prusiewskiego.

— To prawda, moje kochane dziecko, rzekł kapitan i zwracając mowę do Bożysława przydał: Szczęśliwy traf sprowadził do Wilna, tego pocziwego skrzypka; nie młody, mały, kulawy, brzydki, ale jak się zna na sztuce dramatycznej! On to wykształcił Klaryssę, jemu to, wyznajemy, winna jest reputację swoją.

Jużeśmy wspomnieli o tym pocziwym skrzypku, który także przyklaskiwał w orkiestrze, grze panny Jaselkowskiej w roli pani Haller.

— A cóż robiła po odejściu Prusiewskiego Klarysso? zapytał się ojciec?

— Zrobiłam galaretę z nówek cielecych: odpowiedziała Klaryssa z przecudowną prostotą i zaprawiłam ją ponczem.

Jeżeli nie pogardzasz naszym skromnym domkiem, panie Bożysławie, rzecz jasna, prosimy cię na ma-

ły gospodarski obiadek. Moja córka umie robić doskonałe galarety i melszpejzy, szynkę tak przyrządzi jak nikt w świecie, a ja pochwalę się sławnym ponczem mego wynalazku.

Bożysław przyrzekł matce, że wróci przed wieczorem do domu; lecz jak tu się oprzeć takiemu zaproszeniu? Z zachwyceniem i podziwem poglądał na *Ofelę*, krzątającą się koło obiadu. Nakryła stół i ustawiła talerze i szklanki, z wdziękiem i wesołością niezrównaną.

Przed samym obiadem, wyszła z gabineciku stara pani Jasełkowska. Nie wiele co powiem o niej. Spojrzała przenikliwym wzrokiem na Bożysława, jak gdyby chciała odgadnąć, czy nareście nie złowi go na męża dla swojej córki. Z resztą, była to osoba, nie zdolna do prowadzenia żadnej innej rozmowy, prócz o gospodarstwie, szyćiu i kuchni. Przy stole uczęstowała Bożysława sposobem rychłego tuczenia drobiu, a Klaryssa dołączyła trafne uwagi nad tak ważnym przedmiotem.

Po obiedzie, gdy kapitan przestał prawić o sobie i o swoich przygodach, Bożysław chciał zacząć rozmowę z panną Klaryssą, o poezyi i o sztuce dramatycznej. Zapytał się, jak uważa charakter Ofelii, czy ona kocha Hamleta?

— Co? ja bym miała kochać takiego niezgrabiasza, i starego, jakim jest, rzekła, dyrektora naszego teatru? (Przemyski dyrektor miał grać rolę Hamleta). Samo to przypuszczenie, przejmowało ją zgrozą i dreszczem.

Bożysław wytłumaczył się, że nie o niej mówi i o Prze-

myskim, lecz o Ofelii i Hamlecie, o osobach z tragedyi Szekspira.

— A, jeżeli to się mnie sobiście nie dotyczy, w takim razie nie obrażam się bynajmniej, lecz za Przemyskiego nie dałabym ani szeląga.

Bożysław zaczął mówić o Kotzebuem.—Czy pani zna tego autora?

— Kto jest ten pan? rzekła Klaryssa.

— Autor sztuki, *Nienawiść ludzi i żal*, w której tak doskonale grała pani dnia wczorajszego.

— Nie widziałam go jeszcze; nie słyszałam czy był w Warszawie, albo w Wilnie, za mojej bytności w tych miastach.

Bożysław uśmiechnął się z jej cudownej prostoty. Opowiedział jej smutny zgon tego dramatycznego pisarza. Pierwszy raz w życiu panna Jasełkowska usłyszała o Kotzebuem, lecz bardzo wzruszyła się jego nieszczęśliwą dolą, a Bożysław wniósł ztąd, że jego bogini ma serce tkliwe i czułe. Spojrzał na zegarek, przypomniał sobie, że już nadchodzi godzina, na którą przyrzekł powrócić do Galczyc. Przewyciężył się więc i pośpieszył, ile tylko konie wystarczyć mogły.

III.

Wieczorem przed rozpoczęciem widowiska, stary Jaselski wziął się do kufła ponczu własnej roboty, a panna Klasyssa nie pogardziła szklanką tego napoju.

— Co on tam prawił o szaleństwie Hamleta i o co on się pytał? rzekła do ojca.

— Dalibóg nie wiem, moja kochana Klarysso, odpowiedział. Musi nam to wytłumaczyć Prusiewski.

— Jest to miły i przystojny młodzieniaszek. Ile zapłacił za łóżę?

— Dwa pół-imperyały. Mógłby też ofiarować więcej; zdaje mi się, że nie bardzo jest przy pieniądzach!

— Ale jaki uczony! rzekła Klaryssa. Kotzebue! nie słyszałam o tém nazwisku. Czy wiesz ojcze o jego śmierci? Muszę o to spytać się Prusiewskiego,

— Dobrze, jak ci się spodoba, odpowiedział stary. Ale jak doskonale śniadanie dał nam pan Amirowski.

— O! ten to zapewnie weźmie dwie łóżę i kilkanaście

biletów na parter; założę się o to: rzekła Klaryssa, zajęta głównym przedmiotem, dochodem ze swojego benefisu.

— Zaręczam zato, odpowiedział ojciec.

O w pół do siódmej poszli do teatru.

Jak jest piękna! mówił do siebie Bożysław, pędząc do domu. Jak jest naiwna! jak tkliwa! Z jakimże zachwyceciem widziałem, iż osoba obdarzona takim geniuszem, zniża się do skromnych i miłych zatrudnień domowych, robi galaretę z nóżek cielecych, nakrywa do stołu, i poncez zaprawia dla zacnego swego rodzica! Jakże mi trudno było wyprowadzić ją na rozmowę o sztuce dramatycznej! Powodowana skromnością, nie lubi mówić o swoim zawodzie. A jak zręcznie umie zmienić przedmiot rozmowy! Kapitan jest trochę nudny, ale bardzo uprzejmy. Wspomniał, że w młodości był fehmistrzem. Muszę brać lekcye od niego. Będę miał przez to sposobność uczęszczania do ich domu. Klarysso! Klarysso! jesteś najpiękniejszą, najlepszą, najdoskonalszą istotą.

Czyliż Bożysław mógł ocenić ją należycie? Widział dwoje pięknych oczu, i zaślepił się ich blaskiem; widział piękną figurę i padł przed nią na kolana. Czyliż tylko sam Pigmalion zakochał się w posagu?

A teraz gdy już czytelnicy słyszeli rozmowę Bożysława z panną Jasełkowską, mogą utworzyć sobie zdanie o wiadomościach i dowcipie tej panny. Nie miała żadnego wyobrażenia o literaturze dramatycznej, a tem bardziej o innych jej rodzajach. Umiała dobrze oddać żal, miłość, rozpacz, zgola wszystkie namiętności, podług ska-

zówek jakie jej Prusiewski udzielał. Musiał kilkakrotnie powtórzyć i to w wyrazach stosownych do jej pojęcia, treść jej roli; łkała tam, lub śmiała się, gdzie jej kazał łkać, i śmiać się. Jej temperament był niezmiernie zimny i obojętny; miała przy tem dosyć zdrowego rozsądku i razem z matką czatowała na bogatego męża. Liczne bowiem przykłady wskazywały jej, że nie jedna piękna aktorka, dostąpiła takiego celu swoich życzeń i rachuby.

Będąc zawsze panią siebie samej, a przy tem obdarzona bardzo harmonijnym i przenikającym głosem, piękną postacią i urodą, mogła trzymać się przepisów swego nauczyciela i zachwycać masę widzów. Głębsi znawcy, byliby zapewne odgadli, że tam jest sama sztuka mechaniczna, że tam nie ma prawdziwego wzruszenia i czucia. Ale gdzież takich znawców szukać. Mało ich bardzo znajdziesz w Warszawie, w tem ognisku naszej oświaty i smaku, a cóż dopiero na prowincyi?

Blisko wsi spotkał Bożysław swego mentora, pana Kostałę, który niespojnością powodowany, wyszedł naprzeciw niego.

— A cóż to się stało panie Bożysławie, rzekł do niego, już dwa dni dochodzi, jakeśmy się nie widzieli? Co dzień wyjeżdżasz do miasta, a Historia cywilizacyi przez Guizota, którąśmy czytać zaczęli, spoczywa nietknięta.

— Daj mi tam pokój z historią cywilizacyi; nie wiesz kogom poznał i gdzie był. Siadaj ze mną. Wieczorem wszystko panu opowiem. Uważam cię i szanuję jak przy-

jaciela, wiem przy tem, że na twoje serce i współczucie rachować mogę.

Zdziwił się Kostajło taką odezwą, ale w tej chwili nie było czasu do powierzeń bo zajechali przede dwór.

Przy herbacie i kolacyi, Bożysław był niezmiernie wesoły. Wiele mówił, opowiedział sztukę na której był dnia wczorajszego; rozwodził się nad grą dyrektora Przemyskiego. Uradowana Lorcia klaskała w ręce.

— A pani Haller? zapytała się pani Hołubowicz.

— Jest straszliwie zachwycająca! odpowiedział Bożysław, śmiejąc się do rozpuku i powtarzając też same wyrazy, jakich użył szanowny jego przyjaciel Amirowski.

Nie zrozumiała go matka; wówczas opowiedział dosyć ostrożnie grę tej artystki, a potem skreślił obraz Amirowskiego, jakim był w szkołach gdy go towarzysze przezywali *Badylem*, a jakim jest teraz, młodym i świetnym elegantem. Lecz mimo tej sztucznej wesołości, nie wspomniał ani słóweczka o zaznajomieniu się z Jaselkowskim i o swej bytności w jego domu.

Wieczorem wynurzył przed panem Kostajło tajemnicę swego serca. Mentor przypomniał sobie dawne kochanki, rozplakał się i odezwał słowami Wirgiliusza:

„Doznawszy nieszczęść umiem nieszczęśliwych wspierać.”

Przypomniał sobie, że pannę Jaselkowską widział w Wilnie i że żaden zarzut nie ciążył na jej reputacyi.

To pobłażanie nauczyciela, jeszcze bardziej ośmieliło Bożysława.

Nie mógł zasnąć prawie do trzeciej rano. Obudził się wcześniej, dosiadł konia i jeździł po polach i lasach.

Trzeba było wynaleźć powód do ustawicznego jeżdżenia do Lwowa. Parę koni tak zajeździł, że musiał wziąć drugie, a tamte na łąki odesłać. Dobroduszny Kostajło dopomógł mu w tej sprawie. Powiedział przed panią Hołubowicz, że muszą czynić poszukiwania historyczne, w bibliotece publicznej, do wielkiego poematu dramatycznego, nad którym zaczął pracować Bożysław; a dla rozrywki i wprawy, parę godzin ćwiczyć się będą w robieniu bronią. Matka zaspokojona, że syn jedzie w towarzystwie nauczyciela, nie domyślała się niczego. Tak więc, trzy razy w tydzień, Bożysław mógł napawać się widokiem wdzięków swojej Klaryssy, a pan Kostajło poczytawszy trochę w bibliotece, poszedł do cukierni, pił herbatę i jadł ciastka na rachunek swojego ucznia.

Potrzeba było pieniędzy na bilety do teatru, na częstowanie pana Jaselkowskiego, a bardziej jeszcze na prezenciki dla panny Klaryssy, które ona z niesłychanym wdziękiem i skromnością przyjmowała, jako miłą pamiątkę szanownej i bezinteresownej przyjaźni. Na te wszystkie wydatki, usługony właściciel hotelu Wiedeńskiego pożyczył Bożysławowi pięćset reńskich. Młodzieniec obowiązał się przysłać mu za to owsa, zaraz po zasiewach jesiennych.

Miłość dodała nowej mocy poetycznemu duchowi Bo-

żyśława. Dwa razy co tydzień można było znaleźć w Rozmaitościach Lwowskich, wiersze do pani Haller, do Ofelii, i do Klaryssy. Baczny Bożysław nie podpisywał ich pseudonimem *Wezuwiusz*, lecz *Eros*, a nikt się nie domyślał, zwłaszcza też matka, że to są utwory jej syna.

— Któż to jest ta dama, której pochwały opiewa twój rywal w Rozmaitościach? zapytała się pewnego razu.

— Nie wiem, mamó, odpowiedział Bożysław, odwracając się na bok, aby ukryć pomieszanie.

— Coś usiłują naśladować twój sposób pisania? mówiła dalej pani Helena. Ale twoje wiersze są lepsze. Czy widziałeś tę Klaryssę Jasełkowską?

Bożysław odpowiedział, że gdy był na wystawieniu dramatu Kotzebuego, ona grała rolę pani Haller.

Ale właśnie też, mamó, panna Jasełkowska grać będzie rolę Ofelii w tragedji Szekspira, Hamlet, na swój benefit. Niech mama weźmie łożę. Warto być na tak sławnej tragedji. Szekspira bardzo uwielbiał mój ojciec.

Na wspomnienie męża, rozplakała się wdowa, uściskała syna i przyrzekła, iż będzie w teatrze. Lorcja podskoczyła z radości.

Jakiegoż uczucia doznawał w tej chwili Bożysław? czy radości? czy wstydu? Już chciał wszystko wyznać przed matką, lecz wstrzymał się. Umyślił zobaczyć jak jej się podoba jego kochanka. To widowisko będzie probierczym kamieniem i skazówką do dalszego postępowania. Ma się rozumieć, że pan Kostajko pojechał z nim razem.

Nie będziemy opowiadać szczegółowo, jak Bożysław romansował z panną Jasełkowską. Jużemy przytoczyli próbkę ich rozmowy. Hołubowicz przez całe dnie czytał jej i objaśniał Kazimierza, Adama, Bohdana, naszych najpierwszych ówczesnych poetów. Jasełkowska ograniczała się na tem, że niby słucha, niby pojmuje to co słyszy, i okazuje się tak piękną, tak zajmującą jak tylko można.

Po drugiej wizycie, już starzy Jasełkowscy i ich córeczka, odgadli miłość Bożysława, i odbyła się między nimi następująca rada familijna.

Jasełkowski zapijając ponczyk rzekł: „Dalibóg moja córko, młody Hołubowicz złapał się na wędkę.”

— To jeszcze dziecko, odpowiedziała Klaryssa, prawdziwe dziecko.

Ach czemuż Bożysław nie usłyszał tych wyrazów swojej bogini? ale on wówczas pędził najteższym kłusem do Galczyc.

— No, posłuchajcie rzeczy pani Jasełkowska, ja nie traciłam czasu i dziś rano wypytałam się o niego. Byłam u ich rzeźniczki, mydlarki i w sklepie korzennym, gdzie wszystko kupują do Galczyc. Jednogłośnie powiedziano mi, że ma piękne dwie wioski, długów i interesów żadnych, jest jedynakiem i jak skończy lat dwadzieścia i jeden, będzie mógł rządzić swoim majątkiem, Matka ma przy tém nie mało gotowizny, bo jest oszczędna i na nic nie wydaje. Za wszystko płacą, rządzą się dobrze, stary komisarz jeszcze po nieboszczyku ojcu, gospodaruje

wybornie. Nie prędko znajdziesz takiego męża moja panno.

— Ci młodzi ludzie prędko się pokochają, a jeszcze prędzej ostygną. Albo to jeden kochał się we mnie, ale jak postrzegł, że tu nie o miłośćki ale o małżeństwo idzie, ostygł w zapale i przestał bywać: odpowiedziała Klarysa poważnym i zimnym tonem.

— No, to też dzisiaj masz razem aż trzech kawalerów, Amirowskiego, Hołubowicza i bogatego rotmistrza od huzarów węgierskich.

— Co ty pleciesz stary, odezwała się Jaselkowska matka; u ciebie każdy kto cię do cukierni lub winiarni zaprosi, już jest konkurentem o rękę naszej córki. Amirowski wyjeżdża za miesiąc, udaje się do Włoch i nie wiedzieć kiedy powróci. Słyszałam to od jego lokaja.

Na te słowa, Jaselkowski pochylił głowę ku ziemi i nie nie odpowiedział.

— Ale co do rotmistrza, to rzecz inna, mówiła dalej stara Jaselkowska. Jest niezmiernie bogaty. Hołubowicz równać się z nim nie może. Widać to z wydatków które ciągle czyni, a zawsze mu nie brak pieniędzy. Już od dwóch lat stoi we Lwowie z swoim pułkiem. Powiadał mi kupiec Rozenblum, u którego on wszystko bierze, że komissarz z jego dóbr, w południowych Węgrzech, dwa razy do roku przyjeżdża do Lwowa, i przywozi swemu panu po dwa tysiące czerwonych złotych, a to za samo wino węgierskie, które pochodzi z jego majątku; a jakie tam być mają stada wołów i owiec to wypowiedzieć trudno.

Wyrazów tych z natężoną uwagą słuchała Klaryssa.

— Daj Boże, aby co z tego było, rzekła nareście. Miałam tylu konkurentów, a zawsze kończyło się na niczem i już prawie wyperswadowałam sobie, że zostanę aktorką i starą panną. A dalibóg i jedno i drugie to rzecz wcale nie miła.

— Jakem kapitan wojsk austriackich! zawołał Jasełkowski, zaczerwieniony od ponczu, który popijał tymczasem, tak się nie skończy! Tym razem, albo Bożysław, albo rotmistrz musi zostać twoim mężem. Ja nie pozwolę żeby i z ciebie i z nas żartowano.

— Nie udawałbyś zucha, kiedy nie ma po co: rzekła jego żona. U ciebie każdy dobry, kto ci co w gardło naleje, i to też jest największe nieszczęście. Ale ty Klarysso masz rozum i ani jednego ani drugiego zrażać nie będziesz. Wiesz w których dniach przyjeżdża Hołubowicz, niby na lekcye fechtowania, urządzi że się tak, aby nigdy z rotmistrzem się nie zesli. Rozsądna dziewczyna musi zawsze mieć drugiego wielbiciela w zapasie, na wszelki wypadek, jeżeli pierwszy kominka skręci.

— Dobrze, moja matko, już ja wszystko jak najlepiej ułożę.



IV.

Kulawy Prusiewski, przyjaciel i powiernik domowy, rozgniewał się usłyszawszy o zameżciu panny Jasełkowskiej, z chłopcem od którego starszą jest o lat ośm. Prusiewski upośledzony od natury nie mógł występować na scenę, lecz posiadał naukę i wiele rozmyślał nad sztuką dramatyczną. On to, o czem już wspomnieliśmy, zachwycony pięknością Klaryssy, był jej nauczycielem. Deklamował role przytłumionym głosem; uczennica powtarzała je harmonijnym i czystym tonem. Kto raz widział tę aktorkę w jakiej roli, mógł być pewnym, że na drugim wystąpieniu, nie dostrzeże najmniejszej odmiany w jej głosie i akcji. Lecz ta artystka, na pozór tak namiętna, wycieńczona ze wzruszenia i prawie omdlewająca na scenie, natychmiast po sztuce, najobojętniej brała kapelusz, salopę i kalosze, wracała do domu, zjadła porcyą polędwicy, wypila szklaneczkę piwa i spała tak spokojnie, jak pierwsza lepsza dziewczyna wiejska. Czem-

że więc była panna Jasełkowska? Zimną, ograniczoną lecz rozsądną, a Bożysław pokochał się w niej aż do szaleństwa.

W dzień reprezentacyi na benefis Klaryssy, wszyscy państwo z Galcyc, zawczasu przyjechali i zajęli zakupioną łóżę. Amirowski i dwaj jego towarzysze, siedzieli w pierwszym rzędzie krzeseł, powitali serdecznie Bożysława i przyglądali się damom po łóżach. Sala była dosyć napełnioną. Pani Helena ubrana w axamitnej czarnej sukni, z krzyżem brylantowym na piersiach, wspaniale wyglądała; przy niej siedziała małeńka Laura. Bożysław i Kostajko zajmowali drugie i trzecie miejsce.

— Któż to jest ten brzydki jegomość, Bożysławie, który ci się kłaniał? zapytała się pani Hołubowicz Bożysława.

Młodzieniec zarumienił się. „Nie przypominam sobie jego nazwiska, rzekł, jest to dawny wojskowy austriacki.” Czyliż mógł w tej chwili przyznać się, że to jest ojciec panny Jasełkowskiej?

Nie będziemy rozwodzić się nad tragedją; to tylko powiemy, że Ofelia była prześliczna, że cudownie grała, płacząc, śmiejąc się, tańcząc i udając obłąkaną. Jakaż to była dla niej sposobność, do rozpuszczenia czarnych długich włosów, na ramiona bielsze od śniegu, do czynienia wdzięcznych i patetycznych gestów rękami, które, jak wiadomo, miała tak piękne!

Powstał jednozgodny okrzyk uwielbienia. Helena unosiła się nad jej pięknoscią, a Lorcia nie wiedziała gdzie

jest i co słyszy. Kostajło nie posiadał się z zachwycenia. Gdy z końcem aktu piątego zapadła kurtyna, teatr zatrząsł się do oklasków, pułkownik od huzarów dał przykład, a oficerowie dzielnie mu dopomogli. Bożysław, Amirowski, Kostajło, wołali ile im sił starczyło „Jasełkowska! Jasełkowska!”

Dyrektor przyprowadził beneficyantkę; zapal publiczności wzmógł się jeszcze. Była tak piękna, tak jaśniejąca, z włosami jeszcze rozpuszczonemi na ramiona, iż Bożysław nie mógł się dłużej powściągnąć. Wspinając się za krzesłem matki, zaledwie nie wydał się z tajemnicą swoją i nie powiedział: „Patrz na nią matko, nieprawdaż, że jest nieporównana? Powiadam ci że ją kocham,” lecz pośród ogromnych okrzyków, przytłumił w sobie te wyrazy.

Klaryssa była taką jak zawsze, a pośród bukietów, które z wdzięcznością przyciskała do serca, Bożysław postrzegł zawieszony medalion, kupiony dla niej za ostatnie pieniądze, z owych pięciuset reńskich, pożyczonych od oberżysty.

Gdyby Bożysław sam powracał z matką do domu, byłby wszystko wyznał przed nią; lecz obecność pana Kostajły była mu na przeszkodzie.

W parę dni po tem widowisku,—professor na którego pensyi był niegdyś Bożysław, dawny przyjaciel jego ojca, miał u siebie kilka osób na obiedzie. Wstawszy od stołu, wyszli do ogrodu i usiedli w altanie wprost okien pomieszkania Jasełkowskich. Wieczór był piękny, świa-

tło bijące z pokoju pierwszego piętra, oświecało ganek, na którym stała piękna dwudziesto-kilkoletnia panna i szczęśliwy ośmnastoletni student, zaślepiony szczęściem i miłością! Był to pan Bożysław Hołubowicz i panna Klaryssa Jasełkowska.

Młodzieniec ośmielił się nareszcie. Drżący ze wzruszenia, z bijącym sercem, z przytłumionym głosem, wymówił oświadczenie, które rozsadzało piersi jego i padł do nóg tej dojrzałej piękności. Czyliż on pierwszy tak postąpił? Inni, przed nim i po nim, czyliż nie oddali skarbu serca swojego, podobni do tych dzikich, którzy ziemie swoje i skarby, oddają za łyk ognistego napoju, albo za naszyjnik z szklanych paciorków?

— Twoja matka, czy wie o tem Bożysławie? rzekła powolnym głosem Klaryssa. Bożysław pochwycił jej rękę i obsypywał całunkami. „Twoja matka czy wie o tem? i pomyślała: A może i wie? I natychmiast przypomniała sobie piękny krzyż brylantowy pani Hołubowicz i przyszło jej na myśl, że te brylanty. niezawodnie zostaną jej własnością. „Uspokój się kochany Bożysławie, rzekła wdzięcznym głosem i uśmiechnęła się razem mile i poważnie.

A potem, drugą ręką, która jej wolną pozostała, odgarnęła włosy, spadające w nieładzie na rozognione czoło Bożysława.

— Moja matka widziała ciebie Klarysso i uwielbia cię, więcej niżeli wypowiedzieć zdołam, zawołał rozkochany

młodzieniec. Wkrótce będzie cię kochać, bo któżby cię nie kochał? Pokocha cię, bo ja ciebie Kocham.

— Mniemam, że mnie kochasz w rzeczy samej: rzekła panna Jasełkowska, może trochę litując się nad Bożysławem.

Mniemała tylko!.. Wówczas Bożysław wynurzył zapewnienie wiecznej miłości, najmocniejszego uczucia; deklamacya ta nie odznaczała się rozsądkiem, nie będziemy jej powtarzać ani roztrząsać. Miłość rozsądna byłaby najdoskonalszą rzeczą na świecie. Ale miłość szalona, jest jeszcze lepszą od martwej obojętności.

Przy końcu przemowy, Bożysław ucałował z zapalem, dramatyczną rękę, którą ciągle trzymał. W tej to chwili, wnuczek profesora pociągnął go za suknię i rzekł: „Dziadziu, dziadziu! spojrzysz no dziadzio na ganek.”

W rzeczy samej, nigdy jeszcze takiego widowiska nie widziano z professorskiej altanki. Biedny Bożysław przyciskał płonące usta do różanych paluszków czarodziejki; a ona przyjmowała ten pocałunek, z niezachwianą spokojnością i z niezrównaną swobodą umysłu.

Professor widząc tę scenę i poznając dawnego ucznia, a syna starego przyjaciela, oniemiał z podziwu i oburzenia. Inni goście parsknęli śmiechem.

W tejże chwili, bohaterka sceniczna postrzegła przechadzających się w ogródku i zaczęła śmiać się. „Zobaczyl nas z przeciwległego ogródka” rzekła, i najspokojniej odstąpiła od okna. Bożysław zmieszany, z rozpromienioną twarzą, odskoczył czempredzej. Professor i go-

ście jego wrócili do pokoju na herbatę. Xiężyc świecił w pełnym blasku, ósma biła na zegarze miejskim, gdy Bożysław ośmielił się wyrzeć oknem; wkrótce potem pożegnał się z panną Jasełkowską i pojechał do domu.

Pani Hołubowiczowa już spała. Nazajutrz, około godziny dziewiątej rano, służący przyszedł z oznajmieniem, że matka kazała go poprosić.

Bożysław przyszedłszy do bawialnego pokoju, zastał nie tylko matkę lecz i starego przyjaciela ich domu, owego professora. Pani Helena była bladą i pomieszaną, professor zaczerwienił się od gniewu.

Młodzieniec poznał, że stanowcza chwila nadeszła. No, zobaczymy, pomyślał.

— Gdzież to byłeś wczoraj Bożysławie? rzekła Helena drżącym głosem.

— Jak możesz, mości panie, śmiałem okiem spojrzeć na twoją ukochaną matkę i na mnie? zawołał stary profesor, nie zważając na błagalne spojrzenia Heleny. Byłeś tam, gdzie twoja noga postać nie powinna. Jak śmiesz mości panie tak się prowadzić i udręczać najlepszą, najcnotliwszą matkę?

— Panie! cóż to ma znaczyć? rzekł Bożysław:

— Nie zapieraj się! zawołał profesor. Nie przydawaj kłamstwa do twojej winy. Widziałem cię wczoraj, widziałem na własne oczy z ogródka mojego. Widziałem jak całowałeś rękę tej prze....

— Wstrzymaj się panie! zawołał Bożysław uderzając

pięścią w stół, tak, że aż jego matka drgnęła z przestachu. Jestem młodym; lecz proszę pamiętać, że jestem szlachcicem i nie ścierpię aby ubliżano tej pani.

— Pani! co za pani? zawołał professor. W obec matki śmiesz tą zalotnicę nazywać panią?

— W obec całego świata tak ją nazwę, odpowiedział Bożysław. Godna jest, aby ją we wszystkich towarzystwach przyjmowano. Jest tak czystą jak najczystsza z córek obywatelskich i tak jest dobrą jak piękną. Gdyby jej ktokolwiek inny ubliżył, żądałbym zadosyć uczynienia za tę obrazę, ale pan byłeś moim nauczycielem; zresztą sam wiek pana upoważnia go do bezkarnego ubliżania jej i mnie razem.

— Ach! Bożysławie! moje kochane dziecię! zawołała Helena! Uspokój się! uspokój! Panie dobrodzieju, on nie jest tak lekkomyślnym jak się panu zdaje.” Biedna matka, drżącemi rękoma objęła szyję swego syna.

Bożysław byłby w tej chwili stawiał czoło profesorom wszystkich gimnazyów i akademii jakie są w Europie. Kontent był iż ta rzecz wyszła na jaw.

— Widziałas jak Klaryssa jest piękna: rzekł tonem poważnym i protektorskim, jak Hamlet w tragedyi Szekspira. Powiadam ci kochana matko, że jest tak dobrą jak piękną. Gdy ją poznasz, potwierdzisz moje słowa. Jest to najszczęstsza, najzacniejsza, najtkliwsza ze wszystkich dziewic na świecie. I dla czegoż nie ma występować na scenie? Talentem swoim utrzymuje ojca i matkę.

— Ojca pijaka, pomruknął professor, ale Boży-

sławy nie dosłyszał, albo nie chciał odpowiadać na te wyrazy.

— Gdybyś wiedziała, jak porządne życie prowadzi, jak nie można ani słowa zarzucić jej postępowaniu, pogardzałabyś tak jak ja pogardzam (to mówiąc dzikie spojrzenie rzucił na profesora) temi, którzy śmiać oczerniać jej cnotę. Jej ojciec był mężnym oficerem i służył w wojsku austriackim. Jest szlachcicem starej daty i ród swój wywodzi autentycznymi dokumentami, od Jasła, jednego z wodzów Bolesława Chrobrego.

Na te słowa parsknął śmiechem profesor.

— I jakże możesz wierzyć takim bredniom? zawołał. Chyba nie masz najmniejszego wyobrażenia o historii? Może nam oświadczysz, że chcesz się z nią ożenić?

Bożysław odpowiedział z powagą, na jaką tylko mógł się zdobyć.

— A jakież inny zamiar szlachetniejszy i świętszy mógłbym powziąć?

— Przerażony tak niespodzianą odpowiedzią, profesor zawołał. „Pani dobrodziko! na Boga! napisz do pułkownika, niech czempredzej przyjeżdża.

— Chcesz napisać do mego stryja? tém lepiej, odpowiedział Bożysław, z takim wszechwładnym gestem, jak gdyby był udzielnym xięciem na Galczycach.

Po tej rozmowie, wyprawiono owe dwa listy, które przed śniadaniem odebrał w Krakowie pułkownik Hołubowicz, na początku tej nader prawdziwej historii, miłostek poety i obywatela Bożysława.

V.

Po przykrej i męczącej podróży, przyjechał pułkownik do Galczyc. Strząsł się, wygłodził, spalił się na słońcu, nałykał się kurzawy: a to wszystko dla człowieka lubiącego wygodny i jednostajny tryb życia, było rzeczą bardzo niemiłą. Złościł się w duchu i przeklinał swego synowca, który naraził go na takie niewygody; ale w ciągu dosyć długiej podróży, miał czas namyślić się jak ma postąpić i uznał, że gwałtowność, surowość, ostre wymówki, bezwarunkowe zakazy, jeszczeby podniosły jego szal i wzmogły upór, jak oliwa dolana do ognia.

Pani Hołubowicz z utęsknieniem wyglądała brata; postrzegła bryczkę wjeżdżającą na dziedziniec i usłyszała trąbkę pocztową.

— Jak się masz kochana siestro! rzekł do niej pułkownik, wysiadłszy z bryczki. Ale pozwól, że pójdę do mego pokoju (pułkownik zajmował dwa pokoje wyłącznie dla niego przeznaczone we dworze galczyckim) odpocznę

trochę po tak niegodziwej drodze i otrząsnę się z kurzu. Każ mi przynieść tam śniadanie.

Pani Hołubowiczowa, знаła jego nawyknięcia i tryb życia, wiedziała, że nie lubi pokazywać się w rannym albo w podróżnym stroju. Pułkownik rozebrał się i prze-spał parę godzin. Kazał sobie obiad przynieść do pokoju i dopiero nad wieczorem, wygolony, ubrany, zapięty, przyszedł do siostry. Pani Helena posłała po syna. Bo-żysław tymczasem przechadzał się po ogrodzie z panem Kostajło i bardzo żywo rozprawił. Pan Chrystofil Ko-stajło, wdychał tylko od czasu do czasu, i myślał sobie, iż cała ta przygoda na nim się skrupi, że on odpokutuje za dopomaganie tym miłosnym wizytom swego ucznia.

Lorcja przybiegła i wzięwszy Bożysława za rękę, rze-klła: Pójdź, stryjasek pułkownik przysłał mię po ciebie.

— No, teraz przyszła stanowcza godzina: pomyślał młodzieniec i z mężką stałością spojrzał na swego men-tora. Chrystofil, jak zazwyczaj, wzniósł oczy do nieba i westchnął.

— Idź naprzód Lorcju i powiedz, że zaraz przycho-dzę: rzekł tonem pół żartobliwym, pół poważnym. Uśmie-chał się dla tego tylko, żeby uzbroić się w odwagę.

* * *

Od chwili, jak Bożysław przypuścił Chrystofila Ko-stajłę do swojej tajemnicy, nie przestał rozmawiać z nim o pannie Jasełkowskiej, to ją nazywał po imieniu, to po nazwisku, a nauczyciel słuchał go z wielkiem współczu-ciem. Zapał Bożysława, niewyczerpana jego wymowa,

patetyczne porównania, wyrazy namiętne, ogniste i pełne nadziei, zapewnienia, zaklęcia, że Klaryssa jest najdoskonalszą istotą, wszystko to więcej jak na pół przekonało Chrystofila, iż bardzo będzie pięknie i przyjemnie, gdy panna Jasełkowska zostanie dziedziczką dóbr Galczyce, jej rodzice osiedą tam aż do śmierci, a Bożysław ożeni się w osmnastym roku życia.

I to także powiedzieć musimy, że przez te cztery dni, od owej cierpkiej rozmowy z professorem, Bożysław za-wojował matkę. Odparkł jej wszelkie zarzuty, z tą loiką, która jest najdoskonalszym stopniem nedorzecznosci i prawie doprowadził ją do zgodzenia się na tę zasadę, że jeżeli małżeństwo zapisane jest w wyrokach Przedwiecznego, to musi być zawartém; ona zaś jako matka, oto tylko troszczyć się może, czyli jej przyszła synowa jest uczciwą. Biedna Helena obawiała się przybycia opiekuna, który zapatrywać się będzie na związek jej syna z Jasełkowską, ze stanowiska nie tak poetycznego, nie tak romansowego, nie tak bezinteresownego nareszcie. Bo małżeństwo jest złe lub dobre, rozsądne lub nedorzeczne, stosownie do punktu, z którego się na nie zapatrujemy.

A więc zezwoli na to, że jej syn ożeni się z aktorką, już podstarzałą, dojrzałą wiekiem, a ta aktorka od lat ośmiu i więcej, wystawiona jest na spojrzenia, nasady, na okłaski lub niechęć tłumu widzów; od pierwszej młodości żyje w towarzystwie płochém, słyszy rozmowy dość wolne, lekkomyślne zaloty; w rolach swoich udaje miłość, zazdrość, zalotność i oswojona jest z temi namiętnościami

mi, których, albo znać nie powinna młoda i czysta małżonka, albo też jako skarb święty w głębi serca ukrywać. Na domiar tego wszystkiego, nie odebrała żadnego wykształcenia, żadnej edukacyi, prócz tej jakiej do odegrania roli potrzeba. Ach! jak to jest boleśnie dla matki, wyrzec się pięknych nadziei o przyszłości ukochanego dziecięcia!

Wszystkie te względy i powody, przełożyła wdowa Bożysławowi, lecz młody kochanek zbił je zwycięzko i z niezmierném zadowoleniem własném. Panna Jasełkowska jest ideałem cnoty i skromności, gołębicą czystą jak śnieg, posiada najlepsze ułożenie, najtrafniejszy dowcip, najlepsze wykształcenie, geniusz i wszystkie talenta, okazuje jak największe uszanowanie i poświęcenie się dla rodziców. Jej ojciec był obywatelem znakomitego rodu, i wprzódy nim uległ pod ciosami nieprzyjaznej fortuny, żył brat za brat z najpierwszemi domami. Bezwątpienia, nie nie nagli Bożysława do zawarcia związków małżeńskich, może zaczekać aż do czasu swej pełnoletności; lecz on czuje: a gdy to mówił twarz jego przybierała wyraz rozpaczą tchnący, że serce jego nie zmieni się nigdy, i że sama tylko śmierć położy kres jego miłości.

Helena rzekła z melancholicznym uśmiechem, że taka namiętność nie zabija, a ma przykład z ojca biednej Lorcii, jakie skutki wynikają z małżeństwa bardzo młodych mężczyzn, ze starszemi od nich kobietami.

Lecz Bożysław postanowił umrzeć, jeżeli matka nie zezwoli na jego związek z Klaryssą; a biedna wdowa zastraszona tą groźbą, byłaby poniosła wszelkie ofiary, a na-

wet byłąby ucałowała stopy synowej, chociażby cyganki lub murzynki.

W ciągu tych czterech dni, Bożysław znowu pojechał do Lwowa, przepędził wieczór w towarzystwie Klaryssy, chwaląc się ze swego wpływu na matkę, a nazajutrz wieczorem zaczął pisać namiętne dumy na cześć swojej bogini.

Tej to nocy, już koło godziny pierwszej, Helena nie mogąc zasnąć, postrzegła światło w pokoju syna i usłyszała iż głośno układał wiersze. Ileż to razy, podczas chorób i słabości nieuchronnych w dzieciństwie, czuwała przy jego łóżeczku! Otworzyła drzwi i weszła tak po cichu, że jej z razu nie usłyszał. Bożysław obrócony był twarzą do ściany; na biurku i w koło niego na łóżku, leżały porozrzucane papiery. Trzymał w ustach ołówek i myślał o końcówkach i o wszystkich niedorzecznościach, do których go podniecała namiętność.

— Bożysławie! rzekła matka łagodnie.

— Obrócił się nagle, porwał papiery i wsunął je pod poduszkę.

— Dla czegoż nieśpisz kochane dziecko? rzekła z czułym uśmiechem. Usiadła przy łóżku i ujęła jego rozpaloną rękę.

Syn przez chwilę wlepił w nią oczy.

— Nie mogłem spać, odpowiedział, pisałem. I objął matkę za szyję, mówiąc: O matko! matko! kocham ją! kocham!

Czyliż ta tkliwa i najlepsza matka, mogłaby nie ulitować się nad nim, mogłaby nie wyrzec słowa pociechy? Czyniła co tylko mogła, i myślała o tem z podziwem i rozrzewnieniem, że niedawno on był jeszcze dziecięciem, i że wtenczas przychodziła i modliła się przy jego łóżku, czekając aż się obudzi.

* * *

Tak więc, gdy major wytechnawszy z drogi, przyszedł do siostry, poznał po kilku chwilach rozmowy, że jeżeli wdowa martwi się miłością i zamiarem Bożysława, to jeszcze bardziej lęka się jego smutku i sprzeczki z stryjem, z tego powodu wyniknąć mogącej. Upraszała majora aby łagodnie postępował z Bożysławem. „Niezmiernie jest drażliwym, i nie zniósłby obrażających wyrażań, przydała. Professor mówił z nim bardzo cierpko przed czterema dniami, a nawet wyznać muszę, niesprawiedliwie; bo honor mego syna tak jest nieskazitelny, ile tylko matka może życzyć sobie. Przestraszyła mnie odpowiedź Bożysława; aż zatrzęsł się z oburzenia. Pamiętaj, że jest już dorosłym mężczyzną i proszę cię, postępuj bardzo ostrożnie.”

Pułkownik spojrzał na nią z podziwieniem i razem z utajonym gniewem.

— Mój Boże, pomyślał, młody hultaj zawojował matkę i dałaby mu żonę tak jak każde inne cacko, gdyby dzieciak za bardzo się rozbeczał. O! czemuż to minęły

dawne czasy i zwyczaje. Wtedy ani by mu w głowie nie powstało takie szaleństwo.

— Przyznasz pani siostró, rzekł, że wtej chwili chciałabyś może ustąpić jego chęci.

Helena zapłonęła się i łzy stanęły w jej oczach.

— Myślę o tem, że on jest bardzo nieszczęśliwym i ja także.

— Czy dla tego że mu się oprzesz, czy dla tego że pozwolisz? a potem pomyślał sam w sobie: Niech mię piorun trzaśnie, jeżeli postawi na swoim.

— Dla tego, odpowiedziała biedna wdowa, że powziął przywiązanie tak nierozsądne, tak bolesne, tak zgubne, które uczyni go nieszczęśliwym, jakikolwiek z niego skutek wyniknie.

— Bądź pewną, że ztąd, nie wyniknie małżeństwo, rzekł pułkownik stanowczym głosem. Niepozwolę na to, aby dziedzic naszego nazwiska ożenił się po głupiemu, z tą tam....

— Jeżeli zaraz powstaniesz na niego, przerwała mu wdowa, Bóg wie co się stać może. Znam porywczosć Bożysława i gwałtownosć jego uczuć i zaklinam cię, miej to wszystko na względzie.

— Kochana siostró, rzekł major z głębokiém politowaniem, nie wątpię, że Bożysław mocno na tem cierpi, ale czyliż jemu tylko jednemu przytrafi się takie nieszczęście?

Wiem o tem, rzekła Helena, spuszczać oczy i myśleć o minionych czasach.

— A brat mój, czyliż także nie miał ożenić się z bogatą córką pewnego obywatela w okolicy Tarnowa? Znalazły się niespodziewane przeszkody, matka się oparła i nadzieje te z dymem poszły. Lecz przekonany jestem, że nie miał przyczyny żałować tego zawodu, po którym pocieszył się, otrzymując twoją rękę, zacna kochana siostro!

— Tak jest, rzekła, smutne to są związki małżeńskie, między osobami różniącemi się wiekiem i stopniem w społeczeństwie; mam dowód, że bywają źródłem wielu nieszczęść. Dola ojca Lorci, mego krewnego, który wychował się razem ze mną, wskazuje nam uderzający przykład tej prawdy.

— Nie jestem arystokratem: odpowiedział major: wiem że pomiędzy artystami i artystkami dramatycznymi, nie mało znajdziesz zacnych i szanownych małżeństw; ale niech one będą w własnem kółku; niech się taka osoba nie wciska tam, gdzie cała familia niechętném okiem na nią spogląda. Ani jej, ani mężowi nie wyjdzie to na pożytek. A do tego, któż słyszał żenić się z osobą o lat dziesiątek starszą? Mogłoby go spotkać to samo, co innego podobnego półgłówka, którego wzięto za syna własnej żony.

VI.

Pani Hołubowicz, z domu Zarzecka, wychowała się w dziecinnych latach ze swoim dalekim kuzynem, a gdy jeszcze byli dziećmi, rodzice Heleny myśleli sobie, że to będzie z czasem bardzo dobrana para.

Kuzynek, mając lat dwanaście, wyjechał do Warszawy, na wezwanie swojej ciotki pani Cieszyńskiej, bogatej wdowy, która oświadczyła, że chce się zająć jego wychowaniem i losem. Ofiarą taką nie można było pogardzać, tem bardziej, że majątek kuzynka dosyć był zadłużony. Przy ciotce bawiła się już od lat wielu, panna około dwudziestu dwóch lat mająca, jej wychowanica i daleka krewna. Ciotka nie spieszyła się z zapewnieniem losu paninie Klarze, nikt się też o jej rękę nie starał. A przy tem pani Cieszyńska żyła samotnie i prócz dwóch czy trzech starych znajomych, nikogo nie przyjmowała: Póki Stefan Zarzecki był studentem, to go panna Klara uważała jak dziecko; lecz gdy doszedł do wieku Bożysława, zwró-

ciła na niego uwagę. A że to była przystojna choć nie młoda panna, a nasz akademik nie miał w czém wybierać, więc zawiązała się miłość między nimi, z tą różnicą, iż była dosyć oziębła ze strony Zarzyckiego, a namiętna ze strony Klary. Postrzegła to stara pani Cieszyńska i zdawało się że ta wzajemna skłonność zgadza się z jej zamiarem, ułożonym od lat kilku, bo nie tylko, nie sprzeciwiała się, lecz jeszcze dopomogła do zawarcia związków, tak niestosownych co do wieku.

Przy podpisaniu intercyzy przed ślubnej, złożyła do akt rejenta swój testament, w którym obojgu małżonkom zapisała na zupełną własność cały swój majątek, prócz kilku dobroczynnych legatów.

Przed ślubem, Zarzecki pojechał do Galicyi dla ułatwienia formalności potrzebnych i przybył do rodziców Heleny. Zastał ich córkę w całym blasku i świeżości urody dziewiczej. Przypomnieli sobie zażyłość i przywiązanie młodzieńcze. Niestety! już było za późno. Rodzice Heleny uznali, że ich krewny nie powinien odrzucać łaski swojej ciotki; a zresztą i przydał ojciec Heleny, obowiązki rodzinne, zatrudnienia majątkowe i gospodarskie, stosunki towarzyskie, dadzą mu dostateczne zajęcie i rozrywkę. Po kilku latach pożycia, u ludzi rozsądnych i sumiennych, różnica wieku staje się niczem.

Rozstali się młodzi kuzynkowie z żalem i mocnym współczuciem, a szczególnie w młodocianém sercu Heleny, obraz Zarzeckiego parę lat gościł i pozostawił tkliwe wspomnienie.

Pani Zarzecka czuła to, że jest i nie' bardzo piękna i starsza o lat dziewięć od męża. Z natury swojej była zazdrosną; każdy pozór, każde słówko wyrzeczone, stawało się powodem podejrzeń, wymówek, spazmów, płaczów i kłótni. Po pierwszych miesiącach miodowych, ich dom zamienił się w siedlisko niezgody. Zarzecki znużony uciekał na miasto; całe dnie i wieczory przepędzał w resursie, albo w innych towarzystwach męzkich, a gdy wracał, już zawczasu uzbrajał się w cierpliwość i obojętność, na wyrzuty i żale swej połowicy.

Ciotka nie mogąc wytrzymać, odłączyła się od nich, osiadła u Sakramentek i w kilka miesięcy potem umarła. Po trzech latach tak nieznośnego pożycia, umarła Klara Zarzecka, przy urodzeniu pierwszego dziecięcia i zostawiła po sobie sierotę Lorcię.

Pan Zarzecki, uciekając przed małżeńskim pożyciem, pojechał był pewnego razu na polowanie; zaziębił się, dostał zapalenia piersi, z którego wywiązały się suchoty, kawęczył jeszcze ze dwa lata po śmierci żony, umarł nareście, a widząc, że biedną córeczkę zostawia bez krewnych i opiekunów w Warszawie, odwołał się do dawnej przyjaźni i przywiązania swojej kuzynki Heleny, i rodzicom jej powierzył opiekę nad majątkiem i losem swej córki. Pojechali do Warszawy, zabezpieczyli własność sieroty, a ją samą przywieźli do Galicyi. W parę lat potem, panna Helena poszła za mąż.

Po takim objaśnieniu, tem bardziej możemy ocenić.

jak bolesne było dla Heleny szaleństwo Bożysława. Wróćmy do niego.

Zebrawszy siły, poszedł do groźnego stryja. Pewnym był, że stoczyć musi uporczywą walkę i postanowił wytrzymać ją z mężstwem i godnością. Śmiało drzwi otworzył i wszedł poważnym krokiem jak rycerz uzbrojony od stóp do głowy, ze spuszczonym hełmem, z podniesioną bronią, i ze spojrzeniem wyrażającym: „Postęp na przód, gotów jestem.”

Pułkownik nie mógł wstrzymać się od uśmiechu, z tej wspaniałej i bohaterskiej postawy młodzieńca. Jako dawny wojskowy, rozpoznał plac boju, a widząc, że wdowa już prawie przeszła na stronę nieprzyjacielską, a surowe napomnienia i wyrzuty na nic się nie przydadzą, zmienił sposób obejścia się, z wesołą twarzą podał rękę synowcowi, a ściskając jego palce, rzekł:

— I cóż Bożysławie, mój synowcze? co myślisz? opowiedz nam co to się stało?

Helene zachwyciła wspaniałomyślność i dobroć pułkownika; lecz biedny Bożysław tak zagadniony z nienacka, uczuł, że jego mina traiczna, poważna i natężona, jest zupełnie niewłaściwą i śmieszną. Zaczerwienił się, cofnął się i prawie na płacz mu się zbierało.

— Byłem w polu i... i nie wiedziałem że stryj dobrodziej przyjechał, rzekł. Jakże... jak... się tam bawią w Krakowie?

To mówiąc, zaledwie mógł powściągnąć się od płaczu, a pułkownik z uśmiechem odwrócił się i spojrzał

szyderczo na bratową, która poznała jak śmieszną jest ta scena, a nie wiedząc co powiedzieć, wstała i uściskała Bożysława. Młodzieniec rozrzewnił się, widząc taką miłość i tkliwą rezygnacją macierzyńską.

— Jakaż to matka i jaki syn! oboje poszaleli: pomyślał pułkownik. Gdybym się był spóźnił, to niezawodnie poszłaby oddać uroczystą wizytę jejmościance i złożyć swoje uszanowanie jej rodzicom, No! rzekł z wyrazem litości stosującym się do nich obojga: nie rozrzewniamy się, jeżeli to być może, a ty Bożysławie, mój dobry synowcze, opowiedz nam cały stan rzeczy, długo i szeroko.

Bożysław znowu przybrał minę tragi-komiczną.

— Stan rzeczy jest taki, jak o tem pisałem do kochanego stryjaszka. Poznałem najpiękniejszą i najcnotliwszą osobę, należącą do starożytniej chociaż zubożałej rodziny. Znalazłem kobietę, od której zależy szczęście życia mojego; czuję że nigdy, tak jest nigdy, nie będę kochał innej! Wiem, że różnica wieku i rozmaite przeszkody, tamują mi drogę do szczęścia, lecz silna miłość wszystko przewycięży. Tak jest! odniesiemy zwycięstwo, gdyż ona chce swój los z moim połączyć i przyjąć serce moje i majątek.

— A wieleż wynosi twój majątek, młody przyjacielu? Czy na ciebie spadła jaka successya? Bo prócz pensyjki pięciu set reńskich rocznie, podobno niczém więcej nie możesz rozrządzać.

— Wszystko co posiadam, do niego należy: zawołała pani Hołubowiczowa.

— Na miłość Boską, milcz pani sestro; chciał powiedzieć opiekun, lecz się powściągnął. „Bezwątpienia wiem o tem, odpowiedział, żeś wszystko gotowa dla niego poświęcić. A więc twój majątek, chce Bożysław ofiarować tej pannie, chce wejść w posiadanie twojej własności, jeszcze za życia twojego i mając dopiero lat ośmnaście?

— Wiem, że matka udzieli mi częśćkę dochodu; rzekł Bożysław nieco zmieszany.

— Tak jest, kochany synowcze, ale każda rzecz ma swoją granicę. Zapewne nie chcesz, aby matka ustąpiła z własnego domu, gdzie tyle lat zamieszkała, gdzie tak była szczęśliwą z twym ojcem. A czyliż może być inaczej? Czyliż żeniąc się z panną Jasełkowską, nie żenisz się razem z jej ojcem i matką i całej tej rodziny nie bierzesz na twoje utrzymanie? Wejdz sam w siebie. Czy stara Jasełkowska będzie stosowną towarzyszką dla twojej matki? Odwołuję się do szlache-
tnych uczuć twoich. Czyliż przed ofiarowaniem serca i ręki pannie Jasełkowskiej, nie powinienesz być wprzód poradzić się twojej matki? Wszakże ci wiadomo, że jej posagiem spłacił twój ojciec połowę szacunku tego majątku? Jest więc jej niezaprzeczoną właścicielką, a na drugiej połowie ma dożywocie. Nie mówię do ciebie mój Bożysławie, jako stryj i opiekun, który jeszcze przez kilka lat ma prawo rozrządzać każdym krokiem twoim. Prawa tego używać nie chcę i nie będę.

! Ale mówię do ciebie, jak człowiek prawy i sumienny mówi do młodzieńca, o którego prawości i sumieniu nie wątpi. Wiem o tem że cię matka kocha nad wszystko, nad własne życie i szczęście, że uczyni wszystko, czego od niej zażadasz. Ale twój honor, prawość i sumienie, czyliż ci pozwolą nadużywać jej przywiązania? Czyliżes nigdy nie pomyślał o tem, że jeżeli matka zezwoli na twoje małżeństwo, to w głębi serca będzie tak srodze cierpieć, że jej to może śmierć przyspieszyć? Czyliż nie czujesz jakie masz obowiązki dla matki?

Bożysław pochylił głowę i milczał. Zaczął rozeznawać, że jego postępek którym się szczycił jako dowodem bezinteresownej miłości, jest może, dobrze zważywszy, czynem szalu i samolubstwa.

— Oświadczyłem się w chwili uniesienia, rzekł, sam nie wiedziałem jak daleko posunę się (i w tym względzie szczerze mówił). Ale obstaję przy moim postępku: nie mogę i nie chcę cofnąć się. Pierwejby umarł. A przy tem nie chcę być ciężarem dla matki, nie oddali się z mojej przyczyny z rodzicielskiego domu, będę pracował... Zostanę aktorem i będę grał z nią razem... Ona... ona mówiła, że mógłbym zyskać powodzenie.

— Czyliż ona pójdzie za ciebie pod takimi warunkami? Uważaj, iż bynajmniej nie przeczę temu że panna Jasełkowska jest najzaczniejszą ze wszystkich kobiet. Lecz mówmy szczerze i otwarcie. Czyliż twoje położenie społeczne, ród i widok dość pięknego majątku, nie wpłynął na to, że przyjęła oświadczenia i hołdy twoje?

— Wolę umrzeć, niżeli cofnąć słowo moje, rzekł Bożysław ściskając pięści i zaczerwieniony od wzruszenia.

— A któż tego żąda, mój kochany synowcze? rzekł pułkownik jak najspokojniej. Lecz możesz cokolwiek poczekać. Powinieneś mieć ten wzgląd dla matki, dla swojej rodziny, dla mnie nareszcie, który ci miejsce ojca zastępuje.

— Ach! tak jest, rzekł Bożysław czując niejaką ulgę.

— A więc ponieważ dałeś słowo pannie Jasiełkowskiej, daj i nam także.

— Jakież na co? zapytał się Bożysław.

— Na to że nie ożenisz się skrycie; z resztą, wiesz że taki związek byłby nieważny w twoim wieku.

— Nie ożenię się bez pozwolenia mojej matki, zawołał Bożysław. I rzucając na nią spojrzenie pełne ufności, wyszedł i zamknął się w swoim gabinecie.

— On jest aniołem! zawołała matka w zwykłym uniesieniu miłości macierzyńskiej.

Oboje poszaleli, pomyślał pułkownik, ale przynajmniej zyskałem na czasie. Niech by się tylko ożenił, wszystkoby przepadło. Helena tak jest pobożna, iżby ani słyszeć nie chciała o unieważnieniu małżeństwa, choćby zawartego wbrew wszelkim przepisom prawnym i kościelnym.

Jako człowiek doświadczony i cierpliwy, pułkownik nie nalegał więcej na biednego Bożysława; lecz rachował na czas i spodziewał się, że ten młodzieniec pozna

jak niedorzeczne zamiary powziął. Zmiarkowawszy jak drażliwym jest Bożysław co do uczucia honoru, umiał z tego zręcznie korzystać. Przy wieczerzy, rozmawiając z nim spokojnie i łagodnie, wskazał mu iż powinien z szczerością i prawością jak największą postępować. Poradził mu, ażeby w dalszych stosunkach ze swoją młodą i zajmującą przyjaciółką (takim to grzecznym wyrazem mówił pułkownik o pannie Jaselskiej) nie czynił bez poprzedniego zezwolenia, a przynajmniej bez wiadomości matki.

— Zresztą, mówił dalej pułkownik z otwartością, lecz z umiarkowaniem, żeby nie obrazić Bożysława, musisz przedewszystkiem powiedzieć sobie, że cały świat zawiazujesz dla siebie. Matka ustąpi twojej woli co do tego małżeństwa, tak jakby ustąpiła każdej innej twojej fantazyi, jeżeli ciągle będziesz płakać i nalegać; lecz wierz temu co ci mówię, że ten związek zawsze jej będzie niemiłym i bolesnym. Jeszcze jesteś za młodym do zakopania się na wsi; warto żebyś poznał świat, był za granicą, wszedł do zawodu służby krajowej. Mając piękne imię, majątek pomierny ale czysty, wszędzie byłbyś jak najlepiej przyjęty, a moje stosunki jeszczeby ci ułatwiły wniknięcie w świat wykształcony. Lecz ożeniwszy się z aktorką i to o lat blisko dziesięć starszą od ciebie, już się nie ruszysz z domu. Każdy człowiek, chociażby najbardziej zakochany, potrzebuje towarzystwa. Gdzież go znajdziesz? Znasz sposób widzenia naszych obywateli; nie zwalczysz ich uprzedzenia. Gdybyś byś księciem,

a przynajmniej hrabią i miał kilka milionów, to dostojność twoja i nałóg nadskakiwania możliwym, sprowadziłyby do twego domu kilka rodzin szlacheckich; bo równi tobie, takżeby usunęli się od ciebie. Ale w twojem położeniu, zaręczam ci, znając okoliczną szlachtę, że nikt wam nie odda wizyty, nikt nie zechce bywać u ciebie. Cóż ci więc zostanie? z kim-że będziesz przestawał? Z pasibrzuchami lwowskiemi, albo osobami różniącemi się od ciebie wychowaniem i sposobem widzenia. Wierz doświadczeniu mojemu; w samotności, w nudach i fałszywem położeniu społecznem, najgwałtowniejsza miłość prędko ostygnie i zamieni się w niesmak.

Bożysław milczał, lecz nie widać było, żeby się obrażał. Pułkownik, po krótkiej przerwie mówił dalej.

— Jako twój stryj i opiekun, powinienem był oświecić cię i wykazać ci nieuchronne skutki twego zamiaru. Na tém ograniczam moją władzę nad tobą. Praw moich używać nie będę. Przestrzegłem cię, odradzałem, prosiłem, uczyniłem zadosyć obowiązкови mojemu, a teraz możesz działać jak ci nakazuje twój rozsądek, a mianowicie twój honor i powinność synowska.

Słowa te wyrzekł pułkownik z wzruszeniem i trafił do serca Bożysława.

— Wdzięczny ci jestem kochany stryju, za rady i za dobroć twoją, odpowiedział. Lecz sam powiadasz, że powinien to zrobić co mi honor nakazuje. Człowiek honoru, dotrzymuje słowa swego i przysięgi, a ja przysię-

głem Klaryssie, że ją do zgonu kochać będę i ofiarowa-
łem jej rękę moją.

— Nie zaprzeczam tego mój Bożysławie; ale nie spiesz się i przynajmniej zaczekaj, dopóki twoja matka ostatecznie nie pogodzi się z tą myślą i nie urządzić w ten sposób interesów waszych i domu, iżbyście żyć mogli, jeżeli nie wesoło i przyjemnie, to przynajmniej znośnie. Żałuję się żeś rymował wiersze na cześć twojej Klaryssy, nie prawdaż?

Bożysław zarumienił się i przyznał, że tak było.

— A twoja kochanka, odpowiedziała ci prozą, czy też wierszami? zapytał się pułkownik wpatrując się w niego i myśląc w duszy: „O mój Boże! ten młodzik ogłupiał na prawdę.”

Bożysław dotknął się ręką bocznej kieszeni od tużurka! ten szybki gest nie uszedł uwagi pułkownika.

— Masz tam jej listy, rzekł stary taktyk. Przyznaj się, że je masz?

— Na honor rzecze Bożysław że... że... ale nie mógł dokończyć bo tak śmieszną miał minę, że pułkownik nie mogąc dłużej utrzymać poważnego tonu, parsknął głośnym śmiechem, a młodzieniec, za chwilę podobnymże odpowiedział:

Ucieszyła się pani Helena, słysząc te wesołe śmiechy obudwu.

— Nic dobrego! zawołał pułkownik, opierając poufale rękę na ramieniu Bożysława i trącając go z lekka po kieszeni od tużurka. Uczuł szelest papierów;

tam więc są listy. Młodzieniec uradowany tryumfował i cieszył się sam z siebie.

Stryj i synowiec przyszlį na herbatę, weseli i swobodni obydwu. Pułkownik był niezmiernie uprzejmy: nigdy jeszcze nie pił tak doskonałej herbaty nie jadł tak dobrego ciasta. Żądał żeby mu Bożyśław zagrał i zaśpiewał nasze melodye z ruskich i ukraińskich dum powzięte i zachwycił się nad jego talentem i pięknym głosem. Zobaczył jego rysunki i także je pochwalił. Słuchał wierszy Bożyśława i unosił się nad niemi. Takim sposobem zyskał zaufanie i życzliwość młodzieńca. Gdy nadszedł czas spoczynku, rozstali się w jak najlepszej harmonii.

Bożyśław zamknąwszy się w swoim pokoju, wyjął listy Klaryssy i odczytał je jak świętość jaką: a przecież umiał je na pamięć. Wprawdzie, było ich tylko trzy i bez wielkiego wysilenia można je było spamiętać.

W pierwszym liście, panna Jasełkowska zasyła ukłony panu Hołubowiczowi od swego papy i od siebie i wyraża mu podziękowanie za jego *wspaniały podarunek*; zachowa go jak najtroskliwiej, a ona i papa nie zapomną *prześlicznego wieczoru* w przeszły wtorek.

Drugi list wyrażał: „Kochany panie! będzie w naszym skromnem pomieszkaniu, *kilku poufających przyjaciół*, w przyszły wtorek na herbatę; ubiorę się *w mój piękny szalik*, który razem z cudownemi wierszami przysłanemi z nim razem, *będzie mi zawsze i niezmiernie miły*. Papa kazał mi oświadczyć panu, ile będzie szczęśliwym jeżeli raczysz przybydź do nas, aby wspólnie obchodzić wy-

wnętrzenie umysłu i duszy. Nie potrzebuję przydawać, że ja będę za to panu nieskończenie wdzięczną.

Klaryssa Jaselkowska.

List trzeci był poufalszym. Od napisania drugiego listu rzeczy posunęły się znacznie. „Byłeś *nie dobry* dziśszego wieczora, pisała Klaryssa; dla czego nie byłeś przy wyjściu z teatru? Papa nie mógł mnie odprowadzić bo sobie oko podbił, spadłszy ze schodów w niedzielę. Przypatrywałeś się pannie Stalińskiej przez całą reprezentacyą, i tak nią byłeś zajęty iż na mnie ani spojrzełeś. Niezmiernie się za to *gniewam*. Gram w piątek; czy będziesz w teatrze? *panna Stalińska gra także.*

Twoja do zgonu,

Klaryssa Jaselkowska.

Bożysław czytał i odczytywał te trzy listy. Całował je z uniesieniem i zapalem, godnym tak pięknych utworów. Uzyskał je za swoje życzenia, zakłęcia, poezya, bezsenność, łzy i szaleństwo, Biedak! wszystko co tylko posiada, oddał za te trzy listy; związał się uroczystą obietnicą i przysięgą.

Cóżkolwiek bądź, uradowany Bożysław zasnął z tą nadzieją, że stryj dobrodziej przychyli się do jego żądania.

VII.

Osoby żyjące w wykształconém i miłym towarzystwie, oceniają jak wielką ofiarę uczynił pułkownik. Co dzień odbierał listy z Krakowa, z wymówkami, wzywające aby powracał do swoich przyjaciół. Bożysław z uszanowaniem spoglądał na podpisy osób należących do najznakomitszych domów naszych i czuł tem większe poważanie dla swego stryja.

Pułkownik bardzo wiele pamiętał i znał całą szlachtę Galicyjską. „Nie daleko Galczyce, hrabia Kaniewski ma dwie córki, rzekł, są to piękne panny, mógłbyś łatwo uzyskać rękę jednej z nich; ale cóż, związałeś się twojem przyrzeczeniem, nie ma o czém myśleć. Jak sobie kto pościele tak się wyśpi.

Łatwo wmówić można w młodego i niedoświadczonego studenta, że jest znamienitym człowiekiem. Rady i rozmowy stryja, nie zrażały synowca; porównywał go z Jasełkowskim i zaczął lękać się, że tego człowieka

będzie musiał nazywać ojcem. Mięszał się, gdy niezblągany opiekun zapytał się czy Klaryssa jest światłą i odczytaną osobą. Musiał wyznać że nie bardzo. Była dowcipną, pojętną, lecz nie była odczytaną i światłą. Musiał nareszcie pokazać jej listy pułkownikowi.

— Nie bardzo silną miłością tchną listy twojej Klaryssy, rzekł do Bożysława. Roztropna to i wyrachowana panna, przydał. Ale wybacz mi, że tak szczerze mówię, masz w tym dowód mojego przywiązania i troskliwości.

Ale czas już będzie przenieść się do domu Jasełkowskich. Klaryssa dowiedziawszy się, że przybył stryj Bożysława, była niespokojna; poznała że pułkownik zechce sprzeciwiać się jej małżeństwu.

— Opuścisz mię! rzekła do swego kochanka: stryj zabierze cię z sobą i zapomnisz o twojej biednej Klaryssie, panie Bożysławie.

Zapomnieć! Bożysław przysiągł w jej obecności, przy panie Rumiańskiej, powiernicy Klaryssy, grającej rolę garderobianek, przy jej ojcu, że nigdy nie pomyśli nawet o innej małżonce, prócz najdroższej, najukochańszej Klaryssy; a stary rzucając wzrokiem na dwie szpady zawieszane jak trofea na ścianie, oświadczył napuszonym tonem, iż nikomu nie radziłby ranić uczucia jego najdroższej córki, i że nie spodziewa się, ażeby pan Bożysław, którego już za syna uważa, dopuścił się niewiary i zdrady, niegodnej zacnego i prawego obywatela.

Po tych słowach, wstał, a jedną ręką obcierając zapłakane oczy, drugą Bożysława przyciskał do serca. Unie-

sienie to dreszczem przeniknęło młodzieńca; bo pan Jasełkowski był dosyć brudny i mocno trącił kimlem. Tego dnia, z radością i wcześniej nieco opuścił subretkę i staro- przyszęłego teścia, a nawet i najmilszą Klarysę.

„Ach! Klarysso! Klarysso! mówił do siebie, wracając do Galezyc, nie wiesz jaką ofiarę czynię dla ciebie! Zawsze jesteś tak zimna, tak ostrożna, zawsze tak niedowierzająca!”

Pułkownik pojechał także do Lwowa i oświadczył bratowej, że kilka dni zabawi: Muszę odnowić dawne stosunki, rzekł do niej, poznać cudo piękności, które tak zawróciło głowę synowcowi mojemu i przekonać się na miejscu, co się to święci. Wracać co dzień i dwie mile drogi przejechać, to już trochę za ciężko na mnie.

Wiadomości powzięte, z razu nie wiele go oświeciły. Utwierdzono go w tem co już wiedział, że panna Jasełkowska bardzo rozważnie postępuje, że oniej źle nie mówi. Ojciec upija się czasem i zaciąga drobne długi; ale je płaci gdy ma pieniądze, a najczęściej, córka ze swojej gaży płaci za niego. Od czasu jak Bożysław zaczął brać lekcyę fechtowania, odwiedziło ich kilku oficerów węgierskich, a między niemi rotmistrz Czabo i jego przyjaciel Amirowski, lecz panna Jasełkowska nie pokazywała się gościom, i najczęściej przychodziła wówczas do gospodyni domu, od której właśnie powzięli te wszystkie szczegóły. Notabene, gospodyni była serdeczną przyjaciółką Klaryssy.

Pułkownik nie bardzo ucieszył się z takiego stanu

rzeczy. Gdyby to była chwilowa miłostka, to możnaby na nią nie zważać; młodzież musi się wyszumieć. Lecz najgorsza jest sprawa z przywiązaniem cnotliwem i nieodzownem.

Odwiedził starego profesora, który zżymał się na samo wspomnienie Jasełkowskiej. Namówił go aby z nim poszedł do teatru. „Wszakże ta panna nie jest jeszcze moją synowicą, rzekł, a jako aktorkę, możemy ją zobaczyć za nasze pieniądze.”

Tego dnia Bożysław pozostał w domu.

Nie pamiętam, a z resztą mniejsza o to jaką sztukę grano, lecz panna Jasełkowska była zachwycającą w głównej roli. Pułkownik i profesor uważali, że się Bożysław mógł w niej zakochać.

— Dalibóg, mruknął pułkownik, gdy po wywołaniu, klaniała się publiczności, ten młodzik nie ma złego gustu.

— Na honor, rzekł profesor, to jest bardzo zajmująca aktorka, a do tego piękne ma rysy i figurę.

To samo mniema ten młody oficer od huzarów, siedzący w pierwszém krześle, który klaszcze na zabój. Postrzegł, że Klaryssa spojrzała bardzo czule na tego oficera. Może w tem jest jakie lichy, pomyślał pułkownik, lecz one wszystkie są takie zalotne.

Wróciwszy do hotelu, pułkownik zastał w sali jadalnej Amirowskiego, z którym się zapoznał poprzednio za pośrednictwem Bożysława. Amirowski siedział w krześle, przed stolikiem jeszcze obciążonym na pół wypro-

znionemi butelkami. Chciał był także pójść do teatru, ale po obfitej biesiadzie, rozmarzony winem usnął i dopiero co się przebudził.

— Witam pana, rzekł pułkownik, poznaliśmy się o-negdaj w tem samem miejscu. Pan jesteś przyjacielem mojego synowca, a ja znałem się dobrze i kolegowałem z dziadkiem pana, miło mi widzieć jego wnuka.

Amirowski roztrzeźwił się tym czasem, a poznawszy pana Hołubowicza, uprzejmie i z uszanowaniem go przywitał.

— Jako stryj i opiekun Bożysława, rzekł pułkownik, mógłbym mieć żal do pana, żeś go wprowadził w dom Jaselkowskich, gdzie ten młodzieniec wplątał się w niepotrzebny i niedorzeczny romans.

— Przepraszam pana za mój błąd, ale mimowolny, odpowiedział Amirowski. Odnowiwszy z Bożysławem naszą dawną szkolną znajomość, poszliśmy do teatru. Od pierwszego wejrzenia zakochał się w Jaselkowskiej; prawda, że jest śliczna i przepyszna dziewczyna. Nazajutrz poznał u mnie jej ojca, który wszędzie łązi, gdzie spodziewa się iż mu kupią śniadanie, a przynajmniej wódeczki. Stary przypiął się do Bożysława, zaprowadził go do swego domu, a tam mój dawny kolega, tak dalece rozum postradał, iż oświadczył się o rękę jego córeczki.

— Zkądże pan wiesz o tem? zapytał się pułkownik.

— O! to jest przedmiotem rozmów w całym mieście. Gadaliśmy wczoraj o tej awanturze, z oficerami od huza-rów węgierskich, przy śniadaniu, i takeśmy prześladowali

rotmistrza Czabo, że aż prawie wściekał się ze złości. Czy znasz pan tego oficera? Jedliśmy obiad razem, ale ja usnąłem, on zaś poszedł do teatru.

— A pan rotmistrz, jest drugim pretendentem? rzekł pułkownik uradowany w głębi serca.

Jest czym? zapytał się Amirowski, nie dosłyszawszy dobrze.

— Drugim wielbicielem panny Jasełkowskiej.

— Tak jest, nazywamy go: *Poniedziałkiem Środą i Piątkiem*; a Bożysława *Wtorkiem, Czwartkiem i Sobotą*, bo każdy z nich ma swój dzień wyznaczony: rozumie się że bez żadnej złej myśli. Panna Klaryssa ma rozum i nie da się podejść. Podnieca jednego drugim, a wciąż poluje na męża.

— Na honor, odezwał się pułkownik, możesz nam pan uczynić bardzo ważną przysługę. Otwarcie mówię z panem i nie potrzebuję rozwodzić się nad tem, że ani ja, ani moja bratowa nie cieszą się tą nedorzeczną intrygą, w którą Bożysława wciągnięto.

— Czuję to odpowiedział Amirowski. Wtedy pułkownik wypytał się z ręcznie i jedno po drugim, o rozmaitych szczegółach o rodzinie Jasełkowskich.

— „Całe towarzystwo aktorów rzekł Amirowski wie o zalotach Bożysława, mnie zaś wszystko opowiedziała młoda artystka przyjaciółka Klaryssy. Pan rotmistrz Czabo już od trzech miesięcy kręcił się koło panny Jasełkowskiej, lecz Bożysław wszedł mu w drogę, co go tak rozjątrzyło, że zaledwie nie oświadczył się także o jej

rękę. Szkoda, że tego nie uczynił; zobaczylibyśmy, kogoby też wybrała. Wszystko to opowiedziała mi Rumiańska, poróżniwszy się ze swoją przyjaciółką.

— Panna Rumiańska była powiernicą Klaryssy?

— Tak jest, tem bardziej że ma dwa razy więcej rozumu od Klaryssy, która zaledwie czytać umie.

— Przecież umie i pisać: rzekł pułkownik, przypominając sobie listy zachowane w kieszeni Bożysława.

— Ho! ho! zawołał Amirowski z szyderczym uśmiechem. Jej wszystkie listy pisała Rumiańska. Odtąd jak się pogniewały, biedna Jasełkowska rady sobie dać nie może. Rumiańska pisze pięknym drobnym charakterem, ona zaś zaledwie litery stawiać umie. I dopóki się nie pogodzą, Bożysław nie dostanie listu od swojej kochanki.

— Moja rzecz będzie, aby nigdy się nie pogodziły, rzekł pułkownik, i nie zdołam wyrazić jak jestem uradowany z poznania się z panem. Jako człowiek żyjący w świecie, ocenisz, iż dla przyszłej doli mego synowca, zgubna jest ta miłość w którą się zaplątał i spodziewam się, że nam dopomożesz do wydobycia tego młodzieńca z mocy dwojga intrygantów, jakimi są podług mego zdania ojciec i córka. Sam jesteś pan przekonany, iż ze strony aktorki nie może być mowy o miłości.

— O miłości? zawołał Amirowski: gdyby Bożysław nie był właścicielem dwóch pięknych wiosek, które obejmie na siebie od świętego Jana, to aniby spojrzano na niego.

— Co ma objąć? czego jest właścicielem? zawołał pułkownik zadziwiony.

— Dwóch pięknych wiosek; czyliż nie jest ich właścicielem? Wszakże w nich mieszka i takie jest powszechne mniemanie?

— Kochany panie! zawołał pułkownik z niezwykłą żywością, dziękuję ci, dziękuję! teraz rozumiem! Dwie wioski! Lecz dopóki matka żyć będzie i trzymać je pod dożywociem, to Bożysław musi obywać się dwoma tysiącami złotych rocznej pensyi. A moja bratowa ma dopiero lat czterdzieści. Jeżeli ci ludzie rachują na majątek mego synowca to się niezmiernie zawiedli i pocieszyleś mię tą wiadomością.

Pożegnali się uprzejmie i każdy udał się na spoczynek. Bożysław zapewne odczytywał i całował owe trzy listy swojej Klaryssy.

Nazajutrz pułkownik dostał od Amirowskiego bilecik ręką panny Rumiańskiej pisany. Niech to będzie nauką dla panien, aby lekkomyślnie nie szafowały listami. Poszedł potem do profesora i z okien jego pokoju wychodzących na ogród, mógł zobaczyć okna pomieszkania Jaselskowskich, te niegodziwe okna, w których postrzeżono Bożysława u nóg jego kochanki, będzie temu trzy tygodnie. Professor zawzięty na tę całą familię, za niegrzeczne wyrazy, które powiedział mu jego dawny uczeń, usłyszawszy opowiadanie pułkownika zarzekł się, że musi dopatrzeć czegoś takiego, co przekona Bożysława, iż go zwodzą jak dudka. Ztamtąd pułkownik poszedł do

państwa Jasełkowskich; był to właśnie piątek, dzień rotmistrza od huzarów.

Wstępując na wschody słyszał tupanie i szczęk broni.

— To pan rotmistrz Czabo, rzekł synek gospodyni domu, który go prowadził na górę, bierze lekcję fechtowania.

Pułkownik otworzył drzwi. Człowiek wysokiego wzrostu, z floretem w ręku wyszedł na przeciw niego.

Pułkownik rzekł kłaniając się:

„Zapewne mam honor mówić z panem Jasełkowskim?”
Jestem podpułkownik Hołubowicz.

Jasełkowski podał mu rękę, mówiąc: Pułkowniku, wielki to zaszczyt dla mnie.

Hołubowicz i Jasełkowski, jako ludzie starzy i doświadczeni, zachowali krew zimną. Lecz inne osoby zmieniły się nieco na widok niespodziewanego gościa. Rzeczą jest pewną, że panna Klaryssa, zawsze tak obojętna i zimna, uczuła mocniejsze bicie serca, i zapłonęła się, gdy rotmistrz Czabo spojrział na nią zachmurzonym wzrokiem.

— Oto jest moja córka, panie pułkowniku, a to mój zacny uczeń i przyjaciel, pan rotmistrz Czabo: rzekł Jasełkowski, a to pan Prusiewski nasz muzyk-artysta. Racz pan usiąść, za chwilę będę mu służył.

Wybiegł do drugiego pokoju i wziął nowy surdut sprawiony na benefis, półkoszulek białe i halsztuch roboty Klaryssy. Wszystko to ledwie minutę czasu zabrało.

Rotmistrz także wyszedł z Jasełkowskim i poprawił swój obcisły huzarski mundur.

— Nie potrzebuję usprawiedliwiać się przed panem, rzekł Jasełkowski, żeś mię zastał dającego lekcye fechtowania.

— Stary żołnierz najwłaściwiej używa swego czasu, nauczając młodego wojskowego trudnej sztuki robienia szpada, odpowiedział pułkownik. Słyszałem w krakowskiem o biegiłości pana dobrodzieja, a któż nie zna sławy i talentów zacnej jego córki?

— Tak uprzejme wyrazy, zdziwiły Prusiewskiego, który nie mógł odgadnąć ich celu.

— Przyszedłem złożyć moje hołdy córce pana, mówił dalej pułkownik. I uklonił się jakby jakiej xiężniczce. Słyszałem o pani talencie, od mego synowca, któregoś zachwyciła. Lecz Bożysław jest jeszcze dzieckiem, łatwo zapala się młoda jego wyobraźnia i dla tego sam chciałem się przekonać. Pozwól pani, iż oświadczę że oczarowałaś mię dnia wczorajszego. Widziałem nasze dwie najznakomitsze artystki w Warszawie i nie przesadzam, mówiąc, że je pani przewyższasz.

— Tak powiadali prawdziwi znawcy: rzekł Jasełkowski z tryumfującym uśmiechem. Ale racz usiąść pułkowniku.

Klaryssa podała ostatnie krzesło nie zajęte, pułkownik usiadł.

Pod czas tej rozmowy, rotmistrz przybrał minę zamyśloną i surową, muskał wąsy i spoglądał na Klaryssę,

z taką miną jak gdyby chciał wyrazić. Czego chce ten człowiek?

Zły humor rotmistrza nie uszedł uwagi pułkownika i bardzo go ucieszył. A więc doprawdy jest on rywalem Bożysława. I życzył sobie z całego serca, aby ten rywal odniósł zwycięztwo, w walce o rękę tej dramatycznej piękności.

— Przepraszam panów: mówił dalej stary Hołubowicz: że przerwałem lekcya; lecz nie długo zabawię we Lwowie i uważałem, że jest obowiązkiem moim bliżej poznać tak zajmującą osobę, której gra tyle mi się podobala. Widziałem jak pan rzuciłeś pod stopy panny Klaryssy bukiet z kwiatów, na który żadna może artystka nie zasłużyła bardziej: przydał, zwracając mowę do rotmistrza. I ja byłbym tę samą przyniósł ofiarę, gdybym przeczuł jaki cud doskonałości zobaczę. Ale cóż to ja widzę! w tem naczyniu jest ten sam bukiet.

— Kocham, ubóstwiam kwiaty! rzekła panna Jaselska, rzucając tkliwe spojrzenie na rotmistrza.

Ale pan rotmistrz nie rozpogodził oblicza.

— „Tej co pięknoscią panuje swiatu,
Rzucajcie kwiaty żywemu kwiatu!

Wszakże tak mówi poeta? rzekł pułkownik, zwracając to zapytanie do rotmistrza.

— Sem ja tam nie znawać wasze poety, odpowiedział rotmistrz. Ja się ledwo z wami po polisku nauczyć, odpowiedział rotmistrz z węgierskim akcentem. Ja was

też żegnać panowie, sem ja pójdź do kolegów na szampana. Servus humilinus! panno Klarysso.

I mimo błagających spojrzeń artystki i jej uśmiechów, rotmistrz ukłonił się ozięble i wyszedł, oczywiście w złym humorze.

Pułkownik ciągle był poważnym, nie miał wielkiej ochoty do śmiechu. — „Co za przepyszny olbrzym! rzekł do Jasełkowskiego; nie widziałem piękniejszego huzara.

— Jest on chlubą wojska i rodu ludzkiego, odpowiedział Jasełkowski, naśladując wyrażenia w melodramatach słyszane. Jest to bardzo znamienity młodzieniec, grzeczny, uprzejmy, uwielbiają go wszyscy koledzy, posiada ogromny majątek i daje wyborne objady.

— Doskonały kawaler, rzekł pułkownik śmiejąc się. Pewny jestem, że wszystkim damom głowy zawrócił.

— Przystojnym jest mężczyzną, mimo swojej dobrej tuszy, ale nie umie dobrze gadać po polsku i gniewa się byle o co, rzekła Klaryssa.

Prusiewski obecny tym odwiedzinom, domyślił się, iż pułkownik z umysłu przedłuża bytność swoją, aby rozmówić się o głównym przedmiocie, to jest o zalotach Bożysława i uznał, że lepiej będzie jeżeli obydwaj starzy sami zostaną.

— Panno Klarysso, rzekł do niej ze znaczącem spojrzeniem, czas iść na próbę. Spóźniemy się; będą na nas czekali.

Na te słowa, panna Jasełkowska wzięła szal i kape-

lusz i ukłoniła się pułkownikowi z najmilszym uśmiechem, na jaki zdobyć się mogła.

— Dla czegoż nas porzucasz pani? rzekł pułkownik, czyliż nie obdarzysz nas jeszcze kilka chwil twoją obecnością? Pozwól niech ci oświadczę, że jestem jednym z największych i najszczerzych twoich wielbicieli i bądź pewną że bardzo cieszę się z tego, że miałem zaszczyt poznać panią.

Panna Jasełkowska ukłoniła się poważnie, słysząc takie pochwały. Prusiewski nie pojmował co to znaczy. Bydź że to może, myślał wychodząc, że stryjasek chce ażeby została jego synowicą? Ale to niepodobna.

A teraz pogadamy, rzekł sam do siebie pułkownik.

— Trzeba panu powinszować tak pięknej i tak utalentowanej córki, rzekł do Jasełkowskiego. Jeszcze nie widziałem osoby, ze szlachetniejszym ułożeniem. Jestem pewien, że jest tak dowcipna i rozumna, jak piękna, a dobroć jej serca, wyrówna wzniosłości talentu.

— Jest wzorową i najlepszą córką, odpowiedział stary, jest chlubą naszą. Ach! jak szczęśliwy będzie ten, kto ją pojmie za żonę; a wiem pułkowniku o kim mówię.

— Nie dziwię się, że zawróci głowę i młodym i starym. Przyznam się panu, że teraz, gdym poznał pannę Klarysę, już się nie gniewam na biednego mego synowca. Gotów jestem przebaczyć mu choćby największe szaleństwo. Ach! czemuż ja nie mam tego wieku i majątku, ażebym mógł być jego rywalem!

— Pułkowniku! uszczęśliwiasz mię. Twoja przyjaźń,

panie, cieszy mię niezmiernie. Uwielbienie, którem przejęty jesteś dla mojej córki, wyciska z oczu moich łzy rozrzewnienia i dumy. A gdy opuści nasze ubogie mieszkanie i osiedzie w waszym wspaniałym dworze, spodziewam się, że zachowa tam jaki kącik dla ojca, dla biednego starego kapitana!

To mówiąc Jasełkowski, rozplakał się na prawdę.

— Te uczucia przynoszą panu zaszczyt, odpowiedział pułkownik. Lecz panie kapitanie, muszę sprostować jeden wyraz w twojej rozmowie.

— Jakiż to panie?

— Mówisz o wspaniałym dworze Bożysława Hołubowicza, dziedzica Galczyce z przyległościami, zawołał kapitan uroczystym tonem.

Pułkownik uśmiechnął się powtórnie.

— Dwór wspaniały w Galczycach! rzekł. Pan nie jesteś dobrze uwiadomiony. Posłuchaj mię proszę. Wiem o miłości mego synowca, wiem, że niczym nie można było odwieźć go od zamiaru zaślubienia córki pana; wiem żeście przyjęli jego oświadczenia. Stosując się więc do tego, czego już zmienić nie można, przybyłem tu głównie w tym celu, aby ułożyć interessa familijne, i stanąć w obronie praw mojej bratowej, która jako słaba kobieta, sama dopilnować by ich nie umiała. Panna Jasełkowska, o ile z tych krótkich chwil osądzić mogłem, potrafi zastosować się do trybu życia, jakie wieśdź będzie musiała, poszedłszy za Bożysława.

— Nie rozumiem pana, rzekł Jasełkowski zdziwiony i odurzony tak zimnym i uroczystym tonem pułkownika.

— Zaraz mię pan zrozumiesz, rzekł pan Hołubowicz.

— Matka Bożysława jest dziedziczką połowy majątku, a ma dożywocie na drugiej połowie. Póki ona żyć będzie, jej syn ma tylko pięćset reńskich rocznego dochodu. Tak rozporządził mój brat, ostatnią wolą swoją i dobrze zrobił. Niech młody człowiek pracuje, niech się nauczy zarabiać na kawałek chleba, będzie potem lepiej szanował to, co po rodzicach odbierze.

Jasełkowski osłupiał na tę wiadomość.

— To być nie może! to są żarty!

— Panie Jasełkowski, odpowiedział pułkownik, w takim przedmiocie żarty nie uchodzą, a mój stopień i wiek, powinienby pana zapewnić, że prawdę mówię. Ale bądź pan spokojny, matka Bożysława niezmiernie jest do niego przywiązana; umysliła zatem, w razie, gdyby koniecznie chciał się żenić z panną Klaryssą, wypuścić mu folwark Zamęcin, należący do Galczyce.

— No, to jeszcze jakkolwiek, odpowiedział Jasełkowski. A jakiż to jest folwark?

— Jak na młodego chłopca i młode małżeństwo, bardzo przyzwoity. Ma około sześćdziesiąt korcy wysiewu, dworek drewniany, słomą kryty, trochę wbity w ziemię z lat przeciągiem, ale jeszcze dość mocny. Mieszkał tam ekonom; można go wybielić, ogarnąć i państwo Bożysławstwo wygodnie się tam pomieszczać. Starym obyczajem, jest tam duża izba do jadania i przyjęcia gości, al-

kierz do sypiania, komórka na schowanie rzeczy, a po drugiej stronie, izba czeladnia i spiżarnia. I czegoż więcej potrzeba dla szlachcica na jednej wiosce? Mój ojciec mieszkał tam lat dwadzieścia siedm i bardzo mu się dobrze powodziło.

Cały ten opis, wymówił pułkownik tonem tak dobrodusznym, tak naturalnym i spokojnym, iż Jasełkowski nie wiedział co się to wszystko znaczy, czy to prawda, czy jakaś mistyfikacya. Lecz w miarę mowy pułkownika, coraz bardziej marszczyło się czoło jego, coraz bardziej zaczerwieniały się policzki.

— A cóż my ze sobą zrobimy? rzekł nareszcie; wszakże talent ukochanej córki, jest moją jedyną podporą i ratunkiem, a Bożysław zaprzysiągł, że będzie nas kochał, jak drugich rodziców swoich i podzieli się z nami ostatnim kawałkiem chleba?

— O tem nie wątpię, że dla was będzie jak najlepszym zięciem, odpowiedział pułkownik. Jest to młodzieniec z najszlachetniejszym sercem, z najtkliwszemi uczuciami. Przysiągł, że waszą Klarysę będzie kochać do zgonu i nie złamie tej przysięgi, jeżeli go sami od niej nie zwolnicie. Przysiągł także, ukląkwszy u stóp matki swojej, kiedy ją błagał i zaklinał, aby zezwoliła na jego związek z panną Jasełkowską, że poprzestanie na udziale jakiego mu przeznaczy, że nigdy żądać nie będzie, aby matka opuściła dom, w którym lat dwadzieścia z mężem i synem mieszkała, że niczyje namowy, nawet najdroższej małżonki, nie zdołają skłonić go, aby zakłócał spokoj-

ność domową tej, której życie jest winien, która go własnem mlekiem wykarmiła. Byłem przytomny temu przyrzeczeniu zacnego synowca mego. Uradziliśmy więc i on na to przystał, że młode małżeństwo osiedzie w Zamęcinie.

— A co mi z tego przyjdzie? zawołał Jasełkowski.

— Co panu z tego przyjdzie? powtórzył pułkownik: przecież pan wydajesz córkę dla niej samej, nie dla siebie? Jeżeli panna Klaryssa choć przez pół tak kocha Bożysława jak on ją, to potrafi zastosować się do jego położenia i dolę jego podzielać.. W cichej małej wiosce, będzie mogła panna Jasełkowska rozwinać te cnoty domowe, których zarody leżały dotąd ukryte w jej sercu. Nowe obowiązki i zatrudnienia czekać ją będą. Pielegnowanie dzieci, któremi zapewne nieba obdarzą młodą parę, a bardziej jeszcze gospodarstwo domowe, zajmą każdą jej chwilę. O! pan wiesz zapewne, jak ważną jest rzeczą gospodarstwo niewieście na małej wiosce; krowy, cielaczki, drób, a mianowicie też trzoda chlewna, stanowią na niem największą część dochodów i potrzebują bezpośredniego dozoru. Dla państwa, jeżeli koniecznie będziecie chcieli mieszkać przy zięciu, Bożysław wyporządzi, albo nareszcie postawi jaki domek niedaleko dworu i możecie oboje bardzo być użytecznymi dzieciom waszym, przy ich gospodarstwie.

Już też dłużej wytrzymać nie mógł stary Jasełkowski. Zerwał się z krzesła z zaiskrzonymi oczyma, z zapaloną twarzą i zawołał:

— A cóż to sobie pan myślisz, że moja córka, najpierwsza artystka dramatyczna w całym kraju, bukietami i wieńcami zarzucana, wywoływana po dziesięć-kroć, będzie pilnować kur i ciołaków, nie wspominam tu podłej jeszcze trzody, jakby jaka ekonomka lub dziewczka wiejska? Ja zaś mam wziąć kij w rękę i stanąć nad ludźmi jak włodarz? a może moja żona zastąpi u nich miejsce kucharki, a przynajmniej gospodyni.

— Żona podziela stan i dolę swego męża, najobojętniej odpowiedział pułkownik. A zresztą, i to coś znaczy, a może i bardzo wiele, że panna Jasełkowska opuści deski teatralne, na których już nie tak długo w młodych rolach błyszczeć będzie mogła, i wnijdzie w dom zacny, obywatelski, gdzie na nią i na jej dzieci spadnie majątek, pomierny, ale przyzwoity i czysty, po najdłuższem daj Boże życiu, najukochańszej bratowej mojej.

— Te słowa, a zwłaszcza przycinek do schodzącej już młodości jego córki, doprowadziły złość Jasełkowskiego do najwyższego stopnia.

— Mości panie, rzekł, przyszedłeś tu najgrawać się z nas, a ja tego nie ścierpię. I ja jestem starym wojskowym. Albo to co powiadasz o majątku i położeniu Bożysława jest fałszem, albo, synowiec pana jest niegodnym człowiekiem.

— Mości panie, ani mój wiek, ani mój stopień wojskowy, ani ta zaszczytna ozdoba, odpowiedział pułkownik wskazując na krzyż legii honorowej, nie pozwalają mi wchodzić w dalsze dysputy z panem. Są ludzie, których

wyraży nie zdołają nikogo skrzywdzić ani obrazić, a mój synowiec pana nie zwodził, jestem pewny. Jaki jest stan majątku Galczyc, można się przekonać w księgach tabularnych; wolno każdemu tam rozpatrywać się o stanie dóbr obywatelskich; a dla czego wciągnąłeś Bożysława do twego domu, wiedziałem o tém dobrze.

— Tak się nie skończy mój panie! zawołał Jasełkowski, za te wszystkie szyderstwa, za uczyniony zawód ze strony Bożysława, żądam satysfakcyi honorowej.

— O to mniejsza, rzekł pułkownik. Będiesz miał sposobność pochwalenia się, że dymissyowany wachmistrz z wojska austriackiego, a nazywający się kapitanem, który potem Bóg wie jakie wypełniał zatrudnienia, pojedynkował się z podpułkownikiem dawnego wojska polskiego. Możesz tę rzecz prowadzić zwyczajnym sposobem.

Po tych słowach wyszedł pułkownik, a Jasełkowski nie posiadając się ze złości, pospieszył do pobliskiego szyneczku i tam trzema kieliszkami anyżówki, zeszcłę gardło odwilżył. Poleciał do gmachu sądowego, dał dwadzieścia krajcarów jakiemuś kopiście, a ten zajrzał do Tabuły Galczyc i potwierdził prawdę słów pułkownika. Jasełkowski znowu na desperacyę wypił parę kieliszków wódki, tak, że był zupełnie pijany, kiedy Klaryssa powróciła z teatru, w nieodstępem towarzystwie Prusiewskiego, który bardzo często u nich jadał.

Panna Jasełkowska wróciwszy do domu, zastała ojca drzemiącego w krześle, a na podłodze leżały porozrzu-

cane listy i wiersze Bożysława. Zbudził się na jej widok, uchwycił córkę w objęcia swoje i zawołał ze łkaniem:

— Nieszczęśliwa córko, przygotuj się na ciężkie zmartwienie!

— Znowu uczęstowałeś się mój ojciec: odpowiedziała Klaryssa, odsuwając się od niego. Przysięgłeś, że nie będziesz pił aż do zalania głowy.

— To dla tego, aby zapomnieć o troskach moja biedna Klarysso! Wstąpiłem do kramu i wypilem kieliszek, aby w nim utopić zmartwienie.

— Twoje zmartwienie, potrzebuje jak widzę dużego kieliszka, mój kapitanie, rzekł Prusiewski, naśladując żaloszny ton swego starego przyjaciela. Cóż się stało? czy ten słodziutki stryjasek tak cię na ostatku rozgniewał?

— Obłudny! filut! niegodziwy arystokrata! nigdy mu tego nie daruję! krzyczał Jaselski.

Klaryssa uciekła tym czasem przed pieścizotami i uniesieniem ojca, do swego pokoiku, i schowała szalik i kapelus, chroniąc je od wszelkiej przygody.

— Domyślałem się, rzecze Prusiewski, że on myśli o jakimś machiawelstwie. Tak był niezmiernie grzeczny. I cóż powiedział?

— Ach! przyjacielu, poszarpał mi serce, zawołał Jaselski.

— Cóż się stało? zapytał się Prusiewski, niespokojny na prawdę.

Wówczas Jasełkowski powtórzył mu rozmowę z pułkownikiem i swoją wycieczkę do kancelaryi sądu ziemiańskiego. Ale ja mu tego nie daruję; nauczę rozumu, i tego starego intryganta i tego młokosa.

— I cóż chcesz zrobić?

— Będę się z niemi strzelał, dopóki albo obudwu nie zabiję, albo sam nie zginę.

W tej chwili, panna Jasełkowska weszła do pokoju, spokojna, swobodna i szczęśliwa, co tworzyło dziwną sprzeczność z jej ojcem, zaczerwienionym od gniewu, żalu i wódeczki. Trzymała w ręku parę atłasowych trzewików, za młodu białych, ale posmolonych od kilkakrotnego użycia. Jako dobra gosposia, umyśliła oczyścić je ośrodkiem chleba, żeby mogły jeszcze raz służyć na wtorkową reprezentacyą.

Spojrzała na rozrzucone papiery i chciała coś powiedzieć, lecz zmieniwszy zamiar, poszła do szafki i ukroiła kawałek chleba. A potem usiadłszy przy stoliku, zapytała się:

— Po cóż ojciec powyjmowałeś listy i wiersze pana Bożysława? Na cóż ci się takie fraszki przydadzą?

— Klarysso! zawołał stary, ten młodzieniec, którego kochałem jak własne dziecko, jest łotrem i zwodzicielem moja biedna córko!

— On! gdzież tam! tak jest szczery i prosty jak student, rzekła Klaryssa. Wszyscy ci młodzi piszą wiersze i inne tym podobne niedorzeczności.

— Wkradł się do naszego domu jak żmija! jak zdrajca! zawołał ojciec. Powtarzam ci że jest oszustem.

— I cóż uczynił ten biedny chłopiec, ojczu? zapytała się Klaryssa.

— Co zrobił? zwiódł nas najniegodziwszym sposobem. Żartował z twojego przywiązania i znieważył moje najdroższe uczucia. Udawał że jest bogatym, a on ma za ledwie tyle co biedny szlachetka na zagrodzie. Człowiek ten zależy od łaski swojej matki, kobiety dopiero czterdzięci lat liczącej, która może pójść za mąż i daje synkowi dwa tysiące rocznie. Jak śmiał prosić o twoją rękę, kiedy nie może przyzwoicie utrzymać żonę i nas przy tobie? Niegodziwie cię oszukał, a ten stary stryjaszek pułkownik, jest w zмовie z nim razem. Wyobraź sobie, że powiedział mi na ostatku, że jeśli się pobierze cie, to was osadzą gdzieś tam na jakimś folwarczku, w dworcu pod słomą o czterech izbach, razem z czeladzią, a dla nas dadzą chałupę, i że ty będziesz miała bardzo miłe i godne twego talentu zatrudnienie, koło gąsek, kur, ciołaczków i prosiąt.

Klaryssa ciągle czyściła swoje atlasowe trzewiki, lecz na te wyrazy ojca, jej twarz bardzo spoważniała.

— Wszystkie szlachcianki na jednej wiosce, muszą myśleć o gospodarstwie domowém, odpowiedziała powolnym głosem. Ale powiadam szczerze, iż nie mam ochoty do takiego gospodarstwa. Zamiast kwasić się na wsi, wolę występować na scenie. Jeszcze dla mnie lata nie przeszły. Lecz o cóż tu się gniewać? Nie ma Boży-

sław majątku? to nie potrzebuję iść za niego i na tem koniec. Ten młodzieniec zawsze mi powiadał, że bardzo mało posiada, tylko ojcu uwidziało się, że jest bogatym i chciałeś aby się ze mną ożenił.

— Powinien był mówić otwarcie i oświadczyć jakie są jego stosunki z matką. Młody człowiek, który co drugi dzień bywa we Lwowie, ma piękne konie, ofiaruje w prezencie szaliki, bransoletki i koleczyki, albo jest bogatym, albo oszustem. Napiszę do niego, aby więcej w domu moim nie postał.

— A to po co? Po co ludzi obrażać? My w naszym dramatycznym zawodzie, powinniśmy skarbić sobie życzliwość całej publiczności, rzekła wyrachowana Klaryssa. Rodzina Hołubowiczów ma krewnych i przyjaciół w okolicy; gotowiby mi jaką niegrzeczność zrobić podczas widowiska. „Milczała przez czas niejakiś.” — Tak więc ten biedny Bożysław nie jest bogatym, rzekła z westchnieniem dosyć melancholiczném. Szkoda, dobry to chłopiec. Szalony był ze swemi wierszami, któremi co dzień mię zarzucał, lecz szlachetne miał serce, podobał mi się rzeczywiście i kochał mię bardzo. To mówiąc ciągle wycierała chlebem swój atłasowy trzewik. Ale na cóż się przyda iść za ubogiego szlachcica? I tak jesteśmy dosyć ubodzy. Nie zamknę się na wsi, w sąsiedztwie niechętnej świekry, która mi wymierzać będzie korzec mąki i kaszy jeżeli nam jej przypadkiem zabraknie.

— Ale już czas jeść obiad. Kasia jeszcze nie nakryła dotąd, a mojej matki nie widać. A przy tem, przydała

z niewymowną prostotą, jeżeliby nam Pan Bóg dał dzieci, to bylibyśmy w większym niedostatku niżeli teraz.

— To prawda, kochana Klarysso, odpowiedział Jasełkowski.

— Tak się kończy historia pani Klaryssy Hołubowiczowej, rzekła: parsknąwszy śmiechem. Każdy mój romans taki sam obrót bierze. Skoro tylko jaki mężczyzna spojrzy na mnie, ojciec wyobraża sobie, iż chce starać się o mnie, a skoro tylko jest przyzwoicie ubrany i ma kilka talarów w kieszeni, robią z niego Krasusa.

— Krezusa, poprawił ją Prusiewski.

— Krezusa; czy Krasusa, zwieście go tam jak sami chcecie, ale to jest prawda, że w przeciągu lat ośmiu ojciec mi dwunastu konkurentów naraził. A więc ten biedny Bożysław nie ma pieniędzy! Panie Prusiewski, prosimy zostać na obiedzie, mamy doskonałą polędwicę i zupę szczawiową.

— Ona musi rachować na rotmistrza Czabę, pomyślał Prusiewski, nie spuszczać jej z oka. Kobiety są to nieodgadnione istoty i pewien jestem, że tak prędko nie pocieszyłaby się po Bożysławie, gdyby tamtego nie miała pod ręką.

Z tego obrazku możemy poznać, że panna Jasełkowska, lubo nie odcytana w literaturze dramatycznej i historii, rozumiała dobrze interesa domowe i ocenić umiała swoje stanowisko.

Przy obiedzie przekonała ojca, że nie Bożysław ich

łudził, lecz oni sami siebie, a to na mocy mylnych wiadomości, które o Hołubowiczu powzięli w kramach lwowskich; szczerze ubolewała nad Bożysławem, lecz mimo tego jadła obiad z najlepszem apetytem. Potem naradzono się, jak skończyć ten nietrafny romans. Jasełkowskiemu wyleciały z głowy jego wojownicze wyzwania.

„Lecz, zawołał, cóż zrobimy jeżeliby pan Bożysław nalegał o twoją rękę!”

— Rzecz bardzo prosta. Ojciec napisze do niego, z zapytaniem jak się urządzi w razie małżeństwa, i jaki jest stan jego majątku. Bożysław, pewna jestem, powie to samo co jego stryj pułkownik. Wtedy ojciec odpisze, że to nie wystarcza na utrzymanie domu i wszystko się skończy.

— Zapewne dopiszesz parę wyrazów, że go zawsze uważać będziesz jak brata? rzekł Prusiewski do Klaryssy szyderczym tonem.

— Ma się rozumieć i napiszę szczerą prawdę, odpowiedziała. Jest to zacny młodzieniec! Panie Prusiewski podaj mi kawałek sera.

— A cóż zrobisz z jego listami i wierszami, moje kochanie? trzeba je odesłać!

— A to po co? zdadzą się pod placki i do wyłożenia doniczek, jak będziemy piekli ciasto na Wielkanoc.

Taki to los, niewdzięczna Klaryssa, gotowała poezyom Bożysława. Ileż to on nocy strawił nad niemi! Ile miłości, ile westchnień, młodzieniec przelał w te pisma! Związała je sznurkiem w jedną paczkę, rzuciła na szafę, a potem,

spokojna i swobodna zaczęła przyrządzać herbatę. A tymczasem Bożysław wzdychał w Galczycach i marzył o niej!

Tymczasem niespokojni byli w Galczycach, że pułkownik tak długo bawi we Lwowie. Już się Bożysław wybierał po niego, a zarazem cieszył się, że zobaczy oblicze ukochanej, gdy około trzeciej godziny po południu przybiegł posłaniec z listem, donoszącym, iż pułkownik tego wieczora powróci i prosi Bożysława, aby zaczekał na jego przybycie, gdyż mu przywiezie ważne wiadomości, wymagające należytego namysłu i narady.

Zimno przejęło młodzieńca od stóp do głowy, ale cóż miał robić? musiał czekać; liczył z utęsknieniem godziny, minuty i co chwila wychodził na ganek.

Pułkownik po tak cierpkiej rozmowie z Jasełkowskim, wrócił do sali restauracyjnej w hotelu i zastał tam Amirowskiego, który główną kwaterę założył sobie w tym domu zajezdnym. Mimo wszelkiej mocy jaką miał nad sobą pułkownik, nie mógł w zupełności utaić rozjątrzenia swojego i potrzebował wywnętrzyć się przed kim: właśnie w samą porę wpadł mu pod rękę Amirowski.

— A niech panu Bóg nie pamięta, tej nieszczęśliwej znajomości, którą za przyczyną pana zrobił mój synowiec z Jasełkowskimi! Sam nie wiem jak się to wszystko skończy, a ja może będę musiał strzelać się z jakimś starym pieczeniarem.

— Co! czy wyzwiał pana? zapytał się Amirowski. Wyborny! on zawsze tak robi, on każdego wyzywa, kto po-

wiedziawszy parę słów grzecznych jego córeczce, potem nie chce się z nią żenić. Mniema, iż trafi choć raz na takiego, którego ustraszy. Ale on nie przyśle sekundanta i nie będzie popierał pojedynku. Znamy go doskonale. A o cóż się tak rozjędyczył?

Pułkownik opowiedział mu całą rozmowę z Jasełkowskim, od początku do końca.

— No, to prawda, że w tem moja wina po części, chociaż nie umyślna, bo któżby mógł przewidzieć, że mój kolega tak się zakocha, jak kot w marcu. Ale powinienem wynagrodzić, złe, któremu dałem początek. Muszę Bożysława gruntownie wyleczyć. Wybornie! już wiem co zrobić. Bożysław lepiej umiał w szkołach łacinę, geografiją i historiją, ale w życiu społecznem, w doświadczeniu i znajomości kobiet, ja go o sto mil prześcignąłem. Jedź pułkowniku do domu, miej konie gotowe na każde moje wezwanie, nie puszczaj Bożysława do miasta, a gdy wam napiszę natychmiast przyjeżdżajcie. Objasnię pana jak masz postąpić. Lekarstwo będzie mocne, ale skuteczne. Urządź się pan tak, ażebyś z Bożysławem mógł natychmiast Lwów opuścić. A teraz żegnam szanownego pułkownika, bo nie mam ani chwili do stracenia. To rzekłszy wybiegł na miasto.

— Szalony półgłówek i utracyusz! rzekł pułkownik. Nie wiem co mu tam przyszło do głowy. Ale przecież nic złąd złego nie wyniknie: pójdę za jego radą.

Amirowski pobiegł do winiarni, gdzie była zwykła kwatera rotmistrza Czabo. Zastał tam kilkunastu ofice-

rów jego kolegów z pułku i kilku pieczeniarzy; wino lało się potokiem. Pan Czabo częstował. Właśnie też przed trzema godzinami przyjechał do niego komisarz i przywiózł trzosik złota, ze sprzedaży wina z jego majątności na Węgrach. Nic tak nie podnieca humoru i nieczyni człowieka hojnym, a nawet zdolnym do Bóg wie jakiego szaleństwa, jak ta pewność, że jest złoto w kieszeni.

Czabo uściskał Amirowskiego.

— Sem musisz nas dogonić, zawołał, bo my tu już wypili po dwie butelki szampana.

— Zgoda, ja do gotowego, odpowiedział Amirowski. No, kochany rotmistrzu, jakże to będzie? Czyliż pozwolisz, aby cię jeden młodzik odsadził od tak pięknej dziewczyny, jaką jest panna Jasełkowska?

— Basamteremtete! zawołał Czabo. On by miał mię odsadzać, cóż to ma znaczyć?

— Znaczy to, że on się oświadczył stanowczo o jej rękę, i że się z nią najdalej za miesiąc ożeni.

— Niech mnie diabli porwą! krzyknął Czabo, jeżeli na to pozwolę. Ja go wyzwę i uszy mu po obcinam, a jak się głowie przypadkiem dostanie, i zetnę ją jak makówkę, to nie moja w tem będzie wina.

— Co tam gadasz rotmistrzu, rzecze Amirowski. Ty go wyzwiesz, to on się nie będzie rąbał, tylko strzelał. Wybierze pistolety, a kto wie co z tego będzie? Tyś taki wielki i tłusty, a on mały i cienki, to kto kogo prędzej trafi.

— Jak Bóg da; kiedy tak, to się będziemy strzelać o trzy kroki, to nas obu czarci porwą i na tem będzie koniec. Twoje zdrowie, kochany panie Amirowski.

— Ale po co tak się zapalas, kochany rotmistrzu? rzecze Amirowski. Bożyśław oświadczył się, ale jeszcze nie dano mu stanowczej odpowiedzi. Powiem ci szczerze, że panna Klaryssa wołałaby ciebie niż tego młodzika. Ale nic nie powiadasz, jakie są twoje zamiary, a kto pierwszy ten lepszy, znasz przysłowie.

— Dobrze mi radzisz! zawołał rotmistrz, zdrowie twoje, i znowu wychylił ogromny kielich szampana.

— Panie rotmistrzu, ja ci serdecznie sprzyjam rzekł Amirowski, i dla tego chcę ci szczerze dopomódz. Masz piękny a nawet wielki majątek; podobają ci się panna Klaryssa, to się z nią ożeń. Jest to osoba skromna, dobrze prowadząca się, piękna; będzie z was bardzo dobrana para. Jeżeli zezwolisz, to ja ciebie oświadczę.

— Jak najchętniej, mosan Amirowski! krzyknął rotmistrz, sem ja dawno bym się oświadczył, ale mi tak jakoś trudno gadać po waszemu. Ale ja kupię zaraz szal turecki za sto czerwonych złotych i fermoar za drugie sto i sem ja dam pannie Jasełkowskiej i powiem: Servus humillimus domina Klaryssa, ego cupio tuum maritum esse, wyjej to przetłomaczycie po polsku i tak się po prostu po naszymu, po węgiersku oświadczę.

— Wybornie! wybornie! zawołało całe towarzystwo, śmiejąc się do rozpuku.

→ A kiedyż to będzie? zapytał się Amirowski.

— Zaraz jutro, ale wieczorem, bo cały dzień muszę być na służbie u generała; ale po szóstej już będę wolny, rzekł Czabo, którego łamanej polszczyzny mieszanej z łaciną nie chcemy powtarzać, aby czytelników nie nudzić.

— A teraz wypijmy zdrowie kochanego mego swata, magnifico Amirowski.

I w najlepsze pić zaczęli na nowo. Wnoszono zdrowie i panny Klaryssy, i pana i pani Jasełkowskiej i pomyślności państwa młodych i przyszłej konsolacyi, aż nareszcie cała kompania, zaledwie zdołała wytoczyć się ze sklepu i trafić do swoich stancyi.

Nazajutrz koło godziny jedenastej rano, umyślny posłaniec przyniósł pułkownikowi bilecik w tych słowach:

„Dziś o godzinie siódmej, bądź pan z Bożysławem w altanie profesorskiego ogrodu. Mieście cierpliwość i czekajcie tam spokojnie, wszystko dobrze się skończy.

A m i r o w s k i.

Od samego rana pułkownik zaledwie zdołał powściągnąć Bożysława, który niecierpliwie wrywał się do Lwowa. Mówił mu, że chciał ułożyć z Jasełkowskim, jak i gdzie będą mieszkać państwo młodzi? lecz że stary bardzo się rozgniewał, usłyszawszy o słomianym dworku w Zamęcie i utrzymywał, że ta wieś i mieszkanie nie są godne jego córki.

— A Klaryssa, cóż na to rzekła? zapytał się Bożysław.

— Panny Jasełkowskiej nie było przy naszej rozmowie, odpowiedział pułkownik.

— A więc cóż znaczą gadaniny starego? Ach! ja tak znam serce mojej Klaryssy; że ona byłaby ze mną szczęśliwa, nawet w chacie wieśniaczej, nie dopiero w dworku Zamęcińskim. Muszę śpieszyć, muszę się wytłumaczyć. Stryj zapewne wystawił wszystko w jak najgorszym świetle.

— Powoli, mój Bożysławie, nikt cię nie trzyma, nikt ci nie zakazuje; przez ten tylko jeden dzień bądź cierpliwy. Jutro rano odjeżdżam do Krakowa, będziesz mógł robić co ci się podoba.

W tej chwili wszedł posłaniec i oddał list panu Bożysławowi.

Schwycił go z niecierpliwością i przeczytał te wyrazy.

Szanowny Panie!

„Proszę mi przebaczyć, że nie używam serdeczniejszego wyrazu, do którego, oświadczenia pana mogłyby mnie upoważniać. Lecz, *ryba Fisch geld auf dem tisch*, mówi przysłowie. *Clara pacta claros faciunt amicos. Co oko widzi to ręka płaci.* Starasz się pan o rękę mojej córki. Proszę mi więc powiedzieć otwarcie, czy jesteś dziedzicem Galczyca, czy możesz rozrządzać majątkiem i czy masz dostateczny fundusz na takie utrzymanie żony, do jakiego nadaje prawo jej talent i nabyta sława w dramatycznym zawodzie? Czekamy jak najspieszniejszej odpowiedzi.”

— O marne, zimne rachuby światowe! zawołał Bożysław, poznaję żeś go uprzedził przeciw mnie mój stryju. Ale szlachetna, niewinna, bezinteresowna Klaryssa, nie o tém nie wie. Ten list napisany został bez jej woli i wiadomości. Byłaby do mnie dołączyła chociaż kilka wyrazów pociechy.

— Alboż ona kiedy pisała do ciebie? zawołał pułkownik. Masz trzy listy jakoby od niej, patrzaj, tu jest czwarty, porównaj charakter i spojrzyj na podpis.

Schwycił Bożysław bilet podany przez pułkownika. To ręka Klaryssy! zawołał. Cóż to jest? podpisana Rumiańska? Nie rozumiem co to znaczy!

— To znaczy, że panna Jasełkowska w korespondencyi z tobą, używa ręki sekretarza, a tym jest panna Rumiańska, grająca rolę subretek. Ale przeczytaj ten bilet, znajdziesz tam wzmiankę, która dla ciebie nie będzie obojętną.

Bożysław przeczytał następujące wyrazy.

„Grzeczny i miły panie! Bardzo dziękuję za przysłaną broszkę, a wywdzięczając się, proszę pana na herbatę wieczorem. Będzie parę koleżanek, a między niemi i nasza pierwsza artystka Klaryssa. Zaprosiłam rotmistrza Czabę i trzech oficerów; przyprowadzą muzykę i potańczymy wesoło. Wiesz jak dzielnie Czabo wywija stajera, a Klaryssa bardzo lubi ten taniec. Śliczna para z nich obojga. Nie zapomnij miły panie, zamówić ciastek, araku i cukru do herbaty. Życzliwa przyjaciółka, Józefa Rumiańska.”

Zmieszał się cokolwiek Bożysław; owe tańczące herbatki u panny Rumiańskiej, na których bywał rotmistrz Czabo, o których nigdy mu ani słówka nie wspomniano, bardzo go zadziwiły i przenikły. Korzystał z tego wrażenia pułkownik i rzekł:

— Mój kochany synowcze, powiedziałem ci, że jutro wyjeżdżam. Proszę cię więc, abys mi darował dzisiejszy dzień i wieczór i tam ze mną poszedł dokąd cię zaprowadzę. Wszakże mam na celu twoje dobro, spokojność, szczęście całego życia twojego i szczęście twojej matki.

W tej właśnie chwili przyjechał pocztylion z biletami Amirowskiego.

— Za dwie godziny jedziemy do miasta. Podaj mi rękę, na dowód, iż mi przyrzekasz zadosyć uczynić żądaniu mojemu.

Odurzony Bożysław, uległ chociaż niechętnie przeważeniu stryja.

Już się zmierzchało, gdy przyjechali do Lwowa, Pułkownik kazał prosto zajechać przed dom profesora. Wzdragał się zrazu Bożysław wniknąć do mieszkania człowieka, który na niego po szkolnemu był powstał i któremu nawzajem cierpko był odpowiedział. Lecz stryjaszek wziął go za rękę i prawie przymusem zaprowadził. Professor wyszedł naprzeciw nich i uprzejmie powitał.

— Zgoda z nami, panie Bożysławie rzekł, nie powinienś mieć urazy, do starego nauczyciela i przyjaciela twoich rodziców.

— Nie tracąc czasu pułkownik z Bożysławem weszli

do altanki ogrodowej. Oto jest wyborne militarne stanowisko, rzekł pułkownik, ztąd możemy rozpoznać wszystkie ruchy nieprzyjacielskie.

Amirowski popchnąwszy rotmistrza do stanowczego oświadczenia się o rękę panny Klaryssy, naza-jurz nie opuścił go podobnie. Towarzyszył mu i pomagał w kupnie szalu i fermoaru, a gdy rotmistrz poszedł na służbę do generała, on wpadł do Jasełkowskich, u-przedził ich o odwiedzinach, o zamiarze zakochanego huzara i o przygotowanych podarunkach.

Klaryssa z taką samą obojętnością usłyszała tę wiadomość, z jaką dnia wczorajszego dowiedziała się o rzeczywistem położeniu majątkowém Bożysława.

— Już mi te wszystkie oświadczenia tak się przeja-dły, rzekła, że sama nie wiem czy i z tego co będzie. Rotmistrz jest cudzoziemcem, gdzieś z dalekiego świata, a kto wie czy jest majątny; może on goni ostatkiem?

— Za to mogę zaręczyć pani, że jest bogaty, odpowiedział Amirowski. Znam go od roku i widziałem na własne oczy, jak mu już dwa razy po tysiąc parę set dukatów przywieziono.

— Trzeba się będzie zabezpieczyć przy intercyzie, odezwał się stary Jasełkowski. Musi przecież i nam utrzymanie zapewnić. A przyjąć go możemy. Szal i fermoar więcej są warte, niżeli wszystkie prezenciki Bożysława. Jakże pięknie wystąpisz w nich na scenie! Twoje koleżanki będą pękać ze złości.

Jakże mało jest takich kobiet, którychby serca nie zmiękczył i nie rozczulił podarek do dwóch set dukatów dochodzący! Mógłże być obojętnym dla Klaryssy?

— Ale wiecie co moi państwo, rzekł Amirowski, z rotmistrzem Czabo nie ma wiele do mówienia, a trzeba zważać, żeby się nie nudził. Zaproście parę koleżanek panny Klaryssy i dwóch muzykantów z teatru. Wszakże dziś nie ma reprezentacyi. Urządzimy tańczącą zabawę.

Jaselkowscy przystali na ten projekt. Za nadejściem wieczoru, oświecili należycie swój tak zwany bawialny pokoić, wyrzucili nawet z niego parę zawadzających sprzętów i pożyczyli od gospodyni brakujących lichtarzy i lampy.

Około siódmej przyszedł rotmistrz z Amirowskim i resztą towarzystwa.

Po pierwszym przywitaniu rzekł:

— Panno Klarysso ja nie lubię gadać dużo, ja panią kocham i proszę abyś mię wzięła za męża. Ja jestem dobry człowiek, trochę lubię napić się szampana, ale ja się ustatkuję, przy tak ładnej żonce. Na dowód, że szczerze pannę kocham, przynoszę tu szal turecki i fermoar, który proszę przyjąć od najniższego sługi i przyszłego męża.

Klaryssa czule spojrzała, nie wiem czy na szal czy na rotmistrza i rzekła:

— Za wiele honoru wyświadczasz mi pan! czyliż zdolam odpowiedzieć twemu zaufaniu?

Burzliwy rotmistrz pochwycił ją w swoje objęcia, przy-

cisnął do serca i na jej licach złożył ogniste pocałowanie. Omdlewająca piękność pochyliła się na jego ramie.

Ta scena tak dramatyczna i komiczna razem, odbyła się w środkowym oknie, wychodzącym na ganeczek.

W tém; w altance, na słowa pułkownika: „Bożysławie, patrz i przekonaj się kogo kochasz i za kim szalejesz..” nasz młodzieniec ujrzał swoją Klarysę w objęciach rotmistrza, ujrzał ów piekielny pocałunek i wzruszenie przeniewierczej kochanki. W oczach mu się zaćmiło, uderzony jakby piorunowym grotem, zmysłów zebrać nie zdołał.

— Dosyć już widziałeś! zawołał pułkownik.

W tej chwili zabrzmiała muzyka w pomieszkaniu Jaselskowskich i rozległy się okrzyki: „Niech żyje młoda para! Niech żyje rotmistrz Czabo i jego przyszła małżonka!”

Umierającego i na pół bez przytomności Bożysława, wyprowadził pułkownik z ogrodu. Bryczka i konie stały w pogotowiu. Zarzucił na niego płaszcz ciepły i ruszyli.

Biedny młodzieniec, nie wiedział co się z nim dzieje, nie uważał dokąd jada. Ciągłe widział przed sobą Klarysę w objęciach rotmistrza, ciągle brzmiał mu w uszach okrzyk: „Niech żyje młoda para!” Ach w każdym razie i wieku, bolesna jest zdrada i zawiedzenie naszych nadziei, ale jakże jest ciężką, jak srogą najpierwsza zdrada, najpierwszy zawód, dla szlachetnego młodzieńczego serca!

Pułkownik nie chciał odzywać się z nieszczęsnymi

uwagami i pociechą. Dobrze robił. Długo Bożysław milczał; nareszcie gdy już do pierwszej stacyi dojeżdżali: a była odległa o dobre trzy mile: ból tłoczący jego piersi, wydobyl się znanemi słowami poety.

„Kobieto! puchu marny ty wietrzna istoto!

„Postaci twojej zazdroszczą anieli.

„A duszę gorszą masz, aniżeli...

I łzy rzewne puściły mu się z oczu.

Nic mu nie będzie, wszystko dobrze pójdzie kiedy wiersze deklamuje i płacze, pomyślał pułkownik.

— Stryju! Stryju! co ja widziałem! czyliż mogę własnym oczom zawierzyć? rzekł po niejakej chwili. Lecz dokądże jedziemy? zapytał się postrzegłszy nieznaną okolicę.

— Do Krakowa. Czyliż miałeś pozostać we Lwowie i podpisać jako świadek, akt ślubny pana Czabo z panną Jasełkowską?

— Nie wspominaj tego nazwiska! zawołał Bożysław: a matka moja?

— Jutro o świcie wyjeżdża za nami. Zobaczysz ją za dwa dni w Krakowie; w jej uściskach ukoisz twój smutek. A teraz zbierz siły i bądź mężem. Jedna chwila taka, jaką dziś przeżyłeś, uczyniła cię dojrzałym o lat dwadzieścia.

Na tem skończył się romans Młodzika i Artystki.

Dopełnienie tej powiastki, to jest wiadomość o dal-
szym losie osób do niej wchodzących, moglibyśmy poru-

czyć wyobraźni szanownych czytelników. Że jednak między niemi znajdują się osoby, trzymające się przepisów dawnej szkoły, przeto dla zaspokojenia ich troskliwości, powiemy, że gorzka nauka, którą otrzymał Bożysław, nie poszła w las, jak to mówi przysłowie; że oddał się naukom, był lat kilka w uniwersytecie w Berlinie i zwiedził potem Europę. Popęd do poezyi, a ztąd wynikające zamiłowanie tego co jest pięknem, wzniosłem i szlachetnem, uchroniły go od usterków i szaleństw, które tyle młodości zgubiły i gubią. Za powrotem do rodzicielskiego domu, wypełnił życzenia swej dobrej matki i zaślubił Lorcę a teraz już pannę Laure, córkę towarzysza lat dziecinnych pani Heleny. Bożysław jest dziś jednym z najzacniejszych obywateli galicyjskich.

— A panna Jasełkowska? a jej szanowny ojciec? zapyta się który z uprzykrzonych czytelników.

W lat sześć po tych wypadkach, wyczytałem na afiszu teatru krakowskiego, nazwisko pani Prusiewskiej, występującej w rolach matek. Zwróciło moją uwagę i przekonałem się że to jest owa sławna Klaryssa. Rotmistrz żeniąc się z nią, dał na raz Jasełkowskiemu tysiąc dukatów, aby sobie los zapewnili, a bóstwo swoje wywiół do węgier. Nie wyszło trzech lat, ostygła miłość przygasły wdzięki i zaczęło się piekło domowe. Ale rozsądna pani Czabo, nie doprowadziła rzeczy do ostateczności, sama zaproponowała rozwód do którego łatwo upatrzone powody, dla uchybienia formalności kościel-

nych. Lepszy rydz jak nic, pomyślała sobie. Zamiast być biedną udręczoną żoną, wolę znowu zostać swobodną artystką. Dostała dwa tysiące dukatów odstępnego i z niemi powróciła do Lwowa. Jasełkowski stary już nie żył. — Wówczas oddawszy się zawodowi dramatycznemu, a znając dobrze, że bez nauki Prusiewskiego była i zawsze będzie niczem, uwieńczyła dawne przywiązanie pocziwego artysty i znowu jest ozdobą naszych teatrów.

Myśl tej powieści i część jej układu, wzięte są z Tackereja znakomitego powieścio-pisarza angielskiego.

Warszawa 16 Grudnia 1856 r.

Pobóg Warda.

AUSTRALIA I POSZUKIWACZE ZŁOTA.

Zarys Jana Sherer

SKRÓCONY W PRZEKŁADZIE POLSKIM.

AUSTRALIA I POSZUKIWACZE ZŁOTA.

Zarys Jana Sherer

SKRÓCONY W PRZEKŁADZIE POLSKIM.

Od czasu jak powróciłem z Australii, wielu nalegało na mnie, abym wydał opisanie moich przygód doznanych przy szukaniu złota, które mi zapewniło byt pomyślny i niezależny. Umyśliłem nareszcie skłonić się do tego życzenia. Opiszę więc com widział i czegom doznał w tej krainie; szczęśliwy żem w niej czas niejaki zamieszkał, lecz szczęśliwszy jeszcze, żem ją na zawsze opuścił.

W roku 1851 oddaliłem się z Anglii, byłem młody, bez majątku, bez powołania i niebardzo zdolny do narażania się na niebezpieczne życie wśród lasów i do ponoszenia ciężkiej pracy kopacza. Lecz byłem odważny i odziedziczyłem po naddziadach moich, upodobanie w życiu awanturniczym.

Pewnego dnia, mój stryj, zacny człowiek, niechaj go

Bóg błogosławi, zawołał mnie, dał mi pięćdziesiąt funtów szterlingów i rzekł:

„Mój kochany synowcze, nie nie robisz, za bardzo tyjesz; co jest niezdrowo dla młodego człowieka. Jesteś silny, pójdź pracować w kopalni złota, pewny jestem, że tam znajdziesz sposobność użycia twoich sił i czasu, masz cokolwiek pieniędzy na kosztą podróży i na początkowe wydatki. Niech ci Bóg szczęści.”

Usłuchałem jego rady, a raczej rozkazu. Łatwo znalazłem okręt, który mię przewiózł do portu św. Filipa w Australii. Odsyłał czytelników do dzieł jeograficznych i zbiorów podróży; tam znajdują historią odkrycia Australii i założenia osady w tej części świata, przeznaczonej przez długie czasy, na miejsce wygnania winowajców.

Żegluga moja odbyła się pomyślnie, bez złej przygody przybyłem do Melbournu miasta leżącego niedaleko kopalni złota w Australii. Było to w najpiękniejszej porze roku. Nigdy nie zapomnę jak miłe wrażenie uczynił na mnie widok tej krainy. Melbourne nie jest obszernym miastem, ludność jego nie przechodzi dwudziestu tysięcy dusz. Leży przy zatoce Port-Filippa przy ujściu rzeczki Jarra-Jarra, w bardzo pięknem położeniu. Domy po większej części są zbudowane z cegieł, ulice szerokie i proste, jest wiele gmachów rządowych i obszernych składów. Wychodzą tam cztery pisma peryodyczne a z nich jedno codziennie.

Nie podobna wyobrazić sobie jak burzliwe namiętno-

ści wrą w tém miasteczku. Ludzie wszystkich stanów i narodów zbiegają się tam popchnięci najsilniejszą namiętnością, żądzą złota. Wszyscy wymijają się na wyścigi, każdy chce opatrzyć się jak najprędzej w przedmioty nieuchronnie potrzebne i polecieć do kopalni. Każdy boi się, aby zapóźno nie przybył. I ja to samo robiłem co drudzy i nie bez obawy spoglądałem na mnóstwo przybywających co chwila do Melbourne. Wszyscy mówili o majątkach w krótkim czasie zyskanych. Uważaliśmy się za milionowych bogaczy, wprzód jeszcze nim zakupiliśmy rydel, którym wydobywać będziemy bogactwa zawarte w łonie tej błogosławionej ziemi.

Poznałem się na pokładzie naszego statku z dwoma młodzieńcami, którzy podobnie jak ja chcieli szukać szczęścia w Australii. Byli to ludzie odważni i weseli, należący także do średnich klass towarzystwa. Zbliżeni wiekiem, urodzeniem i wychowaniem, zabraliśmy ścisłą przyjaźń i z niej wynikło szczere połączenie usiłowań naszych. Postanowiliśmy, że wszystko wspólnie dzielić będziemy, prace, nadzieje, cierpienia i korzyści. Z chlubą mogę powiedzieć, że przez cały czas naszego pobytu w Australii, żadna sprzeczka i nieporozumienia nie zaśły pomiędzy nami.

Dwie nocy i dzień zabawiliśmy w Melbourne, nie tyle dla wypoczynku, co dla zasięgnięcia wiadomości. Słyszeliśmy o wielu miejscach gdzie poszukują złota, lecz wiadomości były tak sprzeczne, iż trudno było uczynić stanowczy wybór. Opowiadane cuda o pokładach w Bol-

larat i Geelong; drudzy chwalili pokłady góry Alexandra, to złoto było tam nie tyle obfite, lecz wydobywanie daleko łatwiejsze. Zresztą, wszystko cośmy słyszeli, mogło aż do szaleństwa podniecać chciwość człowieczą. Pewien kopacz wydobył z ziemi w przeciągu jednej godziny osmdziesiąt funtów złota. W ciągu tygodnia zebrano w górze Alexandra 23,350 uncy. Po długim wahanii, umyśliliśmy udać się do góry Alexandra, zaopatrzeni we wszystkie narzędzia do górniczej pracy potrzebne.

Wieści takie pociągnęły chciwość wszystkich, kramarze odbiegli kramów, majtkowie okrętów, zecery drukarni, doktorzy chorych, adwokaci spraw swoich. Wszyscy pospieszali do kopalń. Taki stan rzeczy, niezmiernie szkodliwie wpływał na dobro osady. Zapłata pracy powiększyła się trzy-kroć, a często nawet cztery-kroć. Pewien bogaty właściciel trzody owiec, udał się do kopalń, aby tam wyszukać owczarzy, którzyby jego owce ostrzygli. Ci ludzie po wzajemnej naradzie oświadczyli, że podejmą się tej roboty, za co żądają, aby im dano, przyzwoite jądło i *wszystką wełnę, którą z owiec ostrzygą*. Zresztą oświadczyli temu właścicielowi, że jeżeli zechce, mogą przyjąć go za kucharza i co dzień płacić mu będą 15 szylingów (30 złp.). Można sobie wyobrazić co się dzieje w społeczeństwie, gdzie trafiają się tak nagłe zmiany losu. Gasną tam wszelkie uczucia honoru i różnicy stanów. Pospólstwo z całego świata zbiegło się na to miejsce, a bogactwo stało się jedyną miarą wartości

człowieka. Nie pytają się kto jesteś, z kąąd przybywasz, lecz co posiadasz. Czy twój ojciec był powieszonym za kradzież lub rozboje, czy też był księciem albo parem Anglii, nikt się o to nie pyta, w tém gnieździe złota i awanturników.

Ręczna praca jest w Australii jedynem szczeblem pomysłności. Jeżeli do niej jesteś niezdolnym, wpadniesz w najcięższą nędzę, na dopełnienie tego obrazu przytoczę niektóre szczegóły o cenach roboty w tem kraju.

Dwoje służących, mąż i żona, zarabiają oprócz życia 1,750 franków rocznie, pasterz 1,000 franków, wolarz 1,250 fr., zwyczajna służąca 1,000 fr. Podobnie ceny żywności powiększają się lub spadają bardzo często i nie raz różnica sto na sto wynosi.

Lecz muszę zapoznać czytelników z mojami towarzyszami, Tomaszem Binkiem i Janem Brownem: byli to silni i żwawi chłopcy, z mężném i szlachetném sercem; pełni spokojnej i wytrwałej odwagi właściwej naszym współziomkom. Przechodzę do szczegółów naszej wyprawy. Zabraliśmy ze sobą hamak (łóżka okrętowe) każdy miał grube buty, które w Melbourne warte były przynajmniej 150 franków para, po dwie koszul wełnianych, spodnie sukienne i płócienne, kaftan, surdut i kapelusz z dużemi skrzydłami. Nie mogę pominąć rzeczy bardzo potrzebnej i ważnej, to jest pistoletów o sześciu rurach zwanych *rewolwerami*. Mieliśmy je zatknięte za pasem i był to dzielny środek obrony. Zapušciliśmy brody podług przyjętego zwyczaju. Kopalnie odległe były

od miasta o sześćdziesiąt mil angielskich. Oszczędzając resztę pieniędzy umyśliliśmy odbyć tę drogę piechotą, niosąc nasze sprzęty na plecach, i droga była dobrze u-
torowana przez poprzedników. Oprócz przedmiotów powyżej wymienionych, każdy niósł materac, mieliśmy także drąg żelazny, motykę i kociołek do wspólnego użytku.

Dziesiątego Stycznia 1852 r. o świcie wyruszyliśmy w drogę. Jest to pora największych upałów letnich w Australii. Postanowiliśmy wstrzymać się od używania rozpalających napojów, piliśmy tylko wodę, herbatę i kawę. Po jakimś czasie spotkaliśmy gromadkę z trzech ludzi i chłopca złożoną, udającą się także do kopalń. Powiedzieli nam, że już raz doświadczali szczęścia w kopalniach lecz nadaremnie. Jednakże szli ożywieni nadzieją i wesoło dźwigali naczynie do płukania piasku, rzeszoto, kołdry i materace. Za nimi ciągnęła inna gromadka, mająca wóz zaprzężony wołmi. Dwóch podróżnych miało ze sobą żony, silne i zuchowate kobiety. Jedna z nich Irlandka, nazwyczajona od dzieciństwa do kopania kartofli, nie lękała się, iż będzie kopać ziemię w Australii, i owszem cieszyła się z tego. Wyprzedziliśmy ich i ruszyli naprzód.

Im bardziej oddalaliśmy się od brzegów, tém bardziej uderzała nas piękność położenia tej krainy i niewyczerpana jej żyzność. Mimowolnie przypominałem sobie opisanie doktora Makenzie. Przytaczam z niego wyjątek, zupełnie zgodny z rzeczywistością.

„Wyobraźcie sobie na antypodach Anglii wśród Oceanu, niezmierny las, zewsząd stromemi otoczony skałami, góry i doliny niezliczone przecinają go i dzielą. Tu widzisz sosny sięgające wierzchołkiem pod obłoki; tam niezmierne płaszczyzny przecięte mnóstwem rzek i strumieni. Jedne z tych rzek tworzą bagna i jeziora, drugie przebiegłszy przez zielone łąki znikają w piaskach, inne nareszcie poważnie płyną do Oceanu. Tu i owdzie, jak oazę w pustyni, widać wykarczowany grunt i chatkę z trzciny i kory ukleconą; nieco dalej pokolenie czarnych krajowców, nagich, uzbrojonych, krąży po dzikiej płaszczyźnie. Ten las bez granic, przecięty jest jak zwierzyniec angielski długimi ulicami, będącemi dziełem natury, lecz same tylko kangury, i inne krajowe zwierzęta przebiegają po nich. Pasma wzgórzów okryte są jak najbujniejszą zielonością. Pośród obszernych bagien snuje się tysiące dzikich kaczek, łatwa zdobycz dla myśliwego. Niezliczone gromady ptaków świetnem pierzem okrytych, świergocą na gałęziach. Kwiaty różnobarwne rosną przy zielonych ścieżkach; powietrze wonne, niebo czyste, słońce jaśnieje jak w Neapolu. Czasami dziki i straszny ryk przerywa ciszę i przypomina przełękłemu podróżnikowi, że depece nieznane pustynie nowego świata. *Taką jest Australia.*”

Idąc dalej, niespotkaliśmy kangurów ani innych zwierząt, o których wspomina uczony doktor, lecz inny i niebezpieczniejszy rodzaj dwunożnych istot. Było to dwóch rozbójników, z złowróżbną twarzą i dzikim spojrzeniem.

Sama ich mina wskazywała, czem są. Stali oparci o drzewo, gotowi strzelić ze swoich dubeltówek do każdego z kopaczów wracających do Melbourne, z złotem nabytem mozolną pracą. Rzuciliśmy na nich okiem i oni dziwnie spojrzeli na nas, lecz postrzegłszy, że jesteśmy dobrze uzbrojeni, przepuścili nas spokojnie. Zapewne, widząc że idziemy do kopalni, sądzili że nie obłowiliby się zdobyczą.

Co raz to powiększa się liczba rozbójników i złodziejów w tym kraju. Nie można wracać z Melbourne, tylko w licznej i dobrze uzbrojonej gromadzie. Na kilka dni przed naszym przybyciem, na trzech kopaczy uderzyli rozbójnicy, dwóch ratowało się ucieczką a trzeci zginął. Napad ten zdarzył się wśród dnia. Wieczorem wyszukaliśmy miejsca noclegu. Pod czas długiego pobytu na okręcie, nogi nam ocieżały, i tylko 25 mil angielskich uszliśmy pierwszego dnia. Zatrzymaliśmy się na pięknej łączce ocienionej drzewami. Ściąwszy cztery gałęzie na pięć stóp wysokie, zatknęliśmy je mocno w ziemię, na nich zawiesiliśmy nasze kołdry i zrobiliśmy wygodny namiot. Położyliśmy się we trzech na dwóch materacach, a trzeci służył do okrycia nóg. Potem zajęliśmy się gotowaniem wieczerzy. Zapaliliśmy ogień i postawili kociołek na denarku. Mieliśmy chleb i baraninę, którą upiekliśmy na drewnianych rożenkach.

Przed świtem jużśmy wstali wypoczęci i rażni. Noc była ciepła, byliśmy tak lekcy, jak powietrze które nas otaczało. Klimat Australii jest bardzo zdrowy, gdyż po-

wietrze prędko wyciąga z ziemi wilgoć. Pasterze sypiają zawsze na gołej ziemi, a nie nabawiają się żadnej słabości. — Kończyliśmy śniadanie gdy weszło słońce na niebie, tak czystem, tak błękitnem, jakiego dotąd nie widziałem. Wszystko weseliło się na widok ojca światłości, a my, biedne utwory zabłąkane wśród tych skarbów natury, patrzyliśmy z niewymowném wzruszeniem na te bogate okolice, gdzie ręka człowieka jeszcze nie zepsuła dzieła Stwórcy, i zadumieni przyglądaliśmy się widokowi, którego harmonia i wspaniałość, przewyższa wszystkie dzieła sztuki i cywilizacyi europejskiej.

Po śniadaniu zabraliśmy nasze rzeczy i wyruszyli w dalszą drogę. Zmieniliśmy zupełnie tryb życia; byliśmy wśród lasów, a jednakże to nowe istnienie nie wydawało nam się zbyt przykrém. Dziwna to rzecz jak łatwo ciało hartuje się do trudów! Doświadczyłem tego nie raz, że życie wśród lasów, swobodne i dzikie, niezmiernie jest pojętne dla człowieka, który długie lata wegetował na ciemnych i brudnych uliczkach wielkiego miasta i nic nie widział prócz ścian i cegieł.

Jednakże podróż nasza, nie była wolna od przeszkód i nieprzyjemności. Droga była piaszczysta i co krok zapadaliśmy w piasku po kostki. Kurzawa i promienie słońca odbijające się od piasków, niezmiernie rażą wzrok i są powodem słabości oczu panującej w tym kraju. Udręczały nas także gromady komarów i innych zjadliwych owadów. Te nieznośne stworzenia najbardziej czepiają się do nowo przybyłych. W krótkim przeciągu

czasu całe nasze ciało pokryło się bąblami. Te owady i brak wody w porze letniej, były główną dolegliwością, której doznaliśmy w naszej wyprawie.

Wszystko co nam opowiadano o wrzawie i ruchu na drodze z Melbourne do góry Alexandra, jest niczem w porównaniu z rzeczywistością.

Były to wozy wszelkiego kształtu i wielkości obciążone ogromnym ładunkiem i toczące się na skrzypiących osiach, woły kurzawą pokryte, konie ubielone pianą i zaledwie iść mogące, poganiane nieustanném trzaskaniem z bicia. Drogi i ścieżki zawałone mnóstwem mężczyzn i kobiet wszelkiego stanu i wieku; komissanci, kupcy, adwokaci, pastuże, majtki, oficerowie zbiegli od wojska, zrujnowani synowie bogatych rodziców. Wszyscy z szaloną żądzą biegli do kopalń, do źródła wszystkiego złego. Biedneż to plemie ludzkie!

— Na to słońce, co nam kości przepala: zawołał wydatnym akcentem irlandzkim, kulawy bakałarz, w długim czarnym surducie z podkasanemi połami; musi tam być wiele złota jeżeli ma zbogacić wszystkich, którzy idą go szukać.

— Jeżeli to co mówią jest prawdą, odpowiedział Szkot przeciągłym tonem i po niejakej przerwie, nie zdołamy zabrać ze sobą tyle złota ile go tam jest w ziemi.

— Na świętego Patrycyusza zawołał Irlandczyk: zabiorę go tyle, ile tylko zdołam; czas też wielki abym i ja zbogacił się z kolei, bo jeżeli sobie wzrok osłabił, to

nie od przypatrywania się złotu. Nie widziałem go nigdy, chyba przez okno w sklepie jubilera.

— Wierzę temu, bo złota nie ma w kraju z kąd przybyłeś—odpowiedział Szkot oschłym i sentencyonalnym tonem.

Irlandczyk nie darował tej obrazy wyrządzonej jego ojczyźnie i odparł żywo:

— Tak! jeżeli nie ma złota w Irlandyi, tém bardziej nie ma go w Szkocyi. Ile razy byłem w tym kraju, tylekroć nie widziałem innych pieniędzy prócz lichej zdawkowej monety, albo miedziaków.

— Nie dziwię się temu odrzekł Szkot, bo zapewne włoczyłeś się w Szkocyi po żebraniu, a tak w Szkocyi jak i wszędzie nie dają jałmużny złotem.

— Co! ja byłem żebrakiem! naucz się, żem nigdy nie żebrał, a nie jednemu żebrakowi Szkotowi dałem nie raz jałmużnę. O gdybym nie był kulawym, i nauczycielem znanym z zacnego postępowania, to bym ci w gardło wtłoczył twoje obelgi, ty wygłodniały szkielecie! idź precz mi z oczu!

Te słowa powszechną wzniciły wesołość. Sam tylko Szkot nic nie odpowiedział, stał nieporuszony, a Irlandczyk uszedłszy parę kroków upadł ze znużenia; jużśmy go nie widzieli. Tak rozmawiając, przybyliśmy do gospody zwanej *Busch-Inn*; pełno w niej było awanturników. Dostaliśmy przecież herbatę, a posiliwszy się, ruszyliśmy w dalszą podróż. Nie daleko ztamtąd, dwóch majtków leżało pod drzewem i byli bardzo smutni. Po-

wiedzieli nam, że zbiegli z okrętu, porwani powszechnym szaleńcem, i udali się do kopalń, lecz znużeni, wygłodniali nie wiedzą co z sobą zrobić. W opłakanym położeniu, bosi, obdarci, mieli jeszcze czterdzieści mil angielskich drogi do kopalń. Daliśmy im jałmużnę na jaką nas starczyło; uradowani i orzeźwieni wyruszyli do celu swych nadziei. Zbiegostwo majtków tak się wzmożło w roku 1852, że cały byt kolonii zachwiany został. Przeszło dwieście statków kupieckich stało w porcie Melbourne bez ludzi do kierowania niemi.

Tego dnia nie trując się zbyt, uszliśmy trzydzieści mil i zanocewaliśmy w ustronnym miejscu podobnie jak dnia wczorajszego. Nazajutrz rano stanęliśmy u celu naszej podróży. Niepodobna wyobrazić sobie jak wygląda ta okolica złoto-dajna. Myliłby się, ktoby myślał że tam jest jakiś rozkład i porządek, że namioty kopców rozbite są na murawie pod drzewami chroniącymi ich od upału. Jakże różni się rzeczywistość od tego obrazu! Droga prowadząca do pokładów gdzie złoto znaleźć można, jest tylko wąską ścieżką nad brzegiem rzeki, a ciągle na niej ruch ludzi, mułów i koni, nieustanna podnieca kurzawę. Wiatr porywając ten kurz, zaczernia nim namioty i drzewa, tu i owdzie pozostałe. Ziemia tak jest wszędzie podeptana, iż nie ma na niej żadnego śladu roślinności, widać tylko samą kurzawę na wzgórzach w południowej stronie od rzeki; grunt przekopany we wszystkich kierunkach do znacznej głębokości, jest tylko niekształtnym rumowiskiem. Wzgórza tu

i owdzie nietknięte, służyły za pastwisko niezliczonym gromadom koni i wołów, i wszystka zieloność znikła pod ich zębami. W ogólności jest to smutna i spiekła przestrzeń.

Brak wody jest tam najcięższą klęską i dziwić się należy obojętności rządu, który nie nakazał wykopania dostatecznej ilości studni. Z tego braku powstają najcięższe choroby, a dół wykopany dla wydobywania złota, staje się nieraz grobem nędznego poszukiwacza. Niebaczność i chciwość kopaczy wiele przyczyniła się do tego stanu rzeczy. Jak tylko susza nastąpiła, wielu z nich bardziej zważając na zysk niżeli na zdrowie i życie, zaczęli kopać doły w pobliżu studzien, odwrócili wodę nie do użycia własnego, lecz do płókania złota i osuszyli wszystkie. Mnóstwo kopaczów musiało zaniechać roboty, bo nie mają wody do wypłókiwania. Jest jednakże wielu, popchniętych niepohamowaną żądzą zysku, którzy zaciekle kopią w suchym gruncie i zbierają okruszyny złota, na jakie natrafić mogą.

Nad kopalniami ma zwierzchność i władzę kommisarz rządowy. Namiot jego stoi nad rzeką przy lesie, w około i pod jego opieką zbudowano mnóstwo szałasów kupieckich, a za nimi widać namioty kopaczów jedne przy drugich, w przestrzeni której końca dojrzeć nie można. Niezmierna czynność wszędy panuje. Przed namiotami widać same tylko kobiety i dzieci, i to jeszcze wiele z nich zajmowało się ciężką pracą kopania. Dziwne trafy losu nieustannie zdarzają się w kopalniach. Często-

kroć ktoś przez cały miesiąc (a na taki przeciąg czasu wydają pozwolenie) kopał daremnie; drugi po nim przychodzi i za pierwszym uderzeniem motyką, skarb wydobywa. W dniu naszego przybycia, opowiadano także samo zdarzenie. Ten się wznosi, ówłglinie, taka jest zwyczajna kolej rzeczy ludzkich. Z tem wszystkiem, jeżeli zważymy jak biedne lub rozpaczające było położenie tych, którzy przybywają do Australii, można być pewnym, że przy pracy i wytrwałości, każdy zdoła byt swój zapewnić. Nie wszyscy znajdą miliony, lecz każdy przy pracy i rozsądku, dojść może do szczęśliwej zażyłości.

Już słońce zachodziło gdyśmy przybyli na szczyt wzgórków panujących nad pokładami złoto-dajnymi rzeki Lafons o tej porze. Kopacze odziani w koszule wełniane, błękitne lub czerwone z słomianymi kapeluszami na głowach, zabierali swoje narzędzia i mieli powracać do namiotów. Pole, z którego schodzili, wyglądało jak niezmierny smętarz, tyle na nim wykopano dołów.

Przedział między jednym dołem a drugim jest w niektórych miejscach bardzo wązki; mimo tego kopacze nabyli tej wprawy, iż zręcznie biegają pośród nich, tocząc taczki albo noszą ciężary po ścieżkach ledwie na stopę szerokich i bez żadnego przypadku, prócz usunięcia się ziemi. Lecz w takim razie nieszczęśliwa ofiara wpada z ładunkami swemi w jamę na dziesięć do piętnastu łokci głęboką, gruchoce kości pracującym w niej i często-kroć zostaje żywcem zasypaną z niemi razem. Obsunię-

cia takie zdarzają się bardzo często i wynikają z braku porządku i dozoru; nie jest to przecież najcięższą plagą kopaczów, więcej ich ginie z nadużycia rozpalających napojów.

Jeszcze spoglądaliśmy na ten widok, gdy dał się słyszeć wystrzał przy namiocie komissarza rządowego, był to znak zaprzestania pracy w kopalniach. Gromadki powróciły do namiotów, zapalono ognie w niezliczonych miejscach, milczenie nastąpiło po wrzawie.

Zajęto się potem przygotowaniem wieczerzy, a później tu i owdzie odezwał się odgłos wiejskich fujarek; potem zebrano się przy ogniskach i opowiadano przygody dzienne. Przy czerwonym świetle płomienia, posępne i srogie postacie krążyły w około namiotów, albo kryły się za drzewami; był to obraz godzien pęzla Salvatora Rozy.

Nie mogliśmy oderwać oczu od tego widoku i późno w noc, zaczęliśmy ustawiać namiot w miejscu gdzieśmy się zatrzymali. Po wieczerzy gdyśmy zabierali się do spoczynku, strzelono blisko nas; kula przeszła namiot, przedziurawiła kapelusz Browna i utkwiała w szczapie drzewa. Bink najpierwej ochłonął z przerażenia i wybiegł z namiotu. Przy słabym świetle księżyca postrzegł jakąś czarną postać uciekającą do lasu, rzuciliśmy się w pogoń za nią, porzuciwszy namiot i wszystko co w nim było.

Ubiegłszy kawał drogi obejrzelśmy się w około; lecz na nieszczęście nie zważaliśmy w którym kierunku bie-

gniem i zabłądziliśmy w lesie. Upłynęła więcej jak godzina zanim trafiliśmy do naszego namiotu. Za powrotem odgadliśmy cel tej napaści. Złodzieje wywiódłszy nas z namiotu zabrali nam kołdry i materace, inne rzeczy powyrzucali z mantelzaków lecz pogardzili niemi. To szczęście żeśmy mieli przy sobie broń i pieniądze. Zdarzenie to przykre, zwłaszcza że na samym wstępie przybycia, wybiło nas ze snu. Czuwaliśmy przez resztę nocy, rozmawiając o naszej przyszłej doli.

Nadeszła więc chwila ziszczenia nadziei, które nas z tak dalekich stron przywiodły: muszę bowiem wyznać, że tak jak wszyscy uwierzyliśmy, iż niewyczerpane skarby znajdziemy za pierwszym sztychem. Przy takiej nadziei mało nas obchodziła strata kołder i materaców. Spodziewaliśmy się także, iż natrafimy na jakiego kopacza, który zniechęcony odprzeda nam swoje narzędzia i sprzęty. Co tém łatwiej może nastąpić, że 50,000 awanturników znajdowało się nad brzegiem rzeki, a między niemi musi być nie jeden zawiedziony od losu.

Jużeśmy byli po śniadaniu, gdy świtać zaczęło. W Australii nie ma długiego świtu i zmroku. Dzień i noc następują po sobie z szybkością rażącą Europejczyków nawykłych do stopniowego przejścia od cienia do światła i nawzajem. Dni i noce są prawie zawsze równe. Dzień nie jest dłuższy nad 13 godzin, ani też krótszy od 11-tu, lecz noce tej krainy są tem, co tylko najpiękniejszego może utworzyć wyobraźnia. Gwiazdy południowe jaśnieją nadzwyczajnym blaskiem, a światło xię-

życa tak jest mocne pod tem czystem niebem, że o ćwierć mili można doskonale rozeznąć przedmioty. Nie raz zdarzyło się, żem czytał o północy, wśród lasów przy świetle księżyca i gwiazd.

Wschód słońca był hasłem do pracy, i już wszędzie rozlegały się uderzenia motyki, drąga i rydla. Tłum kopaczów wyglądał jednostajnie i dziwacznie razem. Wszyscy jednakowo byli ubrani, jednakową pracą zajęci, lecz tworzyli najbardziej różnorodną masę pomieszanych języków i rysów wszystkich narodów kuli ziemskiej. Przy patrząc się lepiej można było poznać, że plemie anglo-saxońskie przewyższa wszystkich liczbą, i mieszaniną stanów.

Postrzegliśmy wkrótce, że nie my sami jesteśmy przybylcami; gromady kopaczów pomnażały się nieustannie nowemi pracownikami. Nad wąwozem mnóstwo było ludzi, na których obliczu malowała się bojaźń i nadzieja, wszyscy z głową pochyloną ku ziemi, upatrywali najkorzystniejszych stanowisk. Czyliż mogli spodziewać się, iż dawniejsi doświadczeni kopacze wskażą im dobre miejsca? Przekonywali się smutnem doświadczeniem, że wszelkie pytania na nic się nie zdadzą, i że najlepszym środkiem znalezienia złota jest, szukać go gdzie można. Los częstokroć sprzyjał nicświadomym, nie mającym żadnego wyobrażenia o teoryi złoto-dajnych pokładów i tam znajdowali skarby, gdzie geolog byłby nawet nie spojrział. Lecz wyjątek nie stanowi reguły, i sędzę że dla korzyści tych co po mnie do kopalni przybędą, po-

winieniem wskazać w krótkości, w jakim położeniu znajduje się złoto czy to w skałach, czy też blisko pod powierzchnią ziemi.

Geologiczny skład gór Australii bardzo jest podobny do składu gór w Ameryce, gdzie są obfite kopalnie złota. Okoliczność ta naprowadziła na myśl niejakiego p. Hargreaves, iż za powrotem z Kaliforni do Sydnej stolicy Australii, czynić zaczął poszukiwania w okolicy Bathurst. Wiedział o dawnej wieści, iż mają być obfite kopalnie w tej krainie. Kierując się podług uczonych teoretycznych wiadomości przewielebnego W. B. Klarke, kazał kopać w górach i przekonał się o tem że bogate żyły złota w nich się znajdują. Odkrycie swoje oznajmił wielkorządcy osady, który przekonawszy się o rzeczywistości, wynagrodził go darem 500 fst. i urzędem komissarza gruntów należących do rządu, z pensją roczną także 500 fst: (około 20,000 zł.) i polecił mu aby czynił dalsze poszukiwania

Wydobycie znacznej ilości złota w proszku i bryłkach rodzimych (*les pepites*) takie wzniciło uniesienie i pociągnęło wszystkich do poszukiwania pokładów złotodajnych, iż rząd odezwą z 22 Maja 1851 uznał kruszec znajdujący się w okolicy za własność korony, i ogłosił urządzenie podług którego wydają pozwolenia na kopanie złota. Każdy kopacz musi z góry zapłacić 30 szylingów (60 złp.) i wolno mu przez miesiąc kopać w miejscu jakie sobie wybierze. Przestrzeń do kopania wydzielona,

obejmuje od 20 do 60 stóp kwadratowych w miarę odległości od rzeki.

Złoto znajduje się albo zmieszane z napływowemi gruntami i rozproszone w korytach rzek i strumieni, w głębi wąwozów, gdzie je naniosły wody z gór spadające—albo otoczone obcém ciałem i połączone ze skałą krzemionki pierwotnej formacyi. Owe cudowne pepity, czyli bryłki złota, po większej części w rozpadlinie skał odkryto. Wydobywanie jest dwojakie, jedno nazywa się *kopaniem powierzchniowym*, drugie *głębokiem*, to drugie jest trudniejsze lecz właśnie jego to użycie, zubożyło w krótkim czasie wielu kopaczów i wszystkim głowy pozawracało.

W górze Alexandra, złoto znajduje się zazwyczaj w pokładach gliniastych, albo między skałami, w głębokości trzydziestu pięciu do czterdziestu stóp. Niekiedy kruszec leży w gromadce — krótko przed naszym przybyciem, czterech kopaczów wydobyło w ciągu dnia jednego, pięćdziesiąt funtów złota.

Przybyliśmy do kopalni w porze bardzo niekorzystnej, bo w czasie gdy dla braku wody można było kopać same tylko ziemie bardzo obfite w kruszec złoty. Niedostatek wody staje się przyczyną dyssenteryi i zmusza wielu do porzucenia pracy. Od jednego z takich biedaków, kupiliśmy za 3 funty szterling. porządny namiot, dwie łopaty, dwie motyki, dwa rydle, kilka klinów żelaznych, taczki, dwa kręgi żelazne, topór, dwie kielnie, naczynie do wypłukiwania złota, z potrzebnemi przetakami żelaznemi, dwa wiadra cynkowe, piecyk, kilka łyżek, kubków,

widelców i noży. Tak opatrzeni zaczęliśmy szukać miejsca do kopania. Artykuł umieszczony w dzienniku *Argus* wychodzącym w Melbourne z dnia 7 Października 1851 stał się przedmiotem rozmyślań naszych. Przytaczamy z niego główny wyjątek:

„Na powierzchni ziemi, znaleziono pod murawą, torf na stopę głęboki, pod nim warstwę żyznej napływowej ziemi czarnej, następnie warstwę szarej gliny zawierającej czerwony zwir, niekiedy bardzo obfity w szczątki złota. Po tem była glina czerwona, także zawierająca złoto, znowu warstwa gliny rozmaitej grubości i koloru, lecz bardzo niekorzystna, nareszcie cienka warstwa gliny białej i twardej. Dokopawszy się do tej ziemi, można się spodziewać, że już niedaleko jest do warstwy najobfitszej w złoto. Jakoż zaraz pod nią leżała cienka warstwa, twardej i śliskiej gliny, jest to owa sławna glina niebieska, najbogatsza w złoto.”

Grunt na którym pracowali kopacze, był mocno pochyły, tak więc położenie rozmaitych warstw zmieniało się stosownie do spadzistości ziemi. Na wierzchołku wzgórza, znajdowała się glina niebieska o jedną stopę głębokości, w innych miejscach nawet dosyć wysokich trzeba było kopać na stóp trzydzieści lub głębiej.

Otrzymaawszy pozwolenie, umysłiliśmy poszukać opuszczonego dołu, któryby nam wydawał się odpowiedni skazówkom powyżej przytoczonym. Opuszczenie takie nie dowodzi, że dół ten jest nieprodukcyjny, bo często-kroć się zdarza, iż niecierpliwi kopacze porzucają za-

częte roboty, a ludzie spokojni i wytrwali znajdują w tem samem miejscu, niezmierną masę złota. Zwyczajem przyjętym u kopaczy, dół opuszczony od 48-u godzin, uważany jest jako wolny i może go zająć kto zechce. Jednakże można wrócić na swoje miejsce, jeżeli kto zostawi w niem rydel albo motykę jako znak posiadłości.

Roboty przy wydobywaniu złota i narzędzia do tego używane są bardzo proste; lecz kopacze pracują z niesłychanym zapalem. Wszystkie siły ich umysłu i ciała wyteżyły się do jedyne go celu, do najprędszego zubożenia się. Ludzie, którzy całe życie przepędzili na uciechach i próżnowaniu, zamienili się w kartuzów, są milczący i poważni, a płókanie ziemi złoto-dajnej tak pochłania ich wszystkie władze umysłowe, że ktoby patrzył na nich, sam wolny będąc od żądz bogactw, poczytałby ich za jakieś nadprzyrodzone stworzenia.

Wykopawszy dół, wybierają najbogatsze warstwy, a potem wypłukują ziemię w naczyniu mającym dno siatkowe, z kratkami coraz to szczuplejszemi. Do tej pracy potrzeba czterech ludzi, jeden kopie ziemię, drugi zanosi ją do strumienia lub wodozbioru gdzie jest naczynie do płókania, trzeci nalewa wodę, a czwarty jedną ręką porusza naczynie, a drugą rozgniata i mięsza ziemię. Gdy ziemia przejdzie przez jedną siatkę do drugiej, płucznik i miészacz przypatrują się z nateżeniem czyli między pozostałemi kamieniami nie znajduje się jaka duża bryła rodzimego złota.

Trzeba przypatrzeć się tysiącom scen podobnych, a-

żeby wyobrazić sobie do jakiej zaciekłości żądza bogactw doprowadza, jakie przekleństwa miotają zawiedzeni w nadziejach, trzeba widzieć kopaczy, bez tchu, pochylonych nad narzędziem do płukania, aby sobie wyobrazić jakie namiętności łakomstwo podnieca w sercu człowieka.

Z tem wszystkiem przekonaliśmy się, że nam potrzeba przynajmniej jeszcze dwóch ludzi, aby łatwiej i prędzej poszukiwać złota. Zdaje się, iż to byłaby rzecz łatwa pośród takiego nawału kopiących; lecz trudno znaleźć ludzi pracowitych, uczciwych i zgodnych. Najzdolniejsi do pracy są majtkowie, grabarze i rolnicy. Nazwyczajeni do ciężkich trudów, posiadają przy tem potrzebną wytrwałość. Potrzebowaliśmy jednego pracownika w kopalni, i chłopca któryby nam gotował jedzenie i strzegł namiotu. Człowiek mający około trzydziestu lat, mizerny i wątły, lecz uczciwej fizyonomii, chciał podjąć się tego drugiego obowiązku. Mówił, że jest rodem z Londynu, i że służył za kuchcika, w jakiejś małej gar-kuchni. Przyjęliśmy go pod warunkami, że podzielać będzie naszą dolę, w razie szczęśliwym hojny otrzyma udział, a w niepomysłnym wyjdzie z niczem, podobnie jak my sami. Drugi współtowarzysz nazywał się Robert Raikes, opuścili go kopacze z którymi się wprzód połączył; i bardzo był szczęśliwym żeśmy go wzięli. Był to człowiek wysokiego wzrostu i silnej budowy, a rysy jego twarzy oznaczały, że się daje powodować namiętnościom. Całe życie wędrował z miejsca na miejsce; nie miał ojczyzny, krewnych i przyjaciół. Zmiana i nowość

były jego ulubionym żywiołem. Żeby zaspokoić namiętne zamięłowanie w przygodach, przebiegł przez połowę świata. Był w Anglii, Irlandyi, Szkocyi, zwiedził znaczniejsze kraje Europy, przebył Kanadę, Nową Szkocyę, Nowy Brunswik, i większą część Ameryki Południowej, nareszcie udał się do Australii, bardziej powodowany ciekawością niżeli żądzą bogactw. Niezmiernie czynny i chciwy zmian, nie znał spoczynku od lat dziecinnych.

Wzięliśmy się do dzieła, lecz bądź to skutkiem upałów bądź niedoświadczenia, nie wiele posuwała się praca nasza; lecz nie traciliśmy odwagi. Dzień za dniem upływał a nie widać było pokładu owej błogosławionej gliny niebieskiej, która tylu pracowników wynagrodziła.—Shanty siedział w namiocie, i jeść gotował. Był on żyjącą gazetą, i donosił nam o wszystkim co się działo na dziesięć mil w około i opowiadał pomyslnie lub niepomyslnie przygody kopaczów, naszych sąsiadów.

Pewnego wieczora za powrotem z kopalni, usłyszeliśmy w niejkiej odległości pomieszane krzyki. Pobieglszy na miejsce wrzawy, ujrzelśmy, że chciano, na krótkim toporzysku, jak to mówią, ukarać biedaka schwytanego na gorącym uczynku kradzieży.

Nadzwyczajny zamęt panował, kobiety krzyczały, mężczyźni się bili, psy ujadały. Jedni chcieli winowajcę przywiązać do drzewa i na śmierć zaćwiczyć, drudzy chcieli go utopić eo było nie tak niebezpieczną rzeczą, bo nie wiem gdzieby dostateczną wodę znaleźli. Inni

wołali iż go trzeba strącić na łeb ze skały, aby posłużył za przykład wszystkim złodziejom. Jednakże powszechna była zgoda za niezwłocznym wymiarem kary. Aby powściągnąć popęd rozjuszonego ludu, trzeba mieć wiele zimnej krwi i śmiałości. Robert Raikes tego dokazał. Rzucił się pomiędzy tłum, przedarł się aż do owego nędznika, schwycił go za kołnierz i zapytał się o co go oskarżono.

— Zrabował namiot.

— I cóż mu chcecie zrobić?—zapytał się Raikes z taką samą zimną krwią.

— Rozstrzelać zdrajcę. Utopić. Sto postronków mu wyliczyć. Powiesić go!—krzyczeli.

Wyroki te nie zyskały potwierdzenia Raikesa. „Mości panowie, rzecze: tworzymy tu zgromadzenie ludzi wolnych. Jedynym prawem naszym jest siła, a jedyne przepisy są te, któreśmy sami ustanowili. Zważajcie, że takie stanowisko wkłada na nas wielką odpowiedzialność. W braku praw, sumienie powinno być naszym przewodnikiem, głosu jego święcie słuchać musimy. Ten człowiek powiadacie dopuścił się kradzieży?

— Tak jest, tak! tak!

— Dobrze. Czyliż ten występek zasługuje na karę śmierci? Nie odpowiadacie! bo w rzeczy samej za kradzież nie karzą śmiercią. Jednakże zasługuje na przykładne ukaranie, któreby przekonało jego i jemu podobnych, że takie czyny nie uchodzą bezkarnie. Kto jest właścicielem namiotu?

— Ja—odpowiedział człowiek blisko stojący.

— Cóż on ci ukradł?

— Nic, bom go zeszedł zawczasu.

— A więc cóż z nim zrobimy?

— Obić go i puścić — odpowiedział właściciel namiotu.

Zgoda! zgoda! — krzyknął tłum i rzucił się na winowajcę. Mimo usiłowań Raikesa, który chciał złagodzić surowość wyroku, przywiązano nędznika do drzewa, obdarto z sukien i tak go oćwiczono, iż przez całe życie pamiętać będzie o sprawiedliwości ludu, wykonywającego swoje własne ustawy. Gdy go odwiązano, ledwie mógł chodzić. Powłókł się przecież zdala od miejsca swojej winy i kary i pewno ukrył się w lasach.

Odwaga Raikesa w tym wypadku, podwyższyła go w opinii tych co byli świadkami owej przygody. Uśmierzył namiętności rozjuszonego spolsztwa, ocalił życie człowiekowi. Skromnością swoją podwyższał wartość tego czynu. Zapewne już go nieraz wykonał, bo uważał to za rzecz bardzo prostą i nie nie znaczącą. Wielokrotnie w ciągu naszego pobytu w Australii, zdarzyły się takie same sceny, lecz nazwyczajwszy się do nich przestaliśmy na nie uważać. Tegoż dnia gdyśmy kończyli wieczerzę, postrzegliśmy ciemno-czerwoną łunę w jednej stronie widnokregu, przy której zgasły gwiazdy, tak mocno świecące w tej części kuli ziemskiej. Zapewne wybuchnął gdzieś daleko niezmierny pożar, Wybiegliśmy na wzgórek. Chmury czarnego dymu wydobywały

się z niezmiernego ogniska, którego płomienie wiatrem pędzone, posuwały się z zadziwiającą szybkością i zajmowały całą przestrzeń kraju; był to pożar lasu, tak często zdarzający się w tej porze roku. Cały las stał w ogniu, sucha trawa była głównym żywiołem pożaru, lecz niekiedy płomień ogarniał także grube pnie drzewa, wspinał się w górę aż pod obłoki i tak prędko gasł jak powstawał. Nasyciwszy się tym nowym dla nas widokiem wróciliśmy do namiotu.

Kopaliśmy zaciekle, lecz nie znajdowaliśmy żadnego śladu złota, a obok nas gromadka kopaczów liczyła je na funty. Była to męczarnia Tantała. Zaledwie mogliśmy pohamować zazdrość, która nas przejmowała na tę myśl, że mimo tylu mozolów, żadna korzyść nie wynagrodziła naszych usiłowań. Trwaliśmy jednak. Coż to znaczy?—mówiliśmy, dzień jest długi, my krzepcy, jeszcześmy nie dosięgli tego pokładu niebieskiej gliny, na której złoto spoczywa. Lecz nasza kassa coraz bardziej się wypróżniała, a wyżywienie pięciu mężczyzn z dobrym apetytem nie mało kosztuje. W tym względzie niepodobna skąpić; praca wyczerpuje siły i trzeba pokrzepiać je dostatecznem i posilnem pożywieniem, bo można na zawsze stracić zdrowie. Iluż to biedaków padło ofiarą dobrowolnego wstrzymywania się od jadła? Iluż nie obrachowało się z fizycznymi siłami swemi, a nazwyczajeni od dzieciństwa do pracowania piórem, igłą lub pędzlem, upadli pod ciężarem pracy górniczej!

„Hura! bracia! mamy go! mamy nareszcie!” Taki

krzyk obił się o nasze uszy, pewnego poranku, gdyśmy pracowali jak zwyczajnie. Pochodził on z gromadki kopaczy tuż przy nas pracującej. Wykopali oni kilka dołów aż dotąd bezskutecznie. Na ich wołanie, zebrało się mnóstwo ludzi przy dole, w którym błyszczał kosztowny kruszec, otoczony masą gliny. Radość kopaczów dochodziła aż do szaleństwa. Takie przejścia z nędzy do bogactwa mogą wstrząsnąć rozum człowieka. Nie jeden natychmiast dostanie obłąkania. Dwa takie przypadki zdarzyły się w jednym dniu. Jakiś człowiek znalazłszy sztukę złota, rzucił się ze skały i zabił się na miejscu, drugi uciekł w lasy i już go więcej nie ujrzano.

Powodzenie sąsiadów mogło nam dodać zachęty, pracowali bowiem dosyć długo i niepomysłnie, a teraz zbierali plony wytrwałości swojej. W ciągu tygodnia znaleźli sto dwie uncye najczystszej złota. Szczęście wynagrodziło im za czas utracony, bo w następnych tygodniach nie przestali czynić najświetniejszych odkryć, Lecz te przykłady nie napełniły naszej sakiewki. Tak dociągniemy do drugiej niedzieli naszego pobytu w kopalniach.

Niedziela była dla nas dniem wytchnienia pod pewnym względem: gdyż nie kopalśmy, lecz tylko prali bieliznę i naprawiali odzież. Raikes i Brown umyśleli udać się w lasy i spróbować czyli nie upolują jakiej zwierzyny dla zasilenia naszych zapasów, coraz to szczuplejszych. Ja radziłem aby niedzielę obchodzić z nabożeństwem i powagą, na jaką tylko można się zdobyć w takim miejscu: ale trzeba jeść przede wszystkim. Brown zatem i

Raikes opatrzywszy się w proch i ołów, wzięli strzelby i przyrzekli, iż powrócą wieczorem i przyniosą spory zapas papug i kangurów zdolnych do jadła.

Po odejściu dwóch naszych towarzyszków, dzień cały spędziliśmy w namiocie; czytałem Biblią Binktowi i Shantemu, który o niej żadnego nie miał wyobrażenia. Zmierzchno się, potem noc zapadła a myśliwcy nie powracali. Nareszcie pogasły światła i cały obóz zaległa cisza, słońce weszło, a ich jeszcze nie było.

Zabłądzili w gęstych lasach, a nie mając bussoli podług której mogli byli kierować drogę, przez dni piętnaście chodzili po kniejach, żyjąc tylko korzonkami i ubitą zwierzyną. Nie potrzebuję opisywać jak byliśmy o nich niespokojni i z jaką radością przyjęliśmy ich za powrotem. Ich przygody mogą zająć czytelników, udzielamy przeto w skróceniu opowiadanie Browna, skreślone w kształcie dziennika.

Dziennik Browna.

Niedziela. Zapuściwszy się w lasy, zdziwieni byliśmy, że tak mało ptaków napotykaemy. Przypisując to napływowi ludności krążącej na brzegu kniei, poszliśmy dalej. Nie mając doświadczenia, szliśmy na oślep nie zostawiając żadnych znaków za sobą, i wkrótce postrzegliśmy żeśmy zabłądzili. Cała ta puszcza tak jest jednostajna bez gór, bez rzeczki, że ani podobna znaleźć ślad prowadzący do obozu. Znużeni daremnem chodzeniem usiedliśmy pod drzewem aby uchronić się przed upałem i

naradzać się co dalej czynić. Upolowaliśmy zwierze wielkości kota, z gatunku dydelfów ta zdobycz posłużyła na zaspokojenie głodu. Raikes, śmiały i doświadczony podróżnik w puszczach Ameryki, obdarł to zwierze ze skóry; a ja nazbierałem suchych liści, roznieciłem ogień wystrzałem z fuzyi. Zwierzynę otoczyliśmy korą drzew i upiekli w popiele. Mięso było dosyć dobre, lecz jak mogło smakować bez chleba, bez soli, pieprzu i jarzyn. Głodni zabłąkani wśród lasów musieliśmy przestać na tem co nam dała Opatrzność.

Słońce schylało się ku zachodowi i trzeba było pomyśleć o przytułku na noc. Zaczęliśmy szukać trawy i gałęzi, i czasem rozłączaliśmy się tak, iż jeden drugiego nie widział. Wtedy przejmowała nas niewysłowiona trwoga. Nagle Raikes oddalony odemnie o dwieście kroków, krzyknął na znak niebezpieczeństwa. Przybyłem z odwiedzoną strzelbą. Natrafił on na ogromnego węża. Gąd rozjątrzony posuwał się ku niemu z podniesioną paszczką i ostrym świszczaniem. Zaledwie miałem czas dać ognia. Ugodziłem go w głowę i zraniłem śmiertelnie. Jednakże wąż długo jeszcze rzucał się konwulsyjnie.

Noc przepędziliśmy pod drzewem, było niezmernie zimno, przy tem dokuczało nam pragnienie. Nad ranem, strząsnęliśmy na zwinięte liście, obfite krople rosy i zaspokoiliśmy choć w części tę pierwszą potrzebę życia.

Poniedziałek. Nazajutrz udało nam się zabić kilku dydelfów, lecz ani sposobu nie było, aby wynaleźć drogę

prowadzącą do obozu. Związawszy naszą zdobycz, zaczęliśmy szukać rzeki, lecz wszedłszy między kolczyste krzaki powikłane ze sobą, musieliśmy zbaczać co chwila, tak, iż ani podobna było zmiarkować, gdzie jesteśmy i w którą stronę idziemy. Zbierało się na burzę, nareszcie wybuchła z całą wściekłością. Wicher obłamywał najprzód wysokie gałęzie drzew, a potem i same drzewa. Rzuciliśmy się na ziemię. W około nas padały olbrzymie drzewa wyrwane z korzeniami. Ciemność zupełna otoczyła nas. Co chwila wyglądaliśmy śmierci. Okropna była to chwila, lecz krótko trwała, rozjaśniło się i z przestrachem ujrzeliśmy, jakie zniszczenie zrządziła burza. Po tym wichrze deszcz zaczął padać strumieniami. Ta katastrofa dostarczyła nam wody droższej dla nas w tej chwili od złota: dla którego tyle trudów i niebezpieczeństwa znosimy.

We wtorek o świcie pogoda zajaśniała i powzięliśmy nadzieję, że wydostaniemy się z tych obszernych pustyń. Właząc na powywracane drzewa, dostaliśmy się nareszcie na wzgórek, do którego burza nie dosięgła. Ztamtąd szliśmy na los wprost przed siebie dopóki upał nie zniewolił nas do schronienia się pod cieniem drzew. Byliśmy uznojeni i znowu udręczeni pragnieniem. Raikes przypadkiem pociągnął za odnogę korzenia drzewa wydającego gumnę, pod którym siedział. Ułamał ją i puściło się z niej wiele wody. Wyobraźcie sobie naszą radość, gdyśmy znaleźli napój, zawsze gotów na zawołanie nasze i przestaliśmy się lękać braku wody.

Idąc dalej strzeliliśmy do ptaków siedzących na drzewie i ubiliśmy parę. Zbliżając się po zdobycz naszą, jakżeśmy się zdziwili i przerażili, postrzegając zwłoki nieszczęśliwego kopacza, który podobnie jak my zabłąkał się w lasach i umarł z utrudzenia i głodu. Okropnie wyglądał ten trup: czaszka ogolona z mięsa, spoczywała na gołym pierszczelu lewej ręki, głowa zwrócona była ku niebu, jakby błagał o kroplę wody dla ukojenia swych okropnych męczarni, kapelusz leżał o parę kroków. Przed nim obok broni leżał kubek próżny rdzą na pół strawiony. Drapieżne ptaki poszarpały jego odzież aby się dostać do mięsa.

Biedny człowiecze! — Rzekł Raikes z mocnem wzruszeniem, czegożeś tu szukał?

Przypatrzmy się ciału! — rzekłem, może wśród tych szczątków dowiemy się o nazwisku. Pomimo żeśmy z ostrożnością wzięli się do pracy, kilka żeber oderwało się od trupa, a przestraszony obecnością naszą wąż, wyrwał się i uciekł sycząc. Nareszcie znaleźliśmy pudełeczko ze słoniowej kości jeszcze zostające w ręku nieszczęśliwego, który się z niem aż do ostatniej chwili nie rozstał, mieszczące w sobie trochę złota, a na którem nawinięte były cztery pukle pięknych włosów, jeden czarny i połyskujący, inne miękkie i jasne. Były to zapewne jedyne wspomnienia po żonie i dzieciach,

Przypatrując się tym smutnym szczątkom, Raikes zaczął płakać jak dziecko. Pudełeczko to nie mogło nas naprowadzić na ślad, kto był jego posiadaczem. Obok

zwłok znaleźliśmy topór, nóż w futerale skórzanym wisiał u skózanego pasa, szyling, może ostatni jego pieniądz, wypadł z jego odzieży. Na cóżby się mu przydały wszelkie skarby świata? Zajęliśmy się pochowaniem ciała. Nożem i toporem wykopaliśmy dziurę pod cieniem olbrzymiego drzewa. Praca ta zabrała nam dosyć czasu, lecz ten człowiek zmarły z głodu i pragnienia, uległ temu samemu losowi, który może i nas spotka: obudził więc silne w nas współczucie. Pochowawszy ciało ukłękliśmy nad mogiłą i wyrzekliśmy z głębi serc naszych tę krótką modlitwę. Boże zmiłuj się nad nim! Boże przebac mu! Raikes wyrył na korze drzewa te słowa:

Tu leży człowiek biały!

Zdarzenie to i trudność upolowania zwierzyny, mocno nas przeraziły. Nazajutrz wstawszy bardzo rano, zaczęliśmy zmierzać ku wzgórzom, które postrzegliśmy przed nami. Była to piękna i malownicza okolica, lecz nie byliśmy w swobodnem usposobieniu umysłu aby się nią zachwycać. W tem z radością postrzegliśmy stado wodnego ptactwa, które nam oznajmiało bliskość rzeczki. Ubiliśmy kilka sztuk i odtąd byliśmy już spokojniejsi.

Piątek. Obfita rosa spadła w nocy. Zostawiłem Raikesa w szałasie a sam wyszedłem i przechadzałem się przez godzinę w okolicy doznając jak najprzyjemniejszego wrażenia. Mój towarzysz przez ten czas czyścił zarzewiałą strzelbę nieszczęśliwego kopacza. Usiadłem przy nim. Rozmyślałem o naszym położeniu i o was towarzysze, gdy w tem nagła myśl zajęła mię: zdawało mi

się, że w tej dolinie gdzie jesteśmy, powinno być złoto, bo podczas przechadzki uderzyło mnie podobieństwo gruntu, z pokładami ciągnącemi się nad rzeką, przy kopalniach. Mielśmy wodę i żywność, umyśliłem kopać ziemię. Tylko com powiedział o tem Raikesowi, on natychmiast porzucił strzelbę.

Masz słuszość Brownie, dalibóg masz słuszość, spróbujmy, a skoro, przypadkiem zaszliśmy w te miejscy, dla czegoż nie mamy korzystać z okoliczności.

Lecz, — rzekłem, choćbyśmy znaleźli stopy złota, na nic nam się nie przydadzą, gdzie za wszelkie skarby świata nie dostanie kawałka chleba.

— Masz słuszość — rzekł smutnie i znowu wziął się do strzelby.

Lecz przydałem po krótkiej przerwie — kilka bryłek złota możemy unieść, a teraz we dwóch już się nie lękamy losu nieszczęśliwego właściciela tej starej strzelby.

— A więc spróbujmy.

Przypatrzyliśmy się dokładnie gruntowi i przekonaliśmy się że niezmiernie jest podobny do gruntu w górze Aleksandra.

Na domiar pomyślności udało nam się zabić kangura, ważącego przeszło czterdzieści funtów a idąc za biegiem strumienia natrafiliśmy na stawek, którego woda była mocno przejęta solą. Przyszło mi na myśl aby w tej wodzie ugotować ogon kangura; kubek znaleziony przy szkielecie kopacza, a trzymający półtory kwarty, wybornie nam do tego posłużył.

Sobota. Posiliwszy się, zaczęliśmy pracować; nie było potrzebnych naczyń i narzędzi, musieliśmy sobie radzić jak można. Z kory drzewa zrobiliśmy konewki do płókania, a łopatę wyciosaliśmy z twardego drzewa. Pierwszy dzień nie przyniósł nam żadnej korzyści; daremnie płukaliśmy ziemię i zwir, nie było na spodzie ani jednej odrobiny złota.

Niedziela. Chcieliśmy przeznaczyć dzień na wypoczynek, lecz w położeniu naszym nie można było tego uczynić. Raikes poszedłszy z kubkiem po wodę do stawu, potrafił nogą kamień kwarcowy, przypatrzył mu się, podjął go i ważąc go w rękę, poznał, że w nim jest przeszło pół funta złota. Uradowany przybiegł do mnie wołając:

— Brownie, Brownie, przybywaj! znalazłem pokład, patrz!

— To jest złoto, rzekłem, i zapewne go tu jest więcej. Czy naznaczyłeś to miejsce?

— Tak jest, zostawiłem tam kufelek.

W mieście warto jest dwadzieścia funtów szterlingów.

Zaczęliśmy kopać piasek z niesłychanym zapałem. Co chwila zbieraliśmy odrobiny złota. Lecz sztuka, którą znalazł Raikes, większe obudziła nadzieje i nie chcieliśmy przestawać na małych rzeczach. Tak szukając, przyszlismy do miejsca, gdzie bieg strumienia zawałony był kawałami kamieni. Podnieśliśmy je i szukaliśmy w wodzie między szparami skał szychowych. Pełno tam było kawałeczków złota, wielkości łepka od szpilki aż do zwyczajnego grochu. Tego dnia zebraliśmy blisko pięć uncyi złota.

Przez poniedziałek i Wtorek tak nam się powodziło, że zbiór nasz wynosił przeszło dziesięć funtów złota; niektóre bryłki ważyły ćwierć funta.

Pilno nam było powrócić do naszych towarzyszy; spodziewaliśmy się, że was przyprowadzimy do tej bogatej doliny, której własności nikt nam nie może zaprzeczyć, bośmy ją najpierwsi odkryli.

Środa. Tego dnia pokazało się kilku dzikich krajowców, na szczycie wzgórza panującego nad doliną. Zawołaliśmy na nich, okazaliśmy znakami, że chcemy mówić z nimi, spodziewaliśmy się, że nas przecie zrozumieją i wyprowadzą z tego lasu. Z razu chcieli uciekać, lecz wkrótce powrócili. Zbliżyliśmy się do nich okazując na migi, że jesteśmy ich przyjaciółmi. Dwóch wyszło na przeciw nas, a zrozumiawszy mnie skinęli, abyśmy poszli za nimi; chcieli także nieść nasze strzelby. Nie oddaliśmy broni, lecz poszliśmy za nimi bez obawy, gdyż słyszeliśmy nie raz, że pomimo srogiego postępowania między sobą w czasie wojny, są w zwyczajnym stanie łagodni i gościnni.

Ich obozowisko było daleko w górze strumienia, składało się z kilku szałasów. Były tam kobiety i dzieci, zadziwił ich nasz widok bo zapewne nigdy nie widziały Europejczyków. Na rozkaz mężów, kobiety przyniosły nam korzonków do jedzenia, dosyć smaczných, lecz widząc miejsce zkaąd je wydobywano, wstręt nas przejmował; był to worek; w którym znajdowała się razem ziemia, korzonki, kamienie, piersi kangurów, kości, mięso suszone,

wąży mnóstwo rzeczy przykrych dla wzroku i powonienia. Lecz ważną było rzeczą pozyskać ich życzliwość, przeto przemogliśmy nasz wstręt i nieufność, i okazaliśmy im twarz wesołą.

Ci dzicy są okropnie brudni; pojęcie mają niezmiernie ograniczone, żyją jak zwierzęta. Jedzą korzonki surowe, umieją tylko piec i tłuc pożywienie. Kobiety są w najnędzniejszym stanie; jak wszędzie u dzikich ludów, wykonywają najcięższe prace, kopią ziemię dla wydobywania korzonków, noszą ciężary i dzieci. Broń krajowców odznacza się osobliwszym kształtem; jej zrobienie wymaga wiele zręczności, są to włócznie, maczugi i tomachawki czyli siekiery kamienne. Ta broń, tak prosta i niekształtna, bardzo jest dogodna dla dzikich. Włócznia służy im do obrony i napaści, oraz do zabijania kangurów i dydelfów, których w legowisku podchodzą. Nią także zabijają ryby w czystej wodzie strumienia.

Ze wszystkich scen życia dzikich, najbardziej zajmującym jest wyjście na łowy. Podczas naszej obecności, wyruszył na polowanie młody człowiek, krzepki, wysmukły, mający lat około trzydziestu. Ciało miał pomalowane białą, żółtą i czerwono, biodra przepasane pasem futrzanym z dydelfa, za którym zatknął bronie myśliwskie. W ręku trzymał kilka włóczni rozmaitym sposobem zastrzonych, do wojny, rybołówstwa i polowania. Na barkach miał skórę kangura. W tem ubraniu stał się innym zupełnie człowiekiem; oczy jego zazwyczaj zamglone i głupowate, błyszczały ogniem namiętności.

Zapуścił się w las szybkim lecz cichym krokiem; przeciskał się z gęstwy w gęstwę. Nic nie uszło przed jego przenikliwym wzrokiem; ślady nic nie znaczące dla Europejczyka, dostarczały mu skazówek, gdzie się znajduje zwierzyna. Przebywszy pewną przestrzeń lasu, stawał niewzruszony jak posąg. Ciało jego nie odróżniało się od pni drzewa co go otaczały i tylko poznać go było można z poruszenia wielkich białych oczów. Kobiety z daleka szły za nim, jedna z nich lekko gwiznęła: był to znak, że kanguro, którego myśliwi nie widzą, jest nie daleko i wskazała w której stronie się znajduje. Tym czasem zwierz stojąc na tylnych nogach, natężał słuch i wzrok jak gdyby odgadywał niebezpieczeństwo. Cierpliwość myśliwca, uspokoiła go; nie słysząc żadnego hałasu zwierzę zaczęło jeść trawę; dwa lub trzy razy przerwało jedzenie i słuchało; myśliwiec stał nieporuszony, dopóki kanguro zupełnie się nie uspokoił; wówczas odwrócił się nagle i podniósł włócznią, gotów uderzyć, potem zaczął pomału podsuwać się ku swojej zdobyczy i znowu stawał nieporuszony. Obrót ten powtarzał się kilkakrotnie dopóki zupełnie się nie podsunął. Świsnęła włócznia, zwierz ugodzony padł, kobiety i dzieci wydały szalone okrzyki i rzuciły się na zdobycz.

Czwartek. Przepędziliśmy noc w obawie; — gdy jeden spał drugi czuwał, baliśmy się aby nas nie obdarli i nie zabili dzicy. Wieczorem we Środę widzieliśmy jak okrutnie obchodził się naczelnik gromady z żoną swoją, nasza obawa i wstręt doszły do najwyższego stopnia. Mło-

da kobieta była bardzo piękna, jak na dziką, a przecież to ją nie ochroniło od wściekłości męża; okryta była głębokimi bliznami po ranach świeżych i dawniejszych; z których każda byłaby o śmierć przyprawiła kobietę białą. Nie wiem za co, lecz widzieliśmy ze zgrozą, że mąż przebił jej nogę włócznią, obalił ją na ziemię uderzeniem maczugi i bił tak zajadle, że mógł być zabić słonia. Czyn ten nikogo z dzikich nie zadziwił; nikt nie ulitował się nad biedną młodą kobietą, która w kilka minut potem była w najlepszej zgodzie ze swoim mężem.

Ugodziliśmy się z dwoma krajowcami, że nas wprowadzą na drogę. Za to daliśmy im topor i starą strzelbę kopacza: były to rzeczy tak szacowne dla dzikich, iż za nie byliby nas zaprowadzili na drugi koniec Nowej Hollandyi. To szczęście żeśmy wiedzieli, iż dzicy nazywają górę Alexandra, Geboor, ten wyraz był naszym zbawieniem.

Piątek. Wyruszyliśmy o świcie ku obozowi naszemu. Pragnęliśmy dowiedzieć się jak się nazywa ta dolina gdzieśmy obozowali, znaleźli złoto i napotkali dzikich. Nie mogąc zrozumieć ich mowy, robiliśmy znaki na drzewie, lecz dzicy prowadzili nas tak krętymi ścieżkami zapewne z umysłu, że usiłowania nasze, aby znaleźć potem ślad drogi, były daremne. Nareszcie tego dnia nad wieczorem, dzicy pokazali nam wśród płaszczyzny, drogę prowadzącą do obozu kopaczów. Wynagrodziwszy ich podług umowy, z radością ujrzeliśmy się pośród cywilizacyi Europejskiej.

W Sobotę rano, drugiego tygodnia towarzysze nasi przybyli do namiotu opaleni aż do brązowego koloru, wychudli, wynędzniali. Niestety! i my nie w lepszym byliśmy położeniu. Shanty konał prawie, a Binks ciężko zachorował. Ja popadłem w ostateczne zniechęcenie. Czyliż potrzeba opisywać z jakim uczuciem powitaliśmy powracających?

Cóż to się znaczy? — rzecze Brown: odeszliśmy zdrowych i wesołych, a za powrotem widzimy konających i chorych.

— Siadaj,—rzekłem, opowiem ci krótkie lecz smutne przygody nasze.

— Zaczekaj — odezwał się Shanty gasnącym głosem, daj im co jeść. Jest jeszcze kawał baraniny z wczorajszej wieczerzy.

Biedny Shanty, nie wiedział że to była pożyczona baranina, i ostatni nasz szczątek żywności! Lecz dobrze poradził. Wyglodniali przyjaciele nasi, zjedli ją w mgnieniu oka.

Potem opowiedzieli nam w krótkości przygody swoje, opisane szczegółowo w dzienniku.

Nawzajem usłyszeli od nas jak ciężką wytrzymaliśmy burzę, która pozrywała namioty, i zalała doły w kopalniach. Pracowaliśmy w wodzie prawie do pasa, nad wyprzątnieniem naszego dołu i z tego to zachorował Binks i Shanty. Nasze poszukiwania są dotąd nadzieją, lecz nicśmy nie znaleźli.

— Nie? tak dalej być nie może — zawołali jednozgodnie, Brown i Raikes.

— Cóż to znaczy przyjaciele? rzekłem, nie rozumiejąc znaczenia ich wyrazów. Chcecież porzucić przedsięwzięcie? Wszystko da się wynagrodzić. Jest tu złoto tak dla nas jak dla wszystkich.

— Tak jest, złoto bracie — zawołał Raikes ściskając mię za szyję, jest, nie potrzeba go kopać, Brown je ma przy sobie, patrz.

Tymczasem Brown wydobył skórzany worek, było w nim trzy funty złota. Toż samo uczynił Raikes.

— Słuchaj! moje dziecko — zawołał Raikes, który go bardzo lubił, mieć będziesz co tylko zechcesz. Powoli przyjdiesz do zdrowia.

Shanty poruszył się, chciał coś powiedzieć. Uśmiech radości pokazał się na jego konających ustach. Potem ciężko westchnął i skonał.

Wartość znalezionej złota, którym bezinteresownie podzielili się z nami Brown i Raikes wynosiła 8,160 franków. Nie była to summa, któraby dołączyła naszą zapewnić mogła, lecz dostarczyła sposobów do dalszej pracy, do pokrzepienia sił i do zyskania czasu. Pochowawszy przyzwyczajenie naszego biednego towarzysza, cieszyliśmy się z razu nadzieją, że natrafimy na to miejsce, gdzie Raikes i Brown w krótkim czasie zebrali tak znaczną ilość złota. Lecz daremne były nasze poszukiwania.

Smutny widok przedstawiały w owym czasie kopalnie Alexandra. Mnóstwo kopaczów zawiedzionych, schorowa-

nych, umierających, tułało się od szałas do szałas. Jedni wracali, przybywali nowi. Ilość złota wyprawionego do Melbourne pod eskortą rządową, wyniosła podczas naszego pobytu, 8,238,750 fr. A więc byliśmy nieszczęśliwi tam, gdzie tysiące mogło sobie powinszować szczęścia, jeżeli go złoto nadaje. Postanowiliśmy przenieść się do kopalni Bendigo, o parę mil odległej; nie mało kopaczy uczyniło toż samo. W drodze śpiewali pieśni proste na miejscu ułożone: gdzież to bowiem poezya nie zjawi się, aby rozpogodzić czoła, i zmiękczyć serca? Przytaczam jedną z tych pól dzikich pieśni:

Śpiew kopaczów Australii.

Wy których nie kocha
Fortuna macocha,
Co w zimnie i głodzie,
O chlebie i wodzie
Z dnia na dzień życie
Na starym tym świecie!
Pod stopy wasze
W dziewiczej tam ziemi
Daleko, daleko,
Pod lasem nad rzeką,
Kopaczów brzmia chóry,
Witajcie nam góry!
Witajcie nam góry!

Wygnańcze tułaczu,
Co dumasz głęboko,
Zagasało ci oko
Od żalu i płaczu;
Głód wewnątrz ci ściska,

O biedny nasz bracie,
 Pójdź speżać w tej chacie
 To nasze ogniska.
 Już sztuki mięsiwa
 Na różny zatknięto,
 Dzień w znoju upływa
 Co wieczór jest święto,
 I rażne brzmią chóry,
 Witajcie nam góry!
 Witajcie nam góry!

Dziś, jutro za trzy dni,
 Los nam się rozwidni,
 I do nas z uśmiechem
 Fortuna zawita,
 A żyła obfita
 Zabłyśnie pod sztychem.
 Dotrwajmy, niech z czoła
 Ustąpią złe chmury;
 Pieśń zabrzmi wesoła
 Witajcie nam góry!
 Witajcie nam góry!

Żadna podróż nie jest tak jednostajna i nudna jak podróż przez lasy Australii. Drzewa, drzewa i zawsze drzewa, gdzie nigdzie małe wzgórki i małe place murawą pokryte. Massy drzew zwalonych jedne na drugie i gnijących, bagna zasłane pływającymi roślinami podobnymi do rzęsy.

W Australii nic nie obudzi wspomnień naszych. Nie zobaczysz dawnych zwalisk, ani mogił, ani jarów uświę-

conych pamiątką po druidach i bardach; wszystko jest zimne, ponure i prozaiczne.

Żadne zdarzenie nie przerwało nudnej podróży naszej, chyba to jedno, że jeden wózek naszej karawany przewrócił się w błoto. Przypadek ten na krótko nas zatrzymał.

Po południu dnia następnego ujrzelśmy wzgórze Bendigo. Wyobraźcie sobie, tak daleko jak tylko wzrokiem zasięgnąć można, tłum ludzi wijących się w różne strony, malowniczy widok ich rozmaitych ubiorów, czerwone i niebieskie koszule kopaczy, mundury żołnierzy zwolna przeciągających się wśród tego tłumu. Kommissarz rządowy ze szwadronem straży policyjnej czyni daremne poszukiwania między tym dziesięcio-tysięcznym tłumem, nie mającym żadnego wyobrażenia *co moje a co twoje*. Nad brzegiem rzeczki wśród wąwozu tysiąc sit i szuflad do płukania jest w ruchu, każdy kawałek złotodajnej ziemi już jest zajęty. Na stoku wzgórza widać tysiące pomieszczeń, biuro gubernatora i więzienie. Wszystkie te budynki są drewniane. Składy poznać można, po wielkich flagach powiewających w górze, namioty kopaczy są białe. Podoba się i zajmuje całość tego obrazu.

Gdy wnijdiesz między ten tłum zajęty pracą, doznasz wiele uprzejmości. Chętnie odpowiadają na zapytania, lecz dla tego wcale nie porzucają roboty. Anglik jest dumny lecz grzeczny, Szkot nie ufny, nigdy nie powie czy mu powiodło się poszukiwanie złota, wesóły Irlandczyk

rozwesela pracę żartami i dowcipami, powolny lecz pracowity Niemiec, Francuz ze wszystkiego nie kontent; ogorzały Amerykanin przybył do Melbourne z zapiskami, gdzie i jak trzeba szukać złota i skazówki swoje sprzedaje kopaczom. Oprócz tego jest mnóstwo krajowców, Chińczyków i Indyan w ich rodowitych strojach. Wszystkie te indywidua są pomieszane jedne z drugimi. Potomek jakiego lorda angielskiego, kopie obok skazanego na wygnanie do Australii za kradzież.

Gdy mrok zapadnie, zmienia się widowisko. Ustał odgłos płókania, tysiące ogni przy namiotach, tworzy piękną illuminacyą. Latarnie świecące przy składach, ciągle wystrzały i dźwięki muzyki wzywają strudzonych kopaczy do spoczynku. Pióro nie zdoła oddać jak zajmującym jest ten obraz.

Binks coraz to był zdrowszy; opowiadania o pomyślném powodzeniu niektórych kopaczy ożywiały naszą nadzieję. Wszędzie wybierano miejsca do kopania, wynoszące ośm stóp kwadratowych. Zaopatrzywszy się w nowe motyki, drągi i rydle, zaczęliśmy szukać miejsca, gdzie znowu szczęścia doświadczać będziemy. Złe i dobre losy były pod naszymi stopami. Ja i Brown probowaliśmy tu i owdzie lecz z małym bardzo powodzeniem.

Tymczasem Raikes i Binks urządzili nasz namiot. Był wyższym i obszerniejszym od tego cośmy go mieli przy zatoce Alexandra i lepiej umocniony. Potém zapłaciliśmy należącą się kwotę za pozwolenie kopania. Za wspól-

na zgodą wybraliśmy miejsce ustronne i spokojne, nieco oddalone od tłumu. Dla czegożby i tam nie znajdowało się złoto? Niedaleko naszego namiotu, był wąż, a w nim tylko trzy lub cztery doły opuszczone. Wypłukiwanie złota jest pewniejsze i tym sposobem szukając go nad brzegiem rzeki, moglibyśmy zarobić tyle ile na życie potrzeba; lecz poszukiwanie bryłek rodzimego złota, nastęczało nam większe korzyści, a znaleźć je można w rozpadlinach skał, albo w pewnej głębokości ziemi. Umyśliliśmy oddać się temu rodzajowi pracy.

W chwilach wypoczynku, mieliśmy sposobność zebrać rozmaite szczegóły o trybie i obyczajach tej nagromadzonej różnorodnej ludności. Jużśmy o nim nadmienili na początku tego zarysu. Chciwość, żądza rychłego zubożenia, jest najgłówniejszą cechą; a zmarnowanie zyskanego złota drugą; wielu jest takich, którzy wykopawszy nie mało złota, strwonili je do ostatka na najdziwniejsze wydatki i zbytki, a potem znowu jak nędzarze wrócili do kopalni i na nowo pracować zaczęli. Mnóstwo oddaje się rozbojom i kradzieży, jest to dla nich bardzo zyskowne rzemiosło, przy niejednym takim złoczyńcy znaleziono po kilkaset funtów szterlingów. Przygody jednego z takich rabusiów przytoczymy w krótkości.

Człowiek ten nazywał się Radlej, przed kilkunastu laty był skazanym na wywiezienie do Australii za rozmaite występki. Uciekł z więzienia, na które w tej części świata zasłużył, nowych dopuściwszy się przestępstw, i schronił się w lasy. Tam żył owocami, mięsem zwierząt

dzikich i zyskiem z zuchwałych napaści, których ciągle się dopuszczał. Wyznaczono nagrodę temu, ktoby go schwycił i dostawił. Zdradził go niejaki Spokes, który mu dotąd używał schronienia. Radlej raniony wystrzałem z fuzyi został związany i zostawiony w mieszkaniu Spoksa, a tymczasem Konstablowie ujęli jego towarzysza i odprowadzili do najbliższego urzędu. Radlej mimo ciężkiego bólu zdołał zerwać swoje więzy, powstał z barłogu gdzie leżał, schwycił broń swego dawnego gospodarza, a dziś zdrajcy, a przyrzekłszy, że mu za pierwszym razem zapłaci, bo dziś potrzebuje naboju dla własnej obrony, uszedł w lasy.

Niedługo potem zebrał gromadkę złoczyńców i dopuszczał się licznych rozbojów. W owym czasie znowu przypadkiem wpadł w ręce Spoksa. Człowiek ten natychmiast przyłożył mu pistolet do głowy.—Odmów pacyerz po raz ostatni, — rzekł, — za trzy minuty zginiesz. Radlej widząc, że nie uniknie śmierci, z najzimniejszą krwią oparł głowę o drzwi chaty.—Strzelaj, rzekł i bądź potępiony na wieki. Natychmiast kula uderzyła go w głowę.

Ciało znalazła straż policyjna; przekonano się, że kula nie zgruchotała czaszki i tylko mocne stłuczenie zrzuciła. Radleja ocucono i zaprowadzono do więzienia. Policya uwolniła go i użyła za emissaryusza do śledzenia i chwytania rozbójników. Poznali się na tem jego dawni koledzy, i jako zdrajcę umyślili zabić. Raz dali mu napić się laudanum, ale je zrzucił i został zdrów,

wpadł znowu w ich ręce: strzelili do niego o parę kroków odległości, padł, rozumieli że już umarły, lecz był tylko zraniony i to nie mocno. Zwłókł się i chciał zejść do miasta, gdy po raz trzeci wpadł w ręce tej samej bandy. Dążyła na ważną wyprawę i nie miała czasu paścić się nad nim. Wytrzymał dwa wystrzały, lecz i te go nie dobiły, tak twarde życie było w tym człowieku. Wykoywnął potem rozmaite zlecenia dawane przez policją i żył jeszcze lat kilkanaście.

Nazajutrz z rana, wzięliśmy się do pracy z takim zapalem, że ktoby nas widział, pewnoby szczęśliwą wróżbę z tego wyprowadził, a wypadek wkrótce ziścił nasze nadzieje. Podobnie jak w górze Alexandra, dokopaliśmy się do pokładu gliny złoto-dajnej; w pierwszych dołach nie znaleźliśmy, lecz mając o czem żyć, postanowiliśmy nie ustawać, dopóki nam sił i chleba starczyć będzie.

Do końca Marca wykopaliśmy dziewięć dołów na ośm do dziewięciu łokci głębokich. Najnieznośniejszymi były dla nas zapytania innych kopaczy: — No i cóżecie znaleźli? — Nie dotąd, — trzeba było odpowiadać. Nareszcie dzień szczęścia i dla nas zabłysnął. Nigdy nie zapomnę jak gwałtownego doznałem wzruszenia, gdy spuściwszy się w głąb dołu wykopałem bryłę złota ważącą czternaście funtów.

Ach! bracia — zawołał Raikes upuszczając taczkę i skacząc w dół: bracia! mamy ją i mieć będziemy inne jeszcze.

Nie mylił się; znaleźliśmy kąt pełen złota i przez tydzień wydobywaliśmy po sześć do ośmiu funtów złota dziennie. Roztropnie zamilczeliśmy o szczęściu naszym. Nie raz byliśmy świadkami jak złe skutki zrzędały niepotrzebne przechwałki, bo skoro tylko szczęśliwi kopacze rozgłosili swoje powodzenia, natychmiast zbiegało się mnóstwo i zajmowało sąsiednią przestrzeń. Pracowaliśmy wytrwale i silnie. Tem łatwiej nam było ukryć szczęście nasze, że niewielu mieliśmy sąsiadów. Niedaleko nas pracowała cała rodzina. O świcie zaczynali robotę; ojciec kopał, matka trzymając najmłodsze dziecko na ręku poruszała ziemię, na którą starszy syn wodę nalewał, trzecie małe dziecko przynosiło jak mogło ziemię wyrzuconą z dołu. Taka gorliwość uwieńczoną została pomyślnym skutkiem.

Przytłoczeni wrażeniem doznaniem na widok ogromnej bryły złota znalezionej w dole naszym, nie mogliśmy przez kilka minut wziąć się do pracy. Lecz potem kopaliśmy z tym większym zapalem. Brown pobiegł do namiotu i zawiadomił Binksa. Tymczasem ja i Raikes kopaliśmy ciągle, a nasze podziwienie wzrastało na widok mnóstwa bryłek mniejszych. W jednym miejscu tak były nagromadzone jak grona porzyczek, a ich wielkość dochodziła od ziarka szpilki, do ziarka winnego grona.

Złoto! złoto! złoto — powtarzał Raikes. — Nie ma jak złoto; będziemy wszyscy niezależni. Patrz! tu i tam! na moją duszę! Czyliż dokopiemy się do końca? A to mówiąc, zbierał z pośpiechem kawały coraz to większe,

z których jeden dochodził wielkości kuli bilardowej. — Ach już dłużej kopać nie mogę, kręci mi się w głowie. — I przysiadł oparty o ścianę dołu; znękany tak mocnem wzruszeniem.

Przyznać muszę, że i mną miały nie mniej silne uczucia. Nasze odkrycie tak było ważne i tak niespodziewane, iż trzeba było być martwym jak skała, aby obojętnym pozostać, zwłaszcza też, że nasz pobyt w Bendi-go kosztował nas co tydzień 15 funtów szterlingów, a więc skarb, który Raikes przyniósł z puszczy, już się zbliżał do końca. Wkrótce odzyskaliśmy krew zimną i pracowali aż do nocy. Mieliśmy dwadzieścia jeden funtów i dwie uncye złota. Tak więc w kilku godzinach zyskaliśmy 800 funtów szterlingów i mieliśmy nadzieję daleko większych zysków.

Tajemnica naszego odkrycia dochowała się między nami czterema; nie lękaliśmy się przeto, aby kto obcy zajął nasze wykopalisko. Że jednak podejrzenie i niespokojność rośnie razem ze szczęściem, uznaliśmy za rzecz potrzebną, przed opuszczeniem naszego dołu zostawić go w takim stanie zaniedbania, aby nikomu nie zachciało się spuścić do niego.

Napiliśmy się herbaty i uradzili, że sprzedamy funt kruszcu złotego, aby przekonać się o jego cenie. Razem z Brownem podjąłem się tej czynności. Blizko milę angielską trzeba było przejść i to przez okolicę najbardziej porozkopywaną. Postrzegłem, że w ogólności na twa-

rzach kopaczy widać było wesołość; przeciwnie, większa część pracujących w górze Alexandra była smutna i znękana.

Jeszcze nie było zbyt ciemno i wielu kopaczy pracowało jeszcze. Zatrzymaliśmy się i spoglądali na ich prace. Młodzi i starzy od lat sześciu do sześćdziesięciu, pracowali od rana do wieczora, jedną namiętnością powodowani. Ani upały, ani deszcze nie mogły ich powściągnąć. Chyba tylko potrzeba jadła i picia odrywała ich na chwilę od pracy, dopóki wycieńczenie sił, choroby lub śmierć, nie wytrąciła im z ręki rydla i drąga.

Sam tylko czarodziejski pociąg złota mógł popchnąć do takiej ostateczności. Co chwila słyszałem albo wykrzyki radości, albo wrzawę i klątwy wywołane przez pijaństwo i złość kopaczy, dla których powodzenie innych było zółcią i piołunem.

Jużeśmy byli niedaleko kresu naszej wycieczki gdy wstrzymały nas wołania: na pomoc! na pomoc! Pobiegłszy na miejsce razem z drugimi, postrzegliśmy, że dwóch ludzi przysypała ziemia, która tworzyła cienką przegrodę między ich dołem a sąsiednim. Nie było chwili do stracenia, najpierw skoczyliśmy w dół na pół zasypany, i zaczęliśmy odkopywać ofiary tego wypadku. Wkrótce odgrzebaliśmy głowę jednego, a potem i drugiego; obadwa jeszcze żyli i wkrótce przyszli do siebie. Jeden z nich był to kaznodzieja protestancki, który niedawno powstawał wymownie przeciw żądzy

złota, a potem sam wziął się do szukania tego zgubnego kruszcu.

Sprzedawszy część naszego złota i zaopatrzywszy się w potrzebne przedmioty pracowaliśmy jeszcze przez kilka tygodni z równem powodzeniem. Nareszcie, gdyśmy już tyle zebrali, że każdy z nas czterech miał do śmierci przyzwoity fundusz do życia, wróciliśmy do Melbourne. Dwóch z nas, Brown i Raikes pozostali w Australii; ja z Binksem odpłynąłem do Anglii. Nie potrzebuję przydać, że z szczerem współczuciem i żalem rozstaliśmy się z towarzyszami naszych przygód, prac i powodzenia. — Po trzech miesiącach żeglugi, żadną szczególną przygodą nieoznaczoną, wróciliśmy do rodzinnej naszej ziemi.

MORMONOWIE.

ZARYS ICH RELIGII I HISTORYI

PRZEZ

A. PICHOT.

MORMONOWIE.

ZARYS ICH RELIGII I HISTORII

przez A. Pichot.

Jeżelibyśmy sądzić chcieli o Mormonach podług zasad ich religii, to nie zasługiwaliby na żadną uwagę, lecz jeżeli zastanowimy się nad historią tej sekty, przyznać musimy, że jest niezmiernie ciekawą i nadzwyczajną.

Trzydzieści lat dopiero upływa jak Józef Smith zaczął grać rolę proroka, a już Ameryka posiada nową religijną sektę, składającą w związku Stanów Zjednoczonych nowy Stan, któremu jeszcze nie przyznano praw politycznych, lecz wkrótce przyznać im muszą.

Liczbę Mormonów w Ameryce oznaczają na trzykroć sto tysięcy (pisał to autor w r. 1854 przez ten czas zapewne liczba ta wzrosła jeszcze). Jeden z członków tego wyznania zasiada na kongresie; drugi, teraźniejszy naczelnik sekty Mormonów, jest rządcą okręgu Utah

czyli pustyni i na ten urząd otrzymał nominacyą od prezydenta Stanów Zjednoczonych, trzeci Mormon jest jego zastępcą. Mormonowie posiadają przestrzeń ziemi prawie tak obszerną jak Anglia, urządzili się cywilnie i wojskowo w ten sposób, że mogą stawiać opór w razie napści. Jakkolwiek nedorzeczną jest ich nauka religijna i nikczemne ich początki, to ich stanowisko i działanie, bardziej polityczne niżeli religijne, z czasem może jeszcze wzrosnąć; dosyć jest tylko spojrzeć na mapę i przekonać się jak obszerną przestrzeń między Stanami Zjednoczonymi a Kalifornią mogą zajmować i zaludniać. Wiadomo, że Mormonowie najbardziej przyłożyli się do odkrycia pokładów złoto-dajnych w Kalifornii. Ich sekta ma zwolenników w Anglii, Szwecyi, Norwegii, w Indiach Wschodnich, nawet i w Australii.

Wszelkie rozprawianie zbytecznem byłoby w obec jawnego oszustwa i marzeń, nie mających ani wzniosłości, ani związku; ograniczamy się przeto na roli historyka. Pisaliśmy ten zarys z opowiadań podróżnych, którzy przebywali pomiędzy Mormonami, a mianowicie pułkownika Kane, ich towarzysza w wędrówce do pustyni, oraz ich gościa w nowo założonym grodzie. Prawie od początku wystąpienia swego na widownię, prorok Mormonów zdołał założyć dziennik, a w swojej stanowczej siedzibie „Święci ostatnich czasów” (tak Mormoni nazywają siebie samych) mają kilka pism religijnych, wychodzących co dzień lub co tydzień. Z tych pism uzupełnialiśmy opowiadanie pułkownika Kane.

Podróż do kraju Mormonów.—Miasto zamarle.

Przed kilkoma laty, w porze jesiennej, płynąłem w górę rzeki Missisipi; w tym czasie wody są małe, musiałem przebyć łodem tę część kraju, która jeszcze nie urządzona ostatecznie, była przytułkiem fałszerzy pieniędzy, złodziejów i rozbójników. Od Keobuk, aż do miejsca, gdzie znowu rzeka staje się żeglowną, spotykałem samych tylko włóczęgów ponurych, obdartych i osadników próżniactwu oddanych, którzy bardziej popsuli niżeli ulepszyli rolę gnuśnemi rękoma uprawiane.

Zjechawszy z ostatniego wzgórza, postrzegłem zupełnie odmienny obraz. Rzeka oblewała obwód wielkiego i pięknego miasta, oświeconego porannem słońcem. Liczne i świetne domy nowo-zbudowane i ogrody piętrzyły się na wzgórzu, na którego szczycie stał piękny gmach z marmuru wzniesiony, a jego dzwonnica błyszczała złotem. Miasto zajmowało obszerną przestrzeń, za nim widać było bogatą krainę porzniętą w szachownicę i zasianą płodami rolnictwa. Niezaprzeczone oznaki przemysłu ducha przedsiębiorczego i cywilizacyi, nadawały temu obrazowi piętno zajęcia i piękności.

Ciekawość przemogła we mnie. Wystarałem się o statek i przewieziono mnie na główne nadbrzeże. Nikogo nie zobaczyłem, spoglądałem, słuchałem, żywej duszy nie było. Przeszedłem kilka ulic. Całe miasto spoczywało jakoby w śnie czarodziejskim pogrążone, lecz oczywista była rzecz, że nie śpi od lat dawnych. Ulice je-

szcze nie zarosły trawą, jeszcze widać było ślady kroków ludzkich. Chodziłem po mieście, wstępowałem do sklepów, do warsztatów, do kuźni, wszędzie było pusto i głucho. Kółko prządki już się nie obracało; cieśla opuścił warsztat i drzewo na pół obrobione; świeża kora leżała w kadzi garbarza; pęki drewek przed piekarnią. Nikt nie spojrział na mnie, nikt nie zapytał się po co przychodzę. Drzwi domów stały otworem.

Na przedmieściu był cmentarz, zdawało się, że nosi znamiona świeżej zarazy i śmierci. Niektóre mogiły jeszcze nie pokryto darniną i kilka kamieni grobowych dopiero co położono. Za cmentarzem, przy spustoszonej ogródce, postrzegłem jeszcze nie dogasłe głównie po wielkim ogniu i musiano tam upiec jakieś zwierzę przy gałęziach odłamanych z drzew ogrodu. Był to ostatni ślad życia. Obszerne pola zbożem dojrziałem pokryte, daremnie czekały na żniwiarzy.

W dwóch tylko częściach miasta, były oznaki mogące wytłómaczyć tajemnicze te osamotnienie. W południowym przedmieściu, domy na pół zburzone, nosiły ślady wystrzałów armatnich. Świątynia, główny cel mego podziwu, otoczona była pękami strzelb i armatami. Nagle wyszło z niej kilku ludzi uzbrojonych i zapytali kto jestem i jak ważyłem się przebyć rzekę, bez upoważnienia ich naczelnika?

Większa część tych ludzi była rozmarzona trunkiem, lecz kiedy im przełożyłem, że jestem cudzoziemcem podróżującym, najgrzeczniejsi z nich opowiedzieli mi

czyny swoje, z czego złożyła się historia zamarłego miasta.

Było to wczora jeszcze, miasto handlowe i rękodzielne, liczące przeszło czterdzieści tysięcy mieszkańców, od kilkunastu lat toczyło wojnę z temi, którzy mi opowiadali swoją wyprawę. Odniesli nareszcie zwycięstwo w walce przed kilkoma dniami stoczonej. Przechwalali się ze swoich czynów; było to niezaprzeczone faktum, że nieprzyjaciół uciekł z miasta zabrawszy poległych i ranionych.

Zaprowadzili mnie potem do obszernej świątyni, gdzie zwyciężeni odprawiali tajemniczo bałwochwalcze obrzędy religii potępionej od Boga. Pokazali mi niektóre części gmachu, będące przedmiotem czci zabobonnej, aktóre dla tego właśnie popsuli i skalali z szczególną zawziętością: takimi były ołtarze i kilka izb tajemnych: w jednej z nich była studnia głęboka, zbudowana w celu okropnym i tajemniczym; pokazali mi głębokie marmurowe łożysko, oparte na dwunastu wołach naturalnej wielkości, także wyrobionych z marmuru. O tem łożysku, do zbierania wody jak widać przeznaczonem, opowiadali najdziwaczniejsze rzeczy. Biedni głupcy Mormonowie, których wielka liczba przybywała z dalekich stron, mniemali, że Bóg dozwala im przyjmować w tém łożysku chrzest odrodzenia w imieniu ukochanych osób, które, żywe lub umarłe, pozostały w ich dawnej siedzibie. Tam rodzice zanurzali się w wodzie chrzestnej za dzieci już umarłe, dzieci za rodziców, wdowy za mężów,

młode dziewczyny za kochanków. Owe tajemnicze łożysko, drogie wygnańcom, tak było zbezczeszczonem że wytrzymać nie mogłem w tej sali.

Pozwolili mi wstąpić na dzwonnice i obejrzeć ślady pioruna, który w nią przeszłej niedzieli uderzył, oraz w stronie wschodu i południa zobaczyć folwarki spustoszone, ciągnące się aż do krańców horyzontu. Tam przy rysie zrządzonej uderzeniem pioruna, postrzegłem resztki biesiady, wypróżnione dzbany, potłuczone szklanki, bęben miedziany i dzwon od parowego statku; później dowiedziałem się na jaki cel były użyte.

Już było ciemno gdym się przeprawił na drugą stronę Missisipi, wiatr był przeciwny i dość mocny; wysiadłem na ląd w miejscu gdzie postrzegłem słabe światło.

Tam pośród trzciny, pod gołym niebem, na gołej ziemi, znalazłem kilkaset ludzi, których przybycie moje zbudziło z niespokojnego uśpienia. Światło pochodziło z latarki papierowej i rzucało słaby blask na twarz człowieka już prawie umierającego. Żona usiłowała go ratować i dawała mu jakiś napój ugotowany w potrząskanej biednej maszynce od kawy; starzec łysy bez zębów, z miną posępną, jak widać nazwyczajony do śmierci, siedział przy konającym i mruczał jednotonną i smętną modlitwę. Dwie dziewczynki siedząc na kawale drzewa, płakały.

Można sobie wyobrazić, ile wycierpieć musieli ci wygnańcy, dręczeni na przemiany upałem dziennym, dłużej

szym jeszcze chłodem i wilgocią nocną. Leżeli tam, bo nie mieli ani domów, ani szpitalów, ani miejsca przytułku; nie tylko nie było środków ratunku dla chorych, lecz nawet i chleba dla dzieci. Koczowali pokotem, matki z niemowlętami, dziewczęta obok starców, pozbawieni wszystkiego, już okryci łachmanami, bez kołder i przykrycia, nawet dla tych, których febra dręczyła.

Ci wygnańcy byli to Mormonowie którzy onegdaj schronili się do hrabstwa Leé w Stanie Jowa, czwartego tygodnia miesiąca września roku 1846. Puste miasto nazywało się Nauvoo w Stanie Illinois; przed kilku dniami było stolicą, czyli nową Jerozolimą tych, którzy nazywali się „Świętymi ostatnich czasów.” Nieprzyjaciele ich wyznania, wypędzili ich z miasta i pięknej okolicznej krainy, rozpostarli się w ich domach, stratowali ich żniwa, a krzyki rozpustnych śpiewów, jeszcze dochodziły do ucha umierających wygnańców, pomieszane z odgłosem bębna i dzwonów.

Ledwie stu dwudziestu Mormonów koczowało, nad bagnistym brzegiem rzeki, większa część ludności miasta i okolicy Nauvoo, do czterdziestu tysięcy dochodząca, wywędrowała ku zachodowi. Nie wiedziano tu co się z niemi stało.

Gromadka na którą natrafiłem, składała się z ostatnich wychodźców. Mormonowie zobowiązali się w roku przeszłym (1845) że opuszczają swoje siedziby i szukać będą innego przytułku; pod tym warunkiem nieubłagani przeciwnicy zawarli z niemi zawieszenie broni. Lecz na do-

wód dotrzymania tej umowy, Starsi i część ludności musiała wydalic się na wiosnę 1846 roku. Zastrzeżono że reszta pozostała w mieście, nie będzie napastowana, dopóki naczelnicy nie wyszukają, ile bydź może najprędzej, miejsca na nową osadę, czy to za Górami Skalistymi, czy w Kalifornii, lub gdzie bądźkolwiek. Mormonowie powinni byli korzystać z tego przeciągu czasu i wyprzedać swoją własność.

Lecz nowe oznaki nienawiści skłoniły pionierów, (tak nazywają tych co pierwsi puszczają się w dzikie bezludne okolice) do wcześniejszego wyruszenia. Opuścili Nauvoo wśród zimy. Nie będę rozszerzał się ile wycierpieli w tej wędrówce; zimno, brak drzewa i żywności, a na wiosnę odwilż i zalewy, dziesiątkowały ludność i było które z sobą pędzili. Jedność i wzajemne wspieranie się, były ich obroną i utrzymywały ich w tej wyprawie. Zatrzymywali się w miejscach otwartych, siali ziarno oszczędzone od jądła, aby za nimi idące gromady znalazły gotową żywność.

Tymczasem wzmożły się napaści przeciw Mormonom pozostałym w Nauwoo. Rzecz dziwna, ci ludzie chociaż wiedzieli, że nie utrzymają się w tém mieście, obracali wszystkie swoje siły i pieniądze, na dokończenie dziwnej lecz wspaniałej świątyni swojej. Od czasów rozproszenia żydów, historia nie podaje nam przykładów takiego przywiązania, jakie mieli Mormonowie do tego gmachu. Była to rzeźbiona arka ich wiary. Każda ozdoba, każda cząstka architektoniczna, była emblematem. Ich

prorok naznaczył im za największy obowiązek, aby wybudowali ten gmach. Przeszło pół miliona dolarów (2,000,000 złp.) złożyli na kosztą budowy. Najuboższy poświęcał dziesiątą część pracy swojej, na wzniesienie murów świątyni. I tak, mimo zajądłości nieprzyjaciół, dokończyli gmach, zaprowadzili nawet pozłacanego anioła z trąbą w rękę na wierzchołek dzwonnicy, a na froncie wystawy umieścili taki napis:

„Dom Pana.

Zbudowany przez Kościół Jezusa Chrystusa
Świątych ostatnich czasów, pod opieką Bożą.”

W południowej godzinie poświęcono tę budowlę. Starsi wrócili tajemnie z pustyni i okazali się w uroczystych ubiorach. Przez cały ten dzień, świątynia jaśniała w mistycznej ozdobie, ze słońcem, księżycem, gwiazdami, hieroglifami, napisami, lecz ta świetność trwała tylko dwadzieścia i cztery godzin. Zabrano rzeczy święte, a na jutro wszystkie ozdoby znikły, prócz niektórych rzeźb i przedmiotów, których unieść nie było można.

Tego dnia wyruszyli starsi i główny korpus wychodźców. Dopóki tylko mogli ujrzeć domy, miasta i świątynię, poglądali za siebie jak Maurowie hiszpańscy i żegnali dawne siedliska.

To poświęcenie kościoła, poczytane za złamanie umowy, za oznakę że Mormonowie nie myślą ustąpić z miasta, wywołało ostatni napad i wypędzenie reszty mieszkańców.

Ciekawością zdjęty, umyśliłem wyszukać główną gromadę tych sektarzy. Zapuszciliśmy się na zachód, z warowni Leavenworth, w kraje przez dzikich zamieszkałe, spotkałem dwóch ludzi wychudłych, którzy żywili się surową kukurydzą jak konie, i zmierzali w stronę północną. Za ich radą puściłem się w górę rzeki Missouri i w kraju Pottawamies spotkałem Mormonów. Niezliczone ścieżki wiły się wszędzie, z daleka widac było dymy wznoszące się z mnóstwa ognisk i rozpięte białe namioty. Kilka tysięcy sztuk bydła zostawało pod dozorem chłopaków. Tak trzymając się tych wędrowców, mogłem bezpieczniej rozpoznać dzikie przestrzenie kraju, co dzień dościgałem i wymijałem ich oddziały, snujące się jedne za drugimi. Wszędzie doznałem od nich gościnnego, chociaż bardzo oszczędnego przyjęcia. Oryginalny sposób życia tych ludzi, niezmiernie mię zajmował.

W tym czasie wybuchła wojna Stanów Zjednoczonych z Meksykiem, a prezydent zażądał od Mormonów, aby uformowali batalion ochotników. Nie w porę przyszło to wezwanie; młodzież rozbiegła się była na wszystkie strony, za zarobkiem, za pracą i rozpoznaniem kraju. Musiano więc zebrać ten oddział z liczby żonatych i mających dzieci. Oprócz tego nie mieli za co być wdzięczni centralnemu rządowi, bo nie ochronił ich od tak ciężkiego prześladowania. Jednakże uczucie patryotyczne wzięło górę. W trzech dniach, zebrano, urządzono i wyprawiono do Kalifornii, oddział 125 ochotników. Byłem świadkiem ich odejścia, które poprzedziła zabawa

pożegnalna. Znajdowałem się na tem zebraniu. Ubiory kobiet i mężczyzn były skromne, ubogie nawet, ale czyste i przyzwoite. Zabawa ożywiona tańcami i muzyką, zakończyła się śpiewem biblijnym i przemową jednego ze starszych.

Mormonowie w wędrówce swojej utrzymywali wielki porządek, zgodę i wzajemną pomoc. Co dziesięć wozów był jeden dowódzca; pięćdziesięciu takich podlegało starszemu, a ci znowu najwyższej radzie kościoła. Ta karność ochroniła ich od napaści Indyan. Od czasu do czasu zatrzymywali się i zakładali obóz. W jedném miejscu między Nebraska a Missouri obozowali przez dwa miesiące. Cały ten przeciąg czasu byłem razem z niemi. Rzemieślnicy zajmowali się pracą, kobiety przędły, tkaczy robili wełniane materye, naczelnicy czuwali nad bezpieczeństwem publicznem i zaopatrywali obóz żywnością.

Możecie sobie wyobrazić, że miałem sposobność wypytać się o proroku, którego wspomnienie utrzymuje ich ducha i dodaje wytrwania, a te opowiadania mogłem połączyć ze świadectwami piśmiennemi ich historyków. Z takich to żywiołów zebrałem zarys ich historii.

Wstęp niniejszy okazuje, że nie mam żadnego uprzedzenia przeciw społeczeństwu, które spotkałem w ciężkich próbach prześladowania i tułactwa. Lecz mimo tego, z równą bezstronnością wykażę dziwactwa i sprzeczności, z powodu których liczyć ich trzeba między fantastycznych sektarzy Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Za naszych czasów powieść wciska się wszędzie i nie ma przedmiotu któregoby w ramę powieści nie podciągnięto. Mamy powieści historyczne, botaniczne, geologiczne, astronomiczne, zoologiczne; lecz żeby powieść stała się fundamentem nowej sekty religijnej, dziś już tak licznej i możnej, mamy dopiero przykład na Mormonach. Dla ludzi bezstronnie zapatrujących się na tych sekta-ry, jest to fakt nie zaprzeczony.

W roku 1809 niejaki Salomon Spaulding, niegdys duchowny jakiegoś wyznania protestanckiego (a tyle ich jest w Ameryce), wdał się w interes handlowy w Stanie Nowego Jorku, w miejscu zwanem *Charry Vale* i na nich bardzo źle wyszedł. Był to literat. Po stratach handlowych znowu powrócił do literackiego zawodu. Uwagę jego zajęła kwestya właśnie wówczas roztrząsana, czy Indyanie Ameryki, pochodzą rzeczywiście od dziesięciu rozproszonych pokoleń Izraela?

Sądził, że ten przedmiot dostarczy mu treści do romansu historycznego; pracował nad tem dziełem trzy lata i dał mu tytuł: *Znaleziony rękopism*. Mormon i syn jego Moroni, którzy tak wielkimi są postaciami w *Księdze Mormona przez Józefa Smitha ułożonej*, są głównemi osobami w dziele Salomona Spauldinga. W roku 1812 dał swoją powieść drukarzowi zwanemu Patterson, zamieszkałemu w Pittsburgu w Pensylwanii, lecz gdy autor umarł przed zawarciem układu, pan Patterson już nie dobijał targu o to dzieło, a sam umarł w roku 1826. Dał on ten rękopism niejakiemu Sidnej Rigdon, zecerowi

w swojej drukarni, a zarazem kaznodziei jednej z sekt protestanckich. Ten Rigdon został po Józefie Smith, naczelnikiem Mormonów. Niewiadomo jakim sposobem porozumieli się obydwaj i któremu z nich przyszło na myśl, aby z romansu Spauldinga, zrobić biblią Mormońską. Żona, spółnik handlowy, wielu przyjaciół i brat Salomona, zapewniają, że między głównymi częściami księgi Mormona, a romansem Spauldinga pod napisem: *Rękopism znaleziony*, zupełna zgodność panuje. Spaulding, brat nieboszczyka, zeznał pod przysięgą, że autor czytał mu tę powieść, i że był to romans historyczny o pierwotnych mieszkańcach Ameryki, w którym chciał być wykazać, że Dzicy, zwani Czerwonemi Skórami, pochodzą od dziesięciu rozproszonych pokoleń Izraela. Zaprzysiął także, iż dzieło to obejmowało szczegółowe opowiadanie o ich wędrówce lądem i morzem, od Jerozolimy aż do Ameryki, pod naczelnictwem Nefiego i Lehiego, i że w niem była także mowa o Lamanitach. Przydaje, że przeczytawszy księgę Mormona, niezmiernie się zdziwił, znalazłszy tenże sam przedmiot, też same prawie nazwiska, co w romansie swego brata, dodano tylko rozprawiania i materye religijne.

Wdowa po Salomonie Spaulding, zaślubiona powtórnie za Dawisonem, ogłosiła w maju roku 1839 w jednym z dzienników Bostońskich długi list, z którego wypisujemy dwa ostatnie peryody:

„Z New-Salem, pisze ona, przenieśliśmy się do Pittsburg w Pensylwanii i tam pan Spaulding spotkał się

z dawnym znajomym i przyjacielem, panem Patterson, wydawcą dziennika. Pokazał mu swój rękopism, a Patterson tak się nim zajął, że go chciał w całości przeczytać. Pożyczył go i zatrzymał przez czas niejaki. Powiedział mężowi memu, że jeżeli dorobi tytuł i przedmowę, to on wyda tę powieść, i że to będzie dobra spekulacya. Lecz nie zgodzili się o warunki. Sidnej Rigdon, który potem grał tak wielką rolę w historyi Mormonów, był wówczas w stosunkach z drukarzem pana Pattersona, i co jest powszechnie wiadomo w tamtej okolicy, Rigdon dostał do ręki manuskrypt pana Spaulding i przepisał go. Wiedzą o tem wszyscy którzy mieli stosunki z owym drukarzem. Nareszcie, autor odebrał swój oryginalny rękopism, przeniesliśmy się do Amity w hrabstwie Waszyngtonu, a tam p. Spaulding umarł w roku 1816. Rękopism pozostał w mojem posiadaniu. Pokazywałam go więc mojej córce, przy której mieszkam i innym przyjaciołom.

„Po wydaniu xiegi Mormona, przysłano jeden jej exemplarz do New-Salem, dawnego miejsca pobytu pana Spaulding. Kobieta jakaś zwołała zgromadzenie i czytała obszerne wyjątki z tej sławnej xiegi. Wielu mieszkańców uznało natychmiast, że część historyczna wyjęta jest z powieści pana Spaulding, którą im czytywał przed wielu laty. Brat nieboszczyka, pan Jan Spaulding, obecny był na tem zgromadzeniu, poznał także pracę swego brata, zadziwił się i zmartwił, że jej użyto na cel tak przewrotny. Ze łzami wyraził obecnym, oburzenie

i boleść swoją. Wypadek ten zrządził tak wielkie wrażenie, iż mieszkańcy wysłali do mnie, doktora Filasta Hurlbut, z prośbą żebym pokazała im oryginalny rękopism pana Spaulding, dla porównania go z biblią Mormonów i wykrycia oszustwa. Było to w r. 1834. Wypadek ten byłby niezmiernie zmartwił mego pierwszego męża. Tak więc, romans historyczny, do którego przydano niektóre uwagi religijne i wyciągi z Pisma Świętego, zamieniony został w nową biblią i rzucony pomiędzy biednych zapaleńców. Rozszerzyłam się nad temi szczegółami, ażeby można było trafić do źródła takiej przewrotności, aby na jej sprawców spadła zasłużona pogarda i potępienie.”

Matylda Dawison.

Ma się rozumieć, że Sidnej Rigdon odpowiedział na te zarzuty. Zaprzeczył twierdzeniom byłej pani Spaulding, rzekł, że ona jest narzędziem Filasta Hurlbuta, który sam należał początkowo do Mormonów, lecz został z ich zgromadzenia wypędzony za niemoralne mowy. Filastus utrzymywał na odwrót, że sam porzucił Mormonów, przekonawszy się o niedorzeczności ich wyznania.

Teraz z kolei wypada nam opowiedzieć to, co główni założyciele tej sekty, a mianowicie Józef Smith, piszą o jej początku.

Pierwsze wystąpienie Proroka.

Józef Smith młodszy, mówi jeden z wyznawców Mormonizmu, urodził się w mieście Shavon w hrabstwie Windsor w Stanie Vermont 23 Grudnia r. 1805. Miał

lat dziesięć, gdy jego rodzice przenieśli się do Palmiry w Stanie Nowego Yorku. Przez lat jedenaście mieszkał w tej okolicy, a potem w Manszester. Ojciec jego był rolnikiem, właścicielem pomiernego folwarczku. Smith nie miał sposobności do nabycia oświaty. Czytał dosyć dobrze, lecz pisał lichy i ledwie znał pierwsze cztery działania arytmetyki. Na tem ograniczała się cała jego nauka, nabyta w jednej z tak licznych i tak *doskonałych* szkół elementarnych w Stanach Zjednoczonych. Później, Józef Smith przypisywał swoją wyższość umysłową jakiemś wewnętrznemu natchnieniu. Utrzymywał, że już od piętnastego roku życia rozmyślał nad tem, że musi przygotować się do przyszłego bytu, lecz gdzie i jakim sposobem? Pewnego dnia ukrywszy się w lasku, nie daleko od ojcowskiego domu, ukląkł i wzywał pomocy Pana. Z razu mocno kusiły go duchy ciemności, lecz walczył z niemi, dopóki nie ustąpiły, a wtedy mógł się modlić z całym zapalem wiary.

Gdy tak wywnętrzał duszę swoją i z utęsknieniem oczekiwał odpowiedzi z nieba, ujrzał nad sobą silne i wspaniałe światło, z początku znacznie oddalone. Stopniowo, światło zbliżyło się ku niemu i w miarę zbliżenia powiększała się jego moc i wielkość. Rozumiał, że liście i drzewa spłoną od tej światłości, lecz powoli uspokoiwszy się o drzewa i o siebie, powziął nadzieję, że zniesie obecność tej niebieskiej światłości, która nareście zstąpiła na ziemię i otoczyła go ze wszystkiem. W tejże chwili dwie nadprzyrodzone istoty, mające też same ry-

sy i też same twarze, uwiadomiły go, że mu odpuszczono jego grzechy, oświadczyły, że żadna z teraźniejszych sekt religijnych nie zna prawdziwej nauki wiary, i dla tego też Bóg nie uznaje żadnej za kościół i królestwo swoje. Przyrzeczono mu nareście, że ta prawdziwa nauka, to uzupełnienie Ewangelii będzie mu kiedyś objawiona. Wówczas oddaliło się widzenie, on zaś pozostał w niewysłowionym stanie spokoju.

Józef Smith, jako młody człowiek, znowu dał się uwieść próżnościom świata, lecz po tem szczerze ich żałował i tak się wyraża:

„Podobało się Bogu dnia 21 Września 1823 roku raz jeszcze wysłuchać modlitwę Józefa Smitha. Zdawało mu się, że dom pełen jest gorejącego ognia. Zmieszało go to nagle zjawisko, lecz wkrótce po niem nastąpiła zupełna spokojność duszy i zachwycenie radości, wyższe nad wszelkie pojęcie. W tej chwili stanęła przed nim osoba, otoczona aureolą jeszcze jaśniejszą od światła, bo zarazem była w niej taka łagodność, niewinność i powaga, że wszelka bojaźń ustąpiła z serca Smitha.

„Owa postać nadprzyrodzona była nieco wyższa od średniego wzrostu ludzkiego, ubior ciała doskonałej białości i bez zszywania. Oświadczyła Józefowi Smith, że jest Aniołem Pańskim, wysłanym do niego z oznajmieniem, że mu odpuszczono grzechy i wysłuchano modłów. Przyносиła mu najpomysłniejsze wiadomości. Obietnica Boga, dana dawnemu Izraelowi, dotycząca się jego potomstwa,

ma się wypełnić; że zacznie się przygotowawcze dzieło przyjścia drugiego Messyasza, że czas już jest blizki, w którym Ewangelia opowiadana będzie wszystkim narodom, a wiara i prawość serca daną będzie jednemu ludowi, aby przygotował panowanie Chrystusa, przez tysiąc lat radości i pokoju, przepowiedzianych światu. Anioł powiedział także Józefowi Smithowi, że go Bóg wybrał za narzędzie swoich cudownych zamiarów. Objawił mu, że dzicy Ameryki są szczątkami rodu Izraela. Gdy przybyli do tego kraju, posiadali wiadomość prawdziwą o Bogu, cieszyli się jego łaską i błogosławieństwem. Mieli proroków i historyków, którzy spisywali najważniejsze wypadki. Roczniki te przechodziły z rąk do rąk przez wiele pokoleń, aż nareszcie lud cały popadłszy w ostateczne zepsucie, został w znacznej części wytępionym. Lecz jego Roczniki złożone w bezpieczne miejsce, zawierają w sobie wiele objawień, dotyczących się Ewangelii i Królestwa Bożego i prorocत्व o następnych czasach. Bóg chce wyprowadzić na jaw te Roczniki. Jeżeli Józef Smith będzie wiernym, stanie się szczęśliwym narzędziem tego odkrycia. Po tych słowach i jeszcze niektórych innych przestrobach, anioł znikł, lecz to samo zjawisko powtórzyło się jeszcze dwa razy, aż do rana. Nazajutrz gdy Józef Smith udał się do zwyczajnej pracy, anioł mu się objawił i wskazał aby natychmiast poszedł zobaczyć ten skarb, którego miejsce wskazane mu zostało w poprzedzających widzeniach."

Posłuchajmy teraz Oliwiera Cowdery, drugiego apo-

stoła i ważnego działacza w pierwszych latach Mormo-
nizmu.

„Jadąc pocztowym traktem do Palmiry z hrabstwa Mayne do Canandingua, w hrabstwie Ontorio, w Stanie Nowego Yorku, nie dojeżdżając do wsi Manszester, o trzy lub cztery mile od Palmiry, przejeżdżasz koło wysokiego wzgórza, leżącego po wschodniej stronie drogi. Tam były zakopane *Roczniki Tajemnicze*, na zachodniej pochyłości wzgórza. Kilkadziesiąt drzew ocieniało to miejsce. Jak głęboko zakopano je tego nie mogę oznaczyć, lecz wnosząc, że przez 1,400 lat leżały na stoku tak spadzistego wzgórza, wnosić należy, iż dosyć głęboko je zakopano, bo osuwająca się ziemia dotąd ich nie odkryła. Drzewa rosnące na wzgórzu, utrzymywały ziemię korzeniami swemi.

„J. Smith przybywszy na to miejsce, wykopał dół. W głębi tego dołu leżał kamień z wygładzoną powierzchnią, boki i rogi tego kamienia obrzucone były grubą warstwą cementu, który także spajał cztery kamienie tworzące skrzynkę, a jej rogi były również obrzucone cementem, dla zabezpieczenia od wilgoci. Skrzynka była tak obszerna, iż się w niej mieścił kirys używany przez starożytnych. W głębi kirysu były trzy filarki także z cementu, a na tych filarkach leżały *Roczniki*, wszystko pokryte było szóstym kamieniem, którego ściana wewnętrzna była gładka i płaska jak innych, zewnętrzna zaś była wypukła i chropowata.

Józef Smith łatwo odgarnął ziemię i za pomocą drążka
Mormonowie.

odkrył owe *Roczniki*. Gdy się wpatrywał z cudownem zadziwieniem w ten skarb święty, znowu zjawił się anioł, otworzyły mu się oczy, zobaczył chwałę Bożą, i anioła ciemności otoczonego licznym orszakiem złych duchów.

„Teraz pokazano ci wszystko — złe i dobre, święte i bezbożne, chwałę Boga i moc szatana, abys znając te dwie potęgi, nie dał się złej przewyciężyć. Dziś nie możesz jeszcze dostać tych *Roczników*, bo tylko przez modlitwę i wierne posłuszeństwo Bogu otrzymać je zdołasz.”

Przez następne cztery lata Józef Smith odbierał liczne instrukcye z ust posłańca niebieskiego, nareszcie 22 Września 1827 r. rano, Anioł Boży oddał *Roczniki* w jego ręce.

Roczniki te wyryte były na blachach, podobnych do kruszczu złotego. Każda blacha miała siedem do ośmiu cali długości i szerokości, a grubość taką jak zwyczajne blachy cynowe. Zapisane po obu stronach charakterami egipskimi, tworzyły tom i związane były trzema pierścieniami. Cały tom gruby na sześć cali, w części był opieczętowany. Charaktery drobne i bardzo dobrze ryte, oznaczały wielką starożytność. Do tych *Roczników* przyłączone było ciekawe narzędzie, w dawnych wiekach zwane *Urim i Thumim*. Składało się z dwóch kamieni przejrzystych jak kryształ, przymocowanych do dwóch końców łuku. To narzędzie służyło niegdyś czarnoksiężnikom do czytania w najdalszej przeszłości i przyszłości.

Józef Smith zaczął natychmiast tłómaczyć roczniki skutkiem daru i potęgi Boga, za pomocą narzędzia Urim i Thumim. Nie umiejąc dobrze pisać, przyjął sekretarza, któryby spisywał tłómaczenie w miarę jak z jego ust wychodziło.

Ten to właśnie Oliwier Cowdery, z którego dzieła wypisaliśmy to opowiadanie, był sekretarzem u Józefa Smitha. Przekład posuwał się o tyle, ile starczyła na to osobista zamożność nowego proroka i zatrzymał się na opieczętowanej części Roczników. Część wytłómaczona, ma tytuł: *Księgi Mormona* i tyle prawie przedmiotów zawiera, co Stary Testament.

„Po wytłómaczeniu księgi, mówi Oliwier, Pan przywołał świadków którzyby jej wiarogodność narodom poświadczyli. Świadectwo ich brzmi jak następuje:

„Niechaj będzie wiadomo wszystkim narodom, wszystkim językom i wszystkim ludom, do których dojdzie księga Mormona, że za łaską Boga i naszego Pana Jezusa Chrystusa, widzieliśmy blachy złote, obejmujące w sobie te roczniki, które są Rocznikami ludu Nephi, Lamanitów ich braci i ludu Jared, przybyłych z wieży o której już było powiedziano. Potwierdzamy, że te Roczniki zostały przełożone przez łaskę i potęgę Boga, bo tak nam głos jego oświadczył. Wiemy z wszelką pewnością, że dzieło jest prawdziwe, bo widzieliśmy charakter wyryte na blachach, które nam pokazano przez władzę Boga, nie zaś ludzi. Oświadczamy, przy zupełnym rozumie, że Anioł Boży zstąpiwszy z nieba, przyniósł nam i po-

łożył przed oczyma naszymi xięgę, abyśmy patrzyli i widzieli blachy złote i charaktery na nich wyrte i t. d. i t. d.”

Ten osobliwy dokument, mający tytuł *Świadectwo trzech świadków*, podpisał Oliwier Cowdery, Dawid Whitmer i Marcin Harris. Wkrótce potem nastąpiło drugie *Świadectwo ósmiu świadków*, mające tę zaletę że jest krótsze, brzmi jak następuje:

„Niechaj dojdzie do wiadomości wszystkich narodów, rodzin, języków i ludów, którzy to dzieło czytać będą, że Józef Smith młodszy, tłumacz tego dzieła, pokazał nam blachy powyżej wspomniane, podobne do złotych. Dotknęliśmy się rękoma tylu kart, ile ich tenże Smith przetłumaczył i widzieliśmy na własne oczy wyrte charaktery, mające wszelkie cechy roboty starożytnej i ciekawej. I dla tego to poświadczamy przy zupełnym rozumie, iż pewni jesteśmy, że tenże Smith ma w posiadaniu swoim owe blachy, o których jużśmy powiedzieli i na domiar że nie kłamiemy, podpisujemy nasze nazwiska. Bóg jest świadkiem naszym. Podpisano: Jan Withmer, Chrystyan Withmer, Jakób Withmer, Piotr Withmer młodszy, Hiram Page, Józef Smith starszy, Hiram Smith, Samuel H. Smith.”

Takie jest opowiadanie jednego z Mormonów, wyjęte z dokumentów, ogłoszonych w różnych epokach przez ich proroka. Postrzegamy, że świadkowie owej prawdy należą do dwóch rodzin Smithów i Withmerów. Jeden

Smith był ojcem, a drudzy braćmi Józefa. Nie wiemy co za jedni byli Withmerowie.

W historyi tak dziwacznej, najciekawszem jest opowiadanie głównego działacza. Smith Józef w swojej autobiografii ogłoszonej w *Millenial Star*, (w Gwiazdzie tysiącznej) opowiada objawienia swoje, prawie w tych samych słowach i treści, jakieśmy napisali powyżej, dodaje tylko, że widząc takie mnóstwo sekt sprzecznych i nieprzyjaznych, zaczął prosić Boga, aby go oświecił podług słów w piśmie świętego Jakóba, w rozdziale pierwszym, paragrafie 5-tym. „Jeżeli komu brak wiadomości, powinien o nią prosić Boga który jej hojnie udzieli, a nie wymawia jej nikomu, a będzie mu dana.” Wtenczas objawił mu się Bóg Ojciec i Bóg Syn i rzekł do niego: „Wszystkie sekty są mi obmierzłe. Wszyscy ich nauczyciele są zepsuci, zbliżają się do mnie usty, lecz ich serca dalekie są odemnie.” Gdy o widzeniu swoim wspomniął członkom rozmaitych wyznań, wszyscy okrzyknęli go za oszusta, za waryata i spiknęli się przeciw niemu.

Nie wdając się w roztrząsanie, czy Józef Smith był spekulantem, czy też lunatykiem, oszustem rozważnym, czy entuzyastą z słabym umysłem, któremu się marzyło o nadprzyrodzonych widzeniach, przejdźmy do innego wypadku. Smith zobaczywszy Boga Ojca i Boga Syna zaszczycony został wkrótce potem odwiedzinami Jana Chrzyciciela, który oznajmił, że mu nadaje kapłaństwo Aaronowe. Ochrzcił więc najprzód Oliwiera Cowdery, który ochrzcił go nawzajem, a potem założył ręce na gło-

wie jego i nadał mu kapłaństwo Aarona, które on mu nawzajem nadał. Święty Jan Chrzciciel oświadczył, że Smith jest pierwszym starszym a Cowdery drugim. Działo się to 29 Maja 1829 r.

Widzimy zatem, że plan zaczyna dojrzewać i rozszerzać się. W tem miejscu, zanim skreślimy historią wzrostu i rozmaitych kolei tej sekty, niech nam wolno będzie własne dołączyć uwagi.

Wiemy, że zasada wolnego roztrząsania i nie uznawania stanowczej powagi i władzy w religii, stała się powodem, że z protestantyzmu wylęgło się mnóstwo sekt i jeszcze tworzą się nowe. W krajach Europejskich, gdzie rządy dążą do utrzymania jedności i porządku, takie sekty nie mogą się mnożyć i wzrastać, bo marzeniom sektarzy rychło władza tamę położy. Tak się stało z sektą Czerskiego w Prusach. Lecz w Ameryce, gdzie społeczność, ma jeszcze niezmiernie przestrzenie kraju do zaludnienia i uprawy, gdzie każdy nie zadowolony z losu i położenia swego w dawnych Stanach, dąży ku Zachodowi i tam nowe osady, nowe okręgi, nowe Stany zakłada, jak to uczynili Mormonowie, nie przeszkadza tworzeniu co raz to nowych sekt, odnóg i ramifikacyi protestantyzmu. W dziełach rozmaitych o Ameryce Północnej, czytamy obrazy fanatyzmu i dziwactwa tych sektarzy, aż do śmieszności posunięte. Z rozdwojenia religijnego, zradza się rozdwojenie cywilne a z czasem polityczne. Każda familia lub kilkanaście familii różniących się wyznaniem, już mniej chętnem, mniej życzliwem

okiem, spogląda nainnych wyznawców. Potem się z tego wyradzają spory i nienawiści. A że społeczność ludzka ma wrodzone uczucie, że jedność i siła jest podstawą jej bytu, przeto myśl jednocząca wspólnem węzłem rozproszone indywidua, łatwe znajdzie przyjęcie. Taka myśl przewodniczyła założeniu sekty Mormonów, którzy obok niedorzeczności bijącej w oczy, owego mniemanego objawienia niedorzeczności, która w dalszym rozwoju tego zarysu jeszcze bardziej się wyjaśni, umieli zaprowadzić dobrą organizacyą, dążenie do jednego celu i wzajemną pomoc w niedoli. Te to właśnie zalety cywilne, zrządziły, że massa pojedynczych indywiduów w Ameryce północnej, nie wiedząca do której mnóstwa sekt protestanckich ma przystać, przyłączyła się do Mormonizmu. I dla tego to właśnie, ci sektarze wycierpieli ciężkie prześladowanie i cofać się musieli w dalekie pustynie, na pół drogi między Kalifornią a Stanami Zjednoczonymi, bo razem złączeni, silniejsi byli od każdej sekty pojedynczo wziętej a gnieźdząc się wśród Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, śmiało głosili, że wszystko podciągną pod swoje prawo i panowanie.

Gdy Józef Smith opowiedział rozmaitym osobom swoją nową religią, zaczęto mówić o cudownych blachach złotych. Pomiedzy najpierwszemi zwolennikami nowej sekty, był Marcin Harris, jeden z trzech pierwszych świadków. Był to właściciel folwarku, dosyć majętny, lecz łatwowierny. Zdurzony objawieniem Smitha, pożyczł mu pięćdziesiąt dolarów na druk tej nowo wynale-

zionej biblii, lecz gdy chciał zobaczyć blachy złote, odmówiono mu, pod pozorem, że nie ma dość czystego serca. Józef Smith przepisał część textu świętego i dał mu ją, aby poradził się uczonych światowych, jeżeli wątpi jeszcze. Harris udał się z tem pismem do profesora Anthona, znanego w Ameryce i Europie, z uczonych i poprawnych wydań autorów klassycznych. Jeszcze wtedy Mormonowie niczyjej nie zwracali uwagi. Pan Anthon wezwany w kilka lat później, aby oświadczył, czy to była prawda, jak głoszą sektarze Smitha, że uznał to pismo jako egipskie—odpowiedział stanowczo listem z Nowego Yorku pod dniem 17 Lutego 1834 r.

„W tym liście oświadczam, że twierdzenie, jakoby uznawał iż napisy mormońskie są hieroglifami egipskimi, jest zupełnie fałszywe.

„Odpowiadam następnie, iż przed kilkoma laty, wieśniak, wyglądający na prostego człowieka, przyszedł do mnie z listem doktora Mitchel, w którym tenże uprasza, abym wyczytał, jeżeli można, pismo, które mi ten wieśniak okaże. Obejrzawszy to pismo przekonałem się, że człowiek ten był przedmiotem żartu albo ważniejszej mistyfikacyi. Usłyszałem z ust jego historią o xiędze z blach złotych złożonej, które jeden tylko młody człowiek tłomaczyć umie, a to za pomocą jakiegoś szkła, przez które nie tylko zdoła text wyczytać ale i znaczenie jego zrozumieć.

„Ten młody człowiek siedzi sam za firanką i patrząc przez szkło na tę xieęgę, daje odpisy osobom znajdującym się po drugiej stronie franki. Wszystko to robi za pomo-

cą wielkiej pary okularów. Przydał, iż go proszono aby dostarczył pieniędzy na wydrukowanie *księgi złotej*, której text ma zrządzić zupełną zmianę w świecie i oddalić jego upadek. Tak mocno na niego naglono, iż myślał sprzedać swój folwark, a pieniądze poświęcić na druk o-wych *ksiąg tajemniczych*. Lecz umyślił poradzić się w Nowym Yorku uczonego i pokazać mu papier, jako odpis textu owej *księgi*, a który jeszcze nie był przetłomaczony. Radziłem temu wieśniakowi, aby miał się na ostrożności bo go chcą obedrzeć i oszukać. Prosił, abym to na piśmie wyraził, a gdy nie uczyniłem zadosyć jego żądaniu, odszedł i zabrał z sobą ów odpis. Odpis ten składa się z jednego arkusza pokrytego dziwaczne-mi charakterami, ustawionemi w kolumny i ułożonemi przez osobę, która miała przed oczyma *książkę z alfabetami różnemi*, a między temi greckim i hebrajskim. Liter-y rzymskie poprzekręcane, stały w kolumnach prostopadłych. Wszystko to zakończyło się grubym rysunkiem koła, zapełnionego dziwaczne-mi znakami. Lecz nie było tam żadnego podobieństwa do hieroglifów egipskich. Wkrótce potem, tenże sam wieśniak przyniósł mi drukowaną *Xięgę Złotą*. Nie chciałem jej przyjąć. Na zapytanie moje, co się zrobiło z blachami złotemi, odpowiedział, że są zamknięte w skrzynce razem z okularami. Radziłem mu aby wezwał władzę miejscową i kazał o-tworzyć tę skrzynkę. „Gdybym to zrobił, przekleństwo Boga spadłoby na mnie.” Gdybym nalegał na niego, przy-dał, iż sam otworzy tę skrzynkę, jeżeli ja przyjmę na sie-

bie przekleństwo Boga. „Jak najchętniej, odpowiedziałem, narażę się na to niebezpieczeństwo, bylebym wyrwał cię z rąk oszustów.” Wówczas odszedł i więcej się nie pokazał. Oto jest dokładne wyłuszczenie tego co wiem o początku Mormonizmu, i proszę o ogłoszenie mego listu, jeżeliby ci nędzni fanatycy, znowu powoływali się na moje nazwisko. Łączę pozdrowienie moje.

Karol Anthon.

Zakres niniejszego artykułu, nie pozwala nam przytaczać mnóstwa zeznań uczynionych przeciw Mormonom w ogólności, a przeciw prorokom w szczególności. Ograniczymy się na faktach.

Parlej Pratt, jeden z dwunastu apostołów Mormońskich, tak pisze: Xiega Mormona, obejmuje historią starożytnych mieszkańców Ameryki, którzy byli odnogą domu Izraela z pokolenia Józefa, a których szczątkiem są dzisiejsi dzicy Indyanie. Główna część narodu wyginęła w bitwie stoczonej w czwartym lub piątym wieku po Chrystusie. Jeden z ich proroków, zwany Mormon, spisał treść ich historyi i wyrył je na blachach metalowych. Potem sam był zabity, a Roczniki dostały się jego synowi zwanemu Moroni, który ścigany przez nieprzyjaciół, otrzymał rozkaz od Boga żeby je zakopał, a zarazem i przyrzeczenie, że będą zachowane i że w ostatnich dniach, wydobędzie je na światło naród przeznaczony do panowania nad światem. Xiegi te zakopane około roku 420, na wzgórzuzwanym Cumora w hrabstwie Ontario; dotrwały nieuszkodzone aż do dnia,

w którym wyszły na widok za pośrednictwem aniołów, a wytłómaczone zostały dziełem natchnienia.

Porównajmy te słowa z historią romansu Spauldinga, a odgadniemy jakim sposobem Józef Smith, człowiek zręczny i przebiegły, lecz bardzo mało oświecony, mógł napisać księgę Mormona.

Zdaje się, że Smith i Sidnej Rigdon, obydwaj razem pracowali nad tém dziełem. Połączenie części religijnej, wyciągniętej z Starego i Nowego Testamentu, w szczepione w romans Spauldinga, dowodzi niewiomości pracowników. Pełno tam jest błędów gramatycznych i anachronizmów. Lecz Mormonowie nie zważają na to, a przeciw zarzutom z tego powodu czynionym, odpowiadają, że gdy Józef Smith był naczyniem łaski Bożej, mało to znaczy w oczach Boga, czy on źle czy dobrze umiał pisać po angielsku.

Na wszelkie zarzuty odpowiadał Józef Smith z niesłychaną zarozumiałością i niczem niezachwianą powagą. Jego przyjaciele i nieprzyjaciele zapytywali go się wielokrotnie, o znaczenie wyrazu *Mormon*, następująca odpowiedź dana w kształcie listu do wydawcy dziennika mormońskiego *Czas i Pory*, może dać wyobrażenie, jakim sposobem zbija zarzuty i rozwiązuje wątpliwości.

„Panie! za pośrednictwem twojego dziennika, pragnę sprostować błąd wspólny ludziom, którzy mają się za światłych liberalnych i mądrych. Tém chętniej to uczynię, że osoby z prostym rozsądkiem i zdrowo rozumujące, wolą słuchać głosu prawdy, niżeli dozwoilić aby ich

obłąkały próżne pretensye mędrkowania. Błędem, o którym wspominam, jest definicya wyrazu *Mormon*. Utrzymywano, że pochodzi od wyrazu greckiego *Mormo*. Tak nie jest. Nie było ani greczyzny, ani łaciny na blachach kruszcowych, z których za łaską bożą, przetłumaczyłem *xięgę Mormona*. Niechaj ta xięga sama o sobie mówi. Na stronnicy 523, trzeciego wydania, czytamy: „Otóż napisaliśmy roczniki, podług naszej znajomości pisma, zwanego u nas reformowaniem egipskiem, które nam przekazane zostały, chociaż uszkodzone naszym sposobem wymawiania; gdyby nasze blachy miały dostateczną wielkość, byłibyśmy napisali po hebrajsku. Tym zaś, którzy zechcą upatrywać niedokładności w naszych rocznikach, powiadamy: Pan zna to cośmy napisali i wie także, iż żaden lud nie umie naszego języka. Przygotował zatem w mądrości swojej sposoby tłumaczenia.”

(Zapewne narzędzie zwane Urim i Thumim).

„Otóż więc, mówi dalej Józef Smith, kwestya jest rozstrzygnięta. Żaden lud nie zna języka naszego, a więc Pan, nie zaś człowiek wytłumaczy go wtenczas kiedy cały lud wymrze. A jak mówi Paweł święty: mądrość światowa nie zna Boga. Świat, który spekuluje ogołoczony jest z objawień; otóż, ponieważ Bóg w wysokiej mądrości swojej zawsze wlewał w świętych swoich, ilekroć zjawiali się na ziemi, tegoż samego ducha, a duch ten (jak mówi Jan święty) jest prawdziwym duchem prorocstwa, który jest świadectwem Jezusa, mogę z pewnością powiedzieć, że wyraz *Mormon*, jest wyższy od wiadomo-

ści i mądrości tego pokolenia. Jednakże wprzódby zanim dam definicyą tego wyrazu, powiem, że Biblia w najobszerniejszej definicyi znaczy *dobry*, bo Jezus rzekł, podług Ewangelii św. Jana: „Jestem dobrym pasterzem.” I nie odstępimy od zwyczajnego użycia wyrazu, mówiąc, że *dobry* jest jednym z najbardziej używanych u nas ważniejszych znaczeń, a chociaż znany jest pod różnemi nazwiskami w rozmaitych językach, znaczenie jego zawsze toż samo i przeciwne złemu. Mówimy po saxońsku *good*, po duńsku *god*, po gocku *goda*, po niemiecku *gut*, po holendersku *gaed*, po łacinie *bonus*, po grecku, *kalos* po hebrajsku *tab*, po egipsku *mon*. Przydając do tego *more* ¹⁾ czyli przez skrócenie *mor*, będzie Mormon co literalnie znaczy lepszy.

Józef Smith.

Co za mięszanina w tym texcie! ile pretensjonalności i gadaniny dla wytłumaczenia jednego wyrazu. I to jeszcze jakim sposobem go wytłumaczył? Do wyrazu *egipskiego* przydał przysłówkę *angielski*. Ale takimi to czczeni a nadętymi wyrazami, szarlatani ludzą pospółstwo i chwytają go w sidła swoje, nie tylko w kwestyach religijnych, ale i we wszelkich innych.

Zbieg od nowej wiary, niebezpieczniejszy od Filasta Hurlbuta, był niezaprzeczenie generał Bennet, autor pisma pod nazwą *Historja Świętych, wyjaśnienie czem jest Józef Smith i Mormonizm*.

¹⁾ Przysłówkę angielski znaczy więcej.

Bennet wysokie zajmując stanowisko w oczach Mormonów, jako generał milicyi Stanu Illinois, obrany został merem Nauvoo i kanclerzem uniwersytetu tegoż miasta. 19-go Stycznia 1841 r. Józef Smith otrzymał szczególne o nim objawienie w tych słowach: „Niech mój sługa Jan Bennet pomaga tobie w twoim dziele, czytając moje słowa królom i ludom ziemi. Niech będzie przy boku twoim, sługo mój Józefie Smithcie, w godzinach zmartwienia, a nie minie go nadgroda, jeżeli usłucha tej rady.” Generał Bennet utrzymuje, że nigdy nie wierzył w Mormonizm, i że pod maską braterstwa, chciał przeniknąć ich tajemnice, jakoż później stał się ich najzawziętszym prześladowcą. Podług jego twierdzenia, cała familja Smithów, odznaczała się próżniactwem, pijaństwem i kłamstwami. Głównym jej celem było, zwodzić ludzi prostodusznych i wyłudzać od nich pieniądze. Historia o Urnim i Thumim, podług pana Bennet, jest nieco odmienna i dosyć śmieszna. Powziął ją z zeznania Williama Chase, złożonego 11-go Grudnia 1833 r. W r. 1821 pan Chase użył Alvoina i Józefa Smitha do kopania studni. W ciągu tej roboty, mówi p. Chase, Smith znalazł kamień, osobliwego kształtu. Włożył go w kapelusz, a patrząc w niego, utrzymywał iż może widzieć w tém kamieniu. Pożyczył go potem od pana Chase i trzymał go przez dwa lata. Wtedy zaczęły się owe objawienia o *Rocznikach*, których powtarzać nie będziemy. Józef zaglądając w ów sławny kamień, postrzegł w nim wielkie

okulary, te same, których potem użył do tłumaczenia księgi Mormona.

Wkrótce po tem, Józef udawszy się do Harmony w Pensylwanii, poznał tam młodą osobę zwaną Emina Hale i chciał się z nią ożenić. Złudził niejakiego Lawrenca, że nad brzegiem rzeki Susquehannach, znalazł kopalnię srebra, i jeżeli z nim pojedzie, to podzieli się zyskiem. Lawrenc pojechał z nim, a przez drogę Smith żył jego kosztem. Przybywszy do Pensylwanii, Józef poprosił Lawrenca, aby go zalecił pannie Hale. Kopalni srebra nie znaleźli. Lawrenc poniósł próżno wydatki, lecz Smith dosiagnął swojego celu, podróżował bowiem cudzym kosztem i zyskał żądane polecenia. Rodzice Eminy sprzeciwiali się temu związkowi. Józef wykradł ją i zaślubił. Trzeba było powrócić do Manchester. Smith znowu wziął się na sposób i zdurzył uczciwego starego holendra nazwiskiem Stovel. Powiedział, że w Stanie Nowego Jorku, w hrabstwie Jefferson, odkrył jaskinię, a w niej sztukę złota tak grubą jak noga człowieka, a długą na dwa łokcie. Na nieszczęście nie mógł jej sam wydostać, bo jest mocno osadzona w skale. Jeżeli Józef Stovel z nim pojedzie, to opatrzeni w dłuta i młoty wydostaną sztukę złota i nią się podzielią. Holender zapłacił kosztą podróży obojga małżonków aż do Manchester. Przybywszy na miejsce, przekonał się, że owa sztuka złota jest bajką i oszustwem.

Całe dalsze opowiadanie pana Chase, jest pasmem rozmaitych baśni i wybiegów, których dopuszczał się

Józef Smith i jego rodzina, a zawsze zmierzających do wynalezienia owej księgi z blach złotych złożonej.

Mimo tych wszystkich niedorzeczności, czy też może właśnie z powodu tych niedorzeczności, pomnaża się liczba jego stronników, a rola proroka staje się poważniejszą i większą. Nauka Mormonów, odznacza się wyraźniej, wśród mieszaniny frazesów wypisywanych z Biblii i Ewangelii. Bóstwo o którym mowa, zniża się niekiedy aż do rzędu zmysłowych bożyszców pogaństwa i przyrzeka nowym świętym materyalne uciechy tego życia, które osobiście podzielać będą. Łącząc duchowość z zmysłowością, co jest głównem znamieniem ich sekty, Józef Smith i Spencer, jeden z jej głosicieli, mówią o kościele swoim, wyrażeniami wyjętymi z listu świętego Pawła do Koryntyan, nadają mu cnoty i wiarę, widzenie duchów, dar prorocstwa i języków, miłosierdzie braterskie i litość na niedolę bliźniego, leczenie przez proste położenie rąk, a obok tego Mormonowie wierzyć powinni w dosłownem znaczeniu, w powrót trzody Izraela do ich rodzinnych zagród, w podźwignienie dwunastu pokoleń którychś potomkami i dziedzicami. Syon zmartwychwstanie dla nich na ziemi amerykańskiej i połączy wszystkich pod rządem nowego Messyasza, który tym razem tysiąc lat będzie przebywał na ziemi. I dla tego to, Józef Smith jest jego poprzednikiem, tymczasowym prorokiem, organizuje hierarchią kapłańską i ustanawia dwa rodzaje kapłanów, jedne zowiąc kapłaństwem Aarona, a drugi Melchizedecha. Ten kościół

czekuje Messyasza, a jego tymczasowym naczelnikiem jest prorok, który stosownie do formuły przyjętej w Stanach Zjednoczonych, zwać się będzie Prezydentem. W koło niego zbierze się senat z dwunastu apostołów, z pewnej liczby biskupów, arcy-kapłanów, dyakonów i starszych nauczycieli.

Widzieliśmy jakim sposobem Józef Smith i Oliwier Cowdery wzajem nadali sobie godność kapłańską. W tej nowej epoce poselstwa swego, założyciel Mormonizmu ciągle przemawia duchem proroczym i przeznacza rozmaite obowiązki swym zwolennikom. Oto jest kilka wyjątków z jego własnej odezwy, wydanej w ich pierwszej siedzibie w Stanie Missouri: „Pan Bóg chce aby Mormonowie zakupili tu plac na świątynię i słuchajcie starsi, czego chce Pan: niechaj mój sługa Sidnej Gilbert będzie skarbnikiem kościoła, niech zbiera składki i zakupuje grunta; niech mój sługa Edward Portdridge wypełnia obowiązek, który mu naznaczyłem, rozdzielania pomiędzy świętych ich wspólnego dziedzictwa; niech mój sługa William Phelps osiedli się w temże miejscu i będzie drukarzem kościoła, z pomocą mego sługi Oliwiera Cowdery, który będzie pisać, redagować i poprawiać korekty, wszystkiego co ja mu dyktować będę, przez ducha który jest we mnie; nareszcie niechaj mój sługa Sidnej Gilbert otworzy magazyn i niech sprzedaje w nim za pomocą swoich komissantów, towary świętym, lecz uczciwie, to jest z pomiernym zarobkiem, aby mógł

Mormonowie. 19

z tych przychodów zakupić grunta potrzebne do założenia nowej Jerozolimy.

Takim to sposobem Józef Smith łączy na pozór, rzeczy święte i światowe, i miesza Boga do najdrobniejszych szczegółów zamierzonej osady. Wszystko to nie razi tych, którzy znają styl biblijny wszystkich amerykańskich sektarzy w ogólności, a po szczególe Szakerów, Józef Smith znać musiał ich nauki, tak dziwaczne jak Mormonów.

Oprócz księgi Mormona, Józef Smith wymyślił po części i napisał *Księgę Nauk*, obejmującą objawienia z niebios zesłane, o ziemskim rządzie ich kościoła, wspieraniu ubogich, dziesięcinie lub opłacie należącej się od członków sekty, zakładaniu miast i kościołów, rozdziale gruntów, emigracyi świętych, wychowaniu ludu; księga ta pełna jest także omyłek gramatycznych, nad którymi nie będziemy się rozwodzić. Parę wyjątków z tych objawień, wskażą nam, że tylko najprościejsi fanatycy mogą dać się złowić na tak niezgrabną wędkę.

Pierwsze objawienie zmierza do komunizmu; lecz idea ta nie mogła zakorzenieć się między Mormonami i w prędko znikła. „Słuchajcie o wy starsi mego kościoła, zgromadzeni w imie moje, słuchajcie Jezusa Chrystusa Syna Boga żywego, Zbawiciela świata. Jeżeli kościół albo ktokolwiek do kościoła należący, ma więcej własności niżeli mu potrzeba na utrzymanie swoje, to przewyżka ta ma być obróconą na korzyść tych którzy nie mają.”

Gdy Marcin Harris domagał się, aby mu pokazano

blachy złote, Józef Smith uspokoił jego ciekawość następującem objawieniem:

„Za prawdę powiadam, ponieważ sługa mój Marcin Harris chciał mieć moje własne świadectwo, że ty Józefie Smith młodszy, posiadasz rzeczywiście blachy złote, powiesz mu te słowa: „Ten kto do ciebie przemawia,—rzekł: Jestem Pan Bóg i dałem tobie te rzeczy sługo mój Józefie Shmicie młodszy, i rozkazałem ci, abys dał o nich świadectwo. Zawarłem z tobą ugodę, abys nie pokazywał ich nikomu, bez mego wyraźnego rozkazu, i tylko masz taką władzę nad niemi, jaką tobie nadałem. A teraz powiem ci jeszcze mój sługo Józefie, o tym człowieku, który zaprzecza świadectwu. Zaprawdę powiadam ci, on sam siebie za bardzo wynosi i nie dosyć upokarza się przedemną. Lecz jeżeli chce się nachylić i upokorzyć w modlitwie i w potężnej wierze, w szczerości serca, wtedy pozwolę, aby zobaczył te rzeczy, które widzieć pragnie.

Biedny Harris nie doczekał się spełnienia tej obietnicy, lecz mimo tego poświadczył prawdę księgi Mormona.

Prorok Smith był dosyć gniewliwy. W objawieniu z Listopada roku 1831 oświadczył, że Oliwier Cowdery jego sekretarz w czasie sławnego tłumaczenia księgi cudownej, nie zasługuje na to aby mu powierzono pieniądze.

„Słuchajcie, mówi Pan, co powiem o moim słudze Oliwierze-Cowdery. Nie zgadza się z widokami mądrości mojej, aby mu powierzono pieniądze, które ma za-

nieść do ziemi Syonu, chyba że kto drugi wierny i pewny, pójdzie z nim razem.”

Gdy tak Józef Smith, za pomocą swoich objawień, wystawiał przestępców albo nieposłusznych, na przygany wiernych, nie zapominał o swoim własnem dobru. „Przyzwoita jest, mówi w objawieniu z Lutego 1831, aby zbudowano dom dla Józefa Smitha, żeby w niem mieszkał i tłumaczył moje słowa. Drugie objawienie z tego miesiąca jeszcze się dokładniej wyraża.

„Jeżeli pragniecie poznać tajemnice mego królestwa, sprawcie, aby mój sługa Józef Smith, opatrzony był w pożywienie, odzież i we wszystko czego mu potrzeba.” Józef, podług tych objawień, nie powinien był pracować na życie.

„Do prac ziemskich, mówi inne objawienie z Lipca 1830, nie będziesz miał siły, bo to nie jest twoje powołanie. Idź za twojem powołaniem, a otrzymasz środki, przez które powiększysz twoje czynności i wytłumaczysz całe Pismo święte.

Rzecz naturalna, że Józef Smith, jego apostołowie i znaczniejsi uczniowie, przypisywali sobie władzę czynienia cudów. Opowiadają w tym przedmiocie najśmieszniejsze historie, a nadewszystko, o exorcyzmach. Utrzymywali, że posiadają dar mówienia wszelkiemi językami.

Upodobanie w cudowności, było zawsze najcelniejszą podporą sekt religijnych. Uczucie to, dobre w gruncie swoim, bo jest tajemniczym związkiem między światem

widzialnym a światem niewidzialnym. Racyonalizm protestancki nie chce go uznawać; w prostych klassach ple-mienia anglo-saxońskiego, Mormonizm najwięcej znalazł stronników, uderzał bowiem ich wyobraźnię. Smith opierał się na rozmaitych wyjątkach z Apokalipsy, i z ręcznie korzystał z trzęsień ziemi, zjawienia się komet, z wojen, z pożarów i powodzi, ze wszelkich katastrof, nawet z pękania kotłów na statkach parowych; wszystkie te wypadki wystawiał jako przepowiednie swojej missyi; a że pospólstwo w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, umie czytać ale nie rozumie tego co czyta, mianowicie też pisma świętego i różnych dzieł mistycznych, przeto łatwo mu było bałamucić głowy i zyskiwać coraz to więcej stronników. Oprócz tego obiecywał on uczniom swoim wielkie materyalne korzyści, a posiadając zu-chwałość i wytrwanie, coraz to bardziej wziętość swoją rozszerzał.

W miarę jak powiększała się liczba stronników Mormonizmu, zaczynały się i wzmagaly prześladowania przeciw nim wymierzone. Rodzina Smithów musiała opuścić Palmirę i udała się do Kirtland w Stanie Ohio. Tam szybko wzmożła się liczba nowo-nawróconych. W Sierpniu 1830 roku, Smith skłonił na swoją stronę Orsona-Pratt, kaznodzieję sekty Kambelitów, człowieka obdarzonego poetyczną wymową, a który potem niezmiernie był pomocny Mormonom. Najprzód nawrócili się wizyonariusze, których tak jest wielu pomiędzy sektarzami Ameryki, ludzie obdarzeni silnem uczuciem

religijnem, lecz nie znający prócz początkowych wyobrażeń o Bogu i życiu przyszlę, a nareście kobiety, których wyobraźnia tak łatwo obłąkać się może. Zaraz w Styczniu roku następnego Pratt i Rigdon liczyli około tysiąca sektarzy w Kirtlandzie, w miasteczku Stanu Ohio. Przybycie proroka i jego rodziny dało nowy popęd do nawracania. Nowa siła i zapal wstąpiły w tych sektarzy; wszędzie rozgłaszano wieści o cudownych widzeniach, o głosach z niebiosów, o cudach. Kobiety i mężczyźni wpadali w spazmy i nazywali je zachwyceciem, tarzali się po ziemi, wskazując na niebie chmury świadków owej księgi złotej; inni chcieli natychmiast nawracać dzikich, drudzy biegali jak błędni po polach, albo włączli na poręcze, na pnie drzew i ztamtąd przemawiali dziwaczniemi językami. Inni znowu zbierali kamienie, i czytali na nich jakieś charaktery cudownie skreślone, ale które *znikały natychmiast*; inni nareście znajdowali kawały pargaminu, spadłe z nieba i opatrzone pieczęcią Chrystusa, lecz pargaminy te *znikały także*, skoro je tylko przepisano.

Józef Smith, prorok, zaczął obawiać się, aby nie postradał przywileju widzenia, i aby ten dar nie stał się wspólny wszystkim neofitom. Ogłosił więc nowe objawienie i upomniął wiernych, aby strzegli się szatańskiego dzieła, które naśladuje dary Ducha. Ogłosił także, iż jego obowiązki, tak ciężkie i liczne, nie zostawiają mu czasu i siły do pracy. Powinien zatem, stosownie do rozkazu Boga, *żyć kosztem wiernych*, którzy za jego

wyłącznie pośrednictwem odbierać będą rady najwyższej mądrości i światło Boże. On tylko samposiada przywilej rozmawiania z aniołami, a wszyscy wierni powinni mu być posłuszni, jako głosowi najwyższego, skoro tylko poselstwo poprzedzone będzie temi słowy: „Tak mówi Pan, pod karą gniewu Bożego.”

Skoro tylko zaczęto urządzać *Zgromadzenie świętych dni ostatnich*, Józef Smith i główni jego zwolennicy zważyli, iż dobrze by im było osiedlić się w krainach, w części tylko uprawionych i zamieszkałych, gdzie można tanio nabyć grunta. Chcieli mieć wolne ręce i czuli to, iż ludność wiejska, na pół dzika, łatwiej przystanie do ich nauki. Oliwier Cowdery, wysłany na wywiady, zdał sprawę tak korzystną o piękności, żyzności i niskiej cenie gruntów w hrabstwie Jackson w Stanie Missuri, że Józef Smith umyślił sam udać się na to miejsce. Towarzyszył mu Sidney Rigdon i wielu Mormonów, w tej długiej i ciężkiej podróży, którą z początku wozem i na statkach, a na ostatku mil kilkadziesiąt pieszo odbyli. Podobало się Smithowi to miejsce. Ogłosił więc nowe objawienia. Wszechmocny oświadczył mu, że tam będzie siedzisko Nowego Syonu; dał także przepisy, jak ma być ostatecznie urządzone zgromadzenie; jak mają zbudować kościół, podzielić się gruntami i zapewnić byt wybranego ludu.

Pierwszej Niedzieli po przybyciu Mormonów do Ziemi Obiecanej, Józef miał kazanie, pod otwartem niebem, do mnóstwa Indyan, mieszczan i nawet jak sam się wy-

raża, do bardzo szanownego zgromadzenia Murzynów. Nawrócił kilku, a że nigdy nie zapominał o finansach swojej duchownej rzeczypospolitej, miał nowe objawienie od Pana, w którym nakazano ażeby anioł (wyrażenie przenośne) zbierał składkę. A dla tem lepszego przykładu, Pan żądał, aby święty Marcin Harris (ten sam wieśniak coto darował 50 dollarów na druk Biblii) pierwszy dał przykład i złożył swoje pieniądze w ręce biskupów; z tego się okazuje, że Harris zatrzymał jeszcze jakiś zapasik. „Żądam tego mówi Pan, aby zakupiono place i zbudowano na nich magazyny i drukarnią. 30 Sierpnia 1831 roku uroczyste wybrano i poświęcono miejsce przeznaczone na kościół, a w parę dni potem, Józef Smith gdy już uporządkował wszystko, mianował biskupa i zapewnił silne stanowisko dla sekty swojej, w tej odległej krainie żyznej i miłej, powrócił do Kirtland do Stanu Ohio, dla popierania własnych interesów światowych. Powolna podróż jego trwała dni dwadzieścia i cztery. W owym czasie powstała kłótnia pomiędzy nim a Sidnejem Rigdon, który pragnął co raz to większego znaczenia w zgromadzeniu. Jednakże pogodzili się na czas niejaki i założyli spółkę za pomocą innych starszych Kościoła, celem założenia młyna i magazynu żywności w Kirtland. Wkrótce potem założyli bank; Józef był jego prezydentem czyli dyrektorem, a Sidnej kassyerem. Zamierzali zamieszkać w Kirtland przez pięć lat, zarobić pieniądze, a tymczasem wykarczują grunta i zbudują świątynię w Nowym Syonie.

Od tego czasu aż do Stycznia 1832, Józef Smith nauczał w wielu miejscach Stanów Zjednoczonych i co raz to więcej zwolenników zyskiwał. Lecz ten wzrost sekty Mormonów, ściągnął ciężką przygodę na proroków i na jego głównego pomocnika; 25 Stycznia w wiosce Hiram, napadła nań o północy gromada baptystów, metodystów, kambellistów i innych sektarzy; wywlekli go z domu, obnażyli, oblali smołą i obsypali pierzami. Sydney Rigdon wpadłszy w ręce również zawziętej tłuszczy, doznał tegoż samego losu. Był to początek długiego pasma zniewag, wśród których, musimy to wyznać, Józef Smith tak dobrze stawiać się umiał, iż prawie wznosił się do wytrwałości i rezygnacyi wyznawców prawdy. Jego opowiadanie tej przygody, daje poznać, jakim bezpieczeństwem osobistem cieszą się mieszkańcy w wielu Stanach Ameryki północnej. Opisuje jak go obnażyli, bili, w gębę mu pakowali kiść ze smołą i na pół umarłego porzucili. Przez całą noc przyjaciele oczyszczali jego ciało ze smoły. Nazajutrz mimo tak barbarzyńskiego obejścia się, mimo pokaleczenia twarzy, miał kazanie jak zwykle, a po południu ochrzcił trzy osoby. W tem zdarzeniu, okazał Smith rzeczywistą moc duszy. Jednakże uznał, iż musi oddalić się na czas niejaki. 26 Kwietnia przybył do miasta, które był nazwał *Syon* czyli *Niepodległość*. Liczba jego zwolenników dochodziła do trzech tysięcy. Założyli drukarnię i dziennik Mormonizmowi poświęcony wyłącznie.

Smith znowu powrócił do Kirtland, chociaż tam liczył

zaledwo 150 uczniów, lecz magazyn żywności, młyn i bank, potrzebowały jego dozoru. Przez ten czas, gdy zajmował się może za nadto światowemi interessami, wybuchła w Syonie schizma, pociągnęła za sobą wielkie klęski i wypędzenie Mormonów z całego stanu Missouri.

Nie brakło powodów do powstawania na Mormonów. Ich nauka jeszcze nie oznaczona, mogła przedstawiać się w jak najniekorzystniejszym świetle. Wielu z nowo-nawróconych narażało towarzystwo nieroztropną mową a nawet nagannemi czynami. Ich pogarda dla innych wyznań, wywoływała przeciw nim obawę i nienawiść. Oskarżono ich, że chcą wszystko mieć wspólne, nawet kobiety. Te dwa zarzuty, których nie zbijali stanowczo, czyniły ich sektę przeciwną zasadom społecznym. Donoszono władzom, że Mormonowie zmawiają się przeciw własności publicznej i przeciw swobodzie wyznań. Jakoż niektórzy z nich wyjawili tę nadzieję, że kiedyś posiadać będą stan Missouri wyłącznie dla siebie i że w nim nie ścierpią żadnej przeciwnej sekty. Zawiązała się więc tajemna liga dążąca do tego, aby niezwłocznie wypędzić wszystkich Mormonów z kraju Missouri.

Smith widząc grożące niebezpieczeństwo, miał nowe objawienie 8 Maja 1832 roku, w którem Pan rozkazał mu, żeby Sidneja Rigdon i Fryderyka Wiliamsa przybrał do wspólnictwa w zarządzie wiernemi. Lecz wspólnictwo to było takie, iż oni byli jego pomocnikami, on zaś starszym. Związek przeciw nim wzrastał w liczbę i siłę.

W Czerwcu r. 1833, miesięczne pismo Mormonów o-

głosiło artykuł o *wolności ludzi kolorowych*, który oburzył wszystkich stronników niewoli. Zwołano wszystkich obywateli z hrabstwa Jackson, na 26 Czerwca, na którem wyliczywszy winy Mormonów, uchwalono, aby nikogo z tej sekty nie puszczać więcej do Stanu Missuri, aby sektarze już osiedleni złożyli porękę iż wyniosą się w pewnym przeciągu czasu, a teraz mogą postarać się o wyprzedanie swojej własności. Pismo i drukarnia Mormonów natychmiast będzie zamkniętą. Te uchwały jednomyślnie przyjęto i oznajmiono je panu Phelps wydawcy dziennika mormońskiego, panu Patridge biskupowi, i zarządcy magazynu Mormonów, aby się do nich zastosowali. Mormonowie nie dali wprost odpowiedzi, lecz oświadczyli, że się muszą naradzić nie tylko między sobą w mieście, lecz i z prorokiem Józefem Smith, zamieszkającym w Kirtlandzie. Po tej odpowiedzi zgromadzenie uchwalilo jednomyślnie, że drukarnia dziennika Star będzie zamkniętą, a prassy i pisma zachowane pod strażą.

Postanowienie to, mówią przeciwnicy Mormonów, wykonano w jak największym porządku. Toż samo nastąpiło, co do innych postanowień, w tymże celu wydanych. Nie było ani razów, ani krwi rozlewu. Zgromadzenie odroczone na trzy dni, aby przez ten czas Mormonowie pomyśleli, jaki los ich czeka, jeżeli nie opuszczą kraju.

Prześladowanie spadło na głównych przywódców sekty. Phelps wydawca zdołał uciec, lecz Patridge biskup mormoński, i inny święty zwany Allen, zostali schwytani, obnażeni, wysmarowani smołą, oblepieni pierzami, i w ta-

kim stanie wypędzeni za miasto. Jeden kaznodzieja prezbteryjański, oznajmił z kazalnicy, że Mormonowie są nieprzyjaciołmi rodu ludzkiego i należy ich wytępić. Rano 23 Lipca znowu zebrał się meeting, składał się tym razem z kilku set osób, uzbrojonych i niosących sztandar czerwony, na znak zemsty. Mormonowie widząc że się opierać nie mogą, przyrzekli wywędrować na zachód, jeżeli im dozwolą przygotować się do podróży. Zawarto na piśmie umowę, że połowa Mormonów z żonami i dziećmi ustąpi 1-go Stycznia, a druga połowa 1-go Kwietnia następnego roku; że dziennik mormoński nie będzie wychodził, i że przez ten czas żaden obcy Mormon nie przybędzie do kraju. Pod temi warunkami Missuryjczycy przyrzekli, iż wstrzymają się od wszelkich kroków gwałtownych.

W tak opłakanem położeniu, Oliwier Cowdery udał się do Kirtland, do proroka, po radę i pomoc. Uchwalono na uroczystem zgromadzeniu, że nowy dziennik wychodzić będzie w Kirtland p. t. *Posłannik i obrońca świętych ostatniego dnia*. Postanowiono także zażądać opieki pana Dunklen rządcy Stanu Missuri i domagać się o sprawiedliwość za krzywdy i zniewagi. Niewiadomo dla czego w tej epoce Józef Smith pojechał do Kanady. Może chciał schronić się ze swojemi zwolennikami pod opiekę praw angielskich. Rządca Dunklen odpowiedział rozsądnie i w duchu pojednawczym, oświadczył że napasć była nieprawą i niesprawiedliwą, radził im żeby pozostali i odwołali się do zwyczajnych sądów krajowych. List ten rozgłoszono, a Mormonowie licząc na opie-

kę rządcy umyślili pozostać w Missuri i wybudować Syon. Wytoczyli sprawę przeciw podżegaczom napaści. Lecz pospólstwo nie zważając na nie, porwało się do broni 30 Października, żeby ich wygnać. Zerwano dach z dziesięciu domów Mormońskich i zaczęto burzyć ich domy. Mormonowie bronili się i dwóch anti-mormonów zabili. Wezwano milicją dla utrzymania porządku, lecz jej członkowie, od naczelnika aż do prostego żołnierza, byli nieprzyjaźni Mormonom. Kobiety najpierwej się ułękły i wraz z dziećmi przeprawiły się za rzekę Missuri. 7 Listopada cała ludność Mormońska przyciągnęła nad rzekę, z sprzętami, jakie mogła zabrać. W nocy obozowali pod gołym niebem, a deszcz padał strumieniami. Niektórzy stracili wszystko, rozdzieleni od rodziny, od dzieci, niewiedzieli, co się z nimi dzieje. Widok taki byłby wszystkim serca zmiękczył, prócz zaślepionych i ciemnych fanatyków i prześladowców. Mormonowie rozpierzchli się w okolicy. W hrabstwie Clay przyjęto ich dosyć życzliwie. W hrabstwo Van-Buren i Lafayette nie przyjęto ich i musieli dalej wędrować.

Władze Stanu Missuri i znaczniejsi mieszkańcy, zgorzseni taką niesprawiedliwością, dopomagali przynajmniej na pozór, naczelnikom Mormonów. Generalny prokurator napisał do nich, że jeżeli chcą wrócić do swoich posiadlin, to im przysła w pomoc siłę zbrojną. Radził im także, aby urządzili kompanię milicyi, a rząd dostarczy im broni. Smith powróciwszy z Kanady, niepojechał do prześladowanych braci, lecz napisał do nich, aby zakupili

tymczasowo grunta w Clay, a domagali się sprawiedliwości od władz co raz to wyższych, a nareście od samego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Jeżeli prezydent ich nie wysłucha, to sam Bóg wtedy zstąpi na ziemię, i w gniewie swoim ukarze cały naród.

Mormonowie przeszło cztery lata mieszkali w hrabstwie Clay; znów zaczęło im się powodzić, lecz też same powody co i wprzód, znów ściągnęły na nich prześladowanie. Kwestya niewolnictwa, przeciw któremu się ogłosili, denuncyacye o wielożeństwie i o bezkarności cudzołózców, nareście ich ustawiczne powtarzanie, że Bóg dał im Stan Missouri, doprowadziły rzeczy do tej samej ostateczności.

W owym czasie, 5 Maja 1854 roku Józef wybrał się do nich, w towarzystwie przeszło stu Mormonów opatrzonych w zapasy dla braci z hrabstwa Clay, oraz w broń i naboje. Przeprawa ta była mozolną, zwalczyli wszelkie przeszkody, lecz na cholere stracili trzynastu ludzi. Smith krótko zabawił w hrabstwie Clay, bo tylko dni siedem. Jednakże w tym krótkim przeciągu czasu dodał im ducha wytrwania i zaprowadził porządek.

Historya tej sekty przez trzy lata następne, jest tylko historya walki z nieprzyjaciołmi zawziętemi na nią. Liczba Mormonów w Missouri wzrastała mimo prześladowania i wzmagającej się liczby przeciwników. Cała ludność podzieliła się na dwa stronnictwa za i przeciw Mormonom. W jesieni roku 1847 bank założony w Kirtland przez Józefa Smitha (prorok bankier należy do najcie-

kawszych osobliwości naszej epoki) zaprzestał wypłacać. Powiat poniósł przeto znaczne straty, a Józef miał z *tego powodu* objawienie, które nakazało mu ostatecznie pojechać do Missuri i żyć pośród świętych, w kraju przeznaczonym na ich dziedzictwo. Posłuszny temu objawieniu, które w samą porę zdarzyło się, prorok uciekł z Kirtland tajemnie, wśród nocy.

Przybywszy do Clay zastał jak największe zamieszanie w swoim kościele. Święci składali zgromadzenie potężne i liczne, lecz niezgoda wkradła się pomiędzy nich.

Wówczas to, prorok wyrzekł w imieniu Pana, naganę na Oliwiera Cowdery, Marcina Harris i Sidneja Rigdon, o czym już wspominaliśmy powyżej.

Sidnej Rigdon otrzymał przebaczenie, bo Smith potrzebował jego wsparcia. Nienawiść przeciw Mormonom doszła do najwyższego stopnia; zapowiedziano im, że albo muszą ustąpić z całego Stanu Missuri, albo w pień wycięci zostaną. Pogrożki te sprawdziły się; w Haun's Miel całą ludność Mormońską tej osady wymordowano.

Unikając tego samego losu, Mormonowie zobowiązali się, że oddadzą broń i wyniosą się do Stanu Illinois, który był wówczas mało zabudowany i pełen niewykarczowanych i nieobsianych gruntów. Generał Klarke był największym prześladowcą tych sektarzy. Przytaczamy jego odezwę do Mormonów.

„Mości panowie! pięciu z was, których nazwiska nie są zapisane w tej liście, będą mogli pójść do waszych posiadłości i zabrać ztamtąd zboże i drzewo potrzebne dla

ich rodzin. Ci których uwięziono, zaprowadzeni zostaną do więzienia, aby ich osądzono i ukarano za popełnione występki. Wy zaś jesteście wolni i tylko musicie wykonać umowę, którą zawarliście, a której głównie warunki tu wypisuję. Zadosyć uczyniliście pierwszemu warunkowi i wydaliście waszych naczelników aby ich osądzono podług prawa. Drugi warunek nakazywał abyście broń złożyli: i to już uskutecznione. Trzeci nakazuje abyście się zrzekli waszych własności, dla zapłacenia kosztów wojennych. I to jużście uczynili. Pozostaje jeszcze jeden warunek do uskutecznienia, to jest abyście opuścili Stan Missouri. Generał Lucas, równy mi w stopniu, zawarł tę umowę z wami; jestem gotów przywieść ją do skutku. Gubernator rozkazał mi żebym was w pień wyciął, a nie pozwolił ani jednemu z was pozostać w kraju, a gdybyście nie wydali waszego naczelnika i nie wykonali traktatu, już bylibyście wytraceni do szczytu, wy, wasze rodziny i wasze domy. Mam nieograniczoną władzę i wykonam ją w ciągu roku. Nie będę wymagał niezwłocznego oddalenia, lecz ani myślcie pozostać dłużej, jak przez jedną porę roku, ani też zasiewać gruntów, bo gdybyście to uczynili, obywatele natychmiast rzucili by się na was. Nie sądzcie, abym dla was chciał być łaskawym. Jeżeli złamiecie umowę, a będę musiał powrócić, nie spodziewajcie się miłosierdzia, ale zupełnego wytepienia, bo wykonam rozkaz gubernatora. Niespodziewajcie się, iż zobaczycie waszych proroków, że będą uwolnieni. Nic nie odwróci ich losu—zginąć muszą.”

Jakoż prorok i brat jego Hiram wydani byli w ręce nieprzyjaciół z trzema innemi naczelnikami sekty; oskarżono ich o zdradę, zabójstwo i rabunek, a to z powodu, że prowadzili wojnę przeciw Stanowi Missuri, że zabili dwóch ludzi przy napadzie na *Gallatin* i że banda *Danitów* zrabowała kilka posiadłości. O tej bandzie, która tak trwożyła i oburzała Anti-Mormonów, musimy powiedzieć słów kilka.

Mormonowie, od dawna narażeni na wszystkie zniewagi, w kraju, gdzie prawa nie mają znaczenia w oczach spóółstwa, musieli obmyśleć środki obrony. Idąc za radą rządcy Missuri, daną im przed kilkoma laty, urządzili milicją zwaną Danitami albo *aniotami zniszczenia*. Przeciwnicy Mormonów zeznawali, że ta banda jest ślepo posłuszna naczelnikom sekty, że zebrana jest w tym celu aby palić osady i miasta przeciwne Mormonom, że chce opanować cały Stan Missuri i że ich prorok Smith oświadczył, że będzie Mahometem i cały kraj Stanów Zjednoczonych krwią zaleje, a wszystkim da do wyboru, albo przyjąć sięgę Mormona, albo zginąć od miecza.

Rzecz dowiedziona, że istniała banda Danitów, ale przeciw niej nie można przytoczyć żadnego faktu. Mormonowie widząc, że prawa nie dają im obrony, sami chcieli się bronić, to rzecz prosta. Lecz ci *aniotowie niszczyciele* nie zniszczyli i nie spalili żadnego miasta.

Józef Smith osadzony w więzieniu, wydał manifest, podpisany przez niego samego, przez jego brata i przez trzech innych członków sekty; niezłomna jego odwaga

wśród tak wielkich niebezpieczeństw (bo co chwila mogło ich zamordować pospólstwo a nawet milicya) jego zaufanie w ostatecznym tryumfie Mormonizmu, są dowodem, że zaczawszy od obludy i fałszu, zapalił się i wmówił sam w siebie, że jest apostołem. Historia fanatyzmu przedstawia nam wiele podobnych przykładów. W manifestcie swoim powstaje na przesładowców, skazuje ich i cały stan Missouri na wieczne potępienie. Ubolewa nad niedolą współwygnańców, zachęca do wytrwania i daje rady jak mają rządzić się podczas jego nieobecności.

Tymczasem Mormonowie nie mogąc oprzeć się nieprzyjaciołom, zostali wypędzeni z Missouri. Nie dano im czasu do sprzedania posiadłości gruntowych, ani rozrządzenia niemi w jaki bądź sposób. Wśród ostrej zimy w Grudniu 1838 i w Styczniu 1839, mężczyźni i kobiety, starsi i dzieci, chorzy nawet, musieli oddalić się w lasy i stepy, bez żywności i żadnej ochrony. W tak nędznym stanie przyciągnęli małemi oddziałami do kraju Illinois, gdzie szczęściem dla nich, plantatorowie i Indianie, przyjęli ich bardzo życzliwie. Otworzono składki aby im przyjść w pomoc; wielu znalazło pracę i zarobek w młynach, folwarkach i kuźniach. Na początku wiosny 1839 roku, prorok zdołał ująć z więzienia i pokazał się między swojemi. Jego prosta lecz wzruszająca wymowa, jego modły tchnące ufnością, świetne obietnice, zręczność jego i radość sektarzy wzbudzona jego przybyciem, wszystko to przywróciło im ufność i odwagę. Najznacniejsza część Mormonów zebrała się w okolicy wioski zwa-

nej *Handel*, nad brzegiem Missisipi, i tam umysłili osiąść stanowczo. Zbierali się ze wszystkich stron Stanów Zjednoczonych. Wielu przybyło ze znaczną kwotą pieniędzy, lecz zanim powiemy o ich nadzwyczajnem powodzeniu w Stanie Illinois, jeszcze dodamy kilka szczegółów o prześladowaniu w Missuri, wyjętych z prośby Sidneja Rigdon do Stanu Pensylwanii, w której tenże domaga się o wymiar sprawiedliwości dla Mormonów. Znosi prośbę swoją do tego Stanu, z tej przyczyny, że sam jest rodem z Pensylwanii ma więc prawo do wsparcia swoich współziomków. Sprawiedliwie opiera się na tem, że grunta wydarte Mormonom, były przez nich zakupione od rządu i zapłacone w zupełności. Rząd więc Stanów Zjednoczonych winien zabezpieczyć ich własność. Obszerna ta petycja kończy się temi słowy: „Synowie Pensylwanii, powinni polecić swoim delegowanym na kongresie, aby nam sprawiedliwość wymierzono, i wynagrodzono straty i krzywdy nasze. Bardzo słabe i nędzne byłyby nasze instytucje republikańskie, bardzo nieszczęśliwa nasza władza narodowa, jeżeliby można wypędzić obywateli amerykańskich z gruntów zakupionych od rządu, a rząd nie zapobiegłby takiemu nadużyciu. W rzeczy samej, narody starej Europy mogą sprawiedliwie wyszydzać słabość i niedołężność naszych instytucji. Rząd niezdolny opiekować się własnymi obywatelami, rząd, który nie zdoła zaradzić najbardziej gorszącym nadużyciom, jakie mogą zdarzyć się w cywilizowanym kraju, będzie sławnym z tego względu w ro-

cznikach historyi i stawiany za przykład świata. Dowiedźcie się o tem ludy barbarzyńskie, ludy dzikie i spieszcie do Stanów Zjednoczonych! tam można bezkarnie rabować i zabijać, bo rząd nie ma siły ani zapobiedz zbrodniom, ani ukarać zbrodniarzy.”

Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od wypędzenia Mormonów z Missuri, już liczba osiadłych w Illinois wynosiła przeszło piętnaście tysięcy, razem mężczyzn, kobiet i dzieci. Przybywali ze wszystkich stron Związku a nawet i z Anglii, aby stawić czoło nieprzyjaciołom i wspierać swego proroka.

Materyalna organizacya sekty rozwijała się doskonale. Mormonowie od tej chwili pokazują się jako lud czynny, przemysłny, oszczędny. Poznają korzyści spółki a raczej zjednoczenia. Niestety najlepiej wskazuje potrzebe wzajemnej pomocy. Pozbawieni własności i zrabowani tak niegodnie, Mormonowie nie stracili serca, lecz zaczęli dźwigać się z niedoli. Majętniejsi dopomogli biednym w kupnie gruntów i narzędzi rolniczych. Wzywając zręcznych robotników do zgromadzenia swego, przyciągali ich nie tylko marzeniami sektarskimi, lecz światowemi względami pracy, zapłaty i korzyści. Widząc wzmagającą się ludność, umyślili zrobić z wioski *Handel*, nie już miasteczko, ale miasto, urządzone na prawach municypalnych. Nazwali je *Nauvoo* czyli *Piękne*: wyraz ten znajduje się w księdze Mormonów. W ciągu ośmnastu miesięcy wybudowali dwa tysiące domów nie licząc szkół i innych gmachów publicznych. *Nauvoo* nazywało

się także miastem Świętem. Józef Smith został jego mem i w tym czasie mógł sądzić, że dosiagnął zamierzonego celu. Słowa Jego były prawem; został zarazem świeckim i duchownym naczelnikiem Mormonów; oprócz tytułów proroka, prezydenta i mera, nosił także brzmiący tytuł generała, jako dowódzca milicyi, którą urządził pod tytułem legionu Nauvoo. Wiadomo, iż Amerykanie lubią zdobić się tym tytułem.

Aż do roku 1838 niesłyszano o Mormonach w Anglii. Dwaj Starsi: Hyde, który później odstąpił od nich i Kimball, zanieśli zarody tej sekty do W. Brytanii. W 1843 roku już ich tam było dziesięć tysięcy a w następnym roku, Starszy Lorenzo-Snaw, złożył exemplarz księgi Mormona, królowej Wiktorii i jej małżonkowi.

Józef Smith, od niejakięgo czasu, nie tak często miewał objawienia. Lecz w Styczniu roku 1841 ogłosił nowe objawienie, wzywające wszystkich z rozkazu Pana, aby przykładali się do zbudowania świątyni. Rozkazał im także pan zbudować hotel dla cudzoziemców. „Niech tam będzie imię moje napisane: mówi pan: niech mój sługa Józef Smith i jego rodzina mają tam pomieszkanię aż do najdalszego pokolenia.” Objawienie to, najobszerniejsze i najbardziej wypracowane, składa się z czterdziestu sześciu paragrafów, obejmuje najdrobniejsze szczegóły zbieraniu składek na budowę świątyni i zarządzaniu zgromadzeniem wiernych.

Niezwłocznie zaczęto budować kościół. Wybrano bardzo wspaniałą posadę na szczycie wzgórza. Gmach miał

bydź długi na 138 stóp, szeroki 188, a nad nim wznosić się miała wieża, mająca 200 stóp wysokości. Jużemy na początku tego arykułu mówili o tym kościele. Założenie kamienia węgielnego odbyło się z wielką uroczystością. Generał-Major Bennet, o którym zaraz mówić będziemy, szedł na czele legionu, porządnie a nawet świetnie umundurowanego. Po tem Sidnej Rigdon miał mowę, która trwała całą godzinę.

Ów Generał-major Bennet, był to człowiek dumny, bez zasad: mówi jeden bezstronny historyk Mormonów. Umyślił on wywyżżyć się za pomocą Smitha. Bez wielkich ceremonii napisał mu po prostu, że chce bydź jego głównym pomocnikiem, że pochwała śmiało jego plany i nie wdaje się wcale w kwestye religijne. „Mówię tylko: Naprzód! Sprzyjam ci szczerze, lecz pamiętaj, że Machomet miał człowieka, który był jego prawą ręką.”

Smith odpowiedział mu, nie zrzucając z siebie swojej maski proroczej. Zganił jego próżność i zarozumiałość, lecz nie odmówił pomocy, jaką jego światło i zdolności przynieść mogą zgromadzeniu. Cały swój zawód i wszystko co dotąd wykonał, przypisywał objawieniu i woli Bożej: bo ten kto otrzyma polecenie od Boga, ma więcej wpływu na ludzi, niżeli miliony rządzących się przepisami światowemi.

Widzimy z tej krótkiej treści, że mowa i ton Smitha wzrasta razem ze wzrostem sekty.

Odpowiedź Bennetowi kończy Smith następującemi słowy: „Ziemia cała złoży świadectwo, że jak ta skała wznosi-

sząca się pośród Oceanu, która od wieków stawia opór rozhukanym bałwanom, tak ja jestem niezłomnym i wier-
nym przyjacielem cnoty, nieustraszonym wrogiem występku. Mało mię to obchodzi, czy cnota sprzedana jest jako perła rzadka w Azji, albo ukryta w Ameryce, czy występki jaśnieje w pałacach i świeci pośród grobów. Walczę z odwiecznymi błędami; opieram się gwałtom pospólstwa, walczę z nieprawami czynami władzy wykonawczej; przecinam gordyjski węzeł władzy, i rozwiązuję matematyczne problemata uniwersytetów, prawdą, prawdą dyamentem; Bóg jest moją prawicą.

„Kończąc to pismo, powiadam wszystkim będącym przy sterze władzy w jakim bądź kraju: Bądźcie prawi, wykonywajcie sprawiedliwie sądy na ziemi, ażeby Pan mógł was pobłogosławić i błogosławić jej mieszkańców. A laur, rosnący na szczycie gór, zazieleni się na cześć waszą tak długo, dopóki słońce świecić będzie, a lilia rozwinięta nad brzegiem źródła, kwitnąć będzie na cześć waszej cnoty, dopóki ziemia w proch się nie rozsypie.¹⁾

Można się zapytać: z kąd człowiek ten nauczył się tak szumnym stylem przemawiać? Powodzenie i wysokie stanowisko rozwija umysł i dodaje śmiałości. Od niejakiego czasu wszystko wiodło się podług jego myśli i chęci, przewyższało nawet jego nadzieje. Mógł więc wzywać niedowiarków aby z nim razem wstąpili na Kapitol i składali dzięki Bogu; lecz zobaczymy, że stał tuż nad krawędzią skały Tarpejskiej.

¹⁾ Ten ostatni peryod jest w oryginale wierszem przytoczony.

W roku 1842 pewien oficer artylerii w Stanach Zjednoczonych, zwiedzał Nauvoo i był na rewii legionu Mormonów, a w liście swoim który ogłoszono drukiem, tak się wyraża: „Legia Mormonów wynosi dwa tysiące ludzi. Za lat kilkanaście dojść może do dwudziestu pięciu a może pięćdziesięciu tysięcy. Groźne wojsko, ożywione fanatyzmem, pod dowództwem zręcznych wodzów, czegożby nie dokazało? Mogliby nawet obalić konstytucyą Stanów Zjednoczonych, a jeżeli się na to nie odważą, to niezawodnie Meksyk dostanie się pod ich władzę. Wielu zdolnych ludzi, powodowanych dumą i chęcią bogactw, ciągle przyłącza się do tych sektarzy. Smit-howie są odważni i nie bez talentu. Józef, ów naczelnik, swą wspaniałą i uderzającą postawą przywodzi na pamięć Mahometa. Sidnej Rigdon i inni naczelnicy, są ludzie zdolni, a wielu ma znakomite ukształcenie. Wszyscy są ambitni i śmieli, i dążą do tego, ażeby wszystkie sekty zagarnąć i do swego wyznania nawrócić. Można zatem przewidywać, że ten zbiór fanatyków, wstrząśnie podstawami kraju. Jest to oczywisty zawiązek przyszłego państwa zachodniego.”

Wszyscy podróżnicy, którzy zwiedzali Nauvoo, jednoznacznie wychwalali porządek w zabudowaniu, piękność okolicy i troskliwą uprawę przyległych gruntów. Wszyscy dziwili się, że w przeciągu lat trzech można było tak wiele zrobić. Przez pewien przeciąg czasu, Mormonowie osiedli w Nauvoo, nauczeni smutnem doświadczeniem, byli pokorniejsi i umiarkowańsi w swoich stosun-

kach z różnowiercami, lecz nagła pomyślność i szybki wzrost miasta świętego, znowu obudziły ich dumę i zarozumienie. Wszczęły się między niemi niezgody a Sidnej Rigdon wiele złego wyrządził, wprowadzając naukę dziwną o *małżonce duchowej*. Nauka ta zrobiła wiele zgorszenia między Mormonami i ich nieprzyjaciółmi. Sam prorok, podług zeznania pod przysięgą uczynionego przez wielu świadków, miał o wielożeństwie te same wyobrażenia co Mahomet; lecz Sidnej Rigdon utrzymywał, że w tym względzie miał objawienia i używał ich na to, aby namiętnościom swoim zadosyć uczynić. Chociaż pierwsza myśl o zmianie ustawy małżeńskiej wyszła od Sidneja Rigdon, Smith jak się zdaje chciał mieć jakieś objawienie w tym względzie, lecz go nie ogłaszał dopóty, dopóki żył w pośród niewiernych, aby nie dać pozoru do gorszących zaskarżeń. Józef to tylko powiedział głównym naczelnikom, czyli tak zwanym apostołom, jakoby Pan objawił mu, iż Mormonowie, jako następcy dziesięciu pokoleń Izraela, mogą na wzór patryarchów mieć więcej jak jedną żonę; lecz, że to wielożeństwo nie powinno w niczem uwłaczać instytucji małżeństwa, owszem powinno podźwignąć jego świętość. Mormonowie mogą przyłączyć do prawej małżonki swojej, małżonki duchowe, których będą opiekunami i przewodnikami w drodze do nieba. Wdowa, sierota, kobieta opuszczona, nie powinna być zostawioną samej sobie, ale utrzymywać się z publicznej jałmużny. Te nieszczęśliwe, niech będą duchowemi mał-

żonkami świętych. — Taka była pierwsza zasada wielo-
żeństwa ogłoszona przez Józefa Smitha. Potem rozsze-
rzono ją i skrzywiono, lecz on zawsze utrzymywał, że
nie miał na celu żadnej zmysłowej chuci. Tak to, kiedy
ludzie zejść z drogi prawdy wiary, to chociaż pod wzglę-
dem korzyści światowych mogą wiele zdziałać i uzyskać
chwilowe powodzenie, jednakże złe w gruncie leżące,
podkopuje i trawi ich byt, prędzej czy później objawi
się jakim bądź sposobem i sprowadzi klęskę i upadek.

W epoce pomyślności, wspomnianej powyżej, Smith
tak miał się za wielkiego człowieka, iż stanął jako kan-
dydat do wyboru na prezydenta Stanów Zjednoczonych;
wiedział on bardzo dobrze iż się nie utrzyma, ale przez
to chciał powiększyć rozgłos i znaczenie sekty swojej.
W okólniku, jaki zwykle wydają kandydaci, wykazy-
wał liczne nadużycia w rządzie Stanów Zjednoczo-
nych; bardzo mocno oświadczył się przeciw niewoli
murzynów i powstawał na administracyą prezydenta
Marcina Van Buren. Naganiał trzymanie więźniów w od-
osobnionych celach i wiele innych przepisów karnych,
administracyjnych i wojskowych; wyrzucał niesprawie-
dliwość wyrządzoną jego zwolennikom i doznane prze-
śladowania.

W Stanie Illinois, gdzie zrazu tak gościnnie ich przy-
jęto, powstała i wzmogła się przeciw nim takąż sama
nienawiść jak w Stanie Missuri. Też same przyczyny ją
wywołały. Ludność miasta Nauvoo składała się wyłą-
cznie prawie z Mormonów. Stopniowo, municypalność

której merem był prorok Smith, przywłaszczyła sobie prawo niezawisłego zarządu, a częstokroć nawet przeciwnego władzom Stanu Illinois. Nareszcie Mormonowie doszli do tego stopnia, że zaprzeczyli ważności prawnej rozporządzeniom Stanu, jeżeli nie będą potwierdzone przez mera Nauvoo i samowolnie naznaczyli karę na każdego z przybywających do miasta, któryby z nieuszanowaniem mówił o ich proroku. Dążenie do zagarnienia kraju w wyłączną posiadłość, przechwałki o powadze jaką ich wiara już ma nad wszystkimi i budowa wspólniejszej, przewyższającej ogromem i przepychami wszystkie protestanckie kościoły w Stanach Zjednoczonych, świątyni: wszystko to wzbudzało obawę w mieszkańcach Illinois, a sąsiedni im Missuryjczycy zdawna nie cierpiący Mormonów, jeszcze ją podniecali. Nauka o *małżonce duchowej* i nadużycia z niej wynikłe, a powiększane w miarę jak przechodziły z ust do ust, jeszcze doprowadziły ją do najwyższego stopnia. Centralny rząd Stanów Zjednoczonych, nie uczynił zadosyć reklamacyom i skargom Mormonów, i odpowiedział iż nie ma na to dostatecznej władzy.

W tymże czasie wydrukowano w dziennikach Nowego Yorku list adwokata J. Arlingtona Bennet (nie należy go brać za jedno z generałem-majorem Bennet). Wynurza on zdanie swoje o Mormonach, radzi aby wstrzymać się od wszelkich kroków prześladowczych, bo te tylko posłużyć mogą do powiększenia ich sekty. Doktor Foster zamieszkały w Nauvoo, powziął nienawiść przeciw

J. Smithowi i Mormonom, za nieprawne stosunki z jego żoną, którą, jak utrzymuje, prorok chciał uczynić swoją *matłżonką duchową*. Foster połączył się z kilkoma Mormonami, których za złe życie wyklęto i wypędzono ze zgromadzenia; mianowicie z niejakim Higbee, i w samémże mieście Nauvoo zaczął wydawać dziennik zwany *Expositor*, przeciwny Mormonizmowi. W pierwszym numerze znajdowały się zeznania, uczynione pod przysięgą i podpisane przez szesnaście kobiet, które oskarżały Józefa Smith i Sidneja Rigdon, że chcieli ich uwięśdź, opierając się na powadze nieba. Krok ten był za nadto śmiały. Smith jako mer Nauvoo, zwołał natychmiast aldermanów, radzców i innych członków zgromadzenia, dla narady, jak zapobiedz takiemu zgorzeniu. Uchwalono jednomyślnie, że trzeba zniszczyć ten nowy dziennik. Gromada stronników proroka przeszło z dwóchset ludzi złożona, rzuciła się na kantor *Expositora*, zburzyła i spaliła drukarnię, papiery i wszelkie sprzęty. Foster i Law zaledwie zdołali uciec. Schronili się do miasta *Kartagi* i tam zażądali oskarżenia i uwięzienia Józefa i Hiram Smithów, oraz szesnastu osób, które czynnie należały do popełnionego gwałtu. Wydano mandat i posłano go merowi Nauvoo. Smith nie usłuchał rozkazu i wypędził konstabla który z nim przybył. Władze sądowe nie mogły znieść tej zniewagi prawa i rozkazano milicyi, aby zbrojną siłą dopomagała urzędnikowi sądowemu do uwięzienia dwóch Smithów i szesnastu współobwinionych. Odebrawszy tę wiado-

mość, Mormonowie opatrzyli miasto i umyślili walczyć aż do ostateczności, w obronie swego proroka. Ze wszystkich stron kraju, bracia zbiegali się na pomoc. Illinois podobnie jak Missouri, podzieliło się na dwa obozy: Mormonów i anti-Mormonów. Rzeczy przybrały tak groźną postać, że pan Ford, rządca Stanu wyruszył osobiście. W odezwie do mieszkańców Illinois oświadczył, że według jego przekonania, milicya tak jest rozdrażniona, iż zupełne zniszczenie miasta Nauvoo zaledwie ją zadowolnić zdoła, i jeśli by musiał wnijść z wojskiem do miasta, nie brakłoby pozorów do rozpoczęcia rzezi. Chcąc zapobiedz rozlewowi krwi, zaklinał obudwu Smithów, aby poddali się prawu; zaręczał im własnem słowem i na honor rządu, że im żadnego gwałtu nie uczynią. Żądał także, aby Mormonowie zwrócili broń, którą dostali od rządu i legią w Nauvoo oddali pod dowództwo oficera, którego rząd przeznaczy. Mormonowie przyjęli te propozycye, a Józef Smith i jego brat poddali się pod sąd za zburzenie kantoru i drukarni dziennika *Expositor*. Prorok smutne miał przeczucia, gdyż oddając się w moc urzędnika sądowego, jako więzień, rzekł: „Idę jak baranek na rzeź, lecz jestem spokojny jak piękny dzień letni. Stumienie mam spokojne, umrę niewinny.” Gdy siedział w więzieniu w Kartaginie, oskarżono go o zdradę kraju, a to w skutku śledztwa, w którym głównym świadkiem był ów Higbee, wypędzony ze zgromadzenia Mormonów za złe obyczaje. Pospólstwo tchnęło zażartą zemstą przeciw więźniom. Milicya skłaniała

się na stronę pospółstwa, i nie można było rachować na nią, że zdoła lub zechce bronić obudwu Smithów. W takim stanie rzeczy, obywatele z Nauvoo i inni Mormonie wezwali rządce, aby opatrzył więzienie siłą zbrojną. Rano 26 Czerwca 1844 roku pan Ford odwiedził więźniów i zaręczył im, że ich obroni od wszelkiego gwałtu. Wieść się rozeszła, że nie ma dostatecznych powodów na to, aby ich potępić i że rządca chce ich wypuścić. Gromada nędzników uradziła, że proch i kule dosięgną tam, gdzie prawo dosięgnąć nie może. Dwudziestego siódmego Czerwca uderzono na więzienie, odparto straż; napastników było około dwóchset, wszyscy uczernili sobie twarz dla niepoznaki. Grad kul wpadł do izby gdzie byli dwaj bracia Smithowie i rozmawiali ze swojemi przyjaciółmi. Pospółstwo wdarło się do izby i zamordowało obudwu braci. Ich przyjaciele pan Taylor i Villard Ryszardt uszli śmierci.

Tak skończył ten nadzwyczajny człowiek. Późniejsi pisarze oceniają go należycie, lecz teraz wszystkie źródła z których o nim czerpiemy wiadomość, tchną albo uwielbieniem, albo nienawiścią stronnictwą. Jednakże przyznać trzeba, iż nie był to człowiek pospolity. Nie wielu zdoła tak długo obstawać przy ułożonej baśni i taką jej nadać wagę i rozciągłość. Widziemy także w rozwinięciu się tej sekty, smutny dowód ciemnoty i łatwowierności wielkiej części rodu ludzkiego.

Nie można było wysledzić sprawców tego zabójstwa. Śmierć obudwu Smithów była powodem żalu nietylko

dla Mormonów, lecz i dla rozsądnych przeciwników tej sekty. Józef Smith zamordowany, stał się większym prorokiem jak Józef Smith żywy. Z przecigiem czasu zapomną o jego błędach, a pamięć uwieńczona będzie aureolą męczeństwa. Lecz za nim do tego przyjdzie, Mormonowie musieli przebydź nowy okres prześladowań i cierpień.

Dwaj pozostali Mormonowie John Taylor i William Ryszard, oraz Samuel E. Smith, brat młodszy zabitych, który przeżył ich tylko o parę tygodni, donieśli wdowie proroka o śmierci jej męża. W liście tym, na prędcie napisanym, błagali mieszkańców Nauvoo, aby zachowali się spokojnie, i ufali w opiekę Boga. Zalecali im, aby nie uderzali na Kartaginę, lecz żeby zostali w domach i gotowi byli odeprzeć napaść pospółstwa Missuri. Przy tym liście były dwa przypiski. Jeden Tomasza Ford rządcy i naczelnego dowódcy Stanu Illinois, w którym tenże wzywa Mormonów, aby trzymali się ostrożnie, dopóki nie przysze im dostatecznej siły, coby ich obronić mogła. W drugim przypisku, p. M. R. Deming, generał brygadyer wojska Illinois, upomina Orsona Spencer, jednego z dwunastu apostołów mormońskich, aby rozsądnie postępowali, bo tym tylko sposobem unikną zniszczenia. Brygadyer tłumaczy się, że nie było go w mieście, gdy popełniono to okropne zabójstwo, którem brzydzi się trzy czwarte części mieszkańców Missuri.

Nazajutrz zwołano legię mormońską, stała pod bronią aż do trzeciej po południu, czekając na zwłoki Józefa

i Hirama Smithów. Około trzeciej godziny, orszak pogrzebowy nadciągnął, otoczony niezliczonym tłumem ludu. Uroczystą cześć oddano obudwu zabitym, uważając ich za męczenników. Mowę pogrzebową miał doktor Ryszard, a potem czterech innych mówców mormońskich przemawiało do ludu i wzywało go, aby zachował się spokojnie. To niezmierne zgromadzenie, postanowiło odwołać się do rządu i domagać się kary za tak zuchwały zamach. Rządca Ford usiłował usprawiedliwić się, lecz bardzo trudno mu to przyszło. Obawiał się, aby Mormonowie nie powstał całą masą, i wysłał dwóch swoich oficerów do Nauvoo, dla przekonania się o usposobieniu obywateli. Poleciał im także, aby udali się do Warszawy ¹⁾, gdzie zgromadziła się milicya nieprzyjatelna Mormonom. Rada miejska w Nauvoo, za przybyciem tych oficerów uchwaliła jednomyślnie, że Mormonowie, jako zgromadzenie ludzi jednej wiary, będą usiłowali utrzymać spokojność i porządek w hrabstwie przez nich zamieszkałem, dopóki rządca będzie udzielać im opieki prawami zaręczonej. Ponieważ oddali broń, którą im rząd powierzył, proszą gubernatora żeby podobnie rozbroił ich przeciwników. Przysięgają nie mścić się za śmierć Józefa i Hirama Smithów i sami nie zrobić pierwszego zaczepnego kroku.

¹⁾ Miasta w nowo zaludnionych Stanach Ameryki Północnej, mają nazwiska miast starożytnych i cenniejszych Europejskich. Jest tam Kartagina, Madryt, Warszawa i t. d., i t. d.

Rada Mormonów wydała odezwę do mieszkańców Nauvoo. Wyraziła w niej, jak to zwykle piszą, że krew zabitych naczelników utwierdziła ich wiarę i dowiodła, że jest czysta i święta.

W dwa tygodnie potem wyszedł adres do Mormonów znajdujący się we wszystkich częściach świata. Adres ten pokrzepiał ich nadzieje, uspokajał obawę i przyrzekał w imieniu Boga, rozszerzenie się królestwa świętych po całym świecie. Zalecał przy tém jedność, wytrwanie i wzajemną pomoc, nareszcie wzywał ich aby wszelkimi siłami i ofiarami przykładali się do zbudowania świątyni Pana. Józef Smith chociaż wydarty temu światu, trzyma klucze królestwa świętych i trzymać je będzie na wieki. Nareszcie zalecał Mormonom, aby nie mieszcza li się w politykę, ani do wyboru prezydenta Stanów Zjednoczonych, a myśleli tylko o własnych sprawach społecznych i religijnych. Adres ten podpisany był przez Brighamą Junga, prezydenta dwunastu apostołów, który w krótkce został naczelnikiem sekty. „Nie ma już między wami żywego proroka i przewodnika waszego, mówi on, lecz macie apostołów, którzy zarządzają kościołem, mają władzę daną od Boga, obdarzeni są nadzieniem Ducha Świętego i będą wznosić królestwo na tych samych podstawach, jakie Józef Smith położył.”

Po zgonie Smithów, Sidnej-Rigdon chciał zająć miejsce proroka. Był on jak już powiedzieliśmy, przez długi czas pomocnikiem Józefa i lepiej niż ktokolwiek inny wiedział o prawdziwości owej księgi z blach

złotych składającej się. Lecz jego nauka o *małżonce duchowej*, prawie wszystkich zniechęciła przeciw niemu. Święci, pod kierunkiem Birghama Junga, który posiadał więcej stronników, uznali, że objawienia Sidneja są fałszem i dążą do obalenia kościoła. Wezwano go przed sąd dwunastu apostołów 15-go Września 1844 r. w dzień tygodni po śmierci Smitha. Większością głosów Sidnej-Rigdon uznany był za odstępcę i wyłączony ze zgromadzenia. Lecz Sidnej zachował się z umiarkowaniem, nie narobił zgorszenia i zebrał zgromadzenie ze swoich stronników złożone. Mormonowie, bardzo dobrze uczynili, że obrali naczelnikiem Birghama Junga, gdyż pod jego zręcznym kierunkiem, mieli zdobyć jeszcze świetniejsze stanowisko, nie tylko jako sekta religijna, lecz jako obywatele Stanów Zjednoczonych. Nie nastąpiło to jednak bez nowych klęsk i prześladowań.

Po śmierci proroka, przeciwnicy Mormonów zwolnili cokolwiek i przez rok było spokojnie. Jung posuwał gorliwie budowę świątyni w Nauvoo, aby zadosyć uczynić objawieniu Smitha i przekonać niedowiarków nie tylko o prawdzie jego misyi, lecz i o potędze, wytrwałości i zasobach jego wyznawców. Odzyskali odwagę; mnóstwo przechodziło na ich wyznanie. Ci z Mormonów, którzy posiadali grunta w innych Stanach, przedawali je i ciągnęli do Illinois. Zapaleni sektarze głosili, że sprawdzają się proroctwa i że wkrótce posiedzą panowanie nad światem, a tymczasem nad krajem Illinois. Obudziła się więc uśpiona nienawiść. Prześladowanie urządo-

no systematycznie przeciw całej sekcie. Pod pozorem, że mógł wmieścić się do nich jaki człowiek złej reputacji, zbieg, bankrut, wypędzony z innych zgromadzeń religijnych, głoszono, że wszyscy Mormonowie są jego współnikami, że są stokiem złodziejów, morderców, fałszerzy pieniędzy, i że można jak najgorzej obchodzić się z nimi. Zaczęto rabować ich domy, podpalać żniwa. Okazywano im, że nie będą mieli spokojności, dopóki nie opuszczą okolicy Nauvoo, a nawet i całego kraju Stanów Zjednoczonych. Daremnie niektórzy urzędnicy chcieli przypomnieć ludowi, iż konstytucya zaręcza wolność wyznań. Odpowiadano na to, że fanatyzm, niemoralne zasady Mormonów i ich religijne nauki, przez pół żydowskie, przez pół pogańskie, wykluczają ich z pod prawa i opieki tolerancyi. W dziennikach i z ambongłoszono, że są sektą przeciwną chrześcijaństwu i porządkowi społecznemu. Przekonali się, że są wyjęci z pod opieki prawa, bo żaden wyrok na ich stronę wydany, nie mógł być wykonanym; nie mogli odwoływać się do tego, że są obywatelami i właścicielami; agdy pospółstwo rzucało się na nich, to milicya zamiast ich bronić, stała bezczynnie, a nawet tamowała prawną osobistą obronę.

Naczelnicy zgromadzili się w Neuvoos i po żywych rozprawach zgodzili się, iż emigracya była jedynym środkiem ratunku dla ludu Bożego, jak niegdyś dla Żydów pod wodzą Mojżesza. Manifest wydany w imieniu wielkiej rady kościoła, oznajmił, że święci przesiedlą się w pu-

szcze krainy Oregon, z zastrzeżeniem praw obywatelstwa amerykańskiego.

Spodziewali się Mormonowie, że im za tę uległość pozwolą, aby na pewien przeciąg czasu pozostała część ich rodzin i zajęła się wyprzedają gruntów i innych własności. Mieli także i tę myśl, że owa tylna straż emigracyi będzie mogła być obecna na poświęceniu świątyni w Nauvoo, która, mimo tego że ją mieli opuścić, jest zawsze dla nich symbolicznym gmachem, w którego fundamentach ukryty jest węgielny kamień ich wiary.

Wielka wędrówka do pustyni Oregonu, zaczęła się w Styczniu 1846 roku. Na początku tego zarysu, daliśmy obraz spustoszenia miasta Nauvoo i ciężkiej wędrówki tych sektarzy przez stepy Ameryki.

Zabierając się do tej wędrówki, wysłali wprzód ludzi zdolnych którzyby zbadali okolice przy źródłach rzeki Missouri i krańce Kalifornii. Ci wysłańcy zdali tak korzystną sprawę o wielkiej dolinie Jeziora Słonego, że rada apostołów wybrała ją za stanowcze siedlisko. Na wiosnę 1847 roku stu czterdziestu trzech pionierów wyruszyło naprzód i przygotowało drogę dla reszty wychodźców.

Mormonowie doszli nareszcie do kresu swojej długiej pielgrzymki. W czasie podróży poznali tém lepiej potrzebę wzajemnej pomocy. Jung następca Smitha, umiał z tego zręcznie korzystać. I jego umysł rozwinął się także, przez wykonywanie władzy i walkę z przeciwnościami. Stał na czele ludności z rozmaitych żywiołów złożonej,

lecz ożywionej jednym duchem i podległej jego władzy duchowej i świeckiej. Na głos jego pustynia zamieniła się w obszerny ul, do którego każdy robotnik znosił na ofiarę swoją czynność, przemysł i zasoby. W przeciągu dni pięciu, wspólne pole poświęcono, otoczono palisadami, uprawiono i zasiano. Miasto namiotów i szałasów, wznesło się w jednej niemal chwili, a po nim wkrótce zbudowano miasto z drzewa i cegły, i warownią, która by je broniła od napaści. Widok ten byłby wzruszył najobojętniejszych widzów i mówią nawet, że niektórzy Indianie z pokolenia Utah, uderzeni widokiem takiej czynności i zgody, przyłączyli się do nich. Pierwszego roku po osiedleniu się, Mormonowie wielką nędzę wytrzymać musieli. Ostatniego miesiąca przed żniwami, taki był brak żywności, że aż skórę pobitych zwierząt gotowali, i kopali korzonki pożywne, o których dowiedzieli się od Indian. Pola piękny wróżyły urodzaj, gdy w tém chmary czarnych chrząszczów, spuściły się z gór i zagroziły zupełnem zniszczeniem plonów. Lecz jednocześnie dzikie gromady ptaków z gatunku Łysek przyleciały i pożarły ten owad, który jest dla nich najmilszym pożywieniem. Od tego czasu corocznie przylatują i czynią tę samą przysługę, i tak się zpoufaliły z ludźmi, że latają koło domów jak nasze gołębie.

Przestrzeń ziemi nad jeziorem Słonem dostarcza zboża więcej niżeli potrzeba do wyżywienia ludności ciągle wzrastającej, a że z tego jeziora wypływa rzeka wpadająca do Oceanu, w porcie San Francisco w Kalifornii,

Mormonowie są dotąd najbliższą osadą tej złotodajnej krainy i kopacze złota są bardzo szczęśliwi, że od nich mogą sprowadzać żywność. Tak więc, przez stosunki handlowe, Mormoni mają udział pośredni i bez pośredni w zyskach kopalni.

Terytoryum Utah, Deseret, czyli wielka dolina Słonego jeziora, na obszernej przestrzeni zaledwie ma dziesiątą część gruntów zdolnych do zasiewu zboża. Grunta rozdzielono między robotników, którzy zaraz od początku stali się ich wyłącznemi właścicielami. Niesłusznie zatem wystawiono Mormonów jako zebranie komunistów: to rzecz pewna, że oprócz prywatnych własności, są obszerne wspólne pastwiska i że całe terytoryum nazywa się własnością Pana. Każdy ma w nim część, stosownie do potrzeby rodziny swojej i ilości rąk do pracy, każde nabycie zawarte jest za rękojmią zwierzchności. Jeżeli rząd sprzedaje, to bierze opłatę na rzecz skarbu publicznego; jeżeli zaś prywatny, to tylko ma prawo żądać tyle, ile sam zapłacił i wynagrodzenie za poczynione ulepszenia. Wszelkie nabycie gruntów w celu spekulacyi, zakazane jest pod klątwą.

Najpiękniejszą stroną stowarzyszenia Mormonów jest ta zasada, że pracujący jest uczczony, a człowiek bezczynny uważany jest za nie potrzebnego, za przełamującego ustawy religii, za buntującego się przeciw Bogu, który wyrzekł: „Kto pracuje ten się modli.” Do tej maxymy Mormonowie przydali wniosek: „Kto się nie modli (to jest kto nie pracuje), sam się wyłącza ze zgromadzenia

świętych.” Tak więc praca jest częścią obowiązków kapłaństwa; xiądz i biskup pracuje w niedzielę nauczając lud, a przez cały tydzień daje mu przykład pracy.

Deseret, miasto wielkiej doliny jeziora Słonego, nowy Syon pustyni, porządnie jest zbudowane, podzielone szerokimi równoległymi ulicami, przy których po każdej stronie są chodniki, wysadzone drzewami i odwilżane strumykami. Oprócz Deseret są jeszcze cztery miasta mniejsze, a nowe osady wznoszą się z pośpiechem w miarę wzrostu ludności.

Skoro tylko osuszono dolinę jeziora Słonego i miasto w połowie wybudowano, Brigham Jung ogłosił, że ma grunta dla wszystkich, którzy je uprawiać zechcą. Przydał, iż należy ile możności przywieźć z sobą instrumenta rolnicze, nasiona zbóż i roślin. „Przybądźcie święci wszystkich narodów, mówi w odezwie swojej: przyjdźcie dopomóżd nam w założeniu królestwa Bożego! Królestwo to polega na zasadach cnoty, i jakiegokolwiek wyznania jesteście, choćby nawet machometanie, przybądźcie, skoro zechcecie uznawać bóstwo Jezusa Chrystusa i bronić naszych towarzyskich ustaw, przyjmujemy was jako braci i będziemy braćmi waszemi, *bo wiara religijna jest sprawą pomiędzy duszą człowieka a samym Bogiem.*”

Trudno wytłumaczyć sobie sprzeczności w tej odezwie zawartych, ostatnie jej wyrazy wskazywałyby, że Brigham Jung gotów jest przyjąć wszystkich, nawet tych, co nie wyznają religii mormońskiej.

I dla tego to ogłosił jednocześnie zasady konstytucyi cywilnej, która łączy Mormonów z związkiem Stanów Ameryki północnej i otwiera drogę do przyjęcia tego kraju w liczbę Stanów dotychczas istniejących. W konstytucyi tej oświadcza, że gdy Stany Zjednoczone nabyły przez traktat zawarty z Meksykiem, Kalifornią i całą pustą przestrzeń aż do krańców Stanów dawniej urządzonych, a w tej pustyni nie założyły żadnych osad i nie zaprowadziły rządu, przeto Mormonowie osiedlwszy się na tej przestrzeni, zakładają Stan i nazywają go Deseret, a granice tego Stanu oznaczają bardzo obszerne. Lecz kongres nie przystał na to. Siedlisko Mormonów nazwał Utah i przyznał jako ich posiadłość samą tylko wyżynę otoczoną górami. Uchwałą z roku 1850 nadał im rząd terytoryalny a Brighamowi Junga mianował rządcą; wyznaczył także sześć innych osób na posady sekretarza, wielkiego sędziego, sędziego-referenta, prokuratora, adwokata generalnego i marszałka Stanu. Z liczby tych siedmiu urzędników, czterech należy do sekty Mormonów.

Teraźniejsze siedlisko Mormonów jest jedno z najbardziej zajmujących w Ameryce pod względem geograficznym. Wyniesione jest na 4,000 stóp nad powierzchnią morza. Z tego to właśnie miejsca, biorą początek największe rzeki Ameryki północnej, z których jedna wpada do Oceanu Spokojnego, a druga do Meksykańskiej zatoki.

Jeżeli jakie terytoryum zostające pod opieką Stanów

Zjednoczonych, ma być uważane jako Stan i przyjęte do Związku, to ludność jego wynosić powinna przynajmniej sześćdziesiąt tysięcy dusz i dla tego to Brigham Jung tak wzywa i zachęca do osiedlania się w kraju Utah. Wychoźcy mormońscy składają się w ogólności z ludzi pracowitych, wytrzymałych i dobrze prowadzących się. Zachowują się przykładnie podczas emigracyjnej żeglugi i zaraz z początku wybierają prezydenta i komitet, który nimi rządzi przez cały czas przeprawy.

Korrespondent dziennika *New-York Tribune*, pisze, że osada Mormonów jest największą ze wszystkich tego-czesnych rzeczy-pospolitych. Tenże correspondent jest bardzo zachwycony pięknością, uprzejmością i wykształceniem dam mormońskich połączonem z prostotą. Nie tyle chwali talent pana Brighama Junga. Był słuchaczem jego mowy mającej za przedmiot politykę, a bardziej religią, filozofią i złoto wydobywane w Kalifornii. Pan Brigham w nauce tej przypomniał, że szczyblem bogactwa i potęgi Anglii są jej węgle kamienne, rudy żelazne, przemysł, przeciwnie zaś złoto i srebro stały się powodem dla Hiszpanii i Ameryki hiszpańskiej ubóstwa, słabości i upadku.

Wszyscy słuchacze uznawali trafność tych uwag i gotowi byli cierpliwie zajmować się rolnictwem i przemysłem, chociaż niedaleko posiadłości Mormonów są góry złotodajne. Mówca zręcznie wystawia upadek, który zagraża Stanom Zjednoczonym z powodu ich żądzy złota. Nie lęka się przepowiadać upadek narodu, który zabija

proroków Bożych, wydziera świętym ich własność, pali, burzy ich miasta i wygania ich w pustynie. Złoto będzie narzędziem kary tego ludu.

Jednakże zakończył tem oświadczeniem, że jeżeli Mormonowie przyjęci zostaną jako Nowy Stan do Związku, będą mu posłuszni mimo jego zepsucia i nadużyć. „Lecz nie prosimy ich o żadną łaskę, niech jak zechcą, przychylią się do naszego żądania lub je odrzucą. Jeżeli zezwolą na to co nam się z prawa należy, tem lepiej; w przeciwnym razie, nie zdołają nam więcej złego wyrządzić nad to, które już wyrządzili. Stany Zjednoczone, jak Mormonowie, jak wszyscy ludzie, zostają w mocy potężnego Boga, który rządzi ludźmi dla ich ostatecznego dobra.”

Taka była treść tej mowy naczelnika Mormonów, przydaje korespondent: „Sektarze nie wygaśli, jakby się komu zdawać mogło. Duch światłości i wytrwania ożywia tę ludność i zrodzi się z niej wśród tych gór środkowej Ameryki, plemie niezależne, przedsiębiorcze, które kiedyś będzie mogło wywrzeć największy wpływ na losy Związku a może i świata. Widząc tę silną cywilizacyą tak nagle rozwiniętą wśród pustyni, doznałem niepojętego zbiegu różnorodnych uczuć. Chciałem aby to wszystko było marzeniem.”

Pomimo pogardy pana Brigham Junga dla złota: które dobre jest tylko do brukowania ulic i pokrywania dachów, mówi on: zdaje się, że Mormonowie bardzo szczęśliwie wydobywali złoto w Kalifornii,

tak dalece, iż odłożyli 94,000 uncyi złota, dla zapomnienia swoich współwyznawców ubogich i rozproszonych po Anglii i w Ameryce. Już nowy Stan mormoński Deseret zaczął bić monetę. Sztuki są pięcio-dollarowe, z czystego złota kalifornijskiego, mniejsze lecz cięższe od suwrenów angielskich. Na jednej stronie jest oko Jehowy i czapka podobna do mitry, z napisem w około: *Świętość Pana*. Po drugiej stronie, dwie ręce złączone i wyraz *Pięć dollarów*; — z podobnemi godłami są także sztuki, dwa i pół dollarów wartujące.

Systematem rządu, ustanowionego przez Brighamą Junga, następcy proroka Smitha jest *Themodeokracja*. Prezydent duchowny jest zarazem prezydentem świeckim czyli cywilnym. Jung wydaje swoje rozkazy w kształcie listów apostoelskich czyli proroczych objawień; ma podobnie jak Józef Smith, doradców i podaje swoje objawienia zgromadzeniu prawodawczemu, które może zmienić je o tyle tylko, aby ich wykonanie ułatwić.

Jakie następstwa wynikną, gdy liczba Mormonów czyli *Świętych dni ostatnich świata*, będzie tak liczna, iż przewyższy pojedyncze sekty protestanckie, trudno przewidzieć. Tymczasem w skutku odezw i udzielanych pomocy, ich liczba coraz się powiększa. Chwałą się: było to w roku 1853: że ich jest przeszło trzy kroć sto tysięcy, tak w Ameryce jak w Europie.

Nie łatwo streścić dogmata religii opartej na niedorzecznym romansie i modyfikującej się objawieniami stosownie do okoliczności. Jest to mieszanina judaizmu,

pierwotnych instytucyi chrześcijańskich, gnostycyzmu, platonizmu, zmysłowości muzułmańskiej i dogmatów Zoroastra i Pitagoresa. Ich kapłani zaledwie umieją czytać i pisać. Ogół prawie nic nie wie o początku własnej sekty; lecz ślepo jest do niej przywiązany, bo mu z tym dobrze. Z xiąg mormońskich można przecież tyle wyczytać, iż wierzą w Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, której to Trójcy niebieskiej, jest obrazem na ziemi prezydent i dwaj jego koledzy. Wierzą w chrzest, i wykonywają go przez zanurzenie, lecz z tym dodatkiem, że chrzczą umarłych, podobnie jak żywych, to jest chrzczą dusze rodziców i przyjaciół, umarłych przed czasem objawienia Józefa Smitha. Wierzą w zmartwychwstanie ciał, lecz zmartwychwstanie *bez krwi*, przez co ich zmartwychwstali podobni będą do widziadeł. Jednakże przed sądem ostatecznym cieszyć się będą drugim życiem na ziemi przez lat tysiąc. Oprócz chrztu, Mormonowie zachowali sakrament komunii pod dwoma postaciami, lecz nie przypuszczają transsubstancacyi. Co do sakramentu małżeństwa, już powiedzieliśmy, że podług ich przekonania, podwoili jego świętość przez przyłączenie małżonek duchownych, do małżonki domowej. Xięgi teologiczne Mormonów są: *Xięga Mormonów*, *Nauki Zborów*, *Głos niebieski*, *Odbicie Ewangelii*, *Objawienia* szczegółowe przez Józefa Smitha ogłoszone i *Ogólna Xięga Listów* Prezydenta Stanu Deseret, będąca dalszym jej ciągiem. Największa część Mormonów składająca się z wychodźców angielskich, mianowicie wieśniaków z księstwa Wal-

li, sprowadzona obietnicą nadania roli albo lepszej zapłaty, nie ma o tych خیگach najmniejszego wyobrażenia. Rzeczywisty byt dobry zatrzymuje ich w tej osadzie i wiąże z naczelnikami sekty. Praca jest istotnem ogniwem towarzyskiem tego ludu, a w kwestyi materyalnej musi go połączyć prędzej czy później z wielką rzeczą pospolitą Amerykańską. Ich nowy naczelnik dąży jak najgorliwiej do tego celu i na tem ogranicza dumę swoją.

Mormonowie mają dzienniki polityczne i religijne, a w nich jest wszystkiego po trochu, są nawet anegdoty i wierszyki, lecz wszędzie zachowują ścisłą przyzwoitość, a poezya z podpisem kobiety: J. K.... Snow, technie najczystsze dziewiczą pobożnością. Są tam także doniesienia handlowe, obejmujące adresa kupców papieru, kapeluszników, modniarek, perfuniarzy, nawet fryzerów i cyrulików. Artykuły poważnej treści traktują o prześladowaniach wycierpianych w ziemi niewiernych, a inne pochodzące od rządu, donoszą o postępie budowy świątyni, do której założono fundamenta i sprowadzono ciosane głazy. Kamienie węgielne nowego kościoła są założone o szesnaście stóp głęboko, aby rabusie lub wi-chrzyciele nie wydostali je z ziemi. Odezwa zachęca wszystkich mormonów, aby składali ofiary na wzniesienie przybytku Panu.

Taki był stan Mormonów do końca roku 1853. Spodziewamy się, że będziemy mogli donieść czytelnikom,

co zaszło przez następne dwa lata. Ich historia obfituje w dziwne przemiany i koleje losów chociaż krótki przeciąg czasu zawiera. Zdaje się, że dalsze ich dzieje będą jeszcze ważniejsze. Mnóstwo sekt w Ameryce, niemal w proch rozsypało protestantyzm w tej części świata. Czyliż na jego miejsce, powstanie władza jednolita, teokratyczna i polityczna razem?

F. S. D.

CÓRKA ROTMISTRZA
POWIEŚĆ

przez **F. S. D.**

CÓRKA ROTMISTRZA

POWIEŚĆ

przez F. S. D.

— Już też tego za nadto! rzekł pan Junosza wchodząc do izby, mocno zatrzęsawszy drzwiami za sobą. To nadto! nie wytrzymam dłużej. Ja się z tym panem Sobiesławskim po staropolsku rozprawię. Wezmę karabelę, pójdę na granicę; a kto mi się wtenczas z Zalesia nawinie, temu uszy poobcinam. Nauczę ja rozumu tych napastników.

— Ale kochany ojczy nie zapalaj się tak bardzo, rzekła panna Katarzyna, jego córka, która widząc tak rozgniewanego ojca, to bladła, to czerwieniła się kolejną. Cóż się stało?

— Co się stało? Co się stało? Oto znowu kochani nasi sąsiedzi rozórali mi dwa zagony roli. Co raz to dalej

co raz to dalej wdzierają się w moją chudobę. Czyli ich folwark nie jest trzy razy większy od mojej biednej osady? Ale ja nie mam pieniędzy na sprowadzanie podśędków i płacenie jurystów. Jak mi cierpliwości zabraknie, to sam sobie sprawiedliwość wymierzę, niechaj się potem wola Boża dzieje.

— Ależ ojciec uspokój się, nieśmiało odpowiedziała córka. Pan Władysław przyjedzie do nas wieczorem, to.....

— Przerwał jej mowę rozjątrzony ojciec. Pan Władysław niechaj lepiej nie zagląda w moje progi, bo go nareszcie, i niegrzecznie wyproszę. Jakie drzewo taki klin, jaki ojciec taki syn, mówi przysłowie: a ja nie potrzebuję, aby syn złego sąsiada moje biedne kąty odwiedzał.

— I cóż temu winien Władysław, że jego ojciec jest taki uparty, i koniecznie uroił sobie, że jego granica powinna iść w prostej linii aż do tego wzgórką na polu, który on starym kopcem nazywa? rzekła Kasia ze łzami w oczach. Wszakże on nie raz przed wami ojciec narzekał na to i mówił, że gdy mu ojciec wioskę wypuści.....

— Czekaj tatka latka, moja panno, rzekł zagniewany starzec, wypuści czy nie wypuści, to jeszcze wiele o tem gadać. Ale waści ten pan Władysław strasznie przypadł do serca. Wybiłabyś go sobie z głowy, bo na co to zaprzętać się próżnemi myślami. On jednak, jemu rodzice bogatszej wyszukają żony, a ja dopóki chociaż mi jedną skibę moje

zatrzymywać będą to niech mię.... Boże odpuść, pierwaj wszystkie kule niemieckie dosięgną, niżeli w jakiegolwiek związki z panem Sobiesławskim wejść. Młoda jesteś dziewczyno, to jeszcze nie wiesz co to znaczy skibaroli dla starego szlachcica. Nie idzie tu o snopek żyta, co go z niej sprzątną; jeszcze przecie z głodu nie umrę; ale wstyd, ale żal moja panno, kiedy kto po sobie przewodzki dozwoli, ale to ja tej ziemi nie wyfrymarczyłem, nie złupiłem z niej nikogo; z dziada pradziadają posiadam. Tą miedzą graniczną oni chodzili, tą miedzą chodził mój rodzic, tą i ja do śmierci chodzić muszę, albo ze mną i z wioską, niechaj się wola Boża stanie. A tak więc pan Władysław ostatni raz dziś do naszego domu zawita.

Wygadawszy się pan Junosza, stopniami ochłonał z gniewu; siadł nareszcie i nalał sobie porządną szklanekę piwa.

— Któż nam w tenczas będzie przywoził gazety? rzekła przebiegła jego córeczka, i zkadże dowiemy się co słyhać na świecie?

— Gazety, toż to owe nieszczęśliwe Gazety może i mnie i ciebie nie mało spokojności kosztować będą! Żeby nie Gazety niebywałyby u nas pan Władysław, a ty.... Cóż to płaczesz? rumienisz się? O widzę ja co się wtwojém sercu dzieje, ale czem prędzej, tem lepiej. Przecież ty nie jesteś dzieckiem, i ja zawsze spodziewałem się, że trochę mocniejszy mieć będziesz umysł, niżeli inne kobieciny.

No Kasiu patrz wesoło. Chłopców nie brak i tobie jeszcze lata nie zeszły.

Nie odpowiedziała Kasia na tę gorzką pociechę, ale widać było, że nie podziela ojcowskiego zdania. Wychowana podług dawnych obyczajów, obdarzona sercem prostym, umysłem rozsądnym, poskromiła wreszcie żal swój, a całując ojca w ramię, rzekła: iż potrafi zastosować się do woli Bożej i ojcowskiej. Posiedział jeszcze trochę Junosza, dopił swojej szklenicy, a potem wyszedł do stodół. Smutna Kasia wzięła igłę do ręki i kończyła zaczęłą robotę, ale wzdychała często, i nie raz łza upadła na płócienko, które w rękę trzymała.

Gdy tak oboje zajęci są pracą, tymczasem zapoznajmy się lepiej z osobami główną rolę grać mającemi w tem obrazku.

Pan Rotmistrz Junosza szlachcic z dawnego Brzesko-Kujawskiego W-dztwa, przeszło pięćdziesiąt kilka lat mający, stary żołnierz, człowiek w gruncie serca najpoczciwszy, otwarty, ludzki, trochę uparty, był wiernym obrazem charakteru polskiego, jaki postrzegamy u tych ziomków naszych, na których wpływ cudzoziemczyzny i wyższego tonu nie działał. Świątce przestrzegał owej dawnej maxymy: *Szlachcic na zagrodzie, równy Wojewodzie*. Strzegł swego najtroskliwiej, kochał kraj i wszystko był gotów dla niego poświęcić. Syn rodziców nie wielką posiadających wioskę, w prowincjonalnych szkołach odebrał wychowanie i nie nabył wcale tego wykształcenia, które za Stanisława Augusta już panowało

w stolicy. Za młodu wszedł do wojska, ale kilka lat posłużywszy, po śmierci ojca wrócił objąć gospodarstwo i wszedł w związki małżeńskie. Nie był w nich szczęśliwym, dwóch synów w dzieciństwie utracił, a przy trzecim dziecięciu (którem to była znana już od nas panna Katarzyna) umarła mu żona. Nieszczęście to uczyniło mu nie miłym jego ojczyste ustronie.

Gdy w roku 1790 naród pomnażał liczbę swoich obrońców i zewsząd dawnych żołnierzy zwoływał, porzucił Junosza gospodarstwo, zostawił córkę pod opieką swojej matki i znowu zaciągnął się do wojska. Służył w niem aż do ostatniej chwili, poczem wrócił do domu, z bliźną na twarzy i ozdobą wojskowego krzyża; od tego czasu siedział w swoim Chlebowie, i żył tak jak cała szlachta w owym czasie. Gospodarował, pytał się co tam słychać, kiedy niekiedy wyjechał na jarmark; a córce swojej, która wychowała się w domu pod okiem babki, opowiadał swoje przygody i utarczki żołnierskie; czytał jej i tłumaczył dzieje nasze: bo chociaż Junosza nie był literatem, jednakże kilka kronik polskich, życie Czarnieckiego i Sobieskiego leżało u niego na półce.

Panna Katarzyna już zaczęła dwudziesty rok życia; nie była to owa piękność z romansów, omdlewająca, delikatna, o jakiej już tyle razy nasłuchali się czytelnicy. Dziewczyna słusznego wzrostu, hoża, gospodarna, rządziła domem ojcowskim, wychowana po prostu, nie znała świata, a ciągle z ojcem tylko żyjąc, jego opowiadań

o żołnierce i historyi Czarnieckiego i Sobieskiego tyle razy słuchając, przejęła sposób myślenia i wojenny charakter Junoszy.

Tak przez lat kilka spokojne pędzili życie, nie go nie klóciło, prócz wojennych ofiar i ciężarów, które w owym czasie wszyscy obywatele znosić musieli, i chętnie składali pocieszając się nadzieją lepszej przyszłości. Dokucał im także spór o granicę z panem Sobiesławskim, dziedzicem dóbr przyległych. Spór ten jak już widzieliśmy, lubo o rzecz małą chodziło, jednakże coraz bardziej rozjątrzał Junoszę.

Sobiesławscy jedynego tylko mieli syna, Władysława. W roku 1806 gdy cała młodzież spieszyła pod chorągwie, pragnął Władysław, który właśnie kończył szkoły w Warszawie, zaciągnąć się do wojska, ale rodzice nie chcieli jedynaka na niebezpieczeństwo narażać, i powagą ojcowską zatrzymali go w domu. Z żalem więc, niecierpliwy młodzian, musiał czas trawić nieczynnie w domu: Z westchnieniem i ze łzami czytał: jak towarzysze, lub rowiennicy jego, znajdowali świetne laury albo też śmierć chwalebną w odległej Hiszpanii.

Przyjechawszy na nabożeństwo do parafialnego kościoła, spotkał się u xędza Proboszcza z Junoszą, który tam zwykle, jeżeli sam był na nabożeństwie, po mszy na pogadankę i kieliszek wódki przychodził.

Widywał go wprawdzie Władysław przed ośmioma laty, nim go rodzice do szkół wysłali, ale wtenczas dzieckiem będąc, nie zwracał uwagi na uboższego szlachcica.

Teraz dla młodziana wzdychającego za służbą wojenną, nie mogła byc obojętna; znajomość starego żołnierza który jak o tem słyszał z daleka Władysław, był na wszystkich ostatnich wojnach, znał wszystkich ukochanych wodzów z owego czasu, pan Junosza zagniewany na starego Sobiesławskiego, obojętnie powitał Władysława i unikał jego znajomości. Wszczęła się rozmowa o polityce jak zazwyczaj.

Wielmożny panie Władysławie, rzekł xiądz proboszcz, waćpan to powinienes nam przecie coś nowego powiedzieć, bo i Gazety zawsze czytasz i przecież bywasz często w domu pana kasztelana? Zaspokoił ciekawość ich Władysław, opowiedział im o najnowszych zdarzeniach w Hiszpanii, która wówczas na stałym lądzie była miejscem wojny; z zapałem mówił o zdobyciu wąwozów Somosiera, gdzie tyle młodzieży naszej chlubny zgon znalazło; a szlachetne uczucia jego, ułagodziły cokolwiek Junoszę.

W parę dni potem, Władysław z nudów i tęsknoty, wziął strzelbę i wyszedł na polowanie. Zapędziwszy się aż pod samą granicę Chlebową, spotkał starego chorążego, który właśnie wyszedł na miejsce będące przedmiotem ciągłego sporu z Zalesiem. Uprzejmie i z uszanowaniem powitał go młodzieniec, a Junosza ukłon za ukłon oddając rzekł: No dobrze, że też tu waćpana spotkałem, osądź sam kto ma słuszość czy ja, czy ojciec waćpana? Pójdź ze mną, pokaże ci wyraźnie kopce w obu końcach między stojące, a ojciec waćpana koniecznie utrzymuje że jeden z nich jest to wywrot od starej sosny.

— Uwolnij mię od tego sądu mości rotmistrzu: nie mogę być sędzią, tam gdzie uszanowanie należne ojcu, a szacunek jaki dla Waćpana dobrodzieja powziąłem, nakazuje mi tylko milczyć i żałować, że taka fraszka jątrzy i rozdziela dwóch zacnych obywateli, którzyby powinni dać przykład zgody i sąsiedzkiej przyjaźni.

— O! nie fraszka to wcale mości Władysławie, ja niczyjego nie pragnę, a Waćpana ojciec chociaż bogatszy i możniejszy..... ale prawda, zapomniałem się, winienem mieć wzgląd na przywiązanie synowskie, i Waćpan temu wcale nie jesteś winien. Cóż tam nowego? ó tym lepiej pogadajmy.

— Mam właśnie przy sobie gazety ostatnią pocztą nadesłane, odpowiedział Władysław, jeżeli pan Choraży pozwoli, moglibyśmy je pod tą gruszką przeczytać.

— A no, to proszę do mojego domku, niedaleko ztąd kilka staj, a u mnie panie Władysławie chociaż ubogo ale chędogo. Zresztą nachodziłeś się na polowaniu; słońce się wzbilo, daleko masz do domu, to nie pogardzisz małym wiejskim śniadaniem.

Przyjął Władysław to niespodziewane a tak miłe zaproszenie.

Wstąpiwszy w dom Rotmistrza, znalazł w nim nietylko tę skromną i szlachetną czystość, o której mu pan Choraży wspominał, ale obok tego zastał, czego się nie spodziewał, a raczej o czém nie myślał wcale przy pierwszej znajomości z Junoszą, młodą i przystojną dziewczynę.

Pogoda duszy, otwartość i prostota, malowały się na jej miłym i szlachetnym obliczu, lekko zarumieniała się na widok nieznanego.

— No Kasiu, rzekł do niej ojciec, przynies nam wódki, masła, chleba, szynki wędzonej i suszonych konfitur, które to sama sporządziła: bo młody panicz co nie dawno z Warszawy przyjechał, musi lubić podobne łakotki. Syn pana sąsiada naszego Sobiesławskiego, odpocznie sobie u nas, po długim polowaniu.

Takim sposobem zaczął bywać Władysław w domu chorążego. Junosza jako zwyczajnie ludzie w podeszłym wieku, lubił rozprawiać o dawnych czasach; Władysław słuchał go z zapalem i mocnem zajęciem: co się staremu tembardziej podobało: a nawzajem obdarzał chorążego nowinami o tegoczesnych zdarzeniach. Ale jeżeli z początku dla samego Junoszy tak często Władysław do Chlebowa przyjeżdżał, to później nie tylko dawne wyprawy i rozmowa ze starym, przyciągała go wto miejsce. Nie od razu, nie za pierwszym rzutem oka, jak to w romansach czytamy, ale powoli, nieznacznie, panna Katarzyna coraz to bardziej zajmowała młodego Sobiesławskiego. Nie znał on jeszcze świata, było to pierwsze uczucie, które w jego młodzięcym sercu powstało, a dobroć, łagodność i uprzejmość Kasi, coraz to bardziej przywiązywały go do niej. Toż samo powiedzieć można i o jej uczuciach; a lubo ta dziewczyna obdarzona naturalnym bardzo zdrowym rozsądkiem, a co rzadsza, mocą duszy, widziała jaki przedział między nią a Władysła-

wem, stanowi różność majątku i niechęć jaką Junosza ku staremu Sobiesławskiemu był powziął, i nie łudziła się zwodniczą nadzieją, jednakże rozmowa i obecność Władysława coraz to dla niej była miłsza, a miłość jak wiemy, często pod zasłoną poufalej znajomości i przyjaźni, tak nieznacznie wkłada się do serca, że je zupełnie ogarnie, nim to postrzedz zdołamy.

Pan Władysław zaczynał przyjeżdżać wcześniej, gdy jeszcze Junosza był w polu, lub gospodarstwem zajęty, aby mieć sposobność mówienia z córką, a chociaż stary nie lubił tego i nawet mu to dał poznać parę razy, Władysław zawsze znalazł jakąś wymówkę. To albo wstępował przejeżdżając tamtędy z sąsiedztwa, albo się zapędził za zającem, albo jaką ważną przywiózł wiadomość.

Gdy horyzont polityczny pomiędzy Francją i Austryą, co raz to bardziej zachmurzać się zaczął, gdy lękano się, ażeby księstwo warszawskie ogołocone z wojska, najpierwej nie wpadło w moc nieprzyjaciela; troskliwość Junoszy coraz była większa, a zatém i coraz częstsze odwiedziny Władysława.

Ale starzy Sobiesławscy postrzegli, że ich syn tak częste z domu odbywa wycieczki, niepodobała się im ta zażyłość syna z panem Junoszą, której skutki przewidzieć mogli. Umyślili ją zerwać. Od niejakiemu czasu, na prośbę Władysława zaprzestali sporu o granicę z Junoszą, i rzecz ta zawieszona została, ale teraz nie chcąc wyraźnie zabraniać synowi, aby w Chlebowie nie bywał,

i lękając się nieposłuszeństwa z jego strony, postanowili Chorążego rozdrażnić tak dalece, iżby ich syna z domu swego sam wyprosił.

Raz więc kazali mu zająć bydło, które tylko przestąpiło parę kroków w krzaki do ich dóbr należące i nie wypuścili aż za opłatą; a nareszcie spędziwszy chłopów rozorali kopiec i miedzę graniczną. Tym sposobem rozjątrzyli Junoszę do najwyższego stopnia i byliby dopięli swojego celu, gdyby nie przeszkodziły mu wypadki nie zależące od ich rozporządzeń.

Już się zupełnie zmierzchno Junosza wydawszy karbowemu rozporządzenia na dzień jutrzejszy; z zasępio-nem czołem siedział i milczał. Kasia również smutna przedła nie mówiąc; gdy nagle tentent konia usłyszeli, a wkrótce pan Władysław wszedł do izby. Lekko skłonił głowę Junosza:

— Witam wielmożnego pana, rzecze: prawdziwie nie-spodziewałem się widzieć go dzisiaj w mojem domu, po-gwałcie, jakiego dopuścił się ojciec WPana.

— Panie Chorąży! przerwał mu Władysław, a na twa-rzy jego nadzwyczajne widać było wzruszenie. Nie czas jest teraz mówić o osobistych zająsciach, kiedy powsze-chnie zagraża niebezpieczeństwo. Teraz niech obywatel obywatelowi rękę poda, niechaj wszyscy zapomną uraz, i spieszą tam gdzie ich powinność wzywa.

— Cóż to znaczy? zapytał się Junosza zdziwiony.

Korpus czterdziesto tysięcy wojska austriackiego,

przestąpił nasze granice, już tylko o mil siedem jest od Warszawy. A nasz zacny dowódzca xiążę Józef, ledwie tylko osiem tysięcy może stawić przeciwko nim. Wezwano wszystkich starych żołnierzy, aby przybywali pod chorągwie; wszystkich obywateli, aby tworzyli dobrowolne zaciągi.

— Głęboko zamyślił się na te słowa stary chorąży; nagłe wzruszenie malowało się w oczach jego córki i przez chwilę trwało milczenie.

— A cóż W Pan uczynisz panie Władysławie? zapytał się Junosza.

— Co? Jutro odjeżdżam do wojska: poproszę ojca o błogosławieństwo; zapewne tym razem nie będzie mię zatrzymywał, a gdyby i chciał nie dokaże tego: pierwszym jest honor i powinność. Biorę z sobą do ośmiu różnych chłopaków, którzy mię kochają jak brata swego, bo razem ze mną przy dworze wzrosli i jadę z niemi do najbliższej komendy. Mamy konie, pałasze i strzelby: o mondury mniejsza.

— Pójdź młodzieńcze, niechaj cię uściskam jak syna, zawołał Junosza. Godzien jesteś przyjaźni starego żołnierza. Twój przykład znajdzie naśladowców. — Zobaczemy się niedługo.

— Jak to? czy i ty panie Rotmistrzu pojedziesz do wojska?

— Alboż to jeszcze nie potrafię robić pałaszem i dosiąść konia, jeszcze przecież szóstego krzyżyka nie skończyłem.

Podczas tej rozmowy tłum uczuć powstawał w sercu Katarzyny, ojciec, kochanek, osamotnienie w jakim po odjeździe ojca zostawać będzie, niebezpieczeństwo najdroższym dla niej osobom zagrażające; wszystko to stało przed jej umysłem.

— Ale czas krótki rzekł Chorąży; i ty Władysławie i ja musimy przygotować się do podróży, a więc rozstać się trzeba.—Może, i dałby Bóg, abyśmy w jednym pułku walczyli.

Wstał Władysław, pożegnał Junoszę i jego córkę i odjechał.

Gdy się pozostali sami, rzekł chorąży.

— Córkę, boli mię to bardzo, że z tobą rozstać się muszę, a może na zawsze. Tu łza jedna spłynęła z jego oka na szanowne lica. Ale smutek niepowinien ogarniać serca; kiedy święta powinność wzywa. Bóg jest nad nami. Jeżeli zginę, przynajmniej zostawię ci małą ale bez długów wioszczyne; to mię zaspokaja.

— Ojczę! Ojczę! zawołała Kasia, ja nie zniosę tego rozstania.

— Musisz poddać się woli Opatrzności. Zaraz po mojem odjeździe pojedziesz z naszym uczciwym karbowym do ciotki; bo tamtędy droga moja nie idzie, i wieleby mi to czasu zabrało. A teraz udajmy się na spoczynek.

Gdy Kasia wyręczając ojca, poszła podług zwyczaju, jeszcze przed wieczorem dom w około obejrzeć, ujrzała starą swoją piastunkę która czekając na nią oddała jej

kartkę papieru. Zdziwiona powróciła do swojej izdebki i wyczytała te słowa:

„Jeżeli wspomnienie moje nie jest zupełnie obojętném dla ciebie Katarzyno, upraszam cię, udając się tam zkad może już nie powrócę, abys chciała przyjąć moje ostatnie pożegnanie. Czekać będę rano po wschodzie słońca przy ogrodzie koło drogi do Zalesia wiodącej.”

Władysław.

Wyrazy te zatrwożyły ją razem i miłe sprawiły wrażenie. Pamięta więc o mnie! rzekła sama do siebie; nie napróżno mówił mi tyle razy o swojej przyjaźni. Ale czyliż mogę udać się na tę schadzke? co powie mój ojciec? Może go już nie zobaczę.... Pierwsza to i ostatnia jego prośba. Te sprzeczne myśli długo jej zasnąć nie dały. Nareszcie miłość przemogła a lekki i przerywany sen zamknął jej powieki.

Pierwsze dopiero promienie zorzy ukazały się na wschodzie, a już niespokojna myśl Katarzyny przerwała jej spoczynek. Usłyszała wkrótce, że i ojciec jej wstał z łoża, i ukląkłszy, zwyczajne modlitwy odmawiać zaczął. Poszła za jego przykładem, ale nie podobna jej było pomięszane uczucia zwracać ku Stwórcy wszech rzeczy. Nareszcie gdy słońce pokazało się na niebie, a Junosza zajął się odczyszczaniem zardzewiałej długiem spoczynkiem broni, wybiegła z domu i stanęła na miejscu, które jej Władysław oznaczył. Już on tam czekał na nią.

— Przebacz śmiałości mojej, droga Katarzyno: zawo-

łał, czule ściskając jej rękę, nie byłbym wymagał od ciebie tego dowodu przyjaźni, gdyby nie ta myśl, że cię więcej nie zobaczę.

— Ale dla czegoż tak smutne przeczucia przypuszczasz sobie do głowy Panie Władysławie? odpowiedziała Kasia. Młody żołnierz, przydała, usiłując udawać wesołość, której w gruncie serca nie czuła: powinien marzyć o zwycięztwach, o chwale, nie zaś o śmierci.

— To prawda, gdybym tylko był żołnierzem, gdyby razem i inne uczucia nie zajmowały serca mego.

— Inne? zapytała się zarumieniona, a razem z lekkim uśmiechem; a cóżby mogło w sercu twojem walczyć z uczuciem powinności. Mylisz się panie Władysławie.

— Ach! zawołał Władysław, zbyt krótkie są chwile, które jeszcze możemy z sobą przepędzić, pozwól niechaj ich użyję na wynurzenie ci prawdziwych uczuć moich... Zamilkł na chwilę jak gdyby nie śmiał mówić dalej; milczała i zatrwożona Kasia; ale najżywszy rumieniec i przyspieszone bicie serca, zdradzały tajemnicę jej duszy.

— Już dosyć długo znam ciebie i mogłem dostatecznie ocenić twoje piękne serce. Nieśmiałem dotąd mówić ci o mojej miłości, przestawałem na słodkim przyjaciela imieniu, ale teraz w chwili rozstania, dozwól niechaj ci wynurzę wszystkie uczucia, niechaj przy nogach twoich zaprzysięgnę ci miłość wieczną. To mówiąc, wziął drżącą rękę zmieszanej tem wyznaniem dziewczyny, i przycisnął ją do serca swego. Zrazu nic nie odpowiedziała

mu, ale ściśnięcie ręki, wymowniejsze nad wszelkie wyrazy, ściśnięcie którym nieśmiała niewinność, oznajmia uczucia, w jej sercu panujące, dostateczną dla Władysława było odpowiedzią.

— Ach! zawołał młodzieniec całując jej rękę, teraz z podwójną odwagą pośpieszę na plac bitwy, a jeżeli Bóg pozwoli mi powrócić szczęśliwie do ojczystej włości, natenczas, najmilsza! święte śluby, uczynią cię moją dozoną towarzyszką. Wszak zezwalasz abym tę drogą nadzieję uniósł z sobą?

— Władysławie! rzekła uspokoiwszy się cokolwiek, prostą i szczerą jestem; ufam szlachetności twojej. Wyznam ci więc, że jesteś dla mnie drogim nad wszystko, tak jest nad wszystko, po ojcu i po kraju rodzinnym. Alena co masz się zajmować nadzieją, która się nigdy nie ziści? Czyliż nie znasz niechęci, nienawiści prawie, która między twojemi rodzicami a moim ojcem panuje? Czyliż oni zezwolą na nasz związek? Ach wiem ja to dobrze jaki los czeka synowę, której rodzice jej męża chętném sercem nie przyjmą, która wchodząc w dom jego, przynosi do niego gniew i niezgodę. Ciebie Władysławie rozerwą trudy wojenne, nowe przedmioty, powab sławy: zapomnisz o mnie, ciężiej mnie tu samej będzie, pozostałej z tęsknotą po ojcu i po tobie.

— Czy jeszcze wątpisz o mojem uczuciu? — wątpisz o naszym przyszłym związku? — Nie czyn tego. Trudy wojenne nie wygładzą cię z mojego serca i pamięci; przeciwnie, jeżeli Przedwieczny dniom moim rychłego nie

naznaczył końca, przyspieszą szczęście nasze. Nie będę gnuśnie zostawać się za innemi, a jeżeli dziś rodzice moi mogą być na przeszkodzie młodzieńcowi, prawie niemającemu jeszcze własnej woli, to zapewno skłonią się do życzeń oficera, wracającego z rycerską ozdobą.

— Niechaj Bóg raczy spełnić twoje nadzieje, odpowiedziała Kasia ze łzami. Bądź zdrow Władysławie, wymówiła stłumionym głosem, a dzielny młodzian mimo woli prawie odrywając się od najdroższej kochanki, dosiadł konia i znikł z przed oczu smutnej dziewczycy.

Tentent oddalającego się rumaka wywiódł ją z zadumania, obtarła łzy i powracała do swojej izdebki.

— Junosza tym czasem, gdy już wydobył i opatrzył swoje szable i strzelby, wyszedł na dziedziniec i zawołał karbowego.

— Piotrze obiegnij wieś niech tu cała gromada przyjdzie ale wszyscy, i starzy i młodzi. Piotr był to dawny szeregowiec, który jeszcze Konfederacyą Barską pamiętał, czerstwy jeszcze i rażny, a przytem bardzo poczciwy człowiek. Swoją swoją zawsze znajdzie, stary żołdak trafił do starego oficera i u niego na późne lata znalazł służbę i przytułek. Pośpieszył wypełnić rozkaz pana, i wkrótce przyszło na dziedziniec przededwór ósmiu gospodarzy i kilkunastu różnych parobczaków.

— Dzieci! rzecze do nich Junosza, rozstaję się z wami; Austryak naszedł naszą ziemię, trzeba go po dawnemu wyprosić.. Jadę do wojska; któż z was zechce pójść ze mną?..

Chociaż w ogólności chłopstwo nasze nie wielką ma do żołnierki ochotę, ale przywiązanie do dobrego pana, który dla włościan był najlepszym ojcem: zresztą, to uczucie, które ożywia nasze serca, równie pod prostą siermięgą, jak pod bogatszym szlacheckim strojem, sprawiło: że prawie wszyscy młodzi chłopacy zawołali, iż chcą iść wszędzie, gdzie ich tylko pan poprowadzi.

— Dobrze dzieci! rzekł uradowany Junosza, tego spodziewałem się po was, ale przecież musi ktoś w domu przy gospodarstwie pozostać. Wy Bartłomieju i Stanisławie macie dwóch dorosłych synów, młodsze mi wyręczajcie się w domu, a starsi niech idą ze mną. Wawrzyńcze i Antku przejdźcie tu na tę stronę... Z wesołym okiem i zapaloną twarzą, stanęli dwaj parobcy za dziedzicem. Stary Lasota najpierwszy gospodarz Chlebowy, tak się ozwał:

— Niechajże Bóg wspiera i prowadzi WPana i nasze dzieci, i zdrowych nam powróci; a my bracia, przyłożmy się czem możemy do ich wyprawy na drogę... W tych ciężkich czasach nie wiele mamy, ale każdy ostatni grosz odda na ich opatrzenie... Wszak prawda?

— Prawda! prawda! zawołała gromada....

— No, moje dzieci, mówił Junosza: Naprzód Bogu, a potem wam i przywiązaniu waszemu, oddaję moje gospodarstwo. Karbowy będzie tu za mnie rządził. Ochocho i szczerze pracowaliście pod mojem okiem, spodziewam się, że tak samo będzie i bezemnie... Znoście jak można biedę i wojenne ciężary. Co dwór będzie

niał, tem się z wami do ostatniego podzieli... A jeżeli (przydał pokręcając wąsa) pan z Zalesia znowu granicę napastować będzie, to pamiętajcie do ostatniego nie ustąpić. Aleć się przecię nie spodziewam tego, bo też byłoby wieczną hańbą napastować granicę, kiedy dziedzic pójdzie bić się z nieprzyjacielem... A teraz bądźcie mi zdrowi: Zaraz po obiedzie niech tu dwaj chłopaki staną, wyruszymy w imie Boże.

Rozrzewniona gromada ucałowała ręce pana swojego powróciła do zwykłej pracy.

Cóż przez ten czas robiła Kasia? Płakała z razu, potem uspokoiła się; długo rozmyślała, i zdaje się że nad czymś ważnem, a nareszcie ostateczne wzięła postanowienie. Od tej chwili pogoda znowu zajaśniała w jej pięknych oczach. Zajęła się przygotowaniem wyprawy ojcowskiej, i tak przeszedł jej czas aż do obiadu.

Przy stole, zamysłony i posępny był Junosza. Myślał, że może ostatni posiłek bierze razem z ukochaną córką; przeciwnie Katarzyna, była dosyć spokojną, ledwie nawet, że nie obojętną.

— I dokądże jedziesz mój ojczu?

— Do Bydgoszczy odpowiedział Junosza, tam dowiem się jakie dla naszego departamentu wydano rozporządzenie, tam zapewne zbierać się będzie pospolite ruszenie.

— A długo tam zabawisz się?

— Czy ja wiem; ale zapewne z dni kilka. Zamilkła Kasia, skończył się obiad. Przyszedł Wawrzyniec i Aniek, podług rozkazu swego pana. Miło było patrzeć na

rażną i ochoczą młodzież. Jakby na uciechę przybrali się w świąteczne suknie. Kaftan granatowy z krótkimi rękawkami szychem wyszywany, dochodził im aż po biodra, białe i szerokie rękawy od koszuli, zawiązane były przy kostce od ręki, jasno-kolorowemi wstążkami; długa kamizelka w kwiaty wyglądała z pod rozpiętego kaftana; na białych płóciennych spodniach mieli zawinięte ciżemki, a na wierzchu przewieszona tylko i pod szyją zapięta granatowa kapota, także na wszystkich szwach szychem złocistym ozdobna; kapelusze ustrojony plecioną słomianką i pawiem piórem.

— Dobrze moje chłopcy! zawołał ucieszony Junosza. Widać że w sercu ani żal ani strach nie gości, kiedyście się tak ustroili. Macie każdy strzelbę i pałasz: ruszamy nie długo.

Kazał sobie wyprowadzić konia. Wrócił się do izby, i tam uściskał córkę i raz jeszcze ją pobłogosławił. Jutro, moja Kasiu pojedziesz z Piotrem do ciotki; bądź spokojna, da Bóg że się z tobą może za kilka tygodni obaczę. Ucałowała Katarzyna ojcowską rękę, skropiła ją łzami, a stary chorąży dosiadłszy konia, przeżegnał podług dawnego zwyczaju dom i całe gospodarstwo, jeszcze raz córkę pocałował w czoło, ścisnął za rękę starego karbowego, i ruszył wolnym stępem, a stary ojciec Antka, wózkiem w parę koni odwiózł dwóch nowo-zaciężnych.

Tymczasem Władysław po rozmowie z kochanką wrócił do rodziców. Nie śmieli tym razem sprzeciwić się jego żądaniom, dozwolili mu pojechać do wojska. Pra-

gnął Władysław udać się do Bydgoszczy, gdzie się zbierały siły całego departamentu; tam spodziewał się, że znajdzie Junoszę, i z nim razem kampanią odbędzie, ale rodzice nie pozwolili na to. Kazali mu jechać do głównego korpusu Xięcia Poniatowskiego; opatrzyli go polecającymi listami do różnych znakomitych osób, w tej nadziei, że przez to syn i większe względy i prędzsy awans mieć będzie.

Musiał Władysław dopełnić woli rodziców. Z obawy aby jadąc po lewym brzegu Wisły, zwyczajnym traktem do Warszawy, nie dostał się w moc nieprzyjaciela, przeprawił się pod Włocławkiem na drugą stronę, i na Płock pojechawszy, stanął na Pradze drugiego dnia po kapitulacji stolicy.

Wieczorem po odjeździe Junoszy, karbowy jak zwykle odniósł klucze od stodół do dworu i zapytał się o której jutro panna Katarzyna chce wyjechać do ciotki.

— Ależ to nie takiego pilnego mój panie Piotrze, rzekła Kasia, jeszcze przecie nieprzyjacieli nie nadciąga.

— Tak to prawda, ale jak szeptają żydzi; którzy o wszystkim najpierwszą mieć muszą wiadomość: podjazdy nieprzyjacielskie już się około Piątku pokazać miały; ztamtąd tylko trzy mile do siostry naszego pana. A broń Boże aby nas Austriacy mieli napotkać.

— Prawdę mówicie mój panie Piotrze. Jaka to szkoda, że ja nie jestem mężczyzną, pojechałabym z ojcem na wojnę?

— Tak jest, i ja żałuję, że już jestem tak stary, bo pewno nie dosiedziałybym w domu.

— Ale cóż mówicie Piotrze, wszakże ja bym potrafiła dzwigać karabin i niezłękłabym się kilkunastu mil drogi?

— Z panienki zawsze był zuch jak należy, a jeszcze bardziej, jak panienka była młodszą o lat kilka; bo teraz kiedy już panienka dorosła, to nie chcesz różnić się od innych kobiet i podawać się na ludzkie języki.

— Pamiętacie Piotrze jakieście to uczyli mnie strzelać do celu, a nawet parę razy poszedłszy z ojcem na polowanie, ubiłam kuropatwę i zająca.

— Oj pamiętam! pamiętam! aż się serce radowało naszemu dobremu panu, bo mu się zdało, że syna ma przy sobie.

— Widzieliście jak wywijałam na tym małym koniku; co to go ojciec sprzedał, gdy już potem nie wypadało abym na nim jeździła. I cóż powiedzielibyście Piotrze gdyby się te dawniejsze lata wróciły, ale już nie dla zabawy, tylko na prawdę?

— Jak to? co panienka chce mówić? Nierozumiem.

— Powiadam wam, że jeżeli dawniej strzelałam, będąc niedorosłym dziewczęciem, teraz myślę wziąć broń i pójść za moim ojcem na wyprawę wojenną.

— Jak to? chyba panienka żartuje ze starego.

— Nie żartuję mój kochany Piotrze, musisz mi w tym zamiarze dopomódz.

— Ależ w jakim? bo dalibóg chociażem stary ale nie rozumiem panienki.

— Oto postanowiłam nie do ciotki, ale za ojcem pojechać i służyć w wojsku.

— W Imie Ojca i Syna i Ducha Świętego! co też znowu panience przyszło do głowy? Kobieta! dziewczyna! między żołnierzami! Ale gdzie tam! oto sobie panienka niechaj nie żartuje, bo wcale nie jest pora do żartów, kiedy nasz ukochany pan pojechał od nas i Bóg wie co się z nim stanie.

— Nie żartuję, odpowiedziała Katarzyna, co raz to bardziej zapalając się. Dzięki Bogu, wychowano mię po prostu, czuję się na siłach, a wzrostem dorównam woltyżerom naszym, którzy ledwie lat młodzieńczych doszedłszy, już spieszą do szeregów. Sama jedna bez bliskich krewnych, bez rodzeństwa, ojciec jest dla mnie wszystkim, tak jak ja dla niego jestem. Czyliżbym zniosła ciąglą niepewność o życie ojca? Czuję, że każda godzina, byłaby dla mnie męczarnią, co chwila wystawiałabym sobie, że ginie ugodzony nieprzyjacielskim wystrzałem, a nie ma ani przyjaciela, ani dziecięcia, któreby mu zamknęło powieki! Pod jego okiem, stanąwszy w szeregach obrońców kraju, potrafię utaić że jestem niewiasta, i może będę tak szczęśliwą, że sama odbiję cios śmiertelny zagrażający ojcu mojemu; z nim razem powrócę lub zginę.

Stary Piotr, z otwartemi ustami, zdumiony, słuchał tej patetycznej mowy, której może i połowy nie rozumiał, a gdy skończyła, rzekł nareszcie:

— Ale jakże to będzie, kiedy wielmożny, chorąży rozkazał panienkę odwiedzić do ciotki. I cóż z tem robić?

— Rób co chcesz mój Piotrze, odpowiedziała Katarzyna, albo dopomożesz mi i odprowadzisz mię do ojca, albo też sama w tym niewieścim ubiorze pójdę do Bydgoszczy. To jest moje niezmiennie przedsięwzięcie, od którego nie mnie odwiesdź nie zdoła.

— A, kiedy panienka taka uparta, rzekł stary drapiąc się w głowę, to niechże się wola Boska dzieje. Ale co to będzie, co to będzie? Co na to powie wielmożny chorąży? cała bieda na moją głowę spadnie!

— No, niebójcie się, odpowiedziała Kasia z uśmiechem, a teraz pójdźcie sobie mój dobry Piotrze. Jutro pomyślimy o naszej podróży.

Junosza przyjechawszy do Bydgoszczy zastał już w tem mieście znaczną liczbę obywateli z departamentu, którzy tam zbierali się dla obmyślenia środków obrony. Zewsząd zbiegali się ochotnicy, nadsyłano konie, pieniądze, żywność i dostawiano nowozaciążnych. Stosownie do wydanego rozporządzenia najwyższej władzy, Rada departamentowa zwołana przez zacnego Prefekta Gliszczyńskiego, zajęła się urządzeniem siły zbrojnej. Mianowała dowódców ruchawki każdego powiatu, a Junosza jako dawny oficer, został dowódcą powiatu Brzesko-Kujawskiego: a jego zdrowy rozsądek, znana poczciwość i odwaga, zjednały mu zaufanie u wszystkich, którzy się pod jego chorągiew garnęli. W ciągu dni czterech już liczył przeszło sto pięćdziesiąt ludzi w swoim oddziale. Co-

dziennie ćwiczył go w robieniu bronią i w obrotach wojennych, aby w razie spotkania się z nieprzyjacielem mógł mu śmieiej w oczy zajrzeć. Tydzień już upłynął jak nasz stary chorąży wypełniał te obowiązki; gdy nad wieczorem wróciwszy do swojej kwatery, znużony całodzienną musztrą, zastał młodego chłopaka w wiejskim ubiorze, który czekał na niego.

— No, i cóż powiesz chłopcze? rzekł do niego: zapewne chcesz zaciągnąć się do wojska?

— Tak jest odpowiedział chłopiec, nieśmiałym i drżącym głosem.

— No, to dobrze! Ale coś (jak na ochotnika) mówisz bardzo nieśmiało. Nie z taką to miną przychodzą młodzieńcy, którzy stają dobrowolnie pod sztandarami ojczyzny.

Cóż to znaczy?

— Ah! ja z własnej woli przychodzę.... ja pragnę służyć w wojsku..... Ale....

Na te słowa zaciął się głos w piersiach owemu ochotnikowi; najżywszy rumieniec wystąpił mu na twarz i nawet łzy stanęły w oczach.

— Chłopcze! zawołał Junosza, co tobie? przystąp tu do mnie, spojrzij mi w oczy.... Ale cóż to jest? te rysy twarzy? ta bojaźń?... Nie, to być nie może....

Nie było nikogo w pokoju. Mniemany ów ochotnik padł do nóg Junoszy i zawołał: Ojcie! ja to jestem!

— Oniemiał Junosza z podziwienia, ale miłość rodzicielska dopominała się najprzód o swoje prawa: kilkakrotnie uściskał córkę, a potem dopiero zapytał jej: Ale

zładże się tu wzięłaś w tym ubiorze, co tobie przyszło do głowy?

— Ojczel! odpowiedziała, postanowiłam dzielić twój los i niebezpieczeństwo, i zastąpić moich braci których Bóg do siebie powołał. Przebacz żem ci zaraz w domu nie powiedziała o moim zamiarze, ale obawiałam się twego zakazu. Pierwszy to i ostatni raz mój ojczel nie byłam szczerą dla ciebie.

I radość i obawa, kolejno walczyły w sercu Junoszy. Jako stary żołnierz, cieszył się, że męskie serce bije w piersiach jego córki; jako ojciec, obawiał się, aby trudy wojny i los oręża nie wydarły mu tej jedynej jego pociechy. Długo jeszcze opierał się żądaniu Kasi, ale narreszcie zwyciężony jej stałością, zezwolił.

Na drugi dzień zatem panna Katarzyna ukazała się w wołyżerskim mundurze. Junosza ukrywając jej stan przed wszystkimi, wziął ją za swego ordynansa, tak więc niemieszając się z tłumem żołnierstwa, bezpieczna pod okiem ojcowskim, zaczęła odbywać kampanią.

W krótkce oswoiła się ze swoim stanem. Nauczyła się musztry, nabrała śmiałości; wesola i żywa, niktby jej za kobietę nie mógł poczytać. Zapytywany Junosza, zkład wystarał się o tak rażnego chłopaka, odpowiadał, że to jest daleki krewny, którego rodzice oddali mu pod opiekę.

Przez czas niejaki oddział ten zasłaniał departament Bydgoski, od napadów austriackich. Lecz gdy Jenerał Mohr z całą dywizją podstąpił ku Toruniowi, na ten czas jedna część wojska i pospolitego ruszenia, zamknęła się

w Toruniu, a druga stanęła około Bydgoszczy, i utworzyła linią dochodzącą aż do siły zbrojnej departamentu Kaliskiego i Poznańskiego. Do tej drugiej części należał Junosza.

Gdy tak Wielko-Polska własnym prawie zostawiona siłom, w poświęceniu się obywateli znalazła swoją obronę, a wkrótce i przeciwnieprzyjacielowi skutecznie działać mogła, główny korpus wojska naszego stojący na prawym brzegu Wisły; pobiwszy nieprzyjaciela pod Górą i Grochowem, umyślił pociągnąć do Galicyi, a tym zwrotem zmusić wojsko austriackie do ustąpienia z xięstwa warszawskiego i do obrony własnych granic. Wiadomo powszechnie jak świetny skutek uwieńczył te usiłowania. Ale nie jest naszym zamiarem opisywanie kampanii z roku 1809, wspomnieć o niej tyle tylko możemy, ile nam do powiązania wypadków powieści jest potrzebną.

Odebrano wiadomości w Wielkiej Polsce, że książę Józef ku Lublinowi wyruszył. Mężny Jenerał Dąbrowski, w tak wysokim stopniu posiadający zaufanie żołnierzy i obywateli, przesunął się przez oddziały nieprzyjacielskie, krążące po kraju, od Warszawy aż pod sam Poznań i Kalisz, i objął dowództwo nad siłą tworzącą się w Wielkiej-Polsce. Wiedząc z doświadczenia, że w wojnie więcej może znaczyć mężny umysł, zaufanie w własnych siłach i bez pieczeństwie, aniżeli wielka liczba żołnierzy, postanowił wyprawić oddział z parę set ludzi złożony któryby od Sieradza środkiem kraju puściwszy się,

przedarł się przez Galicyą i połączył z wojskiem xięcia Józefa.

Wyprawa ta, nie wróżyła wprawdzie materyalnej korzyści, ale postrach, który przejmie nieprzyjaciela na tę wiadomość, że się w tyle jego wojska okazali Polacy, wieść co wszystko pomnaża, głosząca, że korpus Wielko-Polski łączy się z korpusem Poniatowskiego; śmiałość i nadzieja, która wstąpi w serce mieszkańców, niewyrachowane przynieść mogą skutki.

Wybrano więc ochotników na tę wyprawę. Jej dowódcą został Junosza, z rangą Majora, którego doświadczeniu bardzo ufał wódz naczelny. Odebrawszy instrukcyę i rapporta, które miał xięciu Poniatowskiemu złożyć, ruszył wesoło, a przy nim córka; której siły powiększały się ciąglem hartowaniem, i która już naówczas za męstwo okazane w utarczce pod Strzelnem otrzymała stopień sierżanta i zaprawiła się do wszelkich trudów. Szczęśliwie udał się im początek wyprawy. Rozproszyli cząstkowe oddziały nieprzyjacielskie, zniszczyli transport żywności i amunicyi, który ku Częstochowie wyprawiano, a dostawszy się w obszerne lasy koło Kuźnic Końskich leżące, mogli byli niemi prócz niewielkich przerw aż pod Kozienice w cichości pociągnąć. Ale nie ten był cel ich wyprawy, na taki rozkaz wodza. Już oddział Austryaków wyprawiony od wojska, które oblegało Częstochowę, puścił się w pogoń za niemi, nie było czasu do stracenia.

Przeprowadziwszy się przez Pilicę niedaleko Sulejowa,

między Opoczmem i Białaczewem, bocznymi puscili się drogami, i zatrzymali się jak to już wspomniałem w lasach niedaleko od Końskich.

O parę mil ztamtąd, leży miasteczko Przysucha, po większej części od żydów osiadłe. Wieczorem, był to właśnie dzień świąteczny, siedziało tam w karczmie przy jednym stole kilku chłopów i w milczeniu dopijało swoich półgarcówek, a w drugim rogu izby trzech Austriackich żołnierzy paliło fajkę i coś po niemiecku szeptało. Ostrożność i bojaźń, jaka zwykle w czasach wojny wszystkich ogarnia, zajęła miejsce ochoczej zabawy. Żydówka karczmarka krzątała się koło ognia, gdy nagle wszedł z wesołą i żwawą miną młody chłopak, w wiejskiej siermiędze, a z nim drugi już nieco szpakowaty także po wieśniaczem ubrany.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł.

— Na wieki wieków Amen, odpowiedzieli chłopci, uchylając kapeluszy na te święte słowo.

— No, cóż tu u was słyszać? moi bracia, mówił dalej przybylec.

— Nic: odpowiedział krótko najstarszy z chłopów; a wy kto jesteście i z kąd się zjawiliście.

— My z kąd jesteśmy? Dosyć z daleka. Ale dajcie no piwa karczmarko, musimy sobie gardło odwilżyć, nim na wasze zapytanie odpowiem, nalał sobie szklenicę, a niosąc ją do ust swoich: do was gospodarzu, ozwał się do owego chłopca: Jesteśmy z pod Sandomierza, zajęli nas Cesarscy z wozem i z końmi, i zapędzili aż w Wielką

Polskę. Pozbył człowiek i woza i koni, i teraz pieszo trzeba wracać do domu. Ale i cóż począć: Bóg dał, Bóg wziął; jeszcze pół biedy, że się zostało kilka grajcarów na drogę, a tak o głodzie lub o proszonym chlebie wracać nie musimy. W tej właśnie chwili żydówka wyszła z izby:

— Byliście w Wielko-Polsce? i cóż tam robią nasi? rzekł wieśniak nieco poufalszym i cichszym tonem.

— Nasi? powtórzył nieznajomy parobczak... Jacy nasi? Czyli ci, przydał po cichu wskazując na siedzących przy stole żołnierzy?

— A ktoby się o nich pytał! szepnął gospodarz; chyba mnie rozumieć nie chcecie.... Nie bójcie się, to są Niemcy, oni nie rozumieją po polsku.

— Dobrze im idzie! odpowiedział nieznajomy: hurmem siadają na koń i może tu niedługo zawitają.

— Dałby Bóg mój bracie! ozwał się drugi wieśniak.

— Ale powiedzcie mi gospodarzu, mówił dalej parobczak, którym (jak się może domysłają czytelnicy) był nasz sierżant niewieści, wiele stoi Austryaków w tém mieście?

— A cóż to was obchodzi? zapytał się gospodarz z niedowierzaniem. Po co się o to pytasz?

— Wkrótce zobaczycie dla czego się pytam: nie traćcie czasu i mówcie szczerze. Wierzajcie, że was nie zdradzę.

— Otóż powiem wam, że ich nie ma więcej jak pięćset kilkadziesiąt piechoty.

— Jeżeli to jest szczerą prawdą, to dobrze. Bądźcie mi zdrowi! może nie długo usłyszycie o nas. To rzekłszy, wstał, rzucił na stół pieniądze i z towarzyszem swoim wybiegł z karczmy.

— Jezus Marya! zawołał jeden z chłopów; cóż to za człowiek? chyba czart w ludzkiej postaci. Pocóżecie się wygadali przed nim Bartłomieju?

— A jakże nie odpowiedzieć swojemu? Oto lepiej i my pójdźmy do domu, nie mamy tu nic do roboty.

Dowiedziałem się o wszystkiém panie majorze, zawołała Katarzyna przybiegając do lasku, przy którego brzegu stał oddział Junoszy. W miasteczku jest pięćset Austryaków. Jeden będzie miał z dwoma do czynienia, to w sam raz. W nocy trzeba na nich uderzyć. Uda nam się niezawodnie.

— Dobrze mówisz sierżancie, odpowiedział rotmistrz. Dzieci! bądźcie gotowi! skoro tylko światło pogaszą w mieście, ruszymy natychmiast.

Pomyślny skutek uwieńczył ich śmiałość. Znienacka napadnięci Austriacy żadnego prawie nie dali oporu, część legła na placu, część poszła w rozsypkę; jeńców nie można było uprowadzać, zabrano tylko wojenną kasę regimentu, zniszczono zgromadzone tam zapasy, i uprowadzono dwie armatki, a postrach padł na całą okolicę.

Dokonawszy tego dzieła, nadedniem samym puścił się Junosza ze swojemi w lasy, i dalej przebiegał się ku Wiśle. Szybki ich pochód i niespodziane to najście, a

mianowicie przychylność mieszkańców i dokładna znajomość miejsca, sprawiły że Junosza dostał się bez przeszkody aż w okolice Zwolenia.

Tu dopiero doścignął ich oddział nieprzyjaciół od Radomia w pogoń za niemi wysłany. Rozproszywszy go, zwrócili się nad brzegiem puszczy Kozienickiej ku Gniewoszowu, ale tam dopiero największe zagrażało im niebezpieczeństwo. Oddziały z Janowca i z Koziennic wyprowadzone, dążyły ku nim i wzmocniony oddział jazdy tuż ich dopędzał. Znużeni długim pochodem stanęli w lasku, który między granicą a Końską-Wolą, do pięknych łąk nadwiślańskich przytyka. Noc użyczyła im cienia swojego, a nieprzyjaciół rozumiejąc, że już ich ma w swoich rękach, zatrzymał z uderzeniem aż do rana. Pod gajem od strony Wisły, była chatka wieśniaka. Junosza ze swoją córką stanął, a reszta żołnierzy rozłożyła się na polu, i w zaroślach. Od rana samego, niewzięli żadnego posiłku. Okoliczne wioski, zajęli Austriacy; nie było gdzie wystarać się o żywność, ale odwaga prawie z rozpaczą pochodząca, dodawała im siły.

W chacie zastał starego wieśniaka, którego zdziwiło zjawienie się tak niespodzianego gościa. Słuchajcie! przyjacielu, rzekł do niego Junosza. Czy wiecie gdzie teraz jest wojsko nasze po tamtej stronie Wisły.

— Stoi nad samym brzegiem i ściąga zewsząd przetrzymujących i łodzie, bo jak ludzie mówią, myślą przeprowadzić tę stronę. Daj Boże! aby jak najprędzej przyszli.

— Pocziwym jesteś człowiekiem, odpowiedział

mistrz, bo życzysz powodzenia swoim ziomkom. Niech ci Bóg szczęści.

— Juścić, jakże nie mam życzyć wielmożny Rotmistrz, kiedy i ja tu powąchałem prochu przed piętnastu laty.

— No, toście i wy stary żołnierz, tém lepiej. A więc mój bracie, czylibyście nie mogli przeprowadzić się na drugą stronę i zawiadomić, żeby po nas przysłali promy i łodzie i jaką pomoc, bo na tym się skończy, że jak więcej Niemców nadciągnie to im rady nie damy.

— Niemcy pozabierali wszystkie statki i gotowi rozstrzelać człowieka za najmniejszą łódkę: ale ja moją schowałem w stodole pod słomą. Zawieziem ją koniem nad brzeg i w nocy przeprowadzę się z pismem wielmożnego Rotmistrza.

I tak się stało. Junosza od rana stojąc pod bronią, zasłonięty z jednej strony szeroką parową oczekiwał natarcia austriaków i wyglądał spodziewanej pomocy.

Odgłos bębnow i wystrzały karabinowe oznajmiły Austriaków. Bardzo przydały się naszym dwie armatki zabrane w Przysuchę. Austriacy widząc, że Polacy mają artylleryą, uważali ich oddział za większy niż jest w istocie i wstrzymali atak, oczekując na posiłki. Tymczasem pokazały się dwa promy i kilka łodzi płynących ku brzegowi.

— Bóg nam dopomógł, zawołał Junosza. Dalej bracia posuńcie się o kilkadziesiąt kroków naprzód i poczęstujemy Austriaków ich własnymi kartaczami i z ich

własnych armat. Dobrze im tak, czemu ich lepiej nie pilnowali. Mamy po kilkadziesiąt nabojów, trzeba je wystrzelać, a armaty zagwożdżone zostawimy nad Wisłą.

Ochotnicy, celni strzelcy i dwa działa wysunęły się naprzód. Powstało zamieszanie w szeregach nieprzyjacielskich i cofnęli się aż pod lasek. Promy dobiły tymczasem do brzegu.

— Teraz siadajcie, tylko porządnie i uważnie. Jeden prom z pięćdziesięciu ludźmi i ze mną, na ostatku odpłynię i ja trzymam straż tylną.

Widząc Austriacy wsiadających na promy, pośpieszyli całą masą. Kilkanaście wystrzałów działowych, wstrzymało ich natarczywość. Nareszcie wsiadł Junosza na prom z ostatnim oddziałem i pośród gradu kul odpłynął, kilku ludzi zabito, kilku odnieśli rany, Rotmistrz i jego córka ocaleli szczęśliwie.

— A cóż Kasiu, rzekł Junosza do córki, gdy przeprawiwszy się na drugą stronę, szedł z nią w niejakiem oddaleniu od reszty oddziału, tak iż go dosłyszeć nie można było,—teraz zakosztowałaś wojny. Jakże ci się podoba?

— Czyjeż serce nie pozbawione czucia, mogłoby lubić wojnę dla samej tylko wojny, jeżeli by go święta i wyższa myśl nie wspierała? Mnie druga jeszcze pobudka zapala. Walczę przy tobie i za ciebie mój ojcze.

— No no, moja panno odpowiedział stary, to dopie-

ro początek. Niechaj cię Bóg strzeże od większych niebezpieczeństw.

— Tak rozmawiając dojechali pod Kazimierz. Zaraz na początku miasta, widok bratniej broni i znaków rozrzewnił ich i ucieszył. Już wiadano o ich szczęśliwej przeprawie i koledzy powitali ich radośnie. Zapytał się Junosza, do którego pułku należą.

— Do szóstego, odpowiedział żołnierz, wczoraj w nocy nadciągnęliśmy tu z Xięciem Józefem. Mały oddział osadził miasto, a cały korpus z naczelnym wodzem stoi z tamtej strony Puław i odpocząwszy dzień jeden, wyruszy ku Lublinowi za nieprzyjacielem.

— Prowadź mię do starszego, przyjacielu, rzekł Junosza.

Usłuchał żołnierz, drugiemu zdał straż stanowiska, a sam poszedł z Rotmistrzem w głąb miasta.

Weszli do kwatery Porucznika. Młody oficer siedział zamysłony nad mappą Polski; podniósł głowę, usłyszawszy że ktoś wchodzi, a Junosza poznał Władysława Sobiesławskiego.

Porwał się z krzesła uradowany młodzian i uściśkał serdecznie dawnego przyjaciela.

— Ciebież to ja widzę, panie Rotmistrzu? Ledwie mogę zawierzyć moim oczom,—skądże się tu wzięłeś z tym wojennym rynsztunkiem? Wszak nie przyciągnąłeś z nami?

Opowiedział mu Junosza całą swoją przeprawę przez

środek kraju, a radość i zadziwienie malowały się kolejno w oczach Władysława.

— I my tu nie próżnowali jak widzisz, mój szanowny przyjacielu, a kiedy Austriacy trwonią swoje siły nadaremnie, kusząc się o to, aby na prawy brzeg Wisły wojska swoje przeprowadzić, my im tutaj porządnego piwa nawarzymy. Ale cóż u ciebie w domu słychać zacny panie Chorąży? Gdzież jest twoja córka? czy zdrowa?

— Zdrową dzięki Bogu zostawiłem, odpowiedział Junosza z niejakim przymusem, i zamilczał o drugiej części pytania, bo nigdy ust swoich kłamstwem nie skalał. Ale my tu rozprawiamy panie Władysławie, a tam żołnierze moi głodni, i od dnia wczorajszego rano, stoją na polu.—Jeżeli masz do tego prawo, każ im dać żywność i niechaj sobie odpoczną.

— Prawdę mówisz, zawołał młodzieniec, a dosiadłszy konia, galopem pojechał.

— Dzieci! zawołał, dojechawszy do nich, ruszajcie za nami. Poznała go Kasia, ale zarumieniona i zmieszana, cofnęła się w głąb do ostatniego szeregu. Na widok kochanka, dopiero przyszło jej na myśl, co powie, gdy ją w takim ubiorze zobaczy? Może to jego miłość osłabi? może za złe jej poczyta, że odróżniła się od płci swojej? Umyśliła zatem jak najstaranniej ukrywać się przed Władysławem.—Bała się tylko zrazu czyli ojciec nie wyda ją przed kochankiem, ale głębsza rozwaga usunęła tę obawę.

Tymczasem Junosza tylko tyle odpocząwszy ile ko-

nieczna wymagała potrzeba, udał się też do głównej kwatery. Z dumą i radością myślał, że stanie przed sławnym wodzem, i że gozdzien jest okazać się przed jego obliczem.

Xiąże Józef odbył właśnie przegląd wojska na obszer-ném błoniu za Puławami od strony Końskowoli. W oko-ło szkl niły się oręże ochoczych żołnierzy. Naczelny wódz otoczony sztabem swoim, siedział na ognistym rumaku; oblicze jego było ujmujące, szlachetne i pogodne; ulu-biona kurtka, burka, czaple pióro u czapki, dodawały (jeżeli można było) życia i wdzięku jego postawie. Przed-stawiano mu zbiegającą się z okolic pod chorągwie jego młodzież obywatelską, gdy Władysław z Junoszą, sta-nąwszy przed nim, złożyli zwykły ukłon żołnierski.

— Wodzu, rzekł Władysław, przynosimy pomyślne wiadomości, i to jeszcze z tej strony, z której nie tak ry-chło spodziewaliśmy się posłańca. Oto jest mężny oficer, który z Wielko-Polski od Dąbrowskiego do nas przybył.

— Jak to? sam? zapytał się Xiąże Józef.

— Nie, Jenerale, rzekł Junosza: z moim oddziałem który tu bez uszczerbku przeprowadziłem. Oto są rap-porta od Jenerała Dąbrowskiego.

— Wziął je Xiąże Poniatowski i przebiegł szybkim wzrokiem. Obecni, na jego twarzy treść ich śledzili, a ra-dosć co raz żywiej malująca się w oczach wodza, dobrą czyniła im otuchę.

— Dobrze! moje dzieci, zawołał xiąże, cieszcie się ra-zem ze mną. „Dziesięć tysięcy liczę już (pisze Dąbro-

wski) tak pospolitego ruszenia, jak regularnego żołnierza; za kilka dni posunę się ku Warszawie aby ją z rąk nieprzyjaciela uwolnić." Możemy więc (przydał xiążę) tem śmieiej dążyć w głąb Galicyi. Panie majorze: rzekł do Junoszy, wysłuchawszy szczegółowego rapportu z jego wyprawy dobrze się sprawileś, przyjmij podziękowanie i publiczną pochwałę wodza. Jutro dążymy dalej, twój oddział do mego korpusu przyłączam, a teraz spocznij po dość długiej sześciodniowej przeprawie. Ukłonił się Junosza i wrócił z Władysławem do Puław. Młodzieniec nie chciał go ani na chwilę odstąpić. W każdym razie ta życzliwość Władysława byłaby mu przyjemną, ale teraz gdy chciał z córką sam na sam rozmówić się, gdy czuł równie jak Katarzyna, że wszelkie względy przyzwoitości nakazują ukrywać przed Władysławem jej pobyt w wojsku, w nie małym był kłopotcie. Nareszcie, gdy obowiązki służby powołały Władysława do swoich, znalazł przecież Junosza chwilę sposobną do pomówienia, z córką.

— A cóż widziałas Władysława Kasiu?

— Widziałam, i gdybym mogła, byłabym w tej chwili pod ziemię się skryła.

A to czemu? i cóż w tym byłoby tak złego, gdyby się o tobie Władysław dowiedział? rzekł z uśmiechem stary rotmistrz.

— Ah! ojczy, to bydz nie może. Coby on pomyslał? Gdy się z nami w domu zegnał, nie mu nie powiedzie-

liśmy.... a potem.... i zatrzymała się nie śmiejąc dokończyć zaczętej myśli.

— A potem?... dokończ Kasiu... Oj bieda też to z młodemi! Myślałem, że trudy wojenne i szcęk broni wybiją ci z głowy tego pana Władysława, a tu jak na złość jego najpierwszego spotkałem.

W tym posłaniec od Xięcia Józefa przybył do kwatery Junoszy i oddał mu rozkaz naczelnego wodza w tych słowach:

„Naczelnny wódz oddając publiczną pochwałę mężstwu i przezorności rotmistrza Junoszy, zawiadamia go, że z oddziałem swoim należeć będzie do pułku szóstego piechoty.

— A to Boskie skaranie! zawołał Junosza gdy się oddalił posłaniec. Umieszczono nas w tym samym pułku gdzie Władysław zostaje. Oj! prawda to, prawda, że wszędzie z kobietami kłopot, ale na wojnie najgorszy.

— I cóż robić ojeże? rzekła uśmiechając się Kasia. Zaufaj mojemu rozsądkowi. Nie dowie się Władysław, że tak blisko niego zostaje. A tłumiąc ciężkie westchnienie, rzekła sama do siebie: czuję ile mię to kosztować będzie.”

Stosownie do rozporządzeń wodza, wyruszyli naza-jutrz. W rzeczy samej smutne było położenie biednej Kasi. Ciągłe tkwiła w jej pamięci ostatnia rozmowa z kochankiem: wzajemne wyznanie miłości, wzajemna zamiana pamiątek! a teraz znajdowała się tak blisko, a razem i tak daleko od niego! musiała się ukrywać przed nim,

unikać go, mieszać się w tłumie żołnierzy; nie zwracać jego uwagi, nie mogła nawet blisko ojca znajdować się, bo przy nim ciągle był Władysław, i tylko wtenczas odstępował go, kiedy tego służba wymagała.

Wojsko Polskie posuwało się w głąb Galicyi i przybyło wokolice Zamościa. Twierdza ta była ważném bardzo stanowiskiem i wiele zależało na jej zdobyciu. Do brygady wyznaczonej przeciw Zamościowi, należał pułk szósty a z nim i oddział Junoszy. Pośród równin i błot ujrzeli Polacy nareszcie tę starożytną twierdzę. Żołnierze z zapalem przypominali jedni drugim; czyny jej założyciela, a tem wspomnieniem nowe w sobie męstwo podniecali. Nie możemy tu opisywać szczegółów oblężenia i zdobycia tej warowni, które zapewne nie jeden z dawnych wojskowych polskich zostawi potomnym. Jedną tylko chwilę niechaj nam będzie wolno odmalować!

Nadeszła godzina w której postanowiono ze wszystkich stron na twierdzę uderzyć, a dowódcy wyzwalali ochotników którzy najpierwsi pójdź zechcą na mury. Tłumem rzucili się wszyscy żołnierze, ani jednego nie było które-goby obawa śmierci zatrzymywała. Między pierwszemi widziano Władysława; obok niego stary rotmistrz postępował nieustraszonem krokiem, tuż za nim szedł młody nasz sierżant. Zapłomienione lica Katarzyny, serce silnie bijące, wzrok zmieniony, byłyby zdradziły wówczas jej tajemnicę: gdyby w tak stanowczej chwili mógł kto zwracać uwagę na pospolitego żołnierza. Odwaga która ją wiodła na to miejsce krwi i śmierci; nie była to męzka i

spokojna odwaga, która doświadczonych żołnierzy odznacza; uniesienie, troskliwość o życie ojca i kochanka, zastąpiły w jej sercu tę stałość której jako niewieście odmówiła jej natura. Za danym hasłem ze wszech stron przystawiają drabiny, próżno morderczy ogień przerzedza szeregi: nieustraszeni żołnierze pną się na mury. Władysław, Junosza i córka jego już stanęli na szczycie. Gdy w tem złamała się drabina i drudzy za niemi postępować nie mogli. Wschodząca zorza wskazała austryakom broniącym tego stanowiska, że tylko z trzema do czynienia mają. Kilkunastu rzuca się na nich, ale rycerze nie zatrwożeni liczbą, zepchnąć nie dają się z murów, a powtarzane okrzyki polaków znowu wdzierających się na wały dodają im otuchy. W tym Władysławowi od silnego uderzenia pęka szabla; cios śmiertelny już głowie jego zagrażał, postrzega to Katarzyna, rzuca się, odbija raz na jej kochanka wymierzony; lecz w tejże chwili ugodzona kulą karabinową pada bezprzytomna. Nagle z łoskotem wyłamana brama i powszechny okrzyk zwycięstwa, oznajmił zdobycie twierdzy. Pierzchnęli ci którzy nacierali na Junoszę, a stary rotmistrz z Władysławem zatrzymali się nad martwym ciałem biednej Katarzyny.

Cóż to jest o Boże?... zawołał młodzieniec gdy chcąc ją cucić zdjął z głowy kaszkiet: O Boże! czyliż to ona.

— Tak moja to córka młodzieńcze! z rozpaczą zawołał Junosza. Nieszczęśliwy, przeżyłem jej zgon. Padła ofiarą, swego przywiązania do mnie.

— Ależ rotmistrzu rzekł Władysław biorąc jej rękę,

ona jeszcze żyje, pośpieszajmy z ratunkiem, utamujmy krew ciekącą z rany.

A wzięwszy na ręce drogi ten ciężar, zszedł z wałów, i złożył go w najbliższym domu.

W mieście, którego mieszkańcy byli współziomkami i braćmi oblegających, natychmiast wszystko wróciło do porządku. Obywatele ze łzami radości powitali swoich wybawców. Przywołany lekarz do córki Junoszy, przywrócił ją do zmyłów, a obejrzawszy ranę, oświadczył, że lubo jest bardzo niebezpieczną, jeszcze nie zginęła nadzieja. Przeniesiono Katarzynę do domu pewnego słusznego obywatela z Zamościa, gdzie wszelkie miała wygody. Płć jej nie była już tajemnicą. Wszyscy winszowali Junoszy tak dobrej i tak mężnej córki. Wkrótce lekarz zaręczył za jej życie, ale przydał, że nie prędko przyjdzie do zupełnego zdrowia. Wyrzucał Władysław Junoszy, dla czego mu nie wyjawiał, że córka znajduje się przy jego boku, ale rotmistrz łatwo usprawiedliwić się potrafił.

Naturalnie domyśli się każdy, że Władysław odwiedził chorą Kasię, że jej ponowił przysięgę miłości; ale o podobnych scenach tyle już razy pisano i tyle razy jeszcze pisać będą, że wolimy zdać się na czytelników naszych aby sobie obraz ich utworzyli.

Waleczność i poświęcenie się Katarzyny, wkrótce wiadome zostały całemu wojsku i okolicy. Rana nie dozwoliła jej pełnić służby wojskowej, a gdy powinność wzywała dalej wojska polskie, a z niemi i Junoszę, państwo

R.... słusznym i majątnym obywatelom, niedaleko Zamościa osiedli, oświadczyli rotmistrzowi gotowość swoją, że jego córkę aż do ukończenia kampanii wezmą do swojego domu i za własne dziecko uważać ją będą. Chętnie przyjął ich ofiarę Junosza. Ostatnia chwila widzenia się Władysława z Kasią, gdy musiał znowu oddalić się od niej, razem była słodką i smutną dla dwojga kochanków. Kasia żałowała mocno, że los nie dopuścił jej dokonać rozpoczętego zawodu, że odłączył ją od ojca: dla którego uczyniła ofiarę ze sposobu życia i słabości płci swojej: i powierzył ją staraniom zupełnie obcych jej osób z dala od krewnych, znajomych i ojczystego ustronia. Ale zacni państwo R.... umieli oceniać charakter i serce Katarzyny; starali się wszelkimi sposobami uprzyjemnić jej pobyt w ich domu. Skoro tylko przywdziała na powrót ubiór niewieści, znikł natychmiast jej zapał i śmiałość, którą tylko nadzwyczajne uniesienie podniecało w jej sercu, była znowu tą skromną dziewczyną, jaką poznaliśmy w Chlebowie na początku naszej powieści. A kiedy wspominano przed nią o jej odwadze i wdarciu się na mury Zamościa, rumieniła się, i prawie z przykrością słuchała oddawanych jej pochwał. Spoczynek i powietrze wiejskie, nadspodziewanie przyspieszyły jej powrót do zdrowia. Miesiąc nie upłynął, a już mogła używać przechadzki. Chętnie byłaby pojechała za ojcem, ale prośba i wyraźny zakaz Junoszy, sprzeciwiał się temu. Musiała więc czekać w domu swoich nowych przyjaciół, na dalszy bieg wypadków. Pobyt u państwa R.... bezużyte-

cznym nie był dla Katarzyny. Nabrała w nim znajomości świata i wykształcenia, którego nabyć nie była mogła żyjąc w ustronnej ojcowskiej zagrodzie, a dobrana biblioteczka państwa R.... dostarczyła książek, któremi zbogaciła swój umysł. Łagodna smętność, wynikająca z jej położenia i tęsknoty za temi, którzy dla niej najdroższymi byli na świecie, nowego wdzięku dodała jej pięknej twarzy. Jednem słowem, trudno byłoby poznać w niej tę żywą i prostą dziewczynę, jaką była dawniej.

Tymczasem Junosza i Władysław, opuściwszy Zamość, ciągnęli w głąb Galicyi. Rotmistrz jechał na przodzie swego oddziału, zbliżył się do niego Władysław i zaczął rozmowę:

— I tak panie rotmistrzu, musieliśmy zostawić naszego walecznego sierżanta, szkoda, że nam dalej nie towarzyszy.

— Wie Bóg co czyni panie Władysławie, nie ma złego, co by na dobre nie wyszło. Tęskno mi bez niej, to prawda, ale ona w wojsku nie potrzebna wcale, a tembardziej, gdy wiadomo powszechnie, że jest kobietą.

— Szanowny Rotmistrzu! pozwól, niechaj ci wyjawię myśli i uczucia moje. Wśród szczęku oręża, w trwodze, którą niebezpieczna rana twojej córki wznieciła, nie miałem do tego sposobności. Już oddawna kocham pannę Katarzynę; jej poświęcenie się stokroć mi ją droższą czyni. Proszę ciebie o rękę mojej wybawicielki.

Zamyślił się Junosza, gdy Władysław tych słów domawiał, i po chwili milczenia odpowiedział:

— Dorozumiewałem się od niejakiemu czasu uczuć twoich panie Władysławie, ajako rostopny ojciec, chciałem cię prosić, abys w naszym domu bywać zaprzestał. Wtenczas właśnie, obowiązek bronienia kraju, ciebie, mnie, a nawet i tę roztrzepaną dziewczynę, pod chorągwie [powołał. Droga jest dla mnie spokojność mego dziecięcia. Umiem ja oceniać panie Władysławie piękne twoje przymioty; wiem, że to zameżcie, ze wszech względów dla córki mojej byłoby przyzwoltem. Ale ja człowiek starej daty, po dawnemu wychowałem Kasie; umie ona przenieść powinność nad skłonność serca. Powiedz mi, czy spodziewasz się otrzymać zezwolenie rodziców? Czyliż oni przyjmą za synową swoją, córkę ubogiego szlachcica? a jej służba wojskowa, co ją w twoich oczach tem droższą czyni, czyliż dla nich nie będzie nową przeszkodą? Na te słowa, sędziwą twarz rotmistrza, mocny pokrył rumieniec. Nie wstąpi moja córka do tego domu, mówił dalej gdzieby krzywem okiem na nią patrzano. Lubo całem sercem pragnąłbym cię mój kochany panie Władysławie jako zięcia uściskać, nie wprzódyspelić się mogą twoje nadzieje, dopóki nie otrzymasz szczerego i chętnego przyzwolenia twoich rodziców. Tym czasem zaś, jeżeli wszyscy powrócimy do naszych zagród, szanując spokojność mojej córki, musisz wstrzymać się od bywania w naszym domu.

Po takiej odpowiedzi, którą zdrowy rozsądek podyktował Junoszy, napróżno Władysław nowe prośby zanosił: W smutnem był położeniu ten mężny młodzieniec.

Tak blizki szczęścia, widział, że niepodobna jest aby go dostąpił. Znał aż nadto dobrze dumę swoich rodziców i niechęć ich przeciw Junoszy, nie mógł przeto spodziewać się zezwolenia.

Nie będziemy iść ślad w ślad za walecznym rotmistrzem i Władysławem w tej świetnej kampanii. Sobiesławski zaszczytnie odznaczył się przy szturmie Sandomierza, a potem powołany był do boku naczelnego wodza. Gdy opanowanie Krakowa uwieńczyło trudy wojowników, gdy hufce nasze najżywszą radością przejęte, weszły do starożytnej stolicy narodu, a zawieszenie broni między Napoleonem a Cesarzem Austriackim, położyło kres wojnie, Junosza wziął uwolnienie od wojska i pojechał po córkę. Podziękowawszy zacnym jej opiekunom, wrócił z nią do swojej wiejskiej zagrody.

Mrok już zapadał, kiedy Junosza z córką stanęli przed swoim domem. Stary Piotr nie posiadał się z radości, ujrzawszy swoje ukochane państwo, a bardziej jeszcze z tego, że panna Katarzyna w kobiecym ubiorze powróciła.

— Cóżście tu robili mój Piotrze, rzekł Junosza?

— Opędzaliśmy naszą biedę, jak było można wielmożny panie. Kilka dni temu jak skończyliśmy żniwa, udały się pogodne i szczęśliwe.

— A z Zalesia nie przeszkadzali wam?

— Nie, Pani! wszystko było spokojnie i cicho.

— Przecież! to wielka osobliwość, rzekł Junosza.

— Zabawnie było patrzeć na starego Piotra, jak razem radość i ciekawość malowała się na jego twarzy, a najbardziej szło mu o to, co też Panna Katarzyna w wojsku robiła; ale uszanowanie należne państwu, powściągało go od zapytania, nareszcie rzekł:

— Coś nam panienka zmizerniała. Wojna to nie tańiec.

— Tak, mój dobry Piotrze odpowiedziała Kasia, byłam ranną niebezpiecznie.

— Ranną? a to jak, i kiedy?

— Jutro zaspokoję waszą ciekawość Piotrze, odpowiedział Junosza, jak pójdziemy w pole, opowiem wam wszystko wzdłuż i szerz, ale teraz pozwólcie nam spocząć.

Nazajutrz, a właśnie był to dzień świąteczny, gdy Junosza zaspokoił ciekawość starego sługi, Kasia zamysłona siedziała przy oknie i przypominała sobie tę chwilę, gdy przy wzięciu Zamościa odbiła raz śmiertelny jej kochankowi grożący. W tém usłyszeli granie wiejskiego skrzypka i śpiewanie zbliżające się ku dworowi.

— To gromada z wieńcem przychodzi! zawołał Junosza, wśród tylu przygód zupełnie zapomniałem o tém.

Junosza święcie zachowywał dawny ten i szanowny obrzęd, a który liczyć możemy do najpiękniejszych znamion obyczajów naszych. Jak słodko rozrzewnia serce przyjaciela ludzkości to wiejskie święto, łączące ogniewem wzajemnej przychylności pracowitych wieśniaków z jego panem. Dokonawszy najważniejszej pracy gospo-

darskiej, bo zebrawszy owoce trudów całego roku, wchodzi gromada w progi pana swojego, aby się z nim razem błogosławieństwem Boskiem ucieszyć. Wtenczas wieśniak zapomina o swoich znojach, a ochoczo tańcząc w sali dworskiej, składa z serca urazę, którą mógł powziąć przeciw dziedzicowi lub jego podwładnym.

Uroczystości tej jak wiadomo towarzyszą śpiewy; które komponuje miejscowy poeta, a częściej jeszcze poetka. Są one czasem płocne, zwykle obejmują przyganę podwładnych, a pochwałę dziedzica do okoliczności zastosowaną. Przeplataje powszechna starodawna zwrotka:

Plon niesiemy plon etc.

Dwie tedy hoże i ładne żniwiarki, z wieńcami na głowie, z których jeden musi być z pszenicy, a drugi z żyta, ubrane we wstążki i kwiaty, stanęły przededworem na czele gromady. Wyszedł na przeciw nich Junosza, a wysłuchawszy zwyczajnych piosnek, wprowadził ich do izby jadalnej i z jedną z przodownic rozpoczął zabawę. Niegdyś Kasia z radością spoglądała na uciechy dobrych włóścian, ale teraz wszystko sobie stęskniła. Zatrzymała się jednakże czas niejaki aby rychłego jej odejścia za pogardę nie wzięli.

Niespodzianie rozległ się trzask bicia i powóz przededwór zajechał. Wojskowy polski wszedł do izby. Zatrzymały się tańce, zdumione chłopstwo z uszanowaniem ustąpiło na stronę.—A młody oficer uściskał Rotmistrza, i przywitał Kasię. Był to Władysław. Szlify

kapitańskie i znaki adjutanta zdobiły go i świadczyły o mężstwie i szczęśliwém powodzeniu.

Gdy wyszli wszyscy troje do drugiego pokoju, zachęciwszy gromadę, aby nie przestawała zaczętej zabawy; Władysław całując rękę Junoszy zawołał: Spełniły się życzenia moje. Oto jest list mojego ojca, w którym prosi dla mnie szanowny Rotmistrz o rękę twojej córki.

— Junosza wziął pismo, nic nie mówiąc rozpieczętował i przeczytał co następuje:

Wielmożny Mości Dobrodzieju
i łaskawy sąsiedzie.

„Chętnie skłaniając się do życzeń mojego syna, byłbym sam złożył moje uszanowanie WP. Dobr. gdyby słabość zdrowia nie była mi na przeszkodzie. Mój Władysław upatruje swoje szczęście w związku z córką WP. Dobr. Oceniając piękne przymioty panny Katarzyny, ja z moją żoną, nie mamy nic przeciw temu związkowi i owszem upraszamy WP. Dobr. abyś się do naszych i Władysława żądań przychylić raczył. Wyglądając chwili w której proźby nasze będziemy mogli ustnie wynurzyć, mamy honor zostawać wraz z żoną moją z wysokim szacunkiem etc, etc.

— A to niesłychana zmiana! zawołał Junosza, prędejbym śmierci spodziewał się, aniżeli takiego listu.

Kasia ledwie uwierzyć mogła szczęściu swojemu. Teraz przecież wolno jej było bez przymusu oddać się uczuciom serca.

— Ojczy! najdroższa przyjaciółko! rzekł Władysław,

ukochany wódz nasz, jest także sprawcą mojego szczęścia. Powołany do jego boku za adjutanta, doznałem od niego tyle względów i prawdziwie ojcowskiej życzliwości, że ośmieliłem się objawić mu stan mojego serca. Xiążę Poniatowski napisał do moich rodziców z prośbą, z naleganiem nawet, aby na mój związek z panną Katarzyną zezwolić chcieli, a jego wstawienie się pomyślny skutek sprawiło.

— Tak jest, rzecze Rotmistrz, rozumiem. Czegoby nie dokazały proźby, łzy syna i wzgląd na jego szczęście, dokazało tego wstawienie się, i list naczelnego wodza. No, przynajmy, że i duma przydać się może. Ale pocóż zachmurzać radość naszą, rzekł: spostrzegłszy, że na te słowa zasępiło się oblicze Władysława i Kasi. Oddawna posiadałeś panie Władysławie przyjaźń moją, przyjmij teraz ojcowskie błogosławieństwo.

Kochankowie padli do nóg Junoszy i zaprzysięgli sobie miłość dozgonną.

A do tego przydał Władysław, gdy uspokoiły się uniesienia ich radości, ojciec wypuszcza mi też samą wioskę, o której granice spór się toczył.

— To już i granic nie będzie potrzeba! zawołała Kasia.

— Co nie, to nie. Mylisz się moja panno, odpowiedział Junosza; stara granica wioski, jest rzeczą tak ważną prawie, jak klejnot szlachecki, i za najpierwszy warunek mojemu zięciowi naznaczam, aby ją do dawnego stanu przywrócił.

K O N I E C.



SPIS PRZEDMIOTÓW.

Ósmy Brat spiący, gawęda oryginalna.

Młodzik i Aktorka powieść naśladowana z Takenera.

Poszukiwacze złota — Obrazek, z angielskiego.

Mormonowie zarys historyczny z francuzkiego.

Córka Rotmistrza — powieść oryginalna.
